

WIELKIE SERIE FANTASY

# HARRY HARRISON



Tom III trylogii EDEN

The book cover features a detailed illustration of a woman with long blonde hair, wearing a purple and white dress, riding a large, dark green dinosaur. She is holding a long spear. The background is a warm, golden-brown landscape with a hazy sky. The title 'POWRÓT DO EDENU' is written in large, white, serif letters at the bottom of the cover.

POWRÓT DO EDENU

**HARRY HARRISON**

**POWRÓT DO EDENU**

Przełożył

Janusz Pultyn

## PROLOG: KERRICK

Życie nie jest już łatwe. Zbyt wiele zaszło zmian, zbyt wielu ludzi zginęło, zimy są zbyt długie. Nie zawsze tak było. Pamiętani dobrze obozowisko, w którym dorastałem, pamiętam trzy rody, długie dni, przyjaciół, dobre jedzenie. Ciepłą porę roku spędzaliśmy na brzegu wielkiego, pełnego ryb jeziora. W najdalszych wspomnieniach stoję nad tym jeziorem, patrzę ponad jego spokojnymi wodami na wysokie góry, widzę, jak na ich szczytach bieleją pierwsze śniegi zimy. Gdy śnieg pokryje nasze namioty i trawy wokół nich, nadejdzie czas, by łowcy wyruszyli w góry. Chciałem szybko dorosnąć, paliłem się, by u ich boku polować na sarny i jelenie.

Prosty świat prostych uciech minął bezpowrotnie. Wszystko się zmieniło - i nie na lepsze. Czasem budzę się w nocy, pragnąc, by nigdy nie stało się to, co się stało. Ale to głupie myśli, świat jest, jaki jest, zmienia się teraz na każdym kroku. To co uważałem za całość istnienia, okazało się zaledwie drobną cząstką rzeczywistości. Moje jezioro i góry to tylko niewielki skrawek wielkiego kontynentu graniczącego na wschodzie z ogromnym oceanem.

Wiedziałem też o innych stworzeniach, nazywanych przez nas murgu. Nauczyłem się je nienawidzić na długo przedtem, nim zobaczyłem je po raz pierwszy.

Nasze ciało jest ciepłe, a ich zimne. Na głowach rosną nam włosy, łowcy dumnie hodują brody, a zwierzęta, na które polujemy, mają ciepłe ciała, futra lub sierść - nie odnosi się to jednak do murgu. Są zimne, gładkie i pokryte łuskami, mają pazury i zęby, by nimi rwać i rozdzierać, są ogromne i przerażające.

Budzą strach i nienawiść. Od małego słyszałem o nich, wiedziałem, że żyją w ciepłych wodach południowego oceanu i w ciepłych krajach leżących na południu. Nie znosiły zimna, więc bojąc się ich, nie sądziłem jednocześnie, by nam zagroziły.

Wszystko to uległo zmianie, zmianie tak straszliwej, że już nigdy nic nie pozostanie takim samym. Powodem tego były murgu zwące się Yilanè, równie rozumne jak my, Tanu. Na swe nieszczęście dowiedziałem się, że nasz świat stanowi tylko małą część świata Yilanè, że zamieszkujemy pomoc wielkiego kontynentu, a na południe od nas, na całym lądzie, roi się od Yilanè.

Jest jeszcze gorzej. Za oceanem leżą inne, jeszcze większe kontynenty, na których w ogóle nie ma łowców. Żadnych. Są jednak Yilanè, wyłącznie Yilanè. Cały świat, poza naszym małym zakątkiem, należy do nich.

Teraz powiem wam najgorszą rzecz o Yilanè. Nienawidzą nas tak samo, jak my nienawidzimy ich. Nie miałyby to znaczenia, gdyby były jedynie wielkimi, bezdusznymi bestiami. Moglibyśmy zamieszkiwać zimną północ, unikając ich terenów.

Lecz są i takie, które być może dorównują łowcom rozumem i zaciętością w tropieniu wrogów. Ich ilości nie da się ogarnąć, wystarczy stwierdzić, iż wypełniają wszystkie lądy wielkiego świata.

Wiem o tym, bo zostałem porwany przez Yilanè, dorosłem wśród nich, uczyły mnie. Pierwotne przerażenie, jakie poczułem, ujrzawszy śmierć ojca i wszystkich innych, wyblakło z biegiem lat. Gdy nauczyłem się mówić jak Yilanè, stałem się jakby jednym z nich, zapomniałem, że byłem łowcą, zacząłem nawet nazywać mój lud ustuzou nieczystości. Cały porządek społeczeństwa i władza u Yilanè wznoszą się stopniowo, jak góra, dlatego byłem dumny, iż stałem blisko Vaintè, eistai miasta, jego władczyni. Mnie także uważano za władcę.

Żywe miasto Alpèasak od niedawna rosło na brzegach, zasiedlone przez Yilanè spoza oceanu, które z ich odległego miasta wyгнаły zimy, z roku na rok coraz srozsze. Ten sam mróz, który zmusił mego ojca i innych Tanu do wyruszenia na południe w poszukiwaniu pożywienia, wysłał Yilanè na poszukiwanie za ocean. Wyhodowały swe miasto na naszym wybrzeżu, a gdy się dowiedziały, że

przed nimi byli tam Tanu, zabiły ich. Tak jak Tanu zabili Yilanè, gdy je zobaczyli. Nienawiść jest obopólna.

Przez wiele lat nie wiedziałem o tym. Wychowałem się u Yilanè i myślałem jak one. Gdy ruszyły na wojnę, ich przeciwnicy byli dla mnie ohydnyimi ustuzou, a nie Tanu, mymi braćmi. Uległo to zmianie dopiero po moim zetknięciu się z więźniem Herilakiem. Sammadar, przywódca Tanu, rozumiał mnie dużo lepiej niż ja sam. Gdy przemówiłem doń jak do wroga, obcego, zwrócił się do mnie jak do swego pobratymca. Wraz z przypomnieniem sobie języka dzieciństwa wróciły mi wspomnienia z tego ciepłego, dawnego okresu życia. Wspomnienia matki, rodziny, przyjaciół. U Yilanè nie ma rodzin, składające jaja jaszczury nie znają niemowląt ssących pierś, rządzą nimi zimne samice, wśród których nie ma miejsca na przyjaźń. Samce przez całe swe życie przebywają w zamknięciu.

Herilak ukazał mi, że jestem Tanu, a nie Yilanè, dlatego uwolniłem go i uciekliśmy. Początkowo żałowałem tego - ale nie miałem odwrotu, ponieważ zaatakowałem i omal nie zabiłem rządzącej nimi Vaintè. Dołączyłem do sammadów, grupy rodów Tanu, wraz z nimi uciekałem przed atakami tych, które kiedyś były moimi towarzyszami. Teraz jednak miałem innych towarzyszy; łączyła mnie z nimi przyjaźń, jakiej nigdy nie zaznałem wśród Yilanè. Miałem Armun, która przyszła do mnie i ukazała mi rzeczy, o jakich nie miałem pojęcia, obudziła uczucia, jakich nigdy bym nie poznał, żyjąc wśród obcego gatunku. Armun, która urodziła mi syna.

Nigdy jednak nie opuszczał nas lęk przed śmiercią. Vaintè ze swymi wojowniczkami bezlitośnie ścigała sammady. Walczyliśmy - czasem wygrywaliśmy, zdobywaliśmy nawet trochę ich żywej broni, śmiercio-kijów, zabijających każde stworzenie. Mając je mogliśmy wypuścić się daleko na południe, napełnić do syta żołądki mrowiem murgu, zabijając te nienawistne istoty, gdy nas zaatakowały. Po to tylko, by uciekać znowu, gdy znalazła nas Vaintè i zaatakowała przy pomocy oddziałów napływających bez końca zza morza.

Ocalałym pozostawało jedynie pójść tam, gdzie nie będą ścigani, przebyć mroźny łańcuch górski, dotrzeć do leżącej za nim krainy. Yilanè nie mogą żyć w śniegach; myśleliśmy, że będziemy bezpieczni.

I byliśmy, długo byliśmy. Za górami spotkaliśmy Tanu, którzy nie polegali jedynie na łowach, lecz zbierali plony w swej ukrytej dolinie, potrafili wyrabiać dzbany, tkąć szaty i robić wiele innych zadziwiających rzeczy. To Sasku, są naszymi przyjaciółmi, bo czczą mastodonta jako boga. Przyprawiliśmy im nasze mastodonty i odtąd byliśmy z nimi jakby jednym ludem. Dobrze się nam żyło w dolinie Sasku.

Póki Vaintè nie odnalazła nas znowu.

Zrozumiałem wówczas, że nie możemy dłużej uciekać. Jak zapędzone w kąt zwierzęta musimy się odwrócić i walczyć. Najpierw nikt nie chciał mnie słuchać, bo nie znali wroga tak dobrze jak ja. Pojęli jednak, że Yilanè nie znają ognia. Dowiedziały się o nim, gdy przybyliśmy do ich miasta z pochodniami.

A oto czego dokonaliśmy. Spaliliśmy miasto Alpèasak i pozwoliliśmy kilku niedobitkom uciec od ich świata i miast za oceanem. Wśród ocalałych była Enge, ongiś ma nauczycielka i przyjaciółka. W odróżnieniu od wszystkich innych nie uznawała zabijania. Przewodziła małej grupce tak zwanych Cór Życia, wierzących w świętość życia. Gdybyż tylko one ocalały.

Ale uratowała się i Vaintè. Ta pełna nienawiści istota przeżyła zniszczenie swego miasta, uciekła na uruketo, wielkim żywym statku użytym przez Yilanè. Wypłynęła na morze.

Przestałem o niej myśleć, bo miałem ważniejsze sprawy. Chociaż wszystkie murgu z miasta zginęły, ono samo w większości ocalało. Sasku chcieli w nim zostać razem ze mną, lecz łowcy Tanu

wrócili do swych sammadów. Nie mogłem z nimi wyruszyć, zatrzymywała mnie w mieście ta część mego ja, która myślała jak Yilanè. Ponadto ocalały z pożaru dwa samce. Przywiązałem się do nich i do na wpół spalonego miasta, zapominając o powinnościach wobec Armun i syna. Szczerze przyznaję, że to samolubstwo omal nie spowodowało ich śmierci.

Trudziłem się nad przystosowaniem miasta murgu do naszych potrzeb i udało się nam. Na próżno jednak. Vaintè znalazła nowe sojuszniczki za oceanem i jeszcze raz wróciła. Uzbrojona w niepokonaną wiedzę Yilanè. Tym razem nie robiła na nas wypadów z bronią, wysyłając za to trujące rośliny i zwierzęta. Nim doszło do natarcia, z pomocy przybyły sammady. Ich śmiercio-kije nie przetrzymały zimy, a bez nich sami też by zginęli. Mieliśmy w mieście te groźne stworzenia, dlatego musieliśmy w nim pozostać pomimo wzrastającego zagrożenia ze strony Yilanè.

Sammady przybyły z jeszcze gorszymi wieściami. Gdy nie wróciłem do Armun, ta próbowała dostać się do mnie. Wraz z naszym synem zaginęła w srogiej zimie.

Umarłbym wówczas, gdyby nie drobna iskierka nadziei. Łowca, który wybrał się daleko na pomoc, by handlować z zamieszkującymi lodowe pustkowia Paramutanami, słyszał od nich, że mają wśród siebie kobietę i dziecko Tanu. Czy mogło chodzić o nich? Czy mogli przeżyć? Los miasta i zamieszkujących go Tanu i Sasku przestał mnie obchodzić. Musiałem wyruszyć na pomoc w poszukiwaniu rodziny. Mój przyjaciel Ortnar, silny łowca, rozumiał to i poszedł ze mną.

Zamiast Armun o mało co spotkalibyśmy śmierć. Zmarlibyśmy tam, gdyby nie znaleźli nas Paramutanie. Ocaliliśmy, choć Ortnar odmroził sobie stopę i został kaleką. Uratowali nas lodowi łowcy, a ku memu wielkiemu szczęściu była wśród nich Armun. Następnej wiosny dostarczyli nas bezpiecznie do miasta na południe.

Należało ono ponownie do Yilanè. Sammady i Sasku wycofali się do odległej doliny Sasku, ścigani przez Vaintè i jej wojsko, mroczne zapowiedzi pewnej śmierci. Nic nie mogłem uczynić. Mój mały sammad był wraz z dwoma samcami bezpiecznie ukryty nad jeziorem. Na razie innym jednak groziła śmierć, a nie potrafiłem ich uratować.

Nie zdołalibyśmy nawet ocalić własnych skór, bo na pewno prędzej czy później odkryto by naszą kryjówkę. Wiedziałem, że Paramutanie, którzy nas tu przywieźli, wkrótce przepłyną ocean, by polować na jego drugim brzegu. Może tam będą bezpieczni. Dołączyłem do nich z Armun i razem pokonaliśmy morze, po to tylko, by się przekonać, że Yilanè były tam przed nami. Śmierć rodzi jednak życie. Zniszczyliśmy je, a przy tym dowiedziałem się o położeniu Ikhalmenetsu, miasta na wyspie, wspierającego Vaintè w jej niszczycielskiej wojnie.

Mój czyn był bardzo śmiały lub bardzo głupi. Może i taki, i taki. Wymusiłem na eistai Ikhalmenetsu przerwanie ataku, powstrzymanie Vaintè na progu zwycięstwa. Udało mi się i ponownie zapanował spokój. Mój sammad połączył się nad brzegiem ukrytego jeziora. Walka dobiegła końca.

Działy się jeszcze inne rzeczy, o których dowiedziałem się dopiero po wielu latach. Enge, moja nauczycielka i przyjaciółka, żyła nadal. Wraz ze swymi towarzyszkami, Córami Życia, znalazła schronienie na nowym lądzie leżącym daleko na południe. Wyhodowały tam miasto, oddalone od innych Yilanè, pragnących ich śmierci. Kolejne miejsce spokoju, kolejny kres zmagania.

Nie wiedziałem jednak o jeszcze jednej sprawie. Żyła Vaintè, przepełniona nienawiścią i żądzą naszej śmierci.

To zdarzyło się w przeszłości. Teraz stoję na brzegu naszego ukrytego jeziora, patrząc spod zmrużonych powiek na zapadające słońce i starając się dostrzec, co niosą nam nadchodzące lata.

*Uveigil as lok at mennet, homennet  
thorpar ey wat marta ok etin.*

## PRZYSŁOWIE TANU

Choć rzeka niesie jasne wody,  
to jednak zawsze spływa jej nurtem  
coś mrocznego ku tobie.

# ROZDZIAŁ I

Było cicho i spokojnie.

Dobiegł końca ciepły dzień, zresztą wszystkie były tu upalne. Wieczorem jednak lekka bryza wiejąca nad wodą chłodziła nieco powietrze. Kerrick zerkał na słońce, ocierając pot z twarzy. Tak daleko na południu łatwo zapominało się o zmianach pór roku. Słońce jak zawsze zapadało za jezioro, śląc ostatnie blaski na nieruchome wody i czerwone niebo. Ryba musnęła powierzchnię jeziora i we wszystkie strony rozeszły się barwne fale. Zawsze tak było, nieodmiennie. Zdarzały się czasem chmury czy deszcze, ale nigdy nie bywało naprawdę zimno, nie czuło się tu powolnych przemian pór roku. Zimę poznać można było po opadach i mgłach. Nocami chłodziło powietrze. Nigdy jednak wiosenna trawa nie oblekała się świeżą zielenią, a liście jesienią nie rudziały.

Zimą nigdy nie leżały śniegi. Za niektórymi rzeczami Kerrick wcale nie tęsknił. Przy wilgotnej pogodzie bolały go odmrożone palce. Wolał upały niż śnieg. Wysoki wyprostowany mężczyzna zerkał na znikające słońce. Długie jasne włosy, przewiązane na czole cienkim rzemykiem, sięgały mu do ramion. W kącikach oczu pojawiły się już zmarszczki; widać też było na opalonej skórze blade blizny po starych ranach. Zwrócił wzrok na większe fale, wywołane przez jakiś ciemny kształt poruszający się w wodzie, tuż przy brzegu. Do jego uszu dobiegło znajome prychnięcie. O zmroku ławice hardaltów podpływały do brzegu, a Imehi nabierał wprawy w łowieniu ich siecią. Stękając i dysząc wychodził teraz z wody z obfitą zdobyczą. Zachodzące słońce odbijało się czerwienią od muszel hardaltów, ich macki zwisały bezwładnie. Imehi zrzucił je przed szaląsem, w którym spały samce Yilanè, i zawołał mocnym, zdecydowanym głosem. Nadaske wyszedł na dwór i zaglądając do sieci, pochwalił połów. W sammadzie Kerricka panował spokój - ale też czuło się pewien dystans. Yilanè trzymali się swojej strony trawiastej polany. Tanu swojej. Tylko Kerrick i Arnwheet czuli się wszędzie u siebie.

Na tę myśl Kerrick skrzywił się i pogrzebał palcami w brodzie, sięgając do metalowego pierścienia otaczającego mu szyję. Wiedział, że Armun nie pochwała wizyt Arnwheeta u Yilanè. Dla niej samce były po prostu murgu, stworzeniami, które należy zabijać i zapominać, a nie odwiedzać; niewłaściwym towarzystwem dla ich syna. Była jednak na tyle mądra, by o tym nie mówić. W sammadzie przynajmniej pozornie panował spokój. Wyszła właśnie z namiotu schowanego pod drzewami, ujrzała Kerricka siedzącego na brzegu i podeszła do niego.

- Nie powinieneś wychodzić na otwartą przestrzeń - powiedziała. - Czy nie powtarzasz ciągle, żebyśmy nie zapominali o ptakach szukających w dzień, a sowach w nocy?

- Powtarzam, ale chyba już nie musimy się ich bać. Minęły dwa lata, odkąd przybyłem tu z Ortnarem i tymi dwoma. Ani razu nic nas nie zaniepokoiło. Lanefenuu posłuchała mnie i zakończyła wojnę. Obiecała to i dotrzymała słowa. Murgu nie mogą kłamać. Napastniczki wróciły do miasta, nigdy go odtąd nie opuściły.

- Muszą jednak wyprawiać się na polowania.

- Jesteśmy od nich daleko i stale się pilnujemy.

- Niebezpieczeństwo nie minęło.

Wstał i objął ją, wdychając słodki zapach jej włosów. Starał się nie przyciskać jej zbyt mocno, ze względu na okrągły brzuch.

- Trudno by ci było teraz wędrować - powiedział. - Po narodzinach dziecka wyruszę z Harlem na pomoc. Dorósł na tyle, by zostać łowcą. Ortnar dobrze go wyuczył. Nie jest już dzieckiem, to jego szesnaste lato. Ma dobrą włóczęgę. Przeszukamy północ. Wiem od Ortnara, że są tam inne jeziora.

- Nie chcę tu zostać. Pójdę z tobą.



- Porozmawiamy o tym później.

- Już postanowiliśmy. Chciałabym pójść nad inne jeziora. Czy wtedy zostawimy tu murgu?

Kerrick nie odpowiedział, lecz ciągle ją obejmując skierował się do namiotu. Dziecko powinno się niedługo pojawiać, może nawet się spóźniało, wiedział też, choć się nie skarżyła, że musi odczuwać bóle. To nieodpowiednia pora na rozmowy o samcach Yilanè. Poły namiotu były podwinięte, jak zwykle w bardzo ciepłe dni, i widział Arnwheeta śpiącego w skórach. Miał już sześć lat i wyrastał na silnego, szczęśliwego chłopca. Dużo starsza Darras leżała, przyglądając się im w milczeniu. Zachowywała się zawsze bardzo spokojnie i nie odzywała się nie pytana. Jeśli nawet wspominała swych zmarłych rodziców, to nigdy o nich nie mówiła. Uważali ją teraz za swoją córkę.

Noc była tak cicha, że szepty z namiotów łowców rozchodziły się daleko. Ku swemu zadowoleniu Kerrick usłyszał śmiech jednego z nich. Kulawy Ortnar miał tu swe miejsce pomimo kalectwa. Dopóki miał czego uczyć obu chłopców, nie wspominał już o pójściu do lasu i zostaniu tam.

W oddali zawołał jakiś nocny ptak, pojedynczy krzyk podkreślający ciszę. W sammadzie było spokojnie, syto i rodzinnie. Kerrickowi to wystarczyło. Uśmiechnął się w mroku. Usłyszał szept Armun.

- Chciałabym, żeby dziecko już się urodziło. To już tyle trwa.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Nie! Nie powinieneś tak mówić - wspomnianie rzeczy, które się jeszcze nie zdarzyły, przynosi nieszczęście. Tak mówiła moja matka. Choć rzeka niesie jasne wody, to jednak zawsze splywa jej nurtem coś mrocznego ku tobie.

- Odpocznij teraz - powiedział, sięgając w ciemności do jej twarzy i kładąc łagodnie palec na rozszczepionej wardze. Coś wymruczała, lecz właśnie zasypiał i nie zrozumiał jej słów.

Kerrick obudził się szarym, mglistym świtem. Gorejący blask letniego słońca wkrótce rozproszy opary.

Armun westchnęła przez sen, gdy łagodnie wysuwał rękę spod jej głowy. Wstał, ziewnął i cichutko wyszedł z namiotu. Arnwheet musiał wyslizgnąć się jeszcze wcześniej, bo właśnie wracał z jeziora, żując tłusty kawałek surowej ryby.

- Nadaske i Imehai wybiorą się dziś daleko-wokół-jeziora - powiedział. - Do miejsca, gdzie ryby żyją-rosną-roją się obficie.

Potrząsnął przy tym rybami, bo wobec braku ogona nie mógł właściwie wyrazić kontrolera wielości. Zawsze wracając od samców, rozmawiał z Kerrickiem w yilanè. Gdy przez ponad pół roku żył bez ojca i matki, nauczył się dobrze nim mówić. Nim Kerrick odpowiedział, zerknął na namiot. Przy Armun rozmawiali wyłącznie w marbaku.

- Dobrze ćwiczenie-marsz dla samczych-tłustych Yilanè. Aie młode ustuzou zapoluje dziś ze mną w lesie.

- Tak, tak! - Arnwheet zaczął klaskać i przeszedł na marbak. - Harl też?

- I Ortnar. Znaleźli drzewo, w którym kryją się bansemnille, i potrzebują pomocy, by je wykurzyć. Leć po swoją włócznię. Ortnar chciał, byśmy wyruszyli, póki jest chłodno.

Armun usłyszała ich rozmowę i wyszła z namiotu.

- Czy to będzie długie polowanie? - spytała zmartwiona, nieświadomie kładąc ręce na okrągłym brzuchu. Zaprzeczył ruchem głowy.

- To bardzo blisko stąd. Nie zostawię cię samej przed urodzeniem się dziecka, nie dłużej niż na chwilę. Nie bój się. Pokręciła głową i usiadła ciężko.

- Wracaj szybko. Darras zostanie ze mną - dodała, gdy dziewczyna dołączyła do nich w milczeniu.

- To może być dzisiaj.

- Nie muszę iść...
- Jest jeszcze trochę czasu.
- Wieczorem zjemy bansemnille. Upieczone w glinie na węglach.
- Z wielką chęcią.

Nim wyruszyli, Kerrick poszedł wzdłuż jeziora do porośniętego bluszczem szałas, wyhodowanego przez samców nad samym brzegiem. Jeden z nich wyszedł i Kerrick przywitał go po imieniu.

- Imehi.

Kerrick uśmiechnął się w duchu, gdy pomyślał o znaczeniu tego imienia - miękki-w-dotyku. Zupełnie nie pasowało ono do tego krępego, ponurego Yilanè, który teraz ustawił ręce w pełnym szacunku geście przywitania. Przyglądał się Kerrickowi okrągłymi, pozbawionymi wyrazu oczyma. Rozchylił jednak z zadowoleniem wielkie szczęki, ukazując rząd białych, spiczastych zębów.

- Zjedz z nami-bądź z nami - powiedział Imehi.
- Już jadłem, dziękuję z zalem. Arnwheet powiedział, że dziś badacie świat?
- Dla małego mokrego-prosto-z-morza nasza krótka wycieczka wydaje się wielką przygodą-wyprawą. Dalej wzdłuż brzegu jest miejsce, gdzie trochę głęboko-źródła świeżej wody. Pełno tam dużych ryb. Chcemy łapać-jeść. Czy mały-miękki pójdzie z nami?
- Nie dzisiaj. W lesie znaleźliśmy bansemnille i chcemy na nie zapolować.
- Brak wiedzy o stworzeniu, nazwa nieznana.
- Małe, futrzaste, długie ogony, torby; smaczne.
- Proszę rozważyć zostawienie części! Przyniesiemy w zamian ładną rybę.
- Oby wasza sieć się wypełniła, haczyki wbiły głęboko.

Nadaske, który właśnie wyszedł, usłyszał to i wyraził wdzięczność. Kerrick patrzył, jak zarzucali na ramiona zwinięte sieci, umieszczali na nich hèsotsany i wchodzili do wody, by popłynąć lekko wzdłuż porośniętego trzciną brzegu. Przebyli długą drogę od życia pod nadzorem w hanalè, w mieście. Byli teraz silni i samodzielni. Za Kerrikiem rozległ się ostry krzyk, gdy się odwrócił, ujrzał wołającego go i przyzywającego gestami Arnwheeta.

- Jesteśmy tutaj, atta.

Kerrick podszedł bliżej i zobaczył stojącego w cieniu Ortnara. Jak zawsze opierał się na trzymanej pod lewą pachą drewnianej kuli. Choroba nie zabiła go, lecz nigdy nie odzyskał pełni sił w lewej stronie ciała. Powłóczył nogą, a ręce miały tylko tyle siły, by trzymać drewnianą podporę. Mógł się tak z trudem posuwać, powoli, lecz stale. Choć nigdy się nie skarżył, musiał cierpieć - pod oczyma zrobiły mu się głębokie zmarszczki, nigdy też się nie uśmiechał. Pozostała mu jednak siła w prawym ramieniu i włócznie władał nim z dawną mocą. Skinął nią Kerrickowi w milczącym powitaniu.

- Czy łowy się udadzą? - spytał Kerrick.

- Tak - będzie uczta. Jest ich tam wiele, ale musimy upolować najtłustszą, żyjącą w drzewie.

Obserwowałem je.

- Wskaż nam drogę.

Obaj chłopcy oprócz włócznie wzięli kije, lecz Kerrick zabrał tylko hèsotsan. Idąc na końcu, czuł w dłoniach drgania chłodnej żywej broni. Wypluwane przez nią strzałki niosły natychmiastową śmierć dla każdego stworzenia, nawet największego. Bez tego oręża Yilanè, nazywanego przez Tanu śmiercio-kijami, nie zdołaliby przeżyć w lesie. Włócznie i strzały nie były w stanie zabić występujących w nim wielkich murgu. Mogła to uczynić jedynie trucizna Yilanè. Zostały im tylko trzy hèsotsany, jeden zginął, utopiony przypadkowo. Nie mogli zapewnić sobie nowych. Co się stanie, gdy utracą pozostałe? Za wcześnie, by się tym martwić, na razie żyją. Kerrick odsunął od siebie ponurą myśl. Lepiej cieszyć się na polowanie i piekące się w ognisku smaczne mięso.

Szli w milczeniu leśną ścieżką - jeszcze ciszej, gdy Ortnar dotknął ustami drzewca włóczni. Pod drzewami, gdzie nie docierał wiatr, było gorąco; ociekali potem. Ortnar wskazał na drzewo z wielką dziuplą, zwieńczone grubymi konarami.

- Tam - szepnął - widać otwór nory. - Pękaty kształt przemknął pod gałęziami, a Arnwheet chichotał z podniecenia, nim nie uciszył go ostry gest Ortnara.

Niełatwo jednak było upolować któreś z tych stworzeń. Pędziły szybko po konarach i znikwały wśród liści, czepiając się zręcznie pazurami i ruchliwymi ogonami. Wystrzelone strzały chybiły. Ortnar ostro ocenił ich celność. Kerrick stał z boku, zerkając czasem na polowanie, lecz bardziej zważając na okoliczną puszcę i niebezpieczeństwa mogące się w niej kryć.

Wreszcie obaj chłopcy wspięli się na drzewo i zaczęli łukami walić w pień. Gdy po konarze ruszyła ciemna postać, groźna włócznia Ortnara szybko ją ubiła. Przebita bansemilla skrzeknęła krótko i spadła w krzewy, skąd wyciągnęli ją krzyczący radośnie chłopcy. Kerrick podziwiał tłuściość martwego ciała, a Ortnar mruczał o niepotrzebnym hałasie. Do obozu nad jeziorem wracali gęsiego, chłopcy nieśli zwierzynę przywiązaną do kija.

Gdy wynurzali się spośród drzew, Ortnar w nagłym ostrzeżeniu pchnął włócznię w niebo. Stanęli jak wryci. Przez szum liści nad głowami dobiegł ich stłumiony krzyk.

- Armun! - krzyknął Kerrick, ruszając biegiem. Wzywana wyszła z namiotu, trzymając włócznię w jednej ręce, a drugą otaczając obronnym ruchem łkającą dziewczynę.

- Co się stało?

- Ten stwór, marag, przyszedł tu, krzycząc i machając rękoma, zaatakował nas. Broniałam się włócznią. Odpędziłam go.

- Marag? Gdzie poszedł?

- Ach ty! - krzyknęła, gniew zmienił jej twarz w maskę. - Nad wodę. Te stwory, którym pozwalasz przebywać w pobliżu, zabijają nas wszystkich...

- Uspokój się. Samce są niegroźne. Coś się stało. Zostań tutaj.

Gdy Kerrick biegł po trawie do brzegu, Nadaske wyszedł z kryjówki, otulając się ramionami, drżąc i dygocąc. Na wargach miał pianę, z ust wystawał mu koniuszek języka.

- Co się stało? - zawołał Kerrick, a nie otrzymując odpowiedzi, chwycił Yilanè za grube, twarde ręce i potrząsnął. - Gdzie jest Imehei? Imehei. Powiedz.

Kerrick poczuł, jak ciałem Nadaske wstrząsnął dreszcz po usłyszeniu tego imienia. Przezroczyta błona uniosła się, a czerwone oko spojrzało na Kerricka.

- Martwy, gorzej, nieznany-kres życia...

Wymawiał te słowa niewyraźnie, poruszał się opornie i powoli. Jego pierś płonęła czerwienią, skręcał się w męce. Minęło sporo czasu, nim Kerrick zdołał zrozumieć, co się stało. Dopiero wtedy pozwolił oszołomionemu Yilanè osunąć się na trawę, a sam wrócił do pozostałych.

- Imehei chyba nie żyje, nie jestem pewny.

- Zabili się nawzajem, a potem napadli na mnie! - wrzasnęła Armun. - Zabij go teraz, skończ z tym!

Kerrick starał się zapanować nad sobą, wiedział, że zachowywała się tak nie bez powodu. Oddał broń Harlowi i objął Armun ramionami.

- Nic podobnego. Chciał ci tylko coś powiedzieć, zapytać, gdzie jesteście. Byli po drugiej stronie jeziora i łowili ryby, gdy na nich napadnięto.

- Murgu? - zapytał Ortnar.

- Tak, murgu - odparł Kerrick głosem zimnym jak śmierć. - Ich rodzaj murgu. Yilanè, samice. Łowczynie.

- Znalazły nas?

- Nie wiem - łagodnie odsunął od siebie Armun, ujrzał strach w jej oczach. - Chciał tylko z tobą porozmawiać. Jego przyjaciel został schwytany, może zabity. Sam zdołał uciec i nie wie, co stało się dalej.

- Musimy się dowiedzieć, co tamte robią nad jeziorem, co wiedzą o nas - powiedział Ortnar, potrząsając włócznią w bezsilnym gniewie. - Zabić je. - Powlókł się do jeziora, potknął i o mało co nie upadł.

- Zostań i pilnuj - nakazał Kerrick. - Zostawiam sammad pod twoją opieką. Pójdę z Nadaske i zobaczę, co się stało. Będziemy bardzo ostrożni. Pamiętajcie, że łowczynie widziały tylko Yilanè, nie mogą o nas wiedzieć.

„Chyba ze Imehei nadal żyje, bo wtedy o nas powie” - pomyślał, nie wypowiadając swych obaw głośno.

- Już wyruszamy - zawahał się chwilę, potem wziął drugi hèsotsan. Ortnar patrzył na to ponuro.

- Śmiercio-kije są nasze, potrzebujemy ich, by przeżyć.

- Przyniosę je z powrotem.

Zmęczony, milczący Nadaske siedział na ogonie i poruszył się dopiero wtedy, gdy Kerrick podszedł bliżej.

- Straciłem całe opanowanie - powiedział z ostrymi ruchami samoponizenia. - Byłem głupi jak fargi na brzegu. Rzuciłem nawet hèsotsan, został tam. To przez ich głosy, usłyszałem, jak mówiły o złapaniu Imehei. Opuścił mnie rozum. Uciekłem. Powinienem był tam zostać.

- Postąpiłeś słusznie. Chodź tutaj. Weź broń. Nie zostaw jej tym razem. - Wyciągnął hèsotsan, a Nadaske wziął go bez podziękowania, umieszczając przy tym kciuk zbyt blisko pyska stworzenia. Ledwo zauważył, gdy ugryzło go ostrymi ząbkami. Dopiero wtedy powoli odsunął palec i spojrzał na kropelki krwi.

- Mam już broń - powiedział i ciężko wstał. - Mamy broń, możemy iść.

- Nie umiem tak pływać jak ty.

- Nie musisz. Jest ścieżka wzdłuż brzegu. Wróciłem nią. Ruszył zdecydowanie naprzód, a Kerrick szedł tuż za nim.

Szli długo w słońcu południa. Często stawali i Nadaske dla ochłody wchodził do jeziora. W tym czasie Kerrick chronił się w cieniu drzew. Słońce było w połowie swej drogi, gdy Nadaske zasygnalizował czujność-milczenie i wskazał ręką.

- To tam, za tymi wysokimi trzcinami. Iść-wodą-milcząco-skrycie.

Poprowadził, brnąc w bagnie po kolana i rozchylając przy tym trzcinę, tak cicho i ostrożnie, aby nie można było ich dostrzec. Kerrick trzymał się tuż za nim, idąc równie cicho przez ciemną wodę. Trzcinę przeredziły się, ruszyli wolniej, wypatrując, co jest za nimi. Pomimo konieczności zachowania milczenia z głębi gardła Nadaske wydarł się stłumiony jęk.

Dopiero po dłuższej chwili Kerrick zdołał zrozumieć, co się dzieje. Tuż przed nimi siedziała Yilanè, odwrócona do nich plecami, zaciskając dłonie na hèsotsanie. Wokół leżały pakunki i dwa inne okazy broni. Dalej tłoczyła się nieruchoma, wpatrująca się w nią grupa Yilanè. Dwie z nich trzymały jedną w dziwnym uścisku. Po chwili Kerrick rozumiał wszystko.

Na ziemi leżał rozciągnięty Imehei. Siedziała na nim samica, przytrzymując go wyciągniętymi, nieruchomymi rękoma. Inna, równie nieporuszona, tkwiła na górnej połowie ciała Imehei. Samiec poruszył się lekko i jęknął. Obie samice pozostawały nieruchome, jakby wykute z kamienia.

Przed oczami Kerricka pojawiły się natrętne wspomnienia, zasłaniając widzianą przez niego scenę. Vaintè trzymała go tak, gdy był chłopcem, przyciskała do ziemi, biorąc siłą. Ból i przyjemność, wtedy było to dla niego czymś nowym, strasznym i dziwnym.

Teraz już nie. W ramionach Armun przekonał się, że taki uścisk może dawać ciepło i szczęście. Zapomnienie.

Widok splątanych ciał przypomniał mu wyraźnie dawne przeżycia. Opanowała go nienawiść. Przedarł się przez trzciny, brnąc głośno przez płytką wodę. Nadaske krzyknął ostrzegawczo, gdy wartowniczką, usłyszawszy go, wstała i uniosła hèsotsan.

Upadła, gdy broń Kerricka wypuściła strzałkę śmierci. Przeskoczył jej ciało, słysząc za sobą kroki Nadaske, i pobiegł ku srogiej, milczącej parze.

Samice nie poruszyły się, jakby niczego nie dostrzegły. Inaczej Imehei. Dyszał ciężko pod podwójnym ciężarem, wiercił się i patrzył z boleścią na Kerricka. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

To Nadaske zabił samice. Strzelił raz, potem drugi i podbiegł, by pchnąć padające ciała. Zwały się ciężko na ziemię, już martwe.

Po śmierci i upadku mięśnie się rozluźniły, uwalniając Imehei. Wciągnął najpierw jeden, potem drugi członek i zamknął sącze. Był jednak zbyt wyczerpany, aby się ruszyć. Kerrick nie miał pojęcia, co teraz robić.

Nadaske wiedział. Śmierć od milczącej strzałki była dla niego zbyt łagodną karą. Samice nie mogły teraz czuć jego ataku, ale on mógł wyładować na nich swą nienawiść. Upadł na pierwszą, szarpał jej gardło zębami, aż je rozerwał, potem zrobił to samo z drugą. Wytrysnęła krew. Dopiero wtedy Nadaske powlókł się do jeziora, wsadził głowę pod wodę i umył się w czystej wodzie.

Gdy wrócił, Imehei siedział osłabły, bez słowa. Nadaske usiadł powoli przy nim i podtrzymał jego ciało, także milcząc.

Stało się coś strasznego.

*efenenot okolsetank nin anafirènè*  
*efeneleiaa teseset*

## PIERWSZA ZASADA UGUNENAPSY

Nasze życie tkwi między kciukami  
Efeneleiaa, Ducha Życia.

## ROZDZIAŁ II

- Dobra noga. Piękna noga. Nowa noga - mówiła powoli Ambalasei, zmieniając barwy wnętrza dłoni w prostym języku Sorogetso.

Ichikchee leżała przed nią cała drżąca na gęstej trawie, otwierając szeroko oczy w strachu przed nieznanym. Spojrzała na swą stopę i szybko odwróciła wzrok. Pokrywająca ją różowa skóra różniła się tak bardzo od zieleni reszty nogi. Strasznie ją to martwiło. W próbie pociechy Ambalasei pochyliła się i lekko dotknęła kostki Ichikchee, ale tamta tylko bardziej zadrżała.

- To proste stworzenie - powiedziała Ambalasei, dając znak stojącej z boku swej pomocnicy Setèssei. - Równie proste co ich język. Daj jej coś do zjedzenia, to zawsze uspokaja. Dobrze, patrz z jakim zadowoleniem je. Idziemy stąd - ty też.

Sorogetso przywykli do widoku Ambalasei, oczywiście, nie był to przypadek. Miała cierpliwość prawdziwej uczoney, przeto nie przyspieszała na siłę kontaktów z tymi dzikimi stworzeniami. Nadal czuły się niepewnie w obecności większych Yilanè, dlatego zawsze się pilnowała, by przy wydawaniu poleceń czy zadawaniu pytań nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów. Enge dobrze wykonała swe zadanie nauczania się ich języka i przekazała tę umiejętność Ambalasei, a ta opanowała ją doskonale. Znała nawet więcej słów niż Enge, bo tą pochłaniały sprawy miasta. Chore czy ranne Sorogetso szukały teraz pomocy u Ambalasei. Zawsze wtedy przybywała, pytała jedynie o objawy choroby, czasem dodatkowo o parę spraw, na pozór mało ważnych. Jej wiedza rosła.

- Są zupełnie pozbawione nauki, patrz na nie, Setèssei, i dziw się. Być może spoglądamy poprzez czas na naszych przodków, na ich życie tuż po pęknięciu jaja czasu. Bronią się utrzymanymi przed sobą trującymi pajakami, jak my kiedyś krabami i homarami. A tam, widzisz, jak składają wiązki trzciny? Związane mają znakomite właściwości izolujące, stanowią także schronienie dla owadów. Z jakąż uwagą wznoszą z nich ściany domków, pokrywają je dla ochrony przed deszczem. Tak przywykłyśmy do rosnących na zawołanie sypialń, iż zapomnieliśmy, że kiedyś żyliśmy tak samo.

- Wolę wygodne miasta, nie lubię spać na gołej ziemi.

- Oczywiście. Zapomnij jednak o wygodach i myśl jak uczona. Obserwuj, rozważaj i ucz się. Nie mają wodo-owoców, więc znów musiały pomóc sobie pomysłem. Czerpią wodę z rzeki wydrążonymi tykwami. A podczas mojej poprzedniej wizyty, gdy przyszedłam tu sama, odkryłam coś jeszcze ważniejszego.

- Wielkie przeprosimy za ówczesną nieobecność-konieczność leczenia grzybami zarazy roślin.

- Przeprosiny niepotrzebne; sama zarządziłam to leczenie. Teraz tędy...

- Z powrotem, nie wchodź tutaj! - krzyknął na nie Eeasassiwi, wyskakując z kryjówki w krzakach. Jego dłonie płonęły czerwienią. Setèssei stanęła i cofnęła się. Ambalasei również się zatrzymała, lecz pozostała na miejscu.

- Jesteś Eeasassiwi. Ja jestem Ambalasei. Trochę pomówimy.

- Do tyłu!

- Dlaczego? Wytłumaczysz to? Eeasassiwi jest silny-samiec, nie boi się słabej-samicy.

Eeasassiwi dał znak przeczenia, patrząc uważnie na Ambalasei. Nadal przejawiał niechęć, lecz barwa dłoni zniknęła.

- To dobre jedzenie - powiedziała Ambalasei, przywołując Setèssei z naczyniem. - Spróbuj. Ambalasei ma mnóstwo jedzenia. Myślisz, że zabiorę wasze? To w jamie?

Eeasassiwi zawahał się, potem przyjął podarunek i mrucząc coś do siebie, zaczął żuć kawałek węgorka, jednocześnie przyglądając się obcym uważnie. Zaprotestował gestem, lecz nie zrobił żadnego grożącego ruchu, gdy Ambalasei zerwała pomarańczowej barwy owoc z drzewa rosnącego

mu nad głową.

Gdy zniknęły mu z oczu, Ambalasei stanęła i wręczyła owoc swej pomocnicy. - Znasz go?

Setèssei spojrzała na owoc, potem rozerwała go i skosztowała mięszu. Wypluła go zaraz i potwierdziła:

- Taki sam dałaś mi do zbadania.

- Tak. I co znalazłaś?

- Glukozę, sacharozę...

- Tak, oczywiście - przerwała jej Ambalasei. - Jak w każdym owocu. Ale czy znalazłaś coś niespodziewanego?

- Prosty enzym bardzo bliski kolagenazie.

- Dobrze. A jaki wyciągnęłaś stąd wniosek?

- Żaden. Poprzestałam na analizie.

- Śpiąca-w-dzień-mózg-stwardniały-w-kamień! Czy ja jedna na całym świecie potrafię myśleć? Gdybym ci powiedziała, że w jamie ziemnej pod drzewem znalazłam mięso, świeże ciało upolowanego aligatora, co byś o tym sądziła?

Setèssei stanęła z otwartymi ustami, wstrząśnięta swą myślą.

- Ależ, wielka Ambalasei, to odkrycie o niesłychanym znaczeniu. Enzym rozpuszcza tkanki łączne mięśni, zostawiając gotowe do zjedzenia mięso. Tak samo, jak to się dzieje w naszych kadziach z enzymami. To znaczy, że być może obserwujemy...

- Właśnie. Pierwszy krok poza ogłupiające posługiwanie się narzędziami mechanicznymi, początki opanowywania procesów chemicznych i biologicznych. Pierwszy krok na drodze prowadzącej do prawdziwej wiedzy Yilanè. Rozumiesz teraz, dlaczego zakazałam wpuszczać Sorogetso do miasta, by mogli pozostać przy swych starych zwyczajach?

- Zrozumienie-z-wielkim podziwem. Twe badania tu są wiedzy-rozszerzenie, wartość-niewiarygodna.

- Oczywiście. Przynajmniej trochę doceniasz me wielkie osiągnięcia. - Ambalasei oparta dotąd wygodnie na ogonie wyprostowała się z jękiem.

- Radości intelektualne przytłumione przez wiek ciała - wieczną wilgoć. - Kłapnęła w złości zębami i skinęła na Setèssei. Asystentka wyciągnęła przed siebie stworzenie przytrzymujące. Mrucząca coś do siebie Ambalasei szperała w jego wnętrzu. Przewidując jej pragnienie, Setèssei również sięgnęła do środka i wyjęła mały koszyk.

- Zabójca bólu - oznajmiła.

Ambalasei wyrwała go gniewnie - czy jej potrzeby stały się tak oczywiste? - uchyliła wieczko i wyjęła małego węża, trzymając go za ogon. Poruszał się niespokojnie, gdy chwyciła go tuż za głowę, - zmusiła do rozwarcia szczęk, a następnie wbiła sobie w żyłę jego pojedynczy kiel. Zmieniony jad przyniósł natychmiastową ulgę. Uczona znów rozsiadła się wygodnie na ogonie i westchnęła.

- Ambalasei nic dzisiaj nie jadła - powiedziała Setèssei, chowając węża do koszyka i sięgając w głąb pojemnika. - Mam tu przygotowanego węgorza, prosto z kadzi.

Ambalasei wpatrywała się nieprzystępnie w dal, ale rzuciła jednym okiem na galaretowate mięso odwijane przez pomocnicę. To prawda, nic jeszcze nie jadła. Żuła powoli, pozwalając sokom spływać do gardła. Sięgnęła po drugi kawałek.

- Jak rośnie miasto? - zapytała, trochę niewyraźnie ze względu na pełne usta. Dzięki długiej znajomości Setèssei dobrze jednak rozumiała starą uczoną.

- Sady wodo-owoców potrzebują użyźnienia. To wszystko, reszta rośnie dobrze.

- A mieszkanki tego miasta, też dobrze rosną? Setèssei wyraziła szybko mieszane uczucia,



zamykając jednocześnie pojemnik i wstając.

- Radość z ciągłego zdobywania wiedzy w służbie Ambalasei. Obserwowanie rośnięcia miasta, odkrycie nowego gatunku Yilanè, to radość usuwająca wszelkie trudy. Życie wśród Cór Życia jest trudem usuwającym wszelką radość.

- Doskonale powiedziane, daj jeszcze węgorza. Nie kusi cię więc zajęcie się ich wydumaną filozofią, zostanie Córą?

- Czerpię siły i przyjemności ze służenia tobie; nie potrzebuję służyć innym.

- A jeśli eistaa każe ci umrzeć - czy posłuchasz?

- Która? Mieszkałyśmy w wielu miastach. Moim miastem jest służba tobie, dlatego ty jesteś mą eistaa.

- Jeśli tak, będziesz żyła zawsze, bo nikomu nie każę umrzeć. Choć przy tych Córach... Mocno mnie to kusi. Teraz rozwiń poprzednie stwierdzenie. Gaje potrzebują użyźnienia, złagodzenia-skutków-przedwczesnego-zakończenia. Córy?

- Ambalasei wie wszystko, widzi przez kamień. Dwa razy prosiłam o pomoc, dwa razy zwlekano z jej udzieleniem.

- Nie będzie trzeciego razu - stwierdziła Ambalasei z kontrolerami pewności. Wstała z trudem, a gdy się prostowała, coś trzasnęło jej w kręgosłupie. - Osłabienie narasta, praca na tym cierpi.

Wracały dróżką przez gaj, świadome, że obserwują je ukryci Sorogetso. Przed nimi migąła czasem jakaś postać, a gdy znalazły się nad brzegiem, zastały już tam ustawioną przez Ichikchee ruchomą kłodę. Opuściła wzrok i odwróciła się, gdy Ambalasei uniosła dłoń ukazując, jak zmieniają się jej barwy w podziękowaniu od zieleni do czerwieni.

- Wyraża swą wdzięczność - powiedziała Ambalasei. - Pracą odwzajemnia się za pomoc. To proste stworzenia, choć pod wieloma względami złożone. Potrzebują dalszych badań.

Przeszła po ruchomej kłodzie na drugi brzeg i wskazała na strumień, który przebyła.

- Węgorz - pokazała i wyciągnęła rękę. - Czy zastanawiałas się, Setèssei, dlaczego na ich wyspę chodzimy po drzewie zamiast pokonywać płytką wodę?

- Nie zaciekało mnie to.

- Mnie ciekawi wszystko, dlatego wszystko wiem. Wykorzystałam swą wielką inteligencję i rozwiązałam tę małą tajemnicę.

Wrzuciła kawałek mięsa do strumienia, a woda zawrzała od nagłych ruchów.

- Małe, liczne drapieżne rybki. Żywa zaporą. Ten nowy kontynent jest pełen cudów. Po południu będę się wygrzewała w ambesed. Przyślij tam do mnie Enge.

Setèssei ruszyła przodem z pojemnikiem, kiwając głową podczas marszu. Ambalasei ujrzała, że ma szarą, poszarpaną z boku pierś. Tak szybko? Pamiętała dobrze młodą fargi pragnącą zostać Yilanè, słuchającą i zapamiętującą, która w końcu stała się jej niezastąpioną pomocnicą. Wszystkie te lata cierpliwej pracy, kiedy to Ambalasei poznawała tajemnice świata. Końcem tego jest nowe miasto z krnąbrnymi mieszkankami. Może nadeszła pora wyjazdu, a na pewno czas już zapisać dokładnie wszystkie odkrycia. Jeszcze nie narodzone uczone Yilanè będą podziwiać z lękiem zakres odkrytej wiedzy. Żyjące teraz poczernieją na twarzach i pomrą z zawiści. Miła myśl.

Korzeń nagrzanego od słońca drzewa wspierał wygodnie plecy Ambalasei, jeszcze cieplej jej było w oświetloną klatką piersiową. Oczy miała zamknięte, szeroko otwarte usta chłoneły ciepło kojące jej bolące mięśnie. Poszukiwanie wiedzy jest nie kończącą się przyjemnością, lecz bardzo męczący. Jej rozmyślenia przerwał głos proszący o uwagę. Otworzyła jedno oko i zmrużyła je, chroniąc przed blaskiem.

- To ty, Enge.

- Słyszałam, że chcesz się ze mną zobaczyć.

- Jestem niezadowolona. Coś trzeba zrobić. Twe Córy Mozołu mozołą się coraz mniej z każdym dniem. Wiesz o tym?

- Wiem. To moja wina. Wynikła z mojej niemożności odpowiedniego rozwiązania naszego problemu. Pracuję rozpaczliwie nad koniecznym opanowaniem zasad Ugunenapsy. Wiem, że rozwiązanie naszych kłopotów tkwi tuż przed moimi oczami - lecz nadal nie mogę go dostrzec.

- Mylisz teorię z rzeczywistością. Jedna istnieje, druga może istnieć.

- Nie dla nas, wielka Ambalasei, wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. - Oczy Enge pałały żarliwością, gdy siadała wygodnie na ogonie; Ambalasei westchnęła. - Udowodniono prawdziwość stów Ugunenapsy. Gdy eistaa rozkazuje swej Yilanè umierać - ta umiera. My nie.

- Łatwo to wytłumaczyć. Zakończyłam nad tym badania. Żyjecie, bo wasze podwzgórze nie zostało pobudzone. To wszystko.

- Brak wiedzy, prośba o wyjaśnienie.

- Pragnęłabym, aby reszta twych Cór Roztargnienia była również żądna wyjaśnień. Słuchaj więc i zapamiętuj. Tak jak rozwijamy się od jaja do oceanu, od fargi do Yilanè, tak i nasz gatunek rozwijał się od dawnej postaci do dzisiejszej. Nasze zęby świadczą, że kiedyś jadałyśmy mięczaki, bo są do tego przystosowane. Nim miałyśmy miasta, nim zapewniłyśmy sobie ciągłe dostawy żywności i ochronę przed surowością życia, w naszym przetrwaniu dużą rolę odgrywała hibernacja.

- Przyznanie jeszcze większej niewiedzy. Czy jadałyśmy tę hibernację?

Ambalasei kłapnęła w gniewie zębami.

- Słuchaj uważnie. Hibernacja to stan odrętwienia ciała, coś pośredniego między snem a śmiercią, kiedy to wielkiemu spowolnieniu ulegają wszystkie funkcje życiowe. Jej podstawą jest reakcja hormonalna wywoływana przez prolaktynę. Zwykle reguluje ona nasz metabolizm i zachowanie seksualne. Jednakże nadmiar prolaktyny przeciąża podwzgórze i powoduje zachwianie równowagi hormonalnej kończące się śmiercią. To czynnik przetrwania.

- Przetrwania - choć kończy się śmiercią?

- Tak. Śmiercią osobniczą ułatwiającą przetrwanie grupy. Inna forma altruistycznego genu zgubna dla jednostki, lecz bardzo przydatna dla gatunku. Panowanie eistai zapewnia ciągłość porządku społecznego. Błądzące osobniczki umierają po otrzymaniu takiego rozkazu. W zasadzie zabijają się same. Wierzą, że zginą - dlatego giną. Strach wywołany bliskością śmierci wyzwala prolaktynę. Osobnik umiera. Samospelniające się proroctwo. Enge była przejęta zgrozą.

- Mądra Ambalasei - twierdzisz więc, że wielkie dzieło Ugunenapsy to jedynie umiejętność zapanowania nad reakcją fizjologiczną?

- To tyś powiedziała, a nie ja - odparła Ambalasei z wielkim zadowoleniem. Enge milczała długo, zatopiona w rozmyślaniach. Potem poruszyła się i uczyniła gest zgody-wdzięczności.

- Twa mądrość, Ambalasei, nie zna granic. Ukazujesz prawdę fizyczną, która zmusza mnie do zwątpienia, skłania do rozważenia znanych mi prawd, znalezienia odpowiedzi wzmacniającej owe prawdy. Oto ta odpowiedź, wyrażona jasno i tylko czekająca na wytłumaczenie. Cała mądrość Ugunenapsy zawarta jest w jej ośmiu Zasadach.

- Oszczędź mi ich! Czy grozisz mi wysłuchaniem wszystkich?

- To nie groźba, lecz ukazanie. W jednej mieszczą się wszystkie. W pierwszej i najważniejszej. To największe odkrycie Ugunenapsy, z niego wypływają wszystkie inne. Powiedziała, że pochodziła z jej najgłębszej intuicji. Poznała ją jako objawienie, coś długo zapomnianego i nagle odkrytego, prawdę, której nie można zapomnieć po poznaniu. Oto ona: „Nasze życie tkwi pomiędzy kciukami Efeneleiai, Ducha Życia”.

- Rozum mi zdrętwiał! Cóż to za nonsens?

- Prawda. Uznając istnienie Efeneleiai przyjmujemy życie i odrzucamy śmierć. Eistaa nie ma nad nami władzy, ponieważ jesteśmy częścią Efeneleiai, a Efeneleiaa jest częścią nas.

- Dość! - ryknęła Ambalasei. - Porzuć wydumane teorie dla bardziej przyziemnych rozważań. Twoje Córy z każdym dniem pracują coraz mniej, na czym cierpi miasto. Co zamierzasz z tym zrobić?

- Zamierzam włączyć się bardziej w Osiem Zasad Ugunenapsy, ponieważ ty, Ambalasei, ukazałaś mi, że w nich tkwi rozwiązanie naszych kłopotów.

- Naprawdę? Mam nadzieję. Ale radzę ci włączyć się szybciej, ponieważ nawet moja szeroko znana cierpliwość ma swoje granice. Beze mnie miasto zginie, a wasze nie kończące się spory zaczynają mnie nużyć. Rozwiążcie je wreszcie!

- Uczynimy to. Ofiaruj nam jeszcze trochę cierpliwości, z której jesteś tak dobrze znana.

Ambalasei zamknęła oczy, gdy tylko Enge skończyła mówić, nie zobaczyła więc ruchów jej ciała, które pokazywały, co wiedziano o jej cierpliwości. Enge odeszła powoli, szukając odosobnienia, w którym mogłaby rozważać budzące się w niej objawienie. Gdy jednak weszła na ocieniony przez drzewa chodnik, spotkała tę, którą najmniej pragnęła w tej chwili widzieć. Była to jednak niegrzeczna, samolubna myśl. Jeśli ta Córa jest kłótniwa, to tylko dlatego, że szuka prawdy.

- Witam cię, Far<, i pytam, dlaczego chcesz ze mną mówić?

Far< ostatnio jeszcze bardziej schudła; pod skórą sterczały jej obręcze żeber. Jadła niewiele, dużo rozmyślała. Teraz splatała kciuki w tłumionej emocji. Miała trudności z wyrażaniem swych myśli, a jej wielkie oczy zwiększyły się jeszcze bardziej z wysiłku.

- Borykam się... z tymi słowami, moimi myślami i naukami Ugunenapsy. I znajduję w tym sprzeczności. Potrzebuję wskazówek, pomocy.

- Otrzymasz ją. Co cię trapi?

- Twoje polecenie słuchania Ambalasei, jakby była naszą eistaa. Robimy to, choć przyjmując zasady Ugunenapsy, odrzuciłyśmy władzę eistai.

- Zapomniałaś, że jest tak tylko do czasu wyrośnięcia miasta. Bez miasta nie możemy żyć i inne działanie byłoby sprzeczne z życiem.

- Tak - ale miasto już urosło. Nic mu już nie brakuje, a w takim razie nadszedł kres naszego posłuszeństwa. Uważam, wraz z wieloma spośród tych, z którymi rozmawiałam, że pora z tym skończyć...

Uniesione dłonie Enge wstrzymały jej słowa; było to polecenie wymagające natychmiastowego posłuszeństwa.

- Nie mów o tym teraz. Niedługo, już niedługo, objawię ci to wszystko, co zostało mi objawione dzisiaj. Tajemnicą naszego istnienia jest Osiem Zasad Ugunenapsy. Odkryłybyśmy ją, gdybyśmy przyjrzały się im uważniej.

- Przyglądałam się, Enge, i nie odkryłam.

Czy w jej słowach nie było lekkiego kontrolera odrzucenia, nawet wzgardy? Enge postanowiła nie zwracać na to uwagi. Nie nadeszła jeszcze pora konfrontacji.

- Będiesz pracować dla miasta zgodnie z poleceniami Ambalasei, tak samo jak ja i wszystkie nasze siostry. Nasze problemy zostaną rozwiązane już bardzo szybko. Możesz iść.

Enge patrzyła na wąskie oddalające się plecy i nie po raz pierwszy odczuła brzemień swych wierzeń oraz zrozumiała wolność eistai. Ta szybko rozwiązałaby ten problem poprzez nakazanie tej Yilanè, by umarła.

Pełna życia Far< szła pod drzewami.

Również pod drzewami, lecz na drugim brzegu oceanu, w Entoban\*, szła ciężko Vaintè. Często przystawała, jej ślady w mule były równie chaotyczne i przypadkowe, jak jej myśli.

Czasami, zaraz po przebudzeniu, widziała wyraźnie całe swe położenie. Odrzucona, zagubiona wędruje niegościnnym wybrzeżem. Początkowo wspierał ją gniew, w nim rzucała groźby zdradzieckiej Lanefenuu odpływającej bezpiecznie w uruketo. Przepęłniała ją nienawiść do eistai, której zawdzięcza to wszystko. Wrzeszczała z wściekłości, aż rozboleła ją gardło, osłabły kończyny, a na ustach wystąpiła piana.

Nic jej to nie dało. Gdyby w pobliżu znalazły się jakieś groźne zwierzęta, zostałyby zabita i pożarta w tej chwili szaleństwa. Nie było ich jednak. Za błotnistą plażą zaczynały się pełne zgnilizny bagna i lotne piaski. Wśród drzew latały ptaki, w mule pełzały jakieś stworzenia, nic godnego uwagi. Wściekłość pierwszego dnia wywołała u niej pragnienie, które zaspokoila mętną wodą z moczarów. Coś w tej wodzie sprawiło, że chorowała i traciła resztkę sił wymiotując. Potem znalazła bijące między drzewami źródło. Potoczek czystej wody spływał przez muł do morza, odtąd piła tylko z niego.

Początkowo nic nie jadła. Leżąc nieruchomo w słońcu, nie musiała jeść przez wiele dni. Dopiero gdy upadła z wyczerpania, zrozumiała głupotę takiego postępowania. Mogła umrzeć - ale nie w ten sposób. Iskierka gniewu, który pozostał w niej w tym opuszczeniu i zdradzie, skierowała ją do morza. Były w nim ryby, trudne jednak do schwytania. Dawno zapomniała posiadane ongiś umiejętności ich łapania. Mimo to jakoś zdołała przeżyć. Łatwiej było znaleźć mięczaki na mulistych wysepkach i wkrótce odżywiała się głównie nimi.

Minęło tak wiele, wiele dni i Vaintè nie odczuwała potrzeby żadnych zmian. Jedyne o świcie, choć bardzo już rzadko, patrzyła ze zdumieniem na swe obłocone nogi, poplamioną, pozbawioną ozdób skórę. Zastanawiała się wówczas chwilę nad swym położeniem. Czy to całe jej życie? Co się z nią stało? Te ulotne chwile troski nie trwały nigdy długo. Słońce przygrzewało, a otępienie umysłu było znacznie lepsze od wrzasków i cierpień, które znaczyły jej pierwsze dni na tym wybrzeżu.

Miała wodę do picia, a gdy zgłodniała, zawsze znajdowała coś do zjedzenia, nic jej tu nie niepokoiło. Opuściły ją nawet mroczne myśli, które wypełniały jej głowę po porzuceniu na tym niegościnnym wybrzeżu.

Wszystkie myśli. Szła brzegiem, wlokąc powoli jedną nogę za drugą i zostawiając w mule krętą, wydeptaną ścieżkę. Ślady jej nóg szybko wypełniała woda.

*Bruka assi stakkiz tina faralda –  
den ey gestarmal faralda markiz.*

## PRZYSŁOWIE TANU

Raduj się latem swego życia –  
zawsze następuje po nim zima.

## ROZDZIAŁ III

Nadaske stał po pas w jeziorze, przyskajac na siebie wodą i zmywając ślady krwi. Zanurzył głowę pod powierzchnią, by wypłukać usta. Wreszcie wypłuł resztki krwi i ciała, by całkowicie oczyszczony wyjść na brzeg. Tam wszystkimi czterema kciukami wskazał na pogrążonego w rozpacz Imehi.

Gest ten pełen był mroku, bez śladu nadziei.

- Co to znaczy? - zapytał Kerrick, oszołomiony strasznymi wydarzeniami.

Nadaske wzdrygnął się, lecz nic nie powiedział. Również Imehi długo jeszcze się nie odzywał. Potem poruszył się i zaczął trzeć siniaki na ramionach i udach. W końcu wstał powoli, zwracając na Nadaske szeroko rozwarte, puste oczy.

- Jak długo? - spytał Nadaske.

- Przy dwóch chyba dostatecznie.

- Możesz się mylić.

- Wkrótce się przekonamy. Musimy zaraz wracać do miejsca spoczynku.

- Idziemy.

Imehi zachwiał się, lecz ruszył. Nadaske podszedł do niego i otoczył go silnym ramieniem. Pomógł mu iść, a raczej wlec się z trudem. Powędrowali tak wzdłuż jeziora i zniknęli wśród drzew. Nie odwrócili się ani nie przemówili do Kerricka, zupełnie o nim zapominając.

Chciał im zadać kilka pytań, ale nie zrobił tego. Czuł, że był świadkiem wielkiej tragedii, choć niezupełnie ją rozumiał. Przypomniawszy sobie piosenki śpiewane zwykle przez samców w hanalè, piosenki napomykające ponuro o wielkim lęku przed plażami.

- Dość!

Powiedział to na głos, patrząc na rozdarte, martwe ciała. Chciał się dowiedzieć, co spotkało Imehi, ale to mogło poczekać. Będzie jeszcze miał dość czasu na poznanie znaczenia widzianych przez siebie straszliwych wydarzeń. Na razie musi zatroszczyć się o swój sammad. Co dalej? Co zrobić z ciałami i zapasami?

Trzy Yilanè wybrały się na łowy. Teraz nie żyją. Ile czasu minie, nim zauważą ich nieobecność? Nie sposób było to stwierdzić, dowiedzieć się, czy już ich nie szukają. Musi to jednak przyjąć za pewnik. Musi zatrzeć wszelkie ślady popełnionej tu zbrodni. Najpierw ciała. Czy je pogrzebać? Nie. Odnajdą je padlinożercy, wykopią i pozostawią kości. Truchła Yilanè muszą zniknąć bez śladu. Jedynym wyjściem jest jezioro.

Zawlókł martwe ciała przez trzciny i pływając aż do głębszej części jeziora. Unosiły się na powierzchni, barwiąc wodę na różowo. Niedobrze. Niezadowolony wrócił na brzegi i przejrzał pakunki. Zawierały świeżo zdarte futra i kilka innych rzeczy, lecz głównie pęcherze z mięsem. Nożem przeciął ich twarde pokrywy i rzucił mięso daleko w jezioro; tym zajmą się ryby. Potem napełnił pęcherze żwirem i kamykami. Było to ciężkie, nieprzyjemne zajęcie, ale w końcu miał je za sobą. Przygotowane pakunki przywiązał do ciał, popchnął je na głębszą wodę i zatopił. Owady i deszcze poradzą sobie ze śladami krwi na ziemi. Jeśli nawet poszukujący tu trafią, to i tak niczego nie zauważą. Niech zniknięcie łowczyń pozostanie tajemnicą.

Kerrick potrząsnął z niedowierzaniem głową, gdy ujrzał, że Nadaske zapomniał swego hèsotsanu. Broń była niezbędna do przetrwania, a jednak ją zostawił. Nic nie mogło bardziej świadczyć o głębi jego rozpacz. Kerrick związał tę broń, jak też trzy inne, zdobyte na łowczyń, powróściem z trawy. Dodatkowe hèsotsany bardzo się przydadzą, taki przynajmniej pożytek z tej strasznej przygody. Wziął swój oręż, rozejrzał się leniwie, sprawdzając, czy o niczym nie zapomniał, i ruszył

brzegiem.

Miał teraz czas na myślenie i jedną rzecz zrozumiał jasno. Muszą odejść znad jeziora, wszyscy. Skoro łowczynie Yilanè mogą tu docierać, jak się to rzeczywiście stało, to sammad znajduje się zbyt blisko miasta. Inne mogą zacząć szukać tych trzech. Choćby nawet nie trafiły na obozowisko, to i tak znajdą się zbyt blisko. Zostaną odkryci, a wtedy będzie za późno. Muszą iść na pomoc. Muszą jednak zaczekać, aż urodzi się dziecko. Armun nie może teraz chodzić. Wyruszą natychmiast po porodzie, gdy tylko Armun odzyska siły. Nie będzie to łatwe. Mieli rację, zabijając mastodonta, z którym tu przybyli, nie mieli jak go schować; szybko zostałby wykryty przez latające stworzenia. Ale teraz bardzo by się przydał. Trudno. Zabiorą tylko to, co zdołają unieść. Zrobią włóki i pociągną je sami. Harl jest już na tyle duży i silny, by sobie poradzić. Ortnara niczym nie objuczy, wystarczy że będzie szedł samodzielnie. Zrobi to, z trudem, ale zrobi.

Coś ciemnego poruszyło się przed nim wśród drzew. Kerrick pochylił się i szybko schował w krzakach. Kryją się tam murgu, milczący zabójcy. Posuwał się ostrożnie z przygotowaną bronią.

Wreszcie trafił na dwóch samców Yilanè. Jeden leżał i odpoczywał, drugi siedział obok.

- Uwaga - zawołał, wstał i podszedł.

Nadaske rzucił tylko jednym okiem na Kerricka i znów odwrócił wzrok. Nic nie powiedział ani się nie poruszył. Imehai leżał nieruchomo na boku, miał zamknięte oczy.

- Co się stało? - zapytał Kerrick.

Nadaske odpowiedział z wysiłkiem, a jego słowa zaćmiewał przemożny smutek.

- Pójdzie na plażę. Ma jaja w sakwie.

- Nie rozumiem.

- Bo nie jesteś samcem Yilanè. U ustuzou odbywa się to inaczej. Opowiadałeś, że wasze samice noszą jaja, choć nie rozumiem, jak to jest możliwe. Widziałeś, co go dzisiaj spotkało. Zrobiły mu to. Teraz ma jaja w sakwie, a oczy zamyka mu sen, który nie jest snem. Będzie w tym stanie, dopóki jaja się nie wylęgną, a młode nie pójda do wody.

- Czy można coś dla niego zrobić?

- Nic. Gdy już to się zacznie, musi dojść do końca. Pozostanie tu aż do wylęgu.

- Czy... umrze?

- Może tak, może nie. Niektórzy giną, inni przeżywają. Możemy tylko czekać. Należy go zabrać i otaczać opieką, karmić i pilnować. Muszę to uczynić dla niego.

- Zaniesiemy go?

- Nie. Wodą. Musi przebywać w wodzie, cieplej wodzie plaży narodzin. Tylko tak jaja dojrzeją i pękną. Jeśli obumrą, to i on. Wszystko musi odbywać się jak należy. Pomóż mi zabrać go do jeziora.

Imehai był nieprzytomny, ciężki, trudny do poruszenia. Wspólnymi siłami zawlekli jego nieruchome ciało na brzeg i przepchali przez trzciny. W wodzie poszło już łatwiej.

Kerrick pomagał, aż doszli na tak głęboką wodę, że Nadaske mógł płynąć. Chwycił Imehai pod pachy i uderzając potężnymi nogami, posuwał się naprzód powoli, lecz stale. Kerrick wrócił na brzeg, podniósł hèsotsan i ruszył szybko dalej. Robiło się późno, a chciał wrócić do obozowiska przed zmrokiem.

Czekali na niego. Armun spojrzała w ślad za nim i kiwnęła zadowolona, gdy zobaczyła pustą ścieżkę.

- Dobrze. Zabiłeś murgu. Najwyższa pora.

- Nie, nadal żyją. Przynajmniej teraz. - Jak mógł im to wszystko wytłumaczyć, skoro sam nie wiedział na pewno? - Zjawiły się tu trzy łowczynie murgu z miasta. Zabiłem jedną, Nadaske pozostałe dwie. Imehai jest - ranny, nieprzytomny. Nadaske niesie go z powrotem.



- Nie! - krzyknęła Armun. - Nienawidzę ich, nienawidzę, nie chcę ich tutaj.

- Mamy ważniejsze rzeczy do omówienia i nie powinniśmy zajmować się teraz nimi. Nie jesteśmy tu już bezpieczni. Skoro łowczynie z miasta dotarły aż tutaj, to na pewno zjawią się następne. Kiedyś to nastąpi.

- Przyszły przez tych dwóch, musisz ich szybko zabić...

Kerrick zdenerwował się na nią, ale się opanował, bo wiedział, czemu Armun się złości. Dziecko się opóźniało, była chora, niespokojna. Musi ją zrozumieć, uspokoić.

- Wszystko będzie dobrze. Musimy poczekać, aż dziecko się urodzi i poczujesz się lepiej. Wtedy wszyscy stąd odejdziemy, ruszymy na pomoc, nie możemy tu zostać, łowczynie są zbyt blisko.

- A co z tymi murgu, o których tak się troszczysz?

- Zostaną tutaj. Pójdziemy bez nich. Na dziś wystarczy. Jestem głodny i chcę coś zjeść. Spójrzcie na to, mamy trzy nowe śmiercio-kije. Wszystko będzie dobrze.

„Dobrze dla nich” - pomyślał, żując zimne mięso. Ale co z samcami? Muszą tu zostać. Nie mogą odejść, dopóki Imehai pozostaje nieruchomy. Reszta sammadu musi jednak odejść jak najszybciej. Tylko to im pozostaje. Nie mają wyboru.

Dopiero przed wieczorem następnego dnia zjawił się Nadaske, holując Imehai. Był wyczerpany i poruszał się bardzo powoli, często odpoczywając. Kerrick wziął hèsotsan Nadaske i ruszył na pomoc, zatrzymując pragnącego mu towarzyszyć Arnwheeta. Chłopiec posłuchał, został ssąc palec, zmartwiony i zaniepokojony, bo wiedział, że jego przyjacielom stało się coś złego. Patrzył w milczeniu, jak wyciągali na brzeg nieprzytomnego Imehai, kładąc mu głowę na piasku, podczas gdy reszta ciała pozostawała w wodzie.

Kerrick myślał, że Imehai jest nieprzytomny, dopóki ten nie poruszył wargami i nie przemówił, leniwie kołysząc ramionami. Mówił jakby we śnie, bo nie otwierał oczu.

- Jeść... chcę jeść... głodny.

Nadaske poszedł nałapać ryb w małym stawku, który wykopali z ogromnym wysiłkiem. Rozrywał je na kawałki i wkładał do otwartych ust towarzysza. Ten powoli zamknął usta i zaczął ospale żuć.

- Jak długo to potrwa? - zapytał Kerrick.

- Długo. Nie umiem nazwać takiej ilości dni. Może wiedzą to inni, ale nie ja.

- A potem?

Nadaske wyraził ruchami nadzieję-strach, wiedzę-niewiedzę.

- Jaja się wylęgną, wyjdą elininył, pójdą do jeziora. Imehai przeżyje lub umrze. Dopiero wtedy będziemy wiedzieć.

- Zamierzam odejść z innymi na północ, gdy tylko Armun będzie mogła chodzić. Nie możemy tu zostać, to niebezpieczne.

Nadaske skierował na niego jedno oko i wyraził przekonanie.

- Przypuszczałem, że to zrobisz. Na pewno inne będą szukały zabitych. Mogą polować w tych stronach. Nie mogę pójść z tobą.

- Wiem. Wrócę do ciebie, do was obu, gdy tylko znajdziemy bezpieczne miejsce.

- Wierzę ci, Kerricku Yilanè-ustuzou. Przekonałem się, jak podchodzisz do tych spraw, i wiem, że musisz myśleć przede wszystkim o swym ustuzou-efenburu. Zabierz je w spokojną okolicę.

- Jeszcze o tym pomówimy. Wyruszymy dopiero za kilka dni. Gdy Kerrick ruszył z powrotem, zobaczył, że Ortnar przykuśtykał na brzeg i czekał na niego.

- Dziecko wkrótce się urodzi. Kazała mi cię zawiadomić. Nie znam się na tym i nie mogę pomóc.

- Strzeż nas przed niebezpieczeństwami, Ortarze, to zadanie dla silnego łowcy. Znam się na dzieciach równie mało, co i ty, ale muszę spróbować jej jakoś pomóc.

Odwrócił się i odszedł szybko. Tego dnia wiele się zdarzyło. Zbliżyli się zarówno do śmierci, jak i do życia.

Darras spojrzała na niego, lecz nie wypuściła ręki Armun. Ta uśmiechnęła się słabo, miała mokre włosy, z twarzy ściekał jej pot.

- Nie martw się tak, mój łowco. To spóźnione dziecko, ale mocne. Nie martw się.

Zrozumiał, że to on powinien ją pocieszać, a nie na odwrót. Nie znał się jednak na tym zupełnie. Zawsze należało to tylko do kobiet.

- Nie powinniśmy byli odłączać się od innych sammadów - powiedział. - Źle, że byłaś tu sama.

- Nie mnie jedną to spotkało. Moją matkę też, nasz sammad był maty, bez innych kobiet. Tak bywa, zawsze bywało. Musisz iść, zjeść coś i odpocząć. Gdy nadejdzie pora, przyślę po ciebie Darras.

Kerrick nie mógł nic powiedzieć ani zrobić. Poszedł do ogniska, przy którym Ortnar piekł mięso. Ten spojrzął na niego, oderwał kawałek i podał mu. Kerrick zaczął żuć w milczeniu. Naprzeciw siedzieli Harl i Arnwheet, z pomazanymi tłuszczem buziami, kończyli posiłek. Ortnar spojrzął w zapadający mrok i skinął na Harla, który wstał i zasypał ogień piaskiem. Muszę się strzec, zwłaszcza teraz.

Księżyc wzeszedł, noc była ciepła, bagienne ptaki nawoływały się cicho, zapadając w sen. Kerrick ledwo dostrzegał ciemny kształt Imehei leżącego do połowy w wodzie. Wiedział, że nie może w niczym pomóc samcom, w niczym.

Z tyłu, z namiotu dobiegło go jakieś mruczenie i odwrócił się, lecz w ciemnościach niczego nie dostrzegł. Odrzucił nie dokończony kawałek, nagle odechciało mu się jeść. Winił siebie za wszystko. Niemowlę może umrzeć, może je czekać jeszcze gorszy los, nie śmiał o tym myśleć. Armun może umrzeć, też przez niego. Gdyby wrócił z innymi do sammadów, wszyscy byłiby razem. Inne kobiety wiedzą, jak sobie radzić w takich sprawach. To wszystko jego wina.

Wstał, nie potrafił siedzieć spokojnie, rozdierany przez strach i niepokój, wyszedł spod drzew, by spojrzeć na zalane księżycowym światłem jezioro. Patrzył na nie, lecz nie widział, mając przed oczyma lęki. Nie powinni byli tu siedzieć. Szkoda, że nie są teraz z sammadami, bezpieczni w dolinie Sasku.

## ROZDZIAŁ IV

Trujące pnącza murgu zarastające dolinę Sasku zbrunatniały, zwiędły i opadły. Zostały zepchnięte do rzeki i tak zniknęły z oczu wraz z wspomnieniami o niedawnym ataku.

Herilak siedział przy ognisku, obracając w dłoniach błyszczący nóż. Nóż Kerricka z gwiazdowego metalu. Nosił go zawsze na szyi, zawieszony na mocnej metalowej obręczy, założonej przez murgu. Siedzący po drugiej stronie ogniska Sanone kiwnął głową z uśmiechem.

- W swojej głupocie myślałem, że oznacza to jego śmierć - powiedział.

- Oznacza to życie, jego i nasze.

- Najpierw nie mogłem ci uwierzyć, bałem się, że Kadair nas opuścił, że zeszliśmy ze ścieżki, którą nam wydeptał.

- Nie dbam o twego Kadaira, Sanone, bo ocalił nas Kerrick. Trzymam ten nóż, by nie zapomnieć, co uczynił...

- Nie podoba mi się, że tak mówisz o Kadairze. Herilak spojrział przez ogień na starego człowieka, mówił z nim szczerze, bo obaj byli samotni i zaczęli się rozumieć.

- Dbam równie mało o waszego Kadaira, co wy o prowadzącego Tanu Ermanpadara. To prawda. Przerwijmy rozmowę o kierujących naszym życiem niewidzialnych mocach i zastanówmy się, co musimy zrobić. Pomówmy o dwóch moich łowcach...

- Nie słyszałem ich imion, nie wymawiam ich głośno, bo wielce zawinili. Skradli i wypili porro poświęcone Kadairowi.

- Według was poświęcone, według nich bardzo smaczne. Inni łowcy zazdroszczą im i prosili mnie, bym zwrócił się do ciebie o więcej napitku.

- Nie możesz o to prosić!

- Mogę, chcę też pomówić o czymś jeszcze ważniejszym. Łowcy którzy wypili wasze porro, wynieśli się z doliny. Rozbili namioty dalej nad rzeką. Postanowiłem, że sammady do nich dołączą.

Sanone spojrział na płomienie, pogrzebał kijem w ognisku, nim się odezwał. Mówił znów spokojnie, bez gniewu.

- Czekałem, aż to powiesz, mój przyjacielu. Pomówmy o tym, a nie o porro, nigdy już o nim nie będziemy mówić. Nadeszła więc pora waszego odejścia?

- Nadeszła. Gdy razem walczyliśmy, panował między nami pokój. Najpierw w mieście nad oceanem, potem w tej dolinie. W czasie wojny przeciwko murgu zapominaliśmy o wszystkim innym. Teraz jest już po bitwie, murgu odeszły, a moich łowców męczy bezczynność. Picie porro jest tego oznaką. Dla was dolina jest domem. Dla nich pułapką, trzymającą z dala od równin i lasów, zabierającą swobodę poruszania się i obozowania, gdzie zechcą. Ja mam jeszcze jeden powód.

Sanone zobaczył, jak oczy Herilaka znów opadają na nóż i zrozumiał.

- Kerrick. Mówiłeś mi, że rosły między wami różnice. Czy nadal istnieją?

Herilak powoli pokręcił głową.

- Nie wiem. Muszę się o tym przekonać. Jestem pewny, że on żyje, bo inaczej murgu nie przerwałyby ataku i już by nas nie było. Ale czy żyje Armun i ich syn? Jeśli zginęli, to przeze mnie. Muszę mu to powiedzieć. Nie uważani go już za wroga, dziwię się, że w ogóle go za takiego miałem. Może jednak nadal myśleć o mnie jako o tym, który bardzo go skrzywdził. Trzeba z tym skończyć. Nie powinno było do tego dojść. Teraz zaczynam rozumieć, że to wszystko moja wina. Przepęłniała mnie nienawiść do murgu, kipiała i obejmowała wszystkich myślących inaczej.

- Czy nadal masz tę nienawiść?

- Nie. - Uniósł nóż. - To nas różniło. Uczynił to pomimo wszystkiego, co mu zrobiłem, pomimo

mego postępowania wobec jego sammadu. Powstrzymał murgu i przesłał to, byśmy wiedzieli, że to on przerwał atak.

Herilak opuścił nóż i spojrzął przez ogień.

- Powiedz mi, Sanone, czy zrobiliśmy wszystko, co obiecaliśmy? Gdy zdechły nasze śmiercio-kije i poszliśmy do miasta na brzegu, Kerrick powiedział nam, co trzeba zrobić i wszyscy sammadarzy się na to zgodzili. Dostaliśmy nowe śmiercio-kije dopiero wtedy, gdy zgodziliśmy się zostać w mieście i bronić go. Czy to uczyniliśmy?

- To już skończone. Broniliśmy miasta dobrze, aż zostaliśmy z niego wyparci. Goniące nas murgu atakowałeś z wszystkimi umiejętnościami łowców Tanu. Teraz jesteśmy bezpieczni, bo jak ty wierzę, iż to właśnie oznacza nóż. Jeśli chcesz odejść, a tego samego pragną łowcy sammadów, to musicie odejść.

- A śmiercio-kije?

- Są wasze. Co sądzą inni sammadarzy?

- Są zgodni, wszyscy. Czekają tylko na ciebie, byś nas zwolnił.

- A dokąd pójdziesz?

- Na pomoc! - Nozdrza Herilaka zadrgały, jakby poczuł puszcę i śnieg. - Ten ciepły kraj nie jest dla nas, nie możemy tu przebywać do końca naszych dni.

- Idź więc do innych. Powiedz to, co obaj wiemy. Że Kerrick uwolnił nas od murgu. Nie musicie już tu pozostawać.

Herilak skoczył na nogi, uniósł wysoko nóż i krzyknął z radości. Jego głos odbił się echem od ścian doliny. Sanone kiwnął ze zrozumieniem głową. Dolina była domem Sasku, ich ostoją, życiem. Ale dla łowców z północy stanowiła pułapkę.

Wiedział, że odejdą przed następnym zmierzchem. Wiedział też, że gdy inne sammady udadzą się w puszcze, by tam polować, Herilak się od nich odłączy. Wyruszy na wschód, nad ocean, potem skieruje się na południe, w stronę miasta murgu. Nie dysponuje swym życiem, złoży je w ręce Kerricka.

Dopiero przed samym świtem zmęczenie zamknęło oczy Kerricka. Długo siedział beczynn timer przy wygasłym ognisku i wpatrywał się w jezioro. Patrzył na spokojne wody, gwiazdy wędrujące powoli po niebie, wcielone w nich tharmy zmarłych wojowników. Przesuwały się wytrwale nad jego głową, by wreszcie zniknąć w wodach jeziora. Zasnął, gdy zaszedł również księżyc i jezioro pociemniało.

Obudził się nagle bladym świtem, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił się i ujrzał Darras.

- Co się stało? - Ledwo zadał to pytanie, zatykał go strach.

- Musisz zaraz przyjść. - Odwróciła się i odeszła, a on pobiegł za nią, minął ją i odrzucił skórzaną połę zamykającą wejście do namiotu.

- Armun!

- Wszystko dobrze - dobiegł z mroku jej głos. - Nic się nie stało. Chodź zobaczyć swą córkę.

Odsunął połę szerzej i w słabym świetle ujrzał uśmiech Armun.

- Tak się martwiłam, bałam się bardzo, że dziecko będzie miało takie usta jak ja, ale teraz strach minął.

Opadł przy niej, nagle osłabły z ulgi i odsunął futra zasłaniające twarzyczkę dziecka. Było pomarszczone i czerwone, z zamkniętymi oczkami, cicho łkało.

- Choruje - coś jej jest!

- Nie. Wszystkie dzieci tak wyglądają zaraz po urodzeniu. Za chwilę pójdziemy spać, ale najpierw nadaj jej imię. Brak imienia to wielkie niebezpieczeństwo dla dziecka.

- Jak ją więc nazwiemy?

- To ty musisz zdecydować - powiedziała stanowczo. - Jest twoją córką. Musisz nadać jej imię.

Dziewczęce imię, ważne dla ciebie.

- Armun, to imię wiele dla mnie znaczy.

- Niedobrze, nie może być dwóch Armun. Najlepiej nadać imię kogoś ważnego, lecz już nieżyjącego.

- Ysel - to imię pojawiło się samo, nie przywoływane. Od wielu lat o niej nie myślał. - Umarła, ja przeżyłem. Vaintè ją zabiła.

- To więc bardzo dobre imię. Skoro umarła po to, byś ty mógł żyć, to nie ma ważniejszego imienia.

Ysel i ja pójdziemy teraz spać.

Słońce grzało mocno, powietrze pachniało świeżością, zaczynał się nowy dzień, wszystko było jak należy. Kerrick poszedł radośnie nad jezioro, by się tam umyć i pomyśleć o planach na dziś. Czekają jeszcze wiele pracy przed odejściem. Ale odejdą, gdy tylko pozwoli na to stan Armun. Sama wybierze ten dzień. Muszą być na to przygotowani. Opryskał wodą twarz, obmył ją całą. Otarł oczy przedramieniem i zobaczył między drzewami pierwsze promienie słońca, zaczynały grzać piasek.

Spokojne ciało Imehei leżało w wodzie. Nadaske siedział przy nim w typowym dla Yilanè bezruchu.

Dzień stracił swój urok. Kerrick podchodził powoli, w milczeniu, nic też nie mówił, gdy stanął nad nieruchomym Imehei, oddychającym powoli przez na wpół otwarte usta. Narastały w nich i pękały banieczki śliny. Nadaske skierował na Kerricka jedno oko, potem je odwrócił.

- Pragnienie mówienia - oznajmił Kerrick i czekał, aż Nadaske znów na niego spojrzy.

- Odejdziemy za kilka dni. Zapolujemy, zostawimy wam mięso.

- Nie trzeba. Pozielenieje i zaśmierdnie. Będę łowił ryby, starczy ich dla nas obu. Dlaczego nie odchodzicie teraz?

Armun i dziecko, a tu nieprzytomny Imehei obarczony wbrew swojej woli jajami; podobieństwo tych sytuacji było niepożądane i Kerrick nie chciał go przywoływać.

- Czas jest nieodpowiedni, musimy się przygotować, zgromadzić pożywienie.

Nadaske umilkł i Kerrickowi nie pozostawało już nic do zrobienia, nic do powiedzenia. Wrócił powoli do obozowiska Tanu. Ortnar już nie spał, nadzorował Harla przymocowującego groty do strzał.

- Będziemy ich potrzebować - powiedział Ortnar. - Podczas łowów w drodze nie zawsze można odzyskać wystrzelone. Teraz, gdy dziecko już się narodziło, możemy wyruszać.

- Dopiero gdy Armun odzyska siły. Musimy jednak wszystko przygotować, by wyruszyć, gdy tylko ona będzie mogła. Powinniśmy się teraz zastanowić, dokąd pójść?

- Mocniej, zaciskaj rzemyk mocniej, bo stracimy grot. Pomóż sobie zębami. - Ortnar przesunął się w stronę pomocy, wskazał brodą. - Tylko tam możemy iść. Znam dobrze ten szlak. Wiem też, gdzie będziemy mogli siedzieć, póki starczy nam śmiercio-kijów. Nie możemy iść z nimi na pomoc, bo zginą w śniegach. Nie powinniśmy też pozostawać w pobliżu miasta murgu. Pokażę ci, co wymyśliłem. Grotem włóczni wyrysował na piasku linię, potem dźgnął w jej dolny koniec. - To brzeg oceanu, a tu jest miasto murgu. My jesteśmy tutaj.

Narysował na piasku kółko oznaczające jezioro. Potem przesunął włócznię wzdłuż linii i wskazał brzeg.

- Znam to miejsce. Kiedyś tam polowaliśmy. Leży na północ od jeziora w tej samej odległości co jezioro od miasta. Czy to dostatecznie daleko?

- Mam nadzieję. Blisko czy daleko, znajdą nas, jeśli tylko zechcą. Gdy to nastąpi, będziemy mogli

uciec w śniegi i zostawić ich z tyłu. Co tam jest?

- Rzeka ze słoną wodą, a dalej laguna pełna latających ptaków. Jeszcze dalej leży wyspa. Za nią jest następna cieśnina i leżąca wzdłuż oceanu wąska wyspa. Myślałem o niej. Możemy wybić wszystkie niebezpieczne murgu na dużej wyspie. Jest tam wiele zwierzyny i ryb. Duża wyspa nie leży na pełnym morzu. Choćby pływające stworzenia murgu wyruszyły wzdłuż brzegu, a nawet wylądowały, to nie odnajdą nas. To najlepsze, co mogłem wymyślić.

- Nie potrafiłbym zaplanować niczego lepszego. Pójdziemy tam - gdy tylko Armun będzie mogła. Przedtem musimy upolować zwierzynę i uwędzić mięso, przygotować ekkotaz. Im mniej czasu podczas drogi stracimy na łowy, tym szybciej znajdziemy się na miejscu.

Z namiotu rozległ się nagle głośny płacz dziecka. Arnwheet podbiegł do Kerricka i zmartwiony chwycił go za rękę. Łowca uśmiechnął się do syna i pogładził jego splątane włosy.

- Nie martw się. Wszystkie niemowlaki tak wrzeszczą. Masz teraz siostrę. Ona musi być bardzo silna, skoro tak krzyczy. Arnwheet popatrzył powątpiewająco, ale się uspokoił.

- Chciałbym pomówić z przyjaciółmi.

Mówiąc „przyjaciółmi” poruszył ramionami, wypowiadając to słowo w yilanè. Niewątpliwie bardziej go interesowali niż siostrzyczka.

- Dobrze, idź do nich. Nadaske się ucieszy. Nie pogadasz jednak z Imehi. Śpi w wodzie. Tak robią tylko Yilanè, trudno to wytłumaczyć.

- Zapytam Nadaske, może zdoła mi wyjaśnić. „Może zdoła” - pomyślał Kerrick, potem odwrócił się i otrząsnął ze zmartwień. Mają tu wiele do zrobienia.

*entankè ninenot efendasiaskaa  
gaaselu*

## DRUGA ZASADA UGUNENAPSY

Wszyscy zamieszkujemy Miasto Życia.

## ROZDZIAŁ V

Tego dnia po przebudzeniu Ambalasei nie czuła się wypoczęta, lecz równie zmęczona co poprzedniego wieczoru, gdy zamykała oczy. Nie ucieszyło jej to, wiedziała, że nie jest już młodą fargi wyszła świeżo z morza. Nie jest także młodą Yilanè pełną soków życia. Była stara i po raz pierwszy poczuła się staro. Ile trwa życie Yilanè? Nie wiedziała. Kiedyś próbowała to zbadać, lecz musiała uznać swe niepowodzenie. Nawet najważniejsze sprawy nie zostawały zapisywane, a żadna Yilanè nie odważała się określić bliżej swego wieku. Ambalasei przez dziesięć lat prowadziła notatki, poznając upływ każdego roku dzięki przemianom gwiazdozbiorów na nocnym niebie. Ale niektóre spośród obserwowanych przez nią Yilanè opuściły miasto, inne umarły, aż w końcu utraciła zapiski. Kiedy to było? Nie wiedziała - nie zapisała nawet tego.

- W naturze Yilanè nie leży notowanie upływu czasu - powiedziała, a następnie sięgnęła po wodowoc i napiła się do syta.

Była jednak stara. Pazury jej poźółkły, skóra przedramion zwisała w fałdach. Musi stawić temu czoła. Jutro jutra będzie takie samo jak wczoraj, lecz któregoś z tych juter ona już nie będzie podziwiać. Na świecie będzie o jedną Yilanè mniej. Nikogo to nie obejdzie, oprócz niej, a ona już nie będzie mogła się tym przejmować. Zacisnęła szczęki niezadowolona, że tak ponure myśli mroczą ranek słonecznego dnia, wyciągnęła rękę i napała silnie na wiszącego na ścianie gulawatsana. Stworzenie wydało przeraźliwy, radujący ją wrzask i zaraz potem do uszu Amabalasei dobiegły odgłosy spiesznych kroków Setèssei.

- Ambalasei wcześniej zaczyna pracę. Czy odwiedzimy dziś Sorogetso?

- Nie. Nie będę pracować. Poświęcę ten dzień na rozmyślania, wygrzewanie się w słońcu, przyjemności rozważań.

- Ambalasei jest najmądrzejszą z mądrych. Fargi trują swe ciała, jedynie Ambalasei potrafi pracować myślami. Czy mam pomalować twe ramiona w delikatne wzory na znak, że nie wyętasz swych kończyn?

- Doskonała myśl-właściwość pomysłu.

Wychodząc spiesznie po naczynia i pędzle Setèssei obejrzała się i z radością ujrzała Ambalasei sadowiącą się na słońcu.

Usiadła na ogonie i odpoczywała w ciepłe. To bardzo dobrze. Zaraz jednak drogę zagroziła jej chuda, znana aż za dobrze

Yilanè.

- Słyszałam wielki hałas z miejsca, gdzie Ambalsei pracuje-śpi. Chcę z nią pomówić - powiedziała Far<.

- Zabronione-niewłaściwe-zgubne - odparła Setèssei z dodatkiem kontrolerów zdecydowania i polecenia.

- To ważna sprawa.

- Jeszcze ważniejsze jest to, by dziś nikt nie przeszkadzał Ambalasei. Przekazuję jej rozkaz. Czy zamierzasz go nie posłuchać?

Far< chciała coś powiedzieć, lecz przypomniała sobie wybuchy gniewu Ambalasei i zmieniła zdanie wyrażając przeczenie.

- Świetnie - powiedziała Setèssei. - Zawiadam teraz wszystkie, które spotkasz, że nikt nie może zbliżyć się do wielkiej Ambalasei ani z nią mówić, dopóki na niebie wisi słońce.

Słońce było bardzo przyjemne; Ambalasei odpoczywała radując się jego ciepłem. Dopiero po pewnym czasie poczuła lekkie dotknięcia na ramionach i otworzywszy oczy, spojrzała z



zadowoleniem na kładzione na nie wzory.

- To bardzo ważny dzień, Setèssei. Zaprzestanie pracy fizycznej, przystąpienie do myślenia już dało znaczące wyniki. Muszę teraz przyjrzeć się wyhodowanemu przeze mnie miastu i zwrócić uwagę na jego bujność.

- Rozkazałam stanowczo, by nikt ci nie przeszkadzał w czasie spaceru.

- Jesteś doskonałą asystentką, Setèssei. Zgadujesz moje życzenia, nim je sobie uświadomię.

Setèssei opuściła głowę w pokorze, jej pierś płonęła barwami. To pamiętny dzień, bo nigdy dotąd Ambalasei tak do niej nie mówiła. Zadowalało ją przyjmowanie prac, zgoda na pomoc.

Po zaspokojeniu pragnienia Ambalasei z wymalowanymi ramionami zaczęła spacer po mieście Ambalasei, które stworzyła na tym wrogim brzegu. Gdy szła po nim, oceniając jego wzrost, nikt się do niej nie zbliżał ani nie odzywał.

Rdzeń miasta tworzył gruby pień środkowego drzewa. W zasięgu jego konarów i korzeni rosły, spletały się i rozprzestrzeniały na wszystkie strony setki innych form życia. Czerpana przez korzenie woda przed dotarciem do baldachimu z liści była gromadzona przez wodo-owoce, czerpana przez inne rośliny i symbiotyczne zwierzęta. Ambalasei kroczyła po żywej wyściółce podłogi, utrzymywanej w czystości przez żyjące pod nią żarłoczne owady. Widziała ogrodzone sady owocowe, w których żerowały małe stadka elinou. Wolny spacer doprowadził ją nad brzeg potężnego basenu, w którym spoczywało uruketo, przyglądające się jej tępo okiem otoczonym kościstym pierścieniem. Dotarła aż do ciernistego wału, kwitnącego teraz i rozrosłego, stanowiącego grubą zasłonę broniącą przed wszelkimi napastnikami.

Następnie odwróciła się od wody i wzdłuż żywego wału przeszła przesmykiem na drugi brzeg. Trwał właśnie połów, wyciągano na brzeg sieć z gigantycznym węgorzem. Powoli skręcał swe cielsko, lecz oszołomiony trucizną dostarczoną przez Ambalasei nie stanowił żadnego niebezpieczeństwa. Stamtąd uczona zawróciła ponownie do miasta, mijając zamknięte drzwi. Zatrzymała się na ich widok i dłuższą chwilę spoczywała nieruchomo na ogonie. Patrząc na nigdy nie otwierane drzwi, natychmiast zrozumiała ich znaczenie i powędrowała w myślach daleko. Słońce powoli przesunęło się po niebie, aż cień drzewa objął Ambalasei i poczuła chłód. Pobudziło to ją, przeszła ponownie na słońce. Po ogrzaniu się ruszyła dalej. Przeszła obok gaju, w którym między drzewami rosły dzikie owoce. Tam zatrzymała się, rozmyślając o ich znaczeniu, nowości. Rzeczywiście, po raz pierwszy ujrzała tu kwiaty hodowane tylko dla ich piękna, co zdarzało się w innych miastach Yilanè. Może bardzo poważne Córy uważały kwiaty za rodzaj malowideł ramion, za coś lekkomyślnego i nieważnego. Uczona wróciła powoli do ambesed. Zastała je pustym, choć jako serce miasta, winno tętnić życiem. W najcieplejszym miejscu nasłonecznionej ściany, gdzie zwykle zasiadała eistaa, widniała jedynie szorstka kora. Jeszcze wolniejszym krokiem przeszła ambesed i oparła się plecami o korę w tym właśnie wybranym miejscu. Stała zatopiona w myślach, aż zwrócił jej uwagę jakiś ruch. Skierowała oko na przechodzącą Yilanè.

- Uwaga na słowa! - krzyknęła chrapliwie. Zaskoczona Yilanè stanęła i spojrzała na uczoną.

- Nie wolno ci przeszkadzać...

- Przeszkadzasz mi, że mówisz-nie-słuchasz. Milcz i zważaj na polecenie. Natychmiast znajdź Enge. Powiedz jej, że konieczna jest jej obecność. Idź.

Córa Życia zaczęła mówić o zasadach Ugunenapsy na temat wydawania rozkazów, lecz rozmyśliła się na widok budzącej smutek postawy Ambalasei, zamknęła usta i szybko odeszła.

Ambalasei odprężyła się i zaczęła radować rozmyślaniami, brakiem pracy fizycznej. Wreszcie wyczuła jakiś ruch. Stała przed nią Enge, zginając ramiona w geście przyjmowania poleceń.

- Sprowadzisz je, Enge. Nadeszła pora decyzji. Chcę się spotkać z tą garstką Cór, która ma dość

rozumu, by myśleć o przyszłości miasta. Podam ci imiona tych, które pragnę widzieć.

- Trudność wykonania polecenia, wielka Ambalasei. Córy Życia są we wszystkim równe. Muszą wspólnie podjąć decyzję.

- Zrobisz, jak będziesz chciała. Ale najpierw porozmawiam, z kim chcę. Czy widzisz trudności w przygotowaniu tego?

- Tak, lecz stanie się tak, jak poleciłaś.

- Jakie trudności?

- Córy coraz oporniej wypełniają twe rozkazy, wydawane, jakbyś była eistaa. Mówią, że miasto już wyrosło...

- Oszczędź mi ich zdania. Wiem dobrze, co myślą, i dlatego właśnie chcę spotkać się z tymi, które sama wybiorę. Jesteś wśród nich ty, moja asystentka Setèssei i Elem, dowodząca uruketo i szanująca wiedzę. Oraz Far<, reprezentująca myśl Ugunenapsy w sposób najbardziej uproszczony i sporny. Czy są jeszcze jakieś rozumne, które chciałybyś zaprosić?

- Tak, jeśli się zgodzisz. To najbliższa mi Efen, a także Omal i Satsat, które jako jedyne oprócz mnie ocalały spośród Cór zesłanych do Alpèasaku.

- Niech tak będzie. Nakaż im przyjść natychmiast.

- Poproszę je o przybycie, nalegając na pośpiech - powiedziała Enge i wyszła.

Gniew Ambalasei szybko przeszedł w uznanie. To inteligentna Yilanè. Gdyby tylko zdołała wznieść się ponad myśli Ugunenapsy, mogłaby zostać wybitną uczoną lub eistaa wielkiego miasta. To ogromna strata.

Przybywały po kolei, dwie ostatnie wpadły, dysząc ciężko, bo musiały pokonać największą odległość. Ambalasei przyjrzała się im w milczeniu, a potem szybko zakręciła ogonem w geście oznaczającym żądanie uwagi.

- I milczenia, póki nie skończę, zwłaszcza z twojej strony, Far<, bo lubisz przerywać innym. Powiem wam o ważnych sprawach. Potem wy zabierzecie głos. Wreszcie, jak powiedziała mi Enge, wszystkie siostry zaczną mówić naraz i długo, lecz mnie już tu wtedy nie będzie. Słuchajcie teraz w milczeniu, zakazuję przerywania. Jak wszystkie wielkie myślicielki i mówczynie przejdę od ogółu do szczegółu, od obserwacji do wniosku.

Obserwacja. Rozejrzyjcie się. Czy wiecie, gdzie teraz jesteście? Oczywiście, wiecie, bo jesteście Yilanè, a wszystkie Yilanè mają ambesed, jest ono w każdym mieście. Ziarno miasta zawiera chromosomy kierujące wzrostem ambesed, jak też hanalè. Poszłam tam dzisiaj i spojrzałam na drzwi, które nigdy nie staną otworem, bo nie odgradzają nas od żadnych samców.

Przerwała na chwilę, by mogły się nad tym zastanowić i ujrzała, że Far< szykuje się do mówienia. Przygotowana na to Setèssei nastąpiła jej ciężko na nogę. Ambalasei pochwaliła ją milcząco; doskonała asystentka. Potem wyraziła niezadowolenie, widząc niezrozumienie w mchach ciał obecnych.

- Macie mózgi, lecz ich nie używacie. Podaję wam fakty, lecz nie wyciągacie z nich wniosków. Muszę więc myśleć za was, jak często dotąd i jak niewątpliwie będę musiała to czynić w przyszłości.

Nieuchronnie dochodzimy do wniosku, że miasto jest niepełne - jak i wy, Córy Nieprzydatności, jesteście niepełnym społeczeństwem. Ach, wierzcie się niezadowolone i nic nie rozumiecie. Dobrze chociaż, że słuchacie. Wyjaśnienie-definicja społeczeństwa. To określenie fachowe, którego nie znacie, jak i wielu innych rzeczy. Społeczeństwo jest ściśle ze sobą powiązaną grupą organizmów tego samego gatunku, wzajemnie od siebie zależnych i podporządkowanych podziałowi obowiązków. Podaję przykład.

Owady. Mrowisko jest społeczeństwem robotnic, żołnierzy, opiekunek larwy i eistai znoszącej jaja, grupą harmonijnie współpracującą. Zwróćcie też uwagę na sarny ustuzou, u których wielki rogaty samiec odgania drapieżników, chroniąc samice z młodymi. Pomyślcie o efenburu w oceanie, w którym wszystkie elininył współdziałają z sobą przy połowie ryb. Wystarczy tych przykładów, teraz przypomnijcie sobie miasto, do którego przybyłyście jako fargi, gdzie wzrastałyście i stawałyście się Yilanè. Miało kształt wspólny wszystkim miastom, także i temu, zawierało ambesed, z którego rządziła i wydawała rozkazy eistaa. Zawierało hanalè z samcami zapewniającymi przetrwanie miasta dzięki temu, że szły na plaże. Oto czym jest prawdziwe miasto - zdolnym do życia społeczeństwem. Nadal dostrzegam waszą niewiedzę. Zdolne do życia jest takie społeczeństwo, które rozwija się, rośnie i nigdy nie ginie.

Ambalasei rozejrzała się wokół i dostrzegła niezadowolenie milczących słuchaczek.

- A co mamy tutaj? Martwe społeczeństwo. Miasto żyjące tylko wtedy, gdy mu rozkazuję, a umrze, gdy je opuszczę. I system martwych wierzeń, bo słowa Ugenenapsy zginą wraz z waszą śmiercią. Może i słusznie nazywają was Córami Śmierci. Umrzecie, a słowa Ugunenapsy umrą wraz z wami. Zaczynam myśleć, że nie byłoby to takie złe.

Kiwnęła z uznaniem na widok ich otwartych ust, mimowolne ruchy ciał okazywały niechęć i sprzeciw.

- Teraz - powiedziała, napawając się trochę spodziewaną przyjemnością - teraz, gdy zwróciłam już waszą uwagę na najważniejsze sprawy, nadeszła pora byście przemówiły.

Nastąpiło machanie kończynami i krzyki proszące o uwagę. Ustały dopiero wtedy, gdy Enge wyraziła konieczność mówienia. Wskazała z uznaniem na Ambalasei.

- Zamiast gniewać się na mądrą Ambalasei, powinnyśmy wyrazić jej wdzięczność, bo widzi wszystko i wie wszystko. Czy zabijacie tę, która przynosi wam złe wiadomości? Czy tego uczyła nas Ugunenapsa? Podziękujmy Ambalasei za wskazanie prawdy naszego istnienia, rzeczywistości naszego życia. Problem można rozwiązać dopiero po jego dostrzeżeniu. Teraz możemy wyteżać cały swój rozum, by go rozwikłać. Musimy szukać sensu słów Ugunenapsy, bo na pewno jest w nich odpowiedź. Bo inaczej umrzemy, jak to powiedziała Ambalasei. - Uniosła wysoko kciuk. - Ten problem ma dwie strony. Obie są puste i musimy je wypełnić. Stoimy w jednej pustce, w ambesed. Nie będziemy miały eistai - ale musimy stworzyć w mieście jakiś ład, ład reprezentowany przez ambesed. Ten problem musi zostać rozwiązany w pierwszej kolejności. Dopiero potem będziemy mogły zająć się pustym hanalè. Porządkując myśli, uporządkujemy nasze życie. Porządkując życie, uporządkujemy miasto, wprowadzimy w nim ład. Wtedy dopiero zastanowimy się nad zapewnieniem jego ciągłości. Ambalasei ma rację. Co tu mamy? Miasto doskonale harmonijne - i doskonale martwe. Zestarzemy się i pomrzemy, jedna po

drugiej, zostawiając po sobie jedynie pustkę. Pomyślcie o tym.

Słuchające Yilanè wzdrygnęły się z bólu, jedynie Ambalasei przytaknęła ponuro. Córy Życia siedziały cicho jak śmierć. Oczywiście, z wyjątkiem Far<. Głos jej drżał z emocji, napięcie zakłócało ruchy. Nie powstrzymało to jej przed mówieniem.

- Słyszałam twe słowa, Enge, zbłądziłeś. Ambalasei może i jest uczoną, ale nie wyznaje nauk Ugunenapsy. To jej błąd i ułomność. Teraz zmyliła nas, mówiąc o eistai i rządach. Odrzuciłyśmy to, dlatego tu przybyłyśmy. Słuchałyśmy pokrętnych myśli Ambalasei i zapomnialiśmy o Ugunenapsie. O jej trzeciej zasadzie. Efeneleiaa, Duch Życia, jest wielką eistaa miasta życia, w którym wszystkie mieszkamy. Musimy o tym pamiętać i odrzucić okrutne miasto Ambalasei z jego ambesed i prymitywnym hanalè. Zmyliła nas, mówiąc o tych sprawach. Musimy odwrócić się do niej plecami, a twarzą do Ugunenapsy i pójść za jej wskazówkami. Musimy opuścić to ambesed i zamknąć jego

drzwi, jak i zapuścić pnąca na wejście do hanalè, bo pomieszczenia te nie będą nam już potrzebne. Jeśli to miasto jest dla nas nieodpowiednie, musimy je porzucić. Idźmy na plażę, do puszczy, żyjmy swobodnie jak Sorogetso. Nie potrzebujemy eistai, nie potrzebujemy więzionych samców. Pójdziemy na brzeg, na który wychodzą z fal młode efenburu. Porozmawiamy z fargi mokrymi jeszcze od morskich wód, poprowadzimy je do światła i życia, jakie prowadzimy pod przewodnictwem Ugunenapsy...

Umilkła wstrząśnięta, bo Ambalasei wydała najmniej grzeczny z wszystkich dźwięków, wypowiedziała tak brutalne słowa, jakich żadna z nich nigdy nie słyszała, poruszyła kończynami w najbardziej obraźliwy sposób.

- Twe myśli są jak odchody tysiąca gigantycznych nenitesków, jedna kupa gnoju, która wypełniłaby całe ambesed - grzmiała uczona. - Kazałam ci myśleć, a nie objawiać swą wielką jak świat głupotę. Opuścić miasto? Proszę bardzo - niech was zje pierwszy napotkany drapieжник. Przywitać na brzegu wyłaniające się z morza fargi? Zróbcie to - ale będziecie musiały długo czekać, ponieważ najbliższe plaże narodzin znajdują się po drugiej stronie oceanu.

Powoli spoglądała na twarze każdej z Cór, wyginając ciało w pogardliwy hak, z gniewu złościąc pazurami wielkie bruzdy.

- Opuszczam was teraz, bo nie chcę wysłuchiwać dalszych bzdur. Porozmawiajcie ze sobą po moim odejściu. To wasze miasto, wasze życie. Zdecydujecie, co z nimi zrobicie. Będziecie na to miały mnóstwo czasu, bo wypływam uruketo na wyprawę badawczą w górę wielkiej rzeki. Chcę także polepszyć me zdrowie, zniszczone przez wasze Córy Rozpaczy. Elem, poprowadzisz dla mnie uruketo czy będę musiała sama się tym zająć?

W zapadłym pełnym napięcia milczeniu wszystkie oczy obróciły się na dowodzącą uruketo. Wstała ona i jakiś czas tkwiła z opuszczoną w namyśle głową. Potem przemówiła.

- Idę za Ugunenapsą każdą drogą, którą mi wskaże. Idę również za nauką i podążam jej ścieżkami. Przywiodły nas tu Ugunenapsą i nauka, obie wcieliły się w Ambalasei, która dała nam to miasto i umożliwiła w nim życie. Enge i wszystkie inne tu obecne są na tyle mądre, by oceniać słowa Ugunenapsy. Uczynię, co postanowię, bo nie umiem tu decydować. Dlatego poprowadzę uruketo i będę chronić Ambalasei, gdy będziecie rozważały naszą przyszłość. Nie słuchajcie Far<, uważam, że się myli, a Ambalasei mówi prawdę. Znajdźcie taką drogę na jutro, którą będzie mogła kroczyć i Ambalasei, i Ugunenapsą. Oto, co miałam do powiedzenia, a teraz odchodzę.

Odwróciła się i opuściła ambesed. Setèssei pośpieszyła za nią, bo podróż wymagała wielu przygotowań. Ambalasei odeszła bardziej statecznym krokiem, odwracając się przed wejściem, bo zawsze musiała mieć ostatnie słowo.

- Córy Rozpaczy, trzymacie swą przeszłość między kciukami. Sądzę, że zginiecie, bo jesteście zbyt głupie, by żyć. Udowodnijcie, że się mylę. Jeżeli zdołacie.

Lanefenuu, eistaą Ikhalmenetsu, siedziała na swym honorowym miejscu w ambesed, pod wielką płaskorzeźbą ukazującą uruketo wśród fal. Nie była szczęśliwa. Ani trochę. To jej ambesed, jej miasto, jej wyspa. Wszystko, na co zwróciła oczy, było jej. Kiedyś czerpała z tego radość, teraz psuło to jej humor. Spojrzała zza ściany ambesed na drzewa rosnące na stokach dawno wygasłego wulkanu. Aż do zaśnieżonego szczytu, całego w bieli pomimo żaru lata. Nienawiść wygięła i wykrzywiła jej ciało, aż malujący jej ramiona Elilep musiał się szybko odsunąć. Drugi samiec drżał lekko na widok siły uczuć Lanefenuu, trzymając tacę z farbami.

Dostrzegła to i spojrzała nań jednym okiem, potem znów na wierzchołek góry. Pociągający samiec, wrażliwy. Może wziąć go teraz? Nie, nie dziś, nie tego ostatniego dnia.

Teraz drżał i Elilep, aż nie był w stanie kierować pędzelkiem.

- Dokończ malowanie - rozkazała Lanefenuu. - Chcę mieć na piersi górę i ocean, ukazane z najdrobniejszymi szczegółami.

- Wielka Eistao, słyszałem, że dzisiaj opuszczamy wyspę.

- Tak. Musimy stąd odpłynąć. Wsiądziemy na ostatnie uruketo.

- Nigdy nie płynąłem uruketo, boję się. Lanefenuu wskazała na swą pierś i dała znak porzucenia nierozsądnego lęku.

- To dlatego, że jesteś prostym samcem, wyłowionym z morza i wychowanym w hanalè, jak to powinno być. Nigdy nie opuściłeś tej wyspy i rozkazuję ci porzucić strach. Udamy się do miasta Alpèasak, większego od Ikhalmenetsu, obfitującego w nowe-smaczne zwierzęta, z odpowiedniej wielkości hanalè.

Słowa Lanefenuu nie uspokoiły Elilepa, jak większość samców wrażliwego na odczucia innych.

- Skoro to dalekie jest takie wspaniałe, to dlaczego Eistaa okazuje gniew i żal?

- Gniew na biel zimy wyganiającej mnie z mego miasta. Żal, że muszę je opuścić. Dość na tym. Już po wszystkim. Na brzegu odległego Gendasi\* oczekuje nas nowe miasto, gród złotych plaż. Dużo lepsze od tej skały na oceanie. Idziemy.

Wstała i ruszyła przez ambesed, a oba samce pędziły w tyle. Szła z uniesioną głową, pełna dumy i mocy. Może i dobrze, że opuszcza na zawsze to ambesed, w którym została upokorzona przez ustuzou, uległa jego żądaniom. Na to wspomnienie pstryknęła palcami, wiedziała jednak, że nie miała innego wyjścia. Zginęły dwa jej uruketo. Nie miała wyjścia. Najlepszym było zakończenie konfliktu. Dość już padło ofiar. Nie doszłoby do tego, gdyby odrzuciła rady Vaintè. Silne uczucie wykrzywiło jej ciało.

Stanowiły część przeszłości i zapomni o nich, tak jak o tym mieście i wyspie.

Uruketo czekało, wszystkie inne już odpłynęły. Kazała samcom wejść na pokład, sama ruszyła za nimi, nie zdołała jednak powstrzymać się przed odwróceniem. Zieleń na dole, biel u góry.

Rozwarła szeroko usta w silnych uczuciach - i zamknęła je z kłapnięciem. Dość. To już minęło. Jej miastem jest teraz ciepły Alpèasak. Zima może sobie opanować Ikhalmenets. Już jej to nie obchodzi.

Mimo to stała samotnie na czubku płetwy, aż wreszcie Ikhalmenets zapadł w morze i zniknął jej z oczu.

*Es alithan hello, man fauka  
naudinzan. Tigil hammar ensi tharp  
i theisi darrami thurla.*

## PRZYSŁOWIE TANU

Gdzie idzie sarna, tam i łowca.  
Strzała nie zdoła zabić zwierzęcia  
pasącego się w następnej dolinie.

## ROZDZIAŁ VI

Sanone nie pochwalał takich zgromadzeń. Sasku postępowali inaczej. Mandukto pracowali głowami, a nie rękoma, rozmyślali o Kadairze i skutkach jego czynów, a także o innych ważnych sprawach. Tylko oni zbierali się, rozważali i decydowali, gdy dochodziło do potrzeby rozważań i decyzji. Cóż za bałagan panuje, gdy każdy może wyrazić swe zdanie. Nawet kobiety!

Żadnej z tych myśli nie dało się wyczytać z jego pomarszczonej, ciemnej twarzy. Tchnęła spokojem i niczego nie zdradzała. Sanone siedział ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku, słuchał i patrzył, lecz nic nie mówił. Jeszcze nie teraz. Miał prawo tu być, choć był Sasku, a nie Tanu i rozumiał, dlaczego siedzi poza kręgiem łowców, wśród kobiet. Malagen poczuła jego wzrok i odsunęła się głębiej w ciemność. Patrząc na nią, Sanone nie zmienił miny, lecz nozdrza zadrgały mu z niepokoju, gdy obok przebiegły wrzeszczące dzieci, obsypując go piaskiem. Otrzeptał się i spojrzął na Herilaka, który wstał, by zabrać głos.

- Wiele zrobiliśmy. Wycięliśmy nowe tyczki do włóków, naprawiliśmy rzemienie uprzęży. Mięso już się uwędziło. Zrobiliśmy już chyba wszystko, co należało. Powiedzcie, jeśli o czymś zapomnieliśmy.

Wstała Merrith, demonstrując obraźliwe gesty próbującym ją powstrzymać łowcom. Wysoka i silna jak łowca żyła samodzielnie po śmierci Ulfadana.

- Mówisz o opuszczeniu doliny Sasku. Ja pomówię o zostaniu w niej.

Siedzące za nią kobiety milczały, łowcy głośno wyrażali niezadowolenie. Zaczekała, aż się uspokoi, by mówić dalej.

- Łowcy mają usta w niewłaściwym miejscu - ich słowa brzmią jak pierdnięcie. Jest tu dobre jedzenie, na wzgórzach można polować. Po co mamy odchodzić?

Kilka kobiet krzyknęło potwierdzająco, zaczęła się gorąca, bezładna dyskusja. Sanone słuchał tego z kamienną twarzą, nie zdradzając swych myśli. Herilak czekał na próżno, by się uspokoił, a potem krzyknął, żądając ciszy. Posłuchali go natychmiast, bo dowodził nimi w wojnie z murgu i dzięki niemu przeżyli.

- To nie miejsce do omawiania takich rzeczy. Tanu nie zabijają Tanu. Prawdą jest także to, że Tanu nie rządzą Tanu. Łowcy, którzy zechcą odejść, odejdą. Ci, którzy zechcą zostać, zostaną.

- Tylko łowcy? - zawołała bezczelnie Merrith. - Kobiety nie mają już nic do powiedzenia?

Herilak opanował zdenerwowanie, miał nadzieję, że przynajmniej jedna z nich nie pójdzie za jej słowami.

- Kobiety porozmawiają ze swymi łowcami, razem zdecydują, co zrobią. Zgromadziliśmy się tutaj, bo ci spośród nas, którzy chcą opuścić dolinę, muszą wszystko przygotować..,

- Jest tu ktoś, kto nie chce odchodzić - powiedziała Merrith, przepychając się przez tłum. Zatrzymała się i obejrzała. - Chyba że nie chcą tu naszej obecności. Co powiesz, Sanone, mandukto wszystkich Sasku?

Tanu zwrócili się teraz z ciekawością do Sanone. Ten uniósł otwarte dłonie na wysokości ramion i przemówił dobrym, choć niewłaściwie akcentowanym marbakiem.

- Sasku walczyli razem z Tanu w mieście na wybrzeżu, razem przybyli do doliny i razem jej bronili. Tanu mogą tu zostać, mają też swobodę odejścia. Jesteśmy jak bracia.

- I siostry - dodała szorstko Merrith. - Jedna z nich zostaje. - Odwróciła się i odeszła.

Jeśli nawet inne kobiety podzielały jej pragnienia, nie zdradzały się z tym. Były wolne, jak wszyscy Tanu, mogły żyć tak, jak chciały. Niezadowolone z sammadara odchodziły do innego sammadu. Trudniej jednak było przerwać więzy łączące je z łowcami, ojcami ich dzieci. A łowcy



tęsknili do borów; nie sposób ich było powstrzymać.

Dyskucja ciągnęła się jeszcze długo. Ognisko przygasło, dzieci poszły spać. Sanone czekał cierpliwie, aż wreszcie wstał.

- Przywiodły mnie tu dwie sprawy - czy mogę mówić?

- Nie musisz pytać - odparł zdecydowanie Herilak. - Łączą nas mocno więzy walki.

- W takim razie mam prośbę. O mastodonta, który się tu narodził, nosi imię Arnwheeta, przez którego przemawia do nas Kadair. Czy zostanie z nami po waszym odejściu?

- Nigdy nie planowano inaczej.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni. Teraz druga sprawa. Jest tu ktoś należący do Sasku, a nie Tanu, Malagen, kobieta dzielnego wojownika imieniem Simmacho...

- Nie żyje - zawołał gniewnie Newasfar. Sanone kiwnął z powagą głową.

- Który teraz nie żyje, zginął w walce z murgu. Żyje jednak jego kobieta, należąca do Sasku.

- Teraz jest moją kobietą i nie ma o czym gadać - Newasfar podszedł bliżej z zaciśniętymi pięściami. - Pójdzie ze mną.

- Myślałem, że wśród Tanu każdy decyduje za siebie. Jak możesz mówić w imieniu Malagen? - Sanone patrzył na wysokiego łowcę spod przymrużonych powiek, nie czyniąc żadnego ruchu. Newasfara przepęłniała złość. Herilak chwycił go za ramię, mówiąc łagodnie:

- Łowca szanuje starość. Siadaj z innymi. - Odczekawszy, aż

Newasfar niechętnie się odwróci, wskazał na kobietę Sasku. - Malagen, chcesz coś powiedzieć?

Rzuciła mu przerażone spojrzenie i ukryła twarz w dłoniach. Herilak nie chciał naciskać. Kobieta nic nie powie, bo tak jest u Tanu. Wiedział jednak, że chce odejść z Newasfarem. Wiedział także, iż przygląda mu się Sanone, oczekujący odpowiedzi na swe pytanie. Mogła brzmieć tylko w jeden sposób.

- Nie widzę tu żadnych trudności. Czyż nie jest tak, jak powiedział Sanone, że Sasku i Tanu walczyli razem w mieście na wybrzeżu, że przybyli razem do tej doliny i razem jej bronili? W swej szczodrości zapewnił nas, że Tanu mogą tu zostać, mają też swobodę odejścia. Jesteśmy jak bracia i, oczywiście, jak siostry. Tak samo mówimy my, Tanu. Malagen może iść z nami, jeśli takie będzie jej życzenie.

Jeśli nawet Sanone uważał się za pokonanego własnymi słowami, to nie okazał tego najmniejszym znakiem, uniósł tylko przyzwalająco dłoń, wstał i odszedł. Herilak patrzył w ślad za nim, mając nadzieję, że nie dojdzie do nowych nieporozumień czy kłopotów. Walczyli razem, muszą się rozstać w pokoju. Zwrócił się do sammadów.

- Wyruszamy rano. Czy zgadzacie się na drogę, którą pójdziemy? Na północy jest teraz zbyt zimno, nie musimy też wracać śnieżnym szlakiem przez góry. Według mnie powinniśmy iść na wschód, drogą, którą tu przybyliśmy, aż dojdziemy do wielkiego morza. Wtedy podejmiemy następne decyzje.

- Będziemy musieli pokonać wielką rzekę - poskarżył się Fraken. Był już stary i słaby, czuł też, że jego wiedza nie jest tak szanowana jak ongiś. Mało kto przejmował się tym, jaką przyszłość odczyta z swoich wypluwek.

- Już raz ją przebyliśmy, alladjexie. Zbijemy tratwy, a mastodonty przepłyną bez trudu zwięźnięte nurtu. Nie sprawi nam to kłopotu. Czy ktoś jeszcze chce coś powiedzieć? Więc to jest nasza droga. Odejdziemy rano.

Jak zawsze przed wyruszeniem na szlak mastodonty rykiem przyjmowały ograniczenie ich wolności, gdy jeszcze przed świtem zaprzęgano je do włóków i objuczono. Gdy wstało słońce, wszystko było już gotowe. Stojący z boku Herilak patrzył na pierwszych odchodzących. Droga była im dobrze znana, a sammadarzy nie spierali się o pierwszeństwo czy dowództwo. Z wielką ulgą

ujrzał, że wśród przyglądających się Sasku jest również Sanone. Podszedł do niego i wziął w ramiona.

- Spotkamy się jeszcze, przyjacielu. Sanone pokradł z powagą głową.

- Nie sędzę, przyjacielu. Nie jestem już młody i nie opuszczę więcej tej doliny. Wypełniłem rozkazy Kadaira, widziałem rzeczy, o jakich nawet mi się nie śniło. Teraz jestem zmęczony. A ty? Też chyba nigdy tu nie wrócisz.

Herilak potwierdził z równą powagą.

- Nie ma potrzeby. Będę cię szukał wśród gwiazd.

- Wszyscy podążamy ścieżką Kadaira. Jeśli Kerrick żyje i odnajdziesz go, powiedz mu, że Sasku Sanone dziękuje mu za nasze życie.

- Powiem - przyrzekł Herilak, odwrócił się i odszedł, nic już nie dodając ani nie oglądając się na dolinę czy Sasku, który stał mu się tak bliski.

Pobiegł wzdłuż rzeki, dogonił i wyprzedził wolno ciągnące sammady. Sammadarowi Kellimansowi został tylko jeden mastodont, a jego sammad bardzo stopniał. Herilak ujrzał jednak ze zdziwieniem, że teraz się rozrósł. Krocząc silnym krokiem łowcy, Merrith prowadziła swego mastodonta.

- Widzę wśród Tanu kogoś, kto wolał zostać w dolinie Sasku - powiedział Herilak.

Merrith szła dalej, żując z mocą kawałek wędzonego mięsa. Wyssała z niego wszystkie soki, a resztę wypluła.

- Czyżby moja obecność była niemiła dla sammadara Herilaka?

- Jesteś Tanu.

- Oczywiście. Dlatego też nie mogłam zostać w dolinie, pracować na polach i plotkować z kobietami. Tanu nie mogą żyć bez kniei, bez swobody pójścia tam, gdzie zechcą.

- Skąd więc te gadki o zostaniu? Nie rozumiem... - zawahał się i zobaczył, że przygląda mu się spod oka uśmiechając się. Otworzył szerzej oczy i wybuchnął śmiechem. Potem poklepał ją pochwalnie po ramieniu.

- Postępujesz jak łowca, lecz myślisz jak kobieta. Wiedziałaś, że Sanone nie chce, by ta kobieta Sasku, Malagen, opuściła dolinę. Dlatego rozprawiłaś się z jego argumentami, nim je wypowiedział. Nigdy nie pragnęłaś tam pozostać!

- Tyś to powiedział, dzielny Herilaku, nie ja. Słaba kobieta musi być sprytna, aby przeżyć w świecie silnych mężczyzn.

Mówiąc to, tak go walnęła w plecy, że poleciał naprzód. Nie przestał się jednak śmiać.

Herilak zastanawiał się, czy Sanone wiedział, że zostanie okpiony. Wczoraj wieczorem musiał coś podejrzewać, a na pewno przekonał się o tym rano, po odkryciu, że Merrith jednak nie została w dolinie. Jak dobrze znaleźć się znowu na szlaku. Dotknął zwisającego mu u szyi noża Kerricka z gwiazdowego metalu. Gdzie może teraz być, czy żyje? Jeśli tak, to odnajdzie go.

Szli na północ, wzdłuż koryta rzeki, kierując się do brodu dla mastodontów. Stał tam namiot Hanatha i Morgila, dwóch łowców wygnanych z doliny za kradzież świętego porro. Hanath wyszedł im naprzeciw, machając rękoma, lecz Morgil leżał nieruchomo na ziemi. Herilak zaniepokoił się. Miał wypadek - a może to sprawka murgu? Trzymając śmiercio-kij i włócznię, pobiegł do brzegu.

Hanath machnął mu jeszcze raz i usiadł ciężko obok towarzysza.

- Co się stało? - zapytał Herilak, szukając ran czy krwi, lecz ich nie znajdując.

- Porro - wyjaśnił ochryple Hanath, wskazując na gliniany dzban stojący u wejścia do namiotu. - Niedobre.

- Powinniście byli o tym pomyśleć przed kradzieżą.

- Skradzione porro było bardzo dobre - cmoknął. - Coś jest nie tak z tym, które zrobiliśmy. Smakuje jak trzeba, lecz następnego dnia łowca bardzo choruje.

- Zrobiliście je? Jak? - Herilak zajrzał do dzbana i wykrzywił się od zapachu.

- To dość proste. Przez wiele wieczorów przyglądaliśmy się, jak je robią. Nie są dobrymi łowcami, bez trudu można ich podejść. Porro łatwo sporządzić, wystarczy zebrać to, co im rośnie, tagaso. Potem kładzie się to do wody, wystawia na słońce i dodaje mchu. To wszystko.

Morgil poruszył się, otworzył przekrwawione oko i jęknął.

- To na pewno przez mech. Chyba za dużo go dodaliśmy. Herilak miał już dość ich głupoty.

- Sarmady odchodzą.

- Pójdziemy z wami. Może jutro. Wszystko będzie dobrze.

- Jeśli tylko nie wypijecie tego - powiedział Herilak i kopnął dzban, porro wylało się i wsiąkło w ziemię. Okropnie śmierdziało.

- To mogło być tylko przez mech - powiedział słabo Morgil.

Kerrick spojrzał z troską na niemowlę.

- Czy jest chora? Otworzyła wreszcie oczy, lecz stale nimi przewraca, chyba nas nie widzi.

Armun roześmiała się głośno, był to jasny, szczęśliwy śmiech.

- Już zapomniałeś, że Arnwheet miał dokładnie takie same oczy? Tak jest u wszystkich dzieci. Ysel bądzie miała dobry wzrok. Trzeba tylko poczekać.

- A ty możesz już iść?

- Już od kilku dni ci powtarzam, że odzyskałam siły. Chcę opuścić to jezioro. - Nie patrzyła na drugie obozowisko, ale i tak wiedział, co myśli. Wiedział, że nie może już dłużej odkładać odejścia. Wszystko, co mieli zabrać, czekało powiązane i przymocowane do dwóch włóków. Stanowiło to niewielką część ładunku mastodonta, lecz nie mieli go. Wzięli tylko tyle, ile zdoła pociągnąć wraz z Harlem. Armun i Darras zajmą się niemowlęciem, Arnheet poniesie włócznię i łuk. Dla Ortnara dostatecznym obciążeniem będzie on sam. Nadeszła pora odejścia.

Muchy kłębiły się nad ćwierciami świeżo upolowanej sarny, której nie byli w stanie zabrać. Przyda się samcom. Odegnał muchy, chwycił mięso i zarzucił na ramiona.

- Nie zostawię tego, by zgniło. Wyruszymy, gdy tylko wrócę. Gdy szedł przez polanę, Arnwheet zawołał go i dogonił.

- Nie chcę zostawiać naszych przyjaciół - powiedział w yilanè, by nie słyszała go matka. Nikt mu o tym nie mówił, ale nie było takiej potrzeby. Armun nie kryła się z nienawiścią do samców Yilanè.

- Ja też nie. Ale w życiu często musimy robić coś wbrew naszym chęciom.

- Czemu?

- Bo czasem coś po prostu trzeba zrobić. Musimy stąd odejść, nim zjawią się następne łowczynie i nas znajdą. Musimy odejść jak najszybciej. Imehai nie może teraz chodzić, a Nadaske nie zostawi go samego.

- Czy Imehai jest chory? Nadaske mi nie powie.

- To rodzaj choroby. Mam nadzieję, że potem będzie mógł chodzić.

- Przyjdą i nas znajdą. Będziemy mogli rozmawiać.

- Będziemy mogli - powiedział Kerrick, skrywając wszelkie wątpliwości.

Nadaske siedział nad wodą przy swym nieprzytomnym przyjacielu. Widział, jak nadchodzą, lecz nie uczynił żadnego ruchu. Ożywił się trochę, gdy Arnwheet zaczął opowiadać szczegółowo o przygotowaniach do drogi, chwalić się, jak to będzie strzelał z nowego łuku, jak ostry jest grot włóczni. Kerrick przyglądał się temu z przyjemnością, bo chłopiec rzeczywiście mówił jak Yilanè.

Czy jednak zachowa tę umiejętność po opuszczeniu jeziora, gdy nie będzie mógł rozmawiać ze swymi przyjaciółmi?

- Mokry-prosto-z-morza jest potężnym łowcą - powiedział Nadaske. - Po jego odejściu zmarnuje się tyle mięsa, które by zabił-przyniósł.

Arnweet wyprostował się dumnie, nie wychwytyjąc nieznaczących akcentów ukazujących wielkości mięsa i ilości przynieszonej zdobyczy. Tak naprawdę, jak na razie, jedynym jego łupem była mała jaszczurka. Kerrick docenił wysiłek, na jaki zdobył się Nadaske, bo w jego słowach kryła się troska i rozpacz.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Kerrick. - Z wami, z nami.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył Nadaske, lecz z najbardziej ponurymi kontrolerami. Imehi unosił się na jeziorze pogrążony w nieprzerwanym śnie. Jego ręka poruszyła się powoli pod wodą w nieświadomej parodii pożegnania.

- Dołączycie do nas, gdy tylko znajdziemy bezpieczne miejsce - powiedział Kerrick, lecz Nadaske odwrócił się wcześniej i nic nie usłyszał. Kerrick ujął Arnweeta za rączkę i wrócili razem.

- Robi się późno - powiedział zrzędlawie Ortnar, powłócząc chorą nogą - a droga czeka nas długa.

Kerrick schylił się i chwycił za drągi. Weszli w milczeniu do lasu. Odwrócił się jedynie Arnweet, lecz byli już wśród drzew i nie zdołał dostrzec na brzegu obu swych przyjaciół.

*apsohesepaa anulonok elinepsuts*  
*kakhaato<*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

W pajęczynie życia więcej jest  
nitek niż kropli wody w morzu.

## ROZDZIAŁ VII

Ambalasei siedziała na wyrzuconym na brzegu pniu, rozkoszując się słońcem zalewającym ją falami żaru.

Nie przywykła do odpoczynku, radowania-się-ciepłym-otoczeniem, podziwianiem tej wspaniałej rzeki. Była tak szeroka, że ledwo można było dostrzec drugi brzeg. Toczyła w swym brunatnym nurcie głębę całego kontynentu. Powoli spływały trawiaste wysepki. Tu nieba nie zasłaniała ani jedna chmurka, lecz w górze rzeki musiało padać i silnie dąć, bo uczoną mijały majestatycznie wielkie drzewa. Jedno zabłądziło na płyciznę i uderzyło mocno w brzeg. Zeskoczyły z niego małe skrzeczące ustuzou, podeszły blisko Ambalasei, lecz uciekły spłoszone jej ruchem. Szczęknał hèsotsan i jedno upadło. Miało brązową sierść i chwytny ogon. Uczona przewróciła je pazurami i dostrzegła, jak na brzuchu zwierzątka pojawiła się maleńka główka. Torbacz z młodymi. Znakomicie. Setèssei zakonserwuje ten okaz dla dalszych badań. Ambalasei znów rozsiadła się na drzewie i westchnęła z zadowoleniem.

Miała do zbadania nowy, zielony ląd. Rozmyślania sprawiły jej o wielekroć większą przyjemność, gdy tylko oddaliła się od rozdyktowanych Cór. Harmonii prac nie zakłócała ich irytująca wieczna obecność. Myślała o nich tylko po to, by tym bardziej cieszyć się z ich braku. Co innego dowodząca uruketo, Elem, to prawdziwa Yilanè nauki. Wiedziała bez napominania, kiedy umilknąć. Przez wszystkie długie dni podróży nienawistne imię Ugunenapsy ani razu nie wymknęło się spomiędzy jej zębów ani nie pojawiło wśród barw dłoni.

Myśli Ambalasei przerwały dochodzące z puszczy trzaski. Odwróciła lekko głowę, by móc patrzeć jednocześnie na rzekę i dżunglę. Opuściła przygotowany hèsotsan na widok jednej z członkiń załogi. Trzymała duży struno-nóż, którym wycinała drogę przez krzaki i liany. Kosztowało to ją wiele trudu i teraz ciężko dyszała. Zachwiała się i omal nie upadła.

- Przerwanie pracy! - rozkazała głośno Ambalasei. - Właż do wody, nim zginiesz z przegrzania.

Yilanè upuściła struno-nóż, podeszła chwiejnie do brzegu i rzuciła się do wody. Po wynurzeniu wysunęła w stronę uczonej jedną dłoń i wyraziła podziękowanie za pomoc.

- Należy mi się. Muszę nie tylko rozkazywać i pouczać nieuków, ale i za nich myśleć. Zostań tam, aż będziesz mogła zamknąć usta.

Spojrzała na rzekę, ale uruketo ciągle nie przybywało. Nie szkodzi, południe minęło niedawno, a Ambalasei dała im cały dzień na wypuszczenie enteesenatów, by mogły nałapać jedzenia dla uruketo. Dostrzegła ruch z przeciwnej strony i ujrzała wynurzającą się z dżungli Setèssei, prowadzącą dwie mocno objuczone członkinie załogi. Zrzuciły ładunki i dołączyły do swej towarzyszki w wodzie. Setèssei dyszała, lecz nie wyglądała na tak przegrzaną jak tamte.

- Odkrycie całkowicie zgodne z przewidywaniami Ambalasei - powiedziała.

- Świetnie. Na podstawie zarysów lądu i układu dorzecza wywnioskowałam, że musi tam być jezioro.

- Ciepłe, pełne ryb, otoczone nasłonecznionymi plażami.

- Nie zamieszkane?

- Pełno tam różnych istot. Brak tylko Sorogetso.

- To też przewidziałam, podobnie jak w innych miejscach. Ze wszystkich zbadanych przez nas jezior to leży najbliżej miasta. Muszę, choć niechętnie, wyciągnąć z tego wniosek, że jest tylko ta jedna, odkryta przeze mnie grupka Sorogetso. Na pewno nie ma ich więcej nad tą rzeką. Czy wiesz, co to oznacza?

- Niepojmowanie-prośba o wyjaśnienie.

- Oznacza to, oddana Setèssei, że nasze Sorogetso nie pochodzą z tego wybrzeża. Jak przypuszczałam, zostały tu przywiezione i zostawione. Jedyna kolonia, owoc ponurych eksperymentów nieznannej uczonej. Czy znalazłaś coś jeszcze godnego uwagi?

- Ciekawy okaz, beziopóre-bezwłose latające stworzenie, i jeszcze jeden, być może przydatny.

Członkinie załogi wyszły już z rzeki i Setèssei rozkazała im przynieść porzucone pakunki. Otworzyła jeden i wyjęła ciało małej jaszczurki z dziobem, nie dłuższej niż jej ręka. Ambalasei obejrzała ją z zaciekawieniem, rozciągnęła długi ogon.

- Zwinna, na pewno chodzi na czterech łapach, choć w czasie ucieczki biega tylko na tylnych. Mając ostry dziób, może jeść wszystko, nawet gałązki i twarde liście.

- Smakuje dobrze. Siedziały w gniazdach w poszyciu. Przyznanie niechęci do monotonnej diety. Miałam już dość konserwowanego mięsa. Zabiłam dwie, zjadłam jedną...

- Wyłącznie dla dobra nauki.

- Wyłącznie. Doszłam do wniosku, że skoro ma dobre mięso, to warto nazbierać jaj.

- I oczywiście nazbierałaś. Stajesz się prawdziwą uczoną, Setèssei. Nowe źródło żywności to zawsze cenne odkrycie. Mnie też węgorsze zaczynają już nudzić.

Badając okaz, Ambalasei nieświadomie uniosła wargi, ukazując zęby, i otworzyła usta. Zamknęła je zaraz, musiała zachować ciało nienaruszone do sekcji.

- Ze względu na dziób nazwę ją naeb. Pokaż mi teraz, co jeszcze przyniosłaś.

Ambalasei ciągle zadziwiała bogactwo nowych gatunków tego kontynentu. Nie było to niespodzianką, lecz mimo to dawało jej ogromną przyjemność. Chrzaszcz większy od jej dłoni, małe ustuzou, motyle, zdumiewająca mieszanina.

- Bardzo ciekawe. Wsadź je do pojemników konserwujących, już za długo są na powietrzu. Po powrocie czeka nas mnóstwo odkryć. Niestety, nastąpi to już szybko.

Setèssei dojrzała w tych słowach akcenty przygnębienia z powodu Cór i szybko poszła po wodowoc chłodzący się w rzece. Ambalasei napiła się chętnie, lecz nie porzuciła ponurych przewidywań.

- Kończą się badania i radości; zbliża denerwująca chwila. Unikałam myśli o tym, co zastaniemy po powrocie. Teraz sobie na to pozwalam, bo wracamy, gdy tylko przyplynie uruketo.

- Dobro nauki, badania nie dokończone - rzuciła Setèssei kusząco. Ambalasei odrzuciła z żalem ten pomysł.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż kontynuacja naukowych poszukiwań. Boję się jednak o wyhodowane przeze mnie miasto, pozostawiłam je w całkowicie nieodpowiedzialnych rękach. Ukazałam im rzeczywistość i odpłynęłam, by podczas mej nieobecności mogły same rozwiązać swe problemy. Jak sądzisz, czy to zrobiły? Racja, to mało prawdopodobne. Moje oczy ślepną na starość, czy też uruketo powraca?

- Wzrok wielkiej Ambalasei jest równie dobry jak młodej fargi. Powraca.

- Znakomicie. Przygotuj nasze okazy, by można je było załadować jeszcze przed zmrokiem. Liczyłam dni i obserwowałam drogę. Teraz popłyniemy w dół rzeki. Jeśli wyruszymy o świcie, znajdziemy się w Ambalasocei jeszcze przed nocą.

- Jesteśmy tak blisko?

- Nie, to rzeka płynie tak szybko.

Wykorzystując swe stanowisko, Ambalasei odpoczywała, gdy pozostałe Yilanè pracowały nad preparowaniem okazów. Enteesenaty gnały do brzegu, wyskakując wysoko nad wodę. Były pięknymi, mądrymi stworzeniami, radość brała na ich widok. Z tyłu sunęło uruketo, coraz wolniej, aż zatrzymało się zpyskiem na brzegu. Elem zeszła z wysokiej płetwy, by pomóc Ambalasei we

wsiadaniu. Dziób zwierzęcia był oślizły i z trudem się po nim wspięła. Odpoczęła chwilę na szerokim grzbiecie, nim ruszyła na wierzchołek płetwy.

- Zwierzę nakarmione?

- Aż za bardzo. Enteesenaty natrafiły na wiele węgorzy, mniejszych od łapanych przez nas, lecz dostatecznie dużych. Chyba smakowały uruketo.

- Czy rozumiesz już sygnały dawane przez to bezmózgie stworzenie?

- Uczymy się dzięki długiej obserwacji i obcowaniu. Daje to nam wiele radości, czasem ją czuję...

Elem przerwała zmieszana, okazała przeprosimy, jej piersi stały się najpierw pomarańczowe, a potem czerwone. Ambalasei wyraziła wybaczenie-zrozumienie.

- Przepelniają cię radości dowodzenia-pojmowania. To mnie nie uraża. Zauważyłam, że po wielu dniach spędzonych przez nas poza miastem po raz pierwszy ci się to wymknęło, po raz pierwszy o mało co nie powiedziałaś w mojej obecności nie wypowiedzanego słowa. Wymień teraz głośno to imię. Ugunenapsa!

- Dziękuję, cieszę się, że je słyszę...

- Ja nie. Wymówiłam je tylko po to, by przyzwyczaić uszy do jego nieprzyjemnego brzmienia. Ugunenapsa. Jakże drażni zakończenia nerwów. Odplywamy rano, w ciągu jednego dnia osiągniemy miasto. Dlatego pozwoliłam na to imię. Niewielka to przykrość w porównaniu z tym, co usłyszysz jutro.

- Może wszystko się uda - westchnęła Elem z radością. Ambalasei odpowiedziała jej niegrzecznie:

- Naprawdę tak myślisz, znając dobrze inne Córy?

Elem miała dość rozumu, by na to nie odpowiadać. Poprosiła w zamian o zezwolenie na wniesienie ładunku. Pobudzona gniewem Ambalasei znalazła w sobie dość sił, by wspiąć się na płetwę i zejść do chłodnego wnętrza uruketo. Zasnęła natychmiast, wiedząc, iż następnego dnia musi być całkowicie wypoczęta. Obudziły ją natarczywe nawoływania Setèssei.

- Widać już miasto, wielka Ambalasei. Pomyślałam, że może zechcesz się przygotować na przybycie. Może namalować ci na ramionach wzory siły i zwycięstwa?

- Szkoda farby na te stworzenia. Przynieś mięsa, bym miała siły wysłuchiwać ich głupot.

Musiano spostrzec uruketo, bo w basenie czekała na nich Enge. Ambalasei wyraziła jej swe uznanie.

- Wie, że dobrze znoszę jej obecność, oszczędziła mi też na razie widoku swych kłótliwych towarzyszek. Setèssei, zabierz okazy do laboratorium. Dołączę do ciebie, gdy tylko usłyszę, co się tu działo podczas mej nieobecności. Mam nadzieję, że wszystko co najlepsze, lecz spodziewam się najgorszego.

Ambalasei zeszła na nabrzeże, dysząc ciężko i stękając. Enge powitała ją serdecznie, wyrażając przy tym radość.

- Jesteś taka szczęśliwa, bo wróciłam bezpiecznie, czy też masz dobre wieści?

- Z obu powodów, wielka Ambalasei. Długie ślęczenie nad Ośmioma Zasadami Ugunenapsy doprowadziło mnie nieomylnie do siódmej spośród nich. Mówiąc ci, że odpowiedź na nasze problemy kryje się w słowach Ugunenapsy, wierzyłam w to szczerze. Są jednak nadal pewne wątpliwości...

- Zlituj się, Enge. Wystarczą same wyniki, nie musisz przedstawiać szczegółów rozumowania. Naprawdę zawiadamiasz mnie, że podczas mej nieobecności wykorzystaliście zasady filozofii do rozwiązania swych problemów? Jeśli tak, to natychmiast stanę w rzędzie Cór?

- Chętnie cię tam powitamy. Rozwiązanie jest już możliwe, choć mamy pewien kłopot...



Ambalasei westchnęła ciężko.

- To żadna niespodzianka. O co chodzi?
- O Far< oraz jej słuchaczki i naśladowczynie.
- Tego też można się było spodziewać. Co robi to wstrętne stworzenie?
- Zebrała swe towarzyszkę i poszły razem do Sorogetso.
- Co takiego?

Każdy zdolny do tego fragment ciała Ambalasei zapłonął szkarłatem, pulsował barwą jak rozszalałe serce. Przestraszona Enge cofnęła się o krok, dając słabe znaki zagrożenia-dla-zdrowia.

Ambalasei głośno kłapnęła szczękami.

- Wydałam polecenia, rozkazałam stanowczo. Sorogetso mają opuścić miasto i nigdy do niego nie powrócić. Nikomu nie wolno się z nimi kontaktować. Za nieposłuszeństwo groziłam opuszczeniem miasta i jego zniszczeniem. I co teraz słyszę!

Enge ugięła się pod nawałą uczuć, próbowała coś powiedzieć, aż wreszcie uzyskała zezwolenie Ambalasei, która tak bardzo się wściekała, że nie była w stanie mówić.

- Rozumiałyśmy ten rozkaz, uznałyśmy go i przestrzegaliśmy. Far< odmówiła jednak wypełnienia twych poleceń, stwierdziła, iż odrzucając władzę eistai, musi odrzucić i twoją. Skoro ceną posłuszeństwa jest miasto, to należy je opuścić. Zabrała z sobą swe uczennice. Poszły do Sorogetso. Zamierzała tam żyć, tak jak one, nawrócić je na wiarę w Ugunenapsę i wznieść w dżungli prawdziwe miasto Ugunenapsy.

- I tak się stało? - Ambalasei zdołała się trochę opanować. Okazała też, że zna zawczasu odpowiedź na swe pytanie.

- Nie. Far< jest ranna, lecz mimo to nie wraca. Niektóre z nią zostały, pozostałe wróciły.

- Zapędź natychmiast te nieposłuszne istoty do pracy przy zabijaniu-czyszczeniu-przyrządzaniu węgorzy. Będą się tym zajmowały, póki nie wyznaczę im innych zadań. Co chyba nigdy nie nastąpi. Idę do Sorogetso.

- To teraz niebezpieczne.

- Nie boję się niczego!

- Chcę ci jednak powiedzieć o naszych sukcesach.

- Dopiero po załatwieniu tej sprawy. Każ Setèssei, by do mnie przyszła z naczyniem leczniczym. Natychmiast.

Jedna z młodych łodzi urosła już na tyle, by unieść dwie pasażerki. Ułatwiłoby to podróż, gdyby nie fakt jej słabego wyszkolenia. Młóciła mackami i wystrzeliwała wodę, spoglądając na Setèssei, która bezlitośnie ścisnęła zakończenie nerwów. Pływały zygzakami wzdłuż przesmyku, poza wały ochronne. Gniew Ambalasei powoli opadał, cieszyła się, że ma czas na ochłonięcie. Potrzebuje teraz chłodnego rozumowania, a nie zapalczywości. Mimo to tak mocno ścisnęła hèsotsan, że ten zaczął drżeć. Miał ją ochronić przed zwierzętami, lecz chętnie użyłaby go przeciwko

Far<. Nie posłuchała ścisłych rozkazów, przeszkodziła w obserwacjach naukowych. Tym razem posunęła się stanowczo zbyt daleko. Enge powiedziała, że jest ranna. Ambalasei miała nadzieję, że śmiertelnie. Może by tak przyspieszyć jej koniec, wstrzykując do krwi truciznę, a nie środek uśmierzający ból?

W puszczy panowała głęboka cisza. Setèssei przymocowała niespokojną łódź do brzegu i ruszyła ścieżką z nastawioną bronią. Na małej ocienionej plaży nad jeziorem, jeszcze przed pniem umożliwiającym dostęp do Sorogetso, natrafiły na małą grupkę Yilanè. Trzy pochylały się nad czymś i odskoczyły ze strachem, gdy Ambalasei zawołała głośno, żądając uwagi. Patrzyły na nią, drżąc z lęku.

- Za nieposłuszeństwo i przyjdzie tutaj zasługujecie na śmierć, zniszczenie, poćwiartowanie. Jesteście niegodziwe i głupie. Powiedzcie mi zaraz, gdzie jest najnikczemniejsza i najgłupsza spośród was, ta, którą zwą Far<, choć powinna nosić imię Ninperedapsa, wielka nieposhiszniszcząca.

Drżąc ciągle, rozstąpiły się, ukazując leżące na ziemi ciało Far<. Na jej ramieniu tkwił przesiąknięty nefmakel. Widząc jej zamknięte oczy, Ambalasei poczuła wielką radość na myśl, że może już zmarła.

Było inaczej. Far< poruszyła się, zadrgały jej powieki, spojrzała na Ambalasei wielkimi oczyma. Ta nachyliła się nad ranną i powiedziała najbardziej jadowitym tonem, jaki знаła:

- Miałam nadzieję, że już nie żyjesz.  
- Mówisz jak eistaa. Odrzucam cię w imieniu Ugunenapsy, jak odrzucam wszystkie inne władczynie.

- To dlatego nie posłuchałaś mych rozkazów?  
- Rozkazuje mi jedynie duch Ugunenapsy. Ambalasei wolno i boleśnie oderwała nefmakel, sycąc słuch jękiem Far<.

- A po co Ugunenapsa wysłała cię do Sorogetso?  
- Bym głosiła prawdę tym prostym stworzeniom. Bym poprowadziła je do Ugunenapsy i zapewniła mi przyszłość. Gdy ich młode fargi wyjdą z wody, również dowiedzą się o Ugunenapsie. Tak będzie.  
- Będzie? Stworzenie, które cię ugryzło, miało brudne zęby i zakaziło ranę. Zamierzasz więc mówić im o Ugunenapsie. Czyżbyś znała ich język?

- Kilka słów. Nauczę się dalszych.  
- Nie, jeśli będę miała coś do powiedzenia. Co cię ugryzło? Na to pytanie Far< odwróciła się, zawahała przed odpowiedzią.

- Samiec, nazywa się chyba Asiwasi.  
- Eeassasiwi, ty Córo Tępoty! - ryknęła Ambalasei z wielką radością. - Nie potrafisz nawet wymówić jego imienia, a zamierzasz prawić mu kazania o Ugunenapsie. Struno-nóż, nefmakel, środek bakteriobójczy - nakazała Setessei. - Widać też, że twoje nauki niezbyt go obeszyły. Wrażliwe stworzenie, chyba nie doceniałam jego rozumu. Wyleczę i opatrzę tę ranę, dam ci antybiotyk, a potem zabiorę stąd, nim poczynisz nieodwracalne szkody.

- Pozostanę. Nie możesz mnie zmusić...  
- Nie mogę? - Ambalasei nachyliła się tak bardzo, że dyszała gniewem prosto w twarz Far<. - Patrz. Twe wyznawczynie zaraz cię wezmą i zabiorą do miasta. Jeśli odmówisz, chwycę hèsotsan i je zastrzelę. Potem zastrzelę ciebie. Czy masz co do tego jakieś wątpliwości?

Jeśli nawet żywiła je Far<, to nie jej towarzyszką. Nim zdołała coś odpowiedzieć, chwyciły ją jak najłagodniej i poniosły ścieżką pomimo jej słabych sprzeciwów.

- Okazało się, że to mimo wszystko bardzo dobry dzień - oznajmiła Ambalasei z radością, wyciągając ręce, by Setèssei mogła je oczyścić wielkim nefmakelem.

Podczas powrotu do miasta łódź zachowywała się z większym posłuszeństwem, więc w nagrodę Setèssei dała jej kilka ryb. Enge ponownie czekała ich na brzegu.

- Wróciła Far< i powiedziała mi o twych groźbach. Czy naprawdę byś je zabiła?  
Ambalasei niewłaściwie rozumiała troskę Enge.  
- Stawiasz życie swych wstrętnych Cór nad przetrwaniem rasy Sorogetso?  
- Nie o nie się martwię, i nie o Far<. Wstrząsnęło mną, że wybitna uczona, Yilanè o ogromnych osiągnięciach, mogła rozważać morderstwo.

- Tak się zezłościłam, że o mało nie odgryzłam jej głowy. Gniew jednak mija i wtedy wraca

rozsądek. Nauka zamiast przemocy. Być może nie skrzywdziłabym żadnej z nich, lecz śmierć groziła im naprawdę. Zapomnijmy teraz o tych Córach Zniszczenia, miałaś mi powiedzieć coś ważnego i radosnego.

- Z wielką chęcią to przekażę. Musisz wpierw zrozumieć Osiem Zasad Ugunenapsy...

- Muszę?

- Oczywiście. Czy przed wglębieniem się w naukę o komórkach nie opanowałaś wiedzy o ciele?

- Napomnienie przyjęte - westchnęła Ambalasei, siadając na ogonie i wdychając bryzę. - Słucham-uczę się.

- Pierwsza zasada wynikała ze zrozumienia prawdy, która zawsze istniała. Mówi ona, że żyjemy pomiędzy Kciukami Efeneleiai, Ducha Życia.

- Ugunenapsa musiała mieć lepsze oczy niż ja, bo podczas badań biologicznych nie natknęłam się nigdy na Efeneleiaę.

- Szukałaś jej w niewłaściwych miejscach - powiedziała Enge z wielkim zapałem. - Duch życia tkwi w tobie, bo żyjesz. Tkwi też we wszystkich Yilanè. Niewiele stworzeń jest w stanie pojąć swe własne istnienie. Przyjąwszy prawdę o Efeneleiai dochodzimy do całej reszty. Druga zasada...

- Pozostańmy przy pierwszej. Wciąż nie wiem, o czym mówisz. Potrzebna jest definicja nowych pojęć, wprowadzenie nowych określeń. Duch?

- Ugunenapsa stworzyła określenie ducha dla opisanego czegoś wrodzonego Yilanè, możliwego do opisu, lecz niewidzialnego. Podaje przykład dwudziestu fargi, dziesięciu yiliebe, nie umiejących mówić, i dziesięciu Yilanè. Nie rozpoznasz, które są które, dopóki nie spróbujesz się z nimi porozumieć. Gdyby zmarły, żadne badania czy sekcja nie pozwoliłyby na ich rozróżnienie. Dlatego to dla opisanego różnicy wszystko rozumiejąca Ugunenapsa użyła nowego określenia, ducha, w tym przypadku ducha porozumienia. Wobec życia stosowała termin Efeneleiaa, życie-wieczność-zamieszkiwanie. Czy teraz rozumiesz?

- Iak i nie. Tak, bo słyszę twe słowa i rozumiem argumenty. A nie, bo odrzucam pojęcie ducha, jako czegoś sztucznego, nie istniejącego i przeszkadzającego w logicznym myśleniu. Odłóżmy to jednak na bok. Odrzucając pojęcie podstawowe uniemożliwiłabym ci przejście do wniosków z niego wynikających, a nie chcę kończyć dyskusji już teraz.

- Odnotuję twe zastrzeżenia, może kiedy indziej spróbuję uściślić pojęcie ducha. Przyznaję, że jest trudne...

- Ani trochę. Jest błędne i nie do przyjęcia. Zakończmy jednak tę męczącą dyskusję przed zapadnięciem zmroku. Nie uznaję istnienia Efeneleiai, lecz tymczasem weźmy ją za teorię. Mów dalej. Miałyśmy przejść do drugiej zasady.

Enge wyraziła zgodę na warunki dyskusji.

- Niech tak będzie. Przyjmując istnienie Efeneleiai uznajemy, iż wszystkie zamieszkujemy miasto życia, większe od wszystkich miast Yilanè. Dostrzegasz prawdę i prostotę tego wniosku?

- Nie. Ale to twój wykład. Doprowadź go do końca.

- Teraz trzecia zasada - duch życia, Efeneleiaa, jest najwyższą eistaą miasta życia, do którego my wszystkie należymy.

Ambalasei uniosła migotki, które opadły jej na oczy zasypywane nawałą argumentów.

- Czy twoje Córy w to wierzą?

- Nie wierzą - żyją! To umożliwia życie nam wszystkim.

- No to mów dalej. Przyznajecie przynajmniej, że jesteście mieszkankami miasta, to już coś.

Enge uczyniła znaki uznające wielką inteligencję jej rozmówcy.

- Rozpoznajesz moje argumenty, nim je jeszcze wypowiem!

- Oczywiście.

- Wysłuchaj więc czwartej zasady. Poznając Wielką Prawdę, uzyskujemy nową moc, bo znajdujemy w niej potężniejszy i wyższy ośrodek tożsamości i lojalności.

- Nic dziwnego, że nienawidzą was eistae wszystkich miast. Następną zasadą.

- Piąta uczy nas, że potęga prawdy wymaga od umysłu nowego patrzenia. Umożliwia ono patrzącej widzenie tego wszystkiego, co widzi każda żywa istota, lecz także przenikanie powierzchni i dostrzeganie obecnego, choć niewidzialnego, prawdziwego porządku życia.

- Można by się z tym spierać, ale mój mózg się zmęczył. Powiedziałeś, że rozwiązanie leży w siódmej zasadzie? Czy nie można by do niej przeskoczyć?

- Wynika z szóstej.

- No to przejdźmy do niej i niech się to skończy. - Ambalasei zdrętwiał ogon i zmieniła pozycję. Enge uniosła kciuk w radości, oczy świeciły jej blaskiem dyskusji.

- W swej szóstej zasadzie Ugunenapsa uczy nas, że wszystkie żywe stworzenia łączy i podtrzymuje sieć wzajemnych zależności. Sieć będąca czymś więcej niż te stworzenia, bo wszystkie one w niej tkwią, świadomie lub nie. Sieć istniejąca od Jaja Czasu!

Ambalasei dała znak zbędności.

- Wiemy to i bez Ugunenapsy. Podałaś skrócony opis ekologii. ..

- Siódma! - entuzjazm Enge był tak wielki, iż nie zauważyła nawet słów uczonej. - Znajomość i rozumienie tej Sieci oraz wierność Efeneleiai umożliwia i zmusza Córy Życia do pokoju i czci życia. W tym tkwi rozwiązanie problemu miasta.

- Na pewno, choć długo do tego dochodziłaś. Chcesz mi powiedzieć, że Córy przyjmujące argumenty i słowa Ugunenapsy będą teraz przekonane, iż by czcić życie muszą współpracować w spokoju i zgodzie?

- W to wierzymy, to wiemy - i to uczynimy! Tak jak przestrzegamy ósmej i ostatniej zasady...

- Przynajmniej jej mi oszczędź. Zostaw to na później, bym się nią cieszyła w chwili zmordowania i braku natchnienia. Wy tłumacz mi lepiej, jak posłuszeństwo wobec siódmego przykazania ocali to miasto.

- Wy tłumaczę i pokażę. Zrozumiawszy wskazówki Ugunenapsy, szukałyśmy sposobów okazania, iż je wypełniamy. Wszystkie pragną teraz pracować w mieście życia i zgłaszają się na ochotnika. Najbardziej utalentowane w łowieniu ryb czy ogrodnictwie kierują innymi. Pragną twych wskazówek w sprawach, na których się nie znają, i radują się z twego bezpiecznego powrotu.

Ambalasei wyprostowała się, przeszła wzdłuż nabrzeża i z powrotem. Wieczorna bryza chłodziła powietrze, zbliżała się pora snu. Uczona zwróciła się do Enge i chwyciła jej zaciśnięte kciuki, okazując przez to, że ustaliły coś ważnego.

- Jestem bardzo rada, jak to słusznie stwierdziłaś. Jeszcze bardziej się ucieszę, gdy zobaczę ten system w działaniu. Czy Ugunenapsa w swej mądrości objawiła ci odpowiedzi na inne ważne pytania, które zadałam?

Tym razem to Enge wyraziła przeczenie i troskę.

- Gdyby tylko mogła. Radość z ocalenia miasta niknie w rozpacz, iż dla Cór Życia nie ma ratunku. Aż po nasz kres pozostaniemy tutaj, studiując mądrość Ugunenapsy.

- Aż po kres was i wszystkiego.

- Wszystkiego - powtórzyła Enge głosem i gestami ponurymi jak sama śmierć. Wzdrygnęła się, jakby spadł na nią chłodny wiatr, wyciągnęła dłonie, pragnąc, by zamiast ciemnej zieleni rozpaczylśniły różową barwą nadziei. - Mimo to nie przestanę szukać rozwiązania. Musi być jakieś, nie potrafię go tylko rozpoznać. Jak myślisz, wielka Ambalasei, czy jest z tego wyjście?

Ambalasei nie odpowiedziała. Tak było najlepiej. Odwróciła się i patrzyła na wodę i niebo. Gasnące światło przypominało jej o śmierci.

Vaintè nigdy o niej nie myślała. Ani o życiu. Po prostu istniała. Gdy zgłodniała, łapała ryby, gdy czuła pragnienie, piła ze źródła. Takie bezmyślne, puste życie bardzo jej teraz odpowiadało. Jeśli czasem myślała o dawnych wydarzeniach, wspomnienia te niepokoiły ją, uwierały, powodowały zaciskanie zębów z silnych emocji. Nie lubiła tego.

Lepiej nie zaprzętać sobie głowy takimi drażniącymi sprawami, a najlepiej nie myśleć w ogóle.

*Fanasso to tundri hugalatta, ensi  
to tharmanni - foa er suas tharm, so  
et hola likz modlą.*

## POWIEDZENIE TANU

Wpatruj się w las, a nie w gwiazdy,  
bo dostrzeżesz tam swój tharm.

## ROZDZIAŁ VIII

Kerrick nakazał postój, gdy wśród drzew nasilił się upał.

- Za wcześnie na odpoczynek. - Harl nie próbował skrywać niezadowolenia z tej decyzji. Było to jego szesnaste lato i bardziej przypominał łowcę niż chłopca.

- Może dla ciebie, lecz wszyscy inni przeczekają tu największy upał, pójdziemy dalej, gdy tylko zelżeje. Jeśli silny łowca nie chce odpoczywać, niech zbada czekający nas szlak. Może jego włócznia trafi na świeże mięso.

Harl chętnie porzucił drągi włóków i wyprostował zmęczone plecy. Gdy brał włócznię, powstrzymywał go Kerrick.

- Zabierz też śmiercio-kij.

- Nie nadaje się do polowania.

- Jest dobry do zabijania murgu. Bierz. Harl ruszył cicho naprzód, a Kerrick podszedł do siedzącej pod drzewem zmęczonej Armun.

- Powiniennem był zatrzymać się wcześniej.

- Nie, tak jest lepiej. W drodze wrócą mi siły. - Niosąca dziecko Darras podała je matce. Armun przystawiła niemowlę do piersi, przysłoniętej w tym upale jedynie lekką skórą. Arnwheetowi to wszystko się nie podobało, czuł się zaniedbywany i pociągnął Kerricka za rękę.

- Chcę iść z Harlem. Moja włócznia chce się napić krwi zwierzyny.

- Wielkie słowa jak na chłopca - uśmiechnął się Kerrick. - Za dużo słuchasz opowieści Ortnara o polowaniach. - Rozejrzał się wokół, przepatrując las i przebyła drogę. Była pusta. Kulawy łowca posuwa się bardzo powoli i dołączy do nich później. Czeka ich długi marsz. Kerrick wziął od Darras wędzone mięso, usiadł obok niej i zaczął jeść. Z drugiej strony przysiadł Arnwheet, który na widok jedzenia zapomniał o łowach. Już kończyli posiłek, gdy wśród drzew coś się poruszyło. Arnwheet roześmiał się na widok chwytającego za hèsotsan Kerricka.

- To tylko Ortnar. Nie zastrzel go.

- Nie zastrzelę. Potężny łowczyk ma lepsze oczy niż ja.

Ortnar kuśtykał powoli, wlokąc bezwładną nogę i ociekając potem. Darras podbiegła do niego z tykwą pełną wody. Łowca wypił ją i osunął się na ziemię.

- Za wcześnie się zatrzymaliście - powiedział.

- Armun szybko się męczy. Ruszemy dalej, gdy stanie się chłodniej.

- Skieruj w moją stronę śmiercio-kij - powiedział Ortnar ze spokojem. - Coś tam jest, śledzi mnie od jakiegoś czasu.

- Arnwheet, chodź tutaj - przekazała równie spokojnie Armun. - Ty też, Darras. Zostaw to, idź powoli.

Dziewczynka zadrżała, lecz posłuchała. Kerrick przesnął się w bok, tak, by Ortnar nie zasłaniał mu puszczy.

Coś nagle zatrzeszczało i zobaczył pędzący przez poszycie duży, nakrapiany zielono i białą kształt.

Uniósł broń, a zwierzę skrzeknęło wściekle przez szeroko rozwarty pysk. Kerrick ścisnął hèsotsan, lecz nie powstrzymało to maraga. Skoczył na łowcę, który strzelił ponownie i cofnął się o krok.

Bestia upadła mu u stóp.

W powietrzu coś świsnęło i mała włócznia Arnwheeta wbiła się w ciało maraga.

- Dobrze zrobione, wielki łowco - pochwalił Ortnar z bardzo rzadkim u niego uśmiechem. - Zabiłeś go.

Arnwheet bał się wielkiego zwierzęcia, lecz mimo to podszedł bliżej i wyciągnął włócznię.

- Co to?

- Marag. - Ortnar splunął na truchło. - Spójrz na zęby, jest mięsożerny.

- My go zjemy, a nie on nas!

- Nie nadaje się do jedzenia, ma trujące mięso.

- No to odetnę mu ogon. Ortnar znów się roześmiał.

- Sam ogon jest większy od ciebie. Weź jeden z pazurów przedniej łapy. Możesz zawiesić go na szyi obok noża, tak, by wszyscy go widzieli.

- Będzie ich więcej? - zapytała Armun, biorąc dziecko na ręce i odchodząc dalej od śmierdzącego ciała.

- Chyba nie - odparł Ortnar. - Widziałem już takie, polują samotnie. Jego woń odstraszy wszystkie inne murgu.

- Nas też - powiedział Kerrick, dołączając do Armun. Ortnar nie ruszył się, z nastawioną włócznią obserwował chłopca. Zaraz potem wrócił Harl i obejrzał zwierzę z podziwem.

- Nic nie upolowałem. Ten marag musiał odstraszyć wszystkie inne zwierzęta. Jesteśmy niedaleko od dużego szlaku. Widziałem na nim ślady włóków.

- Świeże? - spytała Armun z nadzieją w głosie.

- Bardzo stare, już zarośnięte. Ledwo je widać. - Harl wziął krzemienny nóż i pomógł spryskanemu krwią chłopcu odciąć pazur.

Nie byli daleko od celu, lecz teraz posuwali się jeszcze wolniej. Mimo protestów Ortnara Kerrick uparł się, by razem z nim szedł uzbrojony w hèsotsan Harl. Sam Kerrick posuwał się przodem, chroniąc resztę sammadu przed groźnymi stworzeniami puszczy.

Dziwiącego dnia posuwania się dużym, wiodącym na północ szlakiem dogonił ich Harl.

- Co się stało? - zapytał Kerrick, chwytając za broń.

- Nic. Ale Ortnar powiedział, że minęliście ścieżkę, w którą trzeba skręcić. To niedaleko.

Ortnar czekał na nich oparty na włóczni. Wskazał z zadowoleniem na złamaną gałąź, niemal niewidoczną w poszyciu.

- Zostawiłem ten znak, gdy byłem tu ostatnio. Pójdziemy tamtędy.

Teraz prowadził Ortnar i musieli iść równie wolno jak on. Nie mieli jednak daleko, musieli jedynie pokonać niski grzbiet i płytki strumień. Ze szczytu następnego wzgórza dostrzegli brzeg oceanu i pozbawioną fal, wolno toczącą się rzekę. Za wąską cieśniną leżała wyspa.

- Za tą wyspą jest zatoka, szersza od rzeki, a jeszcze dalej wzdłuż wybrzeża leżą małe wysepki - powiedział Ortnar.

- No to rozbijemy obóz po tej stronie wyspy, wśród tamtych drzew, gdzie z morza będziemy niewidoczni. Musimy znaleźć drzewa na tratwę. Może uda nam się przepawić przed nocą.

- Podoba mi się tu bardziej niż nad Okrągłym Jeziorem - powiedziała Armun. - Powinniśmy być tu bezpieczni. Daleko od murgu. Wszystkich.

Kerrick pomiął milczeniem jej słowa, bo wiedział dobrze, o czym mówi. Ma jednak rację, będzie szczęśliwasza z dala od samców Yilanè. A on? Brakowało mu rozmów z nimi, subtelnych napomnień i gestów, przekazujących rzeczy, jakich nie był w stanie wypowiedzieć w marbaku. Stanowili część jego sammadu, mniejszego teraz bez nich.

- Czy są tam dobre łowy? - spytał Arnwheet.

- Bardzo dobre - odparł Ortnar. - Pomóż Harlowi zbierać drzewo na tratwę.

Lato było upalne i suche. Wielka rzeka bardzo opadła. Zalewane zimą i wiosną łągi rozciągały się teraz wzdłuż jej nurtu, porastały je smaczne, zielone trawy. Sarny brodziły w nich po brzuchy. Był to



radosny widok dla sammadów przybyłych nad rzekę i patrzących na łągi ze skrajów skarpy.

Rozproszyły się i rozbiły obóz w chłodnym cieniu drzew. Po zmroku i skończonym posiłku sammadarzy przybywali kolejno do ogniska Herilaka. Nie był już ich wodzem, bo skończyła się walka, lecz słuchano się go nadal, przynajmniej do końca wędrówki.

- Mastodonty chudną - powiedział Har-Havola. - Możemy się tu zatrzymać, paszy jest wiele. Taki jest mój zamiar.

- Nie o mastodonty się troszczę, lecz o łowy - zawołał Herilak, co spotkało się z okrzykami poparcia. - Mam już dość zabijania murgu. Niektóre są nawet smaczne, lecz daleko im do saren. Widziałeś łąki w dole. Potrzebujemy też skór - wielu przypomina Sasku w tkanych charadisach, a nie owiniętych w ciepłe futra Tanu.

- W lecie jest w nich zbyt ciepło - powiedział Kellimans, jak zawsze ponury i pozbawiony wyobraźni.

- Oczywiście - zgodził się Herilak - lecz zapowiadają się tu dobre łowy, nadejdzie zima, może wtedy zapolujemy w chłodzie. Wiele rzeczy może się zdarzyć. Zostaję tu z moim sammadem na łowy. Potem ruszymy dalej.

Zaczęto krzyczeć na zgodę, nikt się nie sprzeciwił. Również przysłuchujące się kobiety były za tym. Mogły tu znaleźć znane im kiedyś, teraz niemal zapomniane jedzenie. Korzonki, jagody, grzyby, cebulki, na wszystko to można było trafić, jeśli tylko wiedziało się, gdzie kopać. Młode dziewczęta nigdy tego nie robiły, muszą się uczyć. Postój bardzo się wszystkim przyda.

Również Merrith pragnęła tu się zatrzymać, znalazła jednak jedną niezadowoloną.

- Czemu płaczesz, czy cię pobił? - spytała dziewczyny. - Żaden łowca nie powinien tego robić. Weź kij i mu oddaj. Jeśli jest od ciebie silniejszy, uderz go, gdy będzie spał.

- Nie, to nie dlatego - powiedziała Malagen ze łzami w ciemnych oczach. Jak wszyscy Sasku była dużo szczuplejsza i niższa od Tanu, jej śniada skóra i czarne oczy różniły się od ich jasnych włosów i bladej cery. - Newasfar jest dla mnie dobry, dlatego z nim poszłam. Głupia jestem, że się tak zachowuję.

- Nie jesteś głupia. Zostawiłaś swych przyjaciół, swój sammad, nie możesz rozmawiać po swojemu. - Uczę się marbaku.

- Nauczysz się. Ja sama nie znam ani słowa z twego seseku.

- Mówimy na naszą mowę sesek. Nie jest, jak mówisz. Słyszałam, jak powiedziałaś tagaso, to w sesku.

- Bo je lubię i łatwo to zapamiętać.

- Mam trochę suszonego, mogę ci przyrządzić.

- Zatrzymaj je. Sama za nim zatęsknisz. Jutro poznasz wiele nowych rzeczy do jedzenia. Nazbieramy jagód i zrobimy ekkotaz. Będzie ci smakowało.

Dziewczyna Sasku była mała, nie większa od jej dzieci, póki nie urosły. Merrith miała ochotę pogłodzić jej włosy, lecz byłoby to niewłaściwe wobec dorosłej kobiety. Malagen była teraz w lepszym humorze. Merrith szła obok ognisk, szukając samotności. A może właśnie jej miała dosyć i w tym cały kłopot. Jej córki dorosły i odeszły. Soled zmarła w mieście murgu. Malde miała teraz swojego łowcę z sammadu Sorliego. Nikt nie wiedział, gdzie są teraz, bo odłączyli się w czasie ucieczki, skręcając na pomoc. Może gdzieś tam żyją. Łowca Merrith, Ulfadan, zmarł już dawno. Wiedziała, że Tanu nie oplakują zmarłych, że każdy łowca trafia w należne sobie miejsce, jego tharm jest wśród gwiazd. Spojrzała na rozgwieżdżone niebo, potem znów na ognisko i westchnęła. Lepszy żywy łowca niż tharm na niebie. Jest silna, ale i samotna.

- Nie odchodź za daleko od ogniska - ktoś do niej zawołał. - Są tam murgu.

Rozejrzała się w blasku ogniska, by zobaczyć, kto stoi na straży. - Ilgeth, zabiłam więcej murgu, niż widziałeś w życiu. Nie kieruj tylko na mnie śmiercio-kija, a sama się o siebie zatroszczę.

Sammady spały, lecz ogniska płonęły jasno. Wartownicy wpatrywali się w las. Coś rozbijało się w mroku, słyszeli wrzaski bólu. Zawsze tak było. Bez śmiercio-kija nie mogliby przebywać tak daleko na południu. Tylko maleńkie, lecz groźne strzałki były w stanie powalić polujące tu wielkie murgu.

Dobiegające z puszczy odgłosy zabijania obudziły Herilaka, śpiącego bardzo lekko. Poprzez uniesioną połę namiotu spojrzął na roziskrzone gwiazdami niebo. Coś zabzyczało, trzepnął latającego owada. Jutro czekają go dobre łowy. Mimo to nie zostanie tu długo. Gdzieś tam jest Kerrick, trzeba go odnaleźć. Musi więc uważnie przyglądać się szlakowi, patrzeć, czy nie odchodzą od niego jakieś ślady. Powinni trafić na inne sammady, może Kerrick przyłączył się do któregoś z nich. Odejdzie, gdy tylko zakończą łowy, a mastodonty napasą się do syta.

Niebo przeszła jasna strzała ognia. Może to nowy tharm. Oby nie Kerricka, miał nadzieję, że nie Kerricka.

*Enge hantèhei, aie embokèka  
iirubushei kaksheise, hèawahei  
hèvai ihei, kaksheintè, enpeleiuu  
asahen enge.*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Pierwszym cierpieniem w życiu jest  
opuszczenie miłości ojca i wejście w morze  
- pierwszą radością - towarzysze, z którymi  
się tam spotykamy.

## ROZDZIAŁ IX

Tuż za przybojem było bardzo dobre miejsce. Vaintè unosiła się tam, trzymając nad powierzchnią jedynie głowę. Nadbiegające od oceanu fale kołysały się łagodnie. Podtrzymywały ją, mijały, by załamać się i wpaść na piasek w kotłowaniu białej piany. Gdy fale urosły, zerknęła w stronę brzegu i dostrzegła za zieloną ścianą dżungli leżące w dali szare pasmo gór. Czy widziała je przedtem? Nie mogła sobie przypomnieć, ale to nieważne. Otworzyła klapki nosa, wydmuchała z nich wodę i kilkakrotnie odetchnęła głęboko. Następnie zasunęła na oczy przezroczyste błony i zanurkowała głęboko.

Opadała coraz niżej, aż woda pociemniała, a powierzchnia zmieniła się w odległy blask. Była teraz dobrą pływaczką, niemal częścią podwodnego świata. Tuż pod sobą miała porastające dno wodorosty, chwiały się i pochylały pod wpływem powracających fal. Kryły się w nich drobne rybki, uciekające na jej widok. Nie warto ich gonić. Dostrzegła przed sobą lepszy łup, dużą ławicę płaskich, wielobarwnych ryb, migoczących niby podwodna tęcza. Vaintè ruszyła ku nim z wyciągniętymi ramionami, popychana uderzeniami ogona i nóg.

Z góry spływały jakieś ciemne kształty, skręciła w bok; nie tylko ona dostrzegła ryby. Nieraz ściagały ją duże drapieżniki i musiała chronić się przed nimi na brzegu. Czy i tym razem? Nie, były mniejsze, liczniejsze i jakby znajome, tak długo trwała w oderwaniu od czasu patrząc, lecz nie myśląc, nie zastanawiając się, co ma przed oczyma, że początkowo nie rozpoznała tych kształtów. Zawieszona bez ruchu w głębinie, wypuszczając z nozdrzy cienki strumyczek baniek, obserwowała, jak się zbliżają. Dopiero gdy znalazły się bardzo blisko, zrozumiała, że patrzy na inne Yilanè. Ból w piersiach i rosnący przed oczyma mrok przypomniły jej, że za długo przebywa pod wodą, pchnęły do wynurzenia i zaczerpnięcia powietrza. Widok Yilanè w tym pustym miejscu rozproszył mgłę, od tak dawna otulającą jej umysł. Musi to być efenburu młodych, przybyłe tu z jakiegoś odległego miasta. Ale przecież elininy nigdy nie oddalały się zbyt od plaż narodzin. Nie zgadzało się tu coś jeszcze. Te stworzenia były zbyt duże, o wiele za duże jak na przebywające jeszcze w morzu efenburu. Są już dorosłe, ale co w takim razie tu robią.

Niedaleko pojawiła się głowa, potem następna. Skoro je widzi, to i sama musiała zostać dostrzeżona. Vaintè bez zastanowienia odwróciła się, popłynęła w stronę brzegu, z dala od nich. Na fali przyboju dotarła do piasku, dostała się na znajomą plażę.

Zatrzymała się, gdy przebyła piasek, i poczuła pod nogami błoto. Spojrzała na drzewa i mokradła. Co robi? Co jej wpadło do głowy? Czy uciekała przed nimi?

Odwykła od takich pytań, takich myśli. Czują się nieswojo, gnębiła ją chęć ucieczki. Nigdy dotąd się nie cofała, zawsze stawiała czoła wszystkim trudnościom. Czemu więc uczyniła to teraz? Stała z opuszczoną głową, zwisającymi bezwładnie rękoma, lecz gdy odwróciła się w stronę oceanu, wyprostowała się i uniosła czoło wysoko. Ruszyła ku ciemnym postaciom wynurzającym się z przyboju, stanęła na skraju piasku.

Najbliższe Yilanè zatrzymały się przed nią, tkwiąc po kolana w wodzie, przyglądały się z niepewną miną częściowo otwartych ust. Teraz widziała je dobrze. Całkowicie wyrosłe fargi. Ich bezruch niczego nie przekazywał.

- Kim jesteście? Co tu robicie? - spytała Vaintè.

Najbliższa fargi cofnęła się kilka kroków i uniosła otwarte dłonie. Ich barwy zmieniały się w najprostszych wzorach, nie towarzyszył im żaden dźwięk.

Razem, mówiła. Razem.

Vaintè odpowiedziała tym samym, ledwo to zauważając. Nie robiła tego, odkąd bardzo dawno

temu po raz pierwszy wynurzyła się z morza. Ledwo pamiętała mowę barw. Tak, oczywiście, tak rozpoznają się efenselè. Razem.

Fargi, z którą rozmawiała, została odsunięta tak brutalnie, że zachwiała się i upadła. Większa postać ruszyła w stronę piasku, lecz zatrzymała się na skraju wody.

- Rób... co mówię... ty rób.

Jej ruchy były niezdarne, słowa niewyraźne i trudne do zrozumienia. Kto to jest? Co one wszystkie tu robią?

Rozważania te zostały usunięte w cień przez napływ gniewu, uczucie, jakiego nie zaznała od przybycia na tą plażę. Rozdęła nozdrza i rozpałała pierś.

- Jakaż to fargi, wielki robak, stoi tu przede mną i wydaje rozkazy?

Automatycznie przybrała władczy ton. Fargi gapiała się na nią nic nie rozumiejąc, nie pojmując padających zbyt szybko słów. Vaintè dostrzegła to i przemówiła znowu, tym razem wolniej i prościej.

- Cicho. Jesteś niższa przed wyższą. Rozkazuję ci. Podaj imię. - By zostać zrozumianą, musiała to powtórzyć w jeszcze prostszej formie, posługując się głównie ruchami rąk i zmianami barw.

- Velikrei. - Vaintè zauważyła z zadowoleniem, że fargi opuściła ręce i pochyliła ciało w geście niższości. Tak należy.

- Na piasek. Siadaj. Mów - rozkazała Vaintè, siadając na ogonie. Fargi wyszła na plażę i również usiadła, ustawiając ręce w geście wdzięczności. To grożące jej przedtem stworzenie dziękuje teraz za otrzymywanie rozkazów. Na ten widok inne fargi wynurzyły się powoli z morza, stanęły w półkolu, gapiąc się z otwartymi ustami. Poznała to ustawienie i zaczęła rozumieć, kim są i co tu robią.

Dobrze, że się tak stało, bo od Velikrei niewiele mogła się dowiedzieć. Vaintè musiała z nią rozmawiać, bo jako jedyna potrafiła choć trochę porozumiewać się w yilanè. Pozostałe to tylko duże elininył, niedojrzałe młode. Żadna z nich nie miała imienia. Porozumiewały się jedynie najprostszymi ruchami i barwami, których wyuczyły się w morzu, czasem tylko wzmacniając to jakimś niewyraźnym dźwiękiem.

Dowiedziała się tylko tego, że w ciągu dnia łapały ryby. Nocą spały na brzegu. Skąd przybyły? Z jakiego miejsca, wiedziała bez pytania - z miasta. Gdzie ono leży? Gdy Velikrei w końcu zrozumiała pytanie, spojrzała na pusty ocean i wskazała na północ. Nie potrafiła nic dodać, dalsze wypytywanie niczego nie dało. Vaintè rozumiała, że to wszystko, co może wydobyć z Velikrei. Nie potrzebowała jednak dalszych danych, wiedziała już, kim są. To odrzucone. Opuściwszy plażę narodzin, weszły do oceanu. Żyły w nim i dorastały, aż wreszcie dojrzałe wynurzyły się z wody, zdolne fizycznie do przebywania na lądzie. Poszły plażą do leżącego za nią miasta, które miało je przyjąć, nakarmić i wchłonąć. Ewentualnie. W każdym mieście Yilanè żyje się tak samo. Zauważyła to sama we wszystkich miastach odwiedzanych przez siebie. Są w nich Yilanè krzątające się przy rozlicznych zajęciach i pomagające im fargi. Na górze tkwi eistaa, doły tworzą niezliczone fargi. Bezimienne, jednakowe, nie od odróżnienia, są wszędzie, snują się grupami po ulicach, przyglądają się wszystkiemu, co ciekawe.

Niektóre się jednak wyróżniały. Inteligentniejsze, zdolne do nauki języka, stopniowo mówiły coraz lepiej, aż stawały się Yilanè. Dzięki umiejętności porozumiewania się powoli wydostawały się z masy lepszych fargi, uzyskiwały pozycję Yilanè, mówiących. Włączały się w funkcjonowanie miasta. Najzdolniejsze mogły wznieść się jeszcze wyżej, zostać pomocnikami uczonych, od których czerpały wiedzę, rozwijając swe talenty i poprawiając położenie. Każda eistaa była kiedyś fargi na plaży; nie było żadnych stanowisk dla nich niedostępnych.

Co jednak z mniej zdolnymi, nie potrafiącymi pojąć szybkiej mowy rozkazujących im Yilanè? Pozostawały yiliebe, nie mówiącymi. Trzymały się w milczeniu z boku, coraz bardziej oddalając od rozumu i języka. Jednakowe, nie do odróżnienia. Skazane na wieczne pozostawanie na obrzeżach życia Yilanè. Mogły jeść, pić i żyć swobodnie, bo miasto tego im nie odmawiało.

Tak jednak jak wchłaniało zdolne, musiało odrzucać niezdolne. Było to nieuniknione. Nigdy nie brakowało trzymających się zawsze na skraju tłumów, jedzących na ostatku, dostających najmniejsze, najgorsze kawałki. Spędzających czas na przyglądaniu się niepojętym dla nich wydarzeniom. Stały najniżej, tyle przynajmniej rozumiały. Z dnia na dzień odstawały coraz bardziej, odsuwały od innych, spędzały coraz więcej czasu na pustych plażach, wolne tam od niepokojącego poczucia odrzucenia, wracały do miasta tylko na posiłki. W końcu zaczynały znowu łapać ryby w morzu, tylko to potrafiły. Wchodząc do miasta, stykały się znowu z upokorzeniami, nie rozumiejąc ich przyczyny. Zachodziły do niego coraz rzadziej, aż wreszcie któregoś dnia opuszczały je na zawsze. Nie można było tego nazwać okrucieństwem. Był to po prostu ciągły proces doboru naturalnego, nie podlegający potępieniu czy pochwie. Po prostu tak było.

Vaintè spojrzała na nierówne rzędy niczego nie rozumiejących ciał i twarzy. Pragnących pojmować, co nigdy nie będzie im dane. To nie miasto ich odrzuciło, bo nie było do tego zdolne. Odrzuciły się same. Wiele, niewątpliwie większość, zginie zaraz po opuszczeniu bronionych wybrzeży miasta. Pożrą je w czasie snu zwierzęta nocy. Nie były to więc najniższe z niskich; tamte już nie żyją. Ma przed sobą żyjące jeszcze odrzucone. Vaintè poczuła nagle łączące ich pobratymstwo, sama była odrzucona i żywa. Przyjrzała się ich prostym twarzom i wyraziła ciepło, pokój. Potem wykonała najprostszy ze znaków.

- Razem.

- Czy twoje Córy nauczyły się wreszcie pracować w harmonii i współpracy, zgodnie z naukami Ugunenapsy? - zapytała niedowierzająco Ambalasei. Enge potwierdziła.

- Ugunenapsa nie wyraziła tego dokładnie w ten sam sposób, ale rzeczywiście uczymy się rozumieć jej wskazówki i stosować je w życiu codziennym.

- Pragnienie-ujrzenia-rezultatów.

- Możliwe do natychmiastowego spełnienia. Najbardziej się chyba nada przygotowywanie żywności. Konieczne dla życia, wymaga też współpracy.

- Nieużywanie-więcej Sorogetso do tej pracy? - Zapytała uczona z gestami ponurej podejrzliwości. Enge ostro ją odrzuciła.

- Sorogetso nie przychodzą już do miasta.

- To dopiero połowa problemu. Czy ktoś z miasta je odwiedza?

- Twoje polecenia są jasne.

- Moje polecenia są zawsze jasne - a jednak nędzna Ninperedapsa, którą nadal nazywasz Far<, posłała do nich ze swymi zwolenniczkami i chęcią nawracania.

- I została ugryziona, wiesz o tym dobrze, bo sama opatrzyłaś jej rany. Odpoczywa teraz, jeszcze nie wyzdrowiała. Otaczają ją towarzyszki.

- Oby wolno zdrowiała - powiedziała Ambalasei z gorącą niechęcią, a potem wskazała na gigantycznego węgorza rzucającego się słabo na brzegu. - Nie brakuje ich jeszcze?

- Ani trochę. Rzeka roi się od nich. Spójrz tam, a zobaczysz doskonały przykład działania ducha Ugunenapsy.

- Widzę Córy Opieszałości przy ciężkiej pracy. Jestem oszołomiona.

- Jak widzisz kieruje nimi Satsat, moja towarzyszka z Alpèasaku. Pracujące wybrały ją ze względu na kary, jakie cierpiała za swą wiarę, oraz za przetrwanie wszelkich przeciwności.

- Nie nazwałbym tego najlepszymi kwalifikacjami do kierowania rzeźniczkami ryb.

- Jak mądra Ambalasei na pewno wie, jest to proste zajęcie, może je wykonywać każda rozumna Yilanè. Ponieważ wszystkie pracujemy wspólnie w jednoczącym duchu Ugunenapsy, wybór na kierującą pracą innych jest wielkim zaszczytem. Satsat jest dodatkowo ceniona, ponieważ tak dobrze zorganizowała pracę, że przy wspólnym wysiłku i zapale możliwe jest wcześniejsze zakończenie zajęć. Opowiada im wówczas szczegółowo o zasadach Ugunenapsy. Dziś będzie mówiła o ósmej zasadzie - której, o ile wiem, jeszcze nie znasz. Widzisz, przerwały teraz i słuchają. Masz wielkie szczęście.

Ambalasei uniosła oczy ku niebu w geście dostrzeżenia-okazji.

- Czy nie zorganizowałaś tego szczęścia?

- Ambalasei widzi wszystko, wie wszystko. Miałam na myśli twoje znalezienie się tutaj i sposobności poznania ósmej zasady. Nie miałam okazji, aby objawić ją tobie.

Ambalasei nie dostrzegła drogi wyjścia z dobrze zastawionej pułapki. Chrząknęła i usiadła na ogonie.

- Pora czegoś posłuchać, bo trochę się zmęczyłam. Krótko. Satsat wspięła się na jeden z pojemników z enzymem, skąd mogła być dobrze widziana, i zaczęła mówić na znak Enge.

- Ósma, ostatnia z zasad wiodących nas w życie, odkąd przyjęliśmy słowa Ugunenapsy. Mówi ona, że Córy Życia zobowiązane są pomagać innym w poznawaniu ducha życia, odkrywaniu w ten sposób prawdy o sposobie życia. Pomyślcie o znaczeniu tego bardzo krótkiego, lecz i bardzo jasnego stwierdzenia. Jako znające Droge, musimy wspierać inne w nauczaniu się jej i zrozumieniu, w świadomym podążaniu śladami ducha życia. Natychmiast jednak po przyjęciu tej prawdy pojawią się dwa ogromnie ważne pytania. Pierwsze - jak można tego dokonać wobec tych, które grożą nam śmiercią za objawiane prawdy? Drugie - jak możemy podtrzymywać czczony przez nas pokój i harmonię, skoro żyjemy tylko dzięki zadawaniu śmierci? Czy mamy przestać jeść, by w ten sposób powstrzymać zabijanie?

Przerwała, gdy Ambalasei wstała, podeszła do wanny i włożyła do ust wyjęty stamtąd kawałek ryby.

- Opróżnijcie ją do zmroku. Wdzięczność za informację o ósmej zasadzie, konieczność odejścia.

- Dziękuję ci za wysłuchanie, Ambalasei. Może pragniesz poznać moje objaśnienia...

- Odpowiem krótko. Nie. Zrozumiałam już wszystkie Osiem Zasad, podziwiam zastosowanie siódmej, teraz odchodzę. - Odwróciła się i kiwnęła na Enge, by poszła z nią.

- Jestem zadowolona. Pomimo swej skłonności do dyskusji twoje Córy wykonują teraz prace fargi. Muszę na kilka dni udać się w górę rzeki i bardzo się cieszę, że podczas mej nieobecności miastu nic nie zagraża.

- To Ambalasokey, miasto Ambalasei. Tchnęłaś w nie życie - i w nas. Radujemy się rozszerzaniem-rozwijaniem tego daru.

- Dobrze powiedziane. Widzę moją asystentkę Setèssei czekającą na uruketo. Odpływamy natychmiast. Już teraz cieszę się na inne cuda organizaji, jakie ujrzę po powrocie.

Setèssei odłożyła duże naczynie, by pomóc Ambalasei wspiąć się na szeroki grzbiet uruketo, potem dała znak stojącej na płetwie Elem.

- Przekazałaś jej wszystko? - spytała uczona.

- Tak jak poleciłaś. Popłyniemy najpierw do plaży blisko jeziora, gdzie jedna z członkiń załogi czeka już w łódce.

- Czy lepiej wyszkolonej niż ta ostatnia?

- Zwierzę jest to samo, lecz teraz znacznie bardziej posłuszne.

Droga była krótka, a przedostanie się łódką na brzeg dużo łatwiejsze, niż przypuszczała Ambalasei. Chrząknęła po zejściu na plażę i przywołała Setèssei.

- Weź to pudełko i chodź ze mną. Załoga poczeka w łodzi na nasz powrót.

Szły znajomą ścieżką w stronę wyspy na dopływie wielkiej rzeki, zamieszkiwanej przez Sorogetso. Gdy podeszły do kładki z pnia, ujrzały, że ktoś się nią zbliża.

- Tu zaczynamy - powiedziała Ambalasei. - Otwórz naczynie.

Z troską i posłuszeństwem w ruchach Setèssei postawiła pojemnik za ziemi i otworzyła. Wręczyła następnie Ambalasei wyjęty ze środka hèsotsan.

- Niepewność i strach - przekazała.

- Ja za to odpowiadam - odparła Ambalasei z ponurym przekonaniem. - Stanie się to. Nie ma innego sposobu.

Mała Sorogetso, Morawees, podeszła ufnie naprzód, nigdy dotąd nie widziała broni.

Zatrzymała się i uczyniła gest przywitania.

Ambalasei uniosła broń i starannie wycelowała. Potem strzeliła.

Sorogetso stanęła i upadła, legła nieruchomo na ziemi.



## ROZDZIAŁ X

- Za tobą! - ostrzegła Setèssei. - Atakuje!

Ambalasei odwróciła się i ujrzała pędzącego ku niej, krzyczącego wściekle samca. Hèsotsan jest celny jedynie na małą odległość, więc uczona czekała spokojnie, aż napastnik niemal na nią wpadnie. Wtedy broń świsnęła i samiec upadł w krzaki.

- Czy to Eeasassiwi? - zapytała. Setèssei podskoczyła do ciała i odwróciła je, by móc spojrzeć na twarz.

- Tak.

- Dobrze. Poszukajmy reszty. Nikt nie może uciec.

- Bardzo się boję.

- A ja wcale. Mówisz jak silna-uczona czy jak słaba-fargi?

- Lękam się wpływu na ich metabolizm. Nie mamy pewności.

- Mamy. Widziałas przecież, że jednej z nich odrosła noga z załączka Yilanè. Dowiodłam tym podobieństwa genetycznego, jak też skuteczności i niezawodności lekarstwa. Czy nie wstrzyknęłam go tobie, gdy zgłosiłaś się na ochotnika?

- Ochotnika z musu - by powstrzymać cię przed zaaplikowaniem go sobie.

- Dla rozwoju nauki żadna ofiara nie jest zbyt wielka. Wyzdrowiałaś, to i one wyzdrowieją. Ta broń zawiera przekształcony gruczoł, tak iż będą nieprzytomne, lecz nie umrą. Po dodaniu następnego środka przyjdą do siebie, tak jak i ty. Bierz teraz naczynie i ruszaj, by bez ociągania wykonać zadanie.

Nim doszły do wyspy, spotkały i uspiły jeszcze dwie Sorogetso. Przekroczyły pień-kładkę i zagłębiły się między drzewa dalej niż kiedykolwiek dotąd, strzelając do wszystkich, które napotkały. Nie było przed nimi ucieczki. Ambalasei zatrzymała się na chwilę, by załadować broń nowymi strzałkami, potem ruszyły dalej. Po raz pierwszy wkroczyły do obszaru bronionego do tej pory przez Sorogetso. Odnalazły drugi pień-kładkę, o jakim nie miały pojęcia, przebyły go i weszły na dobrze widoczną ścieżkę. Zasłonięte przez drzewa przyglądały się bardzo ciekawej scenie na piaszczystej plaży.

W ciepłej wodzie leżał zanurzony gruby samiec, tylko jego głowa spoczywała na piasku. Obok siedziała mniejsza samica, trzymając zwinięty liść wypełniony srebrzystymi rybkami. To na pewno plaża narodzin, widzę opiekunkę troszczącą się o nieprzytomnego, niosącego jaja samca. Z małą różnicą. Gdy samiec skończył powoli żuć swą porcję, otworzył oczy i wysunął z wody jedną rękę.

- Jeszcze - powiedział.

Setèssei wyraziła zdziwienie-zmieszanie. Nawet Ambalasei cofnęła się w zapierającym dech wstrząsie. To niemożliwe - a jednak prawdziwe. Setèssei przyglądała się jej ze strachem.

- Coś bardzo ważnego! - zawołała. - Czy Ambalasei potrzebuje pomocy-wsparcia?

Uczona szybko doszła do siebie.

- Spokojnie, głupia. Wykorzystuj swój umysł, a nie oczy. Czy rozumiesz znaczenie tego, co widzisz? Wyjaśnia to wszystkie zagadki biologii Sorogetso. Siłę samców i ich pozorną równość z samicami. Masz to tu, przed oczyma. Rozwój naturalny? Bardzo wątpię. Potwierdzają się teraz moje podejrzenia o potajemnych badaniach jakiejś uczonej. Naturalna mutacja nie mogłaby dać takich właśnie wyników.

- Pokorna prośba o wyjaśnienie.

- Pomyśl sama. Samiec jest przytomny. Oznacza to przedłużenie życia wszystkich samców. Przypomnij sobie, jeśli w ogóle o tym wiesz, że ze względu na trudności wyjścia ze stanu śpiączki przeciętnie co trzeci samiec umiera po narodzinach młodych. Teraz to nie jest konieczne, nie jest...

Ambalasei sama zastygła w bezruchu, pograżyła w zamyśleniu, rozważała wszystkie ograniczenia i możliwości nowej sytuacji. Ocknęła się dopiero na widok ruchu, zobaczyła, że opiekunka podała już wszystkie rybki i odeszła. Gdy pokonała plażę i wkroczyła między drzewa, Ambalasei strzeliła do niej. Z wody dobiegły ją niespokojne pytania, które wkrótce umilkły.

- Uwaga na polecenie - powiedziała uczona. - Zostaw tu pojemnik, wrócisz po niego później. Pamiętaj, że gdy tylko strzelę do samca, musisz szybko podbiec i nie pozwolić mu zanurzyć głowy w wodzie. Nie może utonąć. Idziemy.

Przeszły plażę możliwie jak naciśzej. Mający zamknięte oczy samiec chrząknął coś pytająco dopiero wtedy, gdy znalazły się tuż obok. Ambalasei wpakowała mu strzałkę w bogato ukrwioną pierś. Setèssei szybko znalazła się u jego boku, złapała pod pachy. Samiec był tak ciężki, że nie zdołała go wyciągnąć, usiadła więc przy nim, trzymając głowę nad wodą.

- Trzymaj go, póki nie wrócę - rozkazała Ambalasei i poszła do pojemnika. Otworzyła go i wyciągnęła jeden z żywych płaszczy. Był duży i ciepły w dotyku. Wróciwszy na plażę, pomogła Setèssei wyciągnąć samca na piasek i starannie owinęła go płaszczem.

- Udało się - powiedziała, prostując się i rozcierając zmęczone plecy. - Młode są bezpieczne. Niewskazane są zmiany temperatury ciała, stąd też płaszcz zamiast utrzymującej stałą ciepłotę wody. Weź teraz hèsotsan i sprawdź dokładnie, czy nie uchowało się jeszcze jakieś Sorogetso. Potem wróć tu do mnie. Idź.

Ambalasei poczekała, aż jej asystentka zniknie całkowicie z oczu, dopiero potem pochyliła się i odwinęła płaszcz z nóg samca. Lekkim dotknięciem sprawdziła jego nabrzmiałą torbę, potem ostrożnie rozchyliła luźne sakwy i zajrzała do środka.

- O! - zawołała ze zdumieniem, opadając na ogon. - Rozwiązanie dzięki obserwacji. Są tu cztery młode, najwyżej pięć. Zwykle sakwa zawiera od piętnastu do trzydziestu jaj. Wyjaśnienie tego wymaga wielu rozważań. - W jeziorze coś nagle plusnęło i ujrzała na jego powierzchni drobne główki, które się zaraz zanurzyły. - O tym też trzeba pomyśleć. W wodzie jest efenburu młodych. Co z nimi zrobić?

Setèssei po powrocie zastała uczoną pograżoną tak mocno w myślach, że z trudem wyrwała ją ze stanu skupienia. W końcu Ambalasei zareagowała na słowa i ruchy asystentki.

- Pięć jaj zamiast trzydziestu, oto cała różnica. Liczby, liczby.

- Słowa docierają, znaczenia-zrozumienia brakuje.

- Przetrawianie gatunków, w tym rzecz. Nasze samce może tego nie doceniają, lecz ich cierpienia na plażach są niczym wobec interesu gatunku. Czymże jest ich śmierć wobec wylęgnięcia się trzydziestu jaj? Zupełnie się nie liczy. Ale samce Sorogetso noszą jedynie cztery czy pięć jaj. Muszą iść na plażę sześć czy siedem razy, by pojawiło się tyle młodych co przy jednym pójściu u nas. Nic więc dziwnego, że są przytomne i nie zapadają na śpiączkę! Muszą przeżyć, by ten proces mógł się znów powtórzyć. Dzięki temu są równe samicom, może nawet stoją wyżej od nich. Wymaga to znacznie dokładniejszego rozważania i przemyślenia. - Otrząsnęła się ze skupienia i dostrzegła cierpliwie czekającą Setèssei. - Dobrze szukałaś? Nikt się nie uchował?

- Nikt. Poszukam jeszcze raz, z nosem przy samej ziemi, lecz jestem pewna, że wszystkie są nieprzytomne.

- Znakomicie. Wracaj natychmiast do łodzi. Ja pójdę za tobą trochę wolniej. *Zaczniiesz* z kierującą łodzią przenosić Sorogetso na plażę, a ja popłynę uruketo i przyślę wam pomoc. Potem powiem dowodzącej, co trzeba zrobić. Gdy wszystko jej wytłumaczę, z chęcią włączy się do ważnego zadania.

Elem nie tylko nie okazała chęci, lecz zastygła w szoku.

- Brak zrozumienia - powiedziała niewyraźnie ze względu na zeszywnienie ciała. - Mamy zabrać stąd Sorogetso? Dlaczego tego chcą?

- To moje pragnienie, a nie ich. W tej chwili wszystkie są nieprzytomne, tak więc nie potrzeba ich zgody na przeniesienie.

- Nieprzytomne...

- Elem! Niepokoi mnie poplątanie twych myśli, niemożność zrozumienia. Wyjaśniam szczegółowo. Wszystkie Sorogetso są gotowe do zabrania ich stąd. Rozkaż swej załodze, by przyniosła je na uruketo i umieściła bezpiecznie wewnątrz. Rozumiesz? Dobrze. Gdy wszystkie znajdą się na pokładzie, zawieziesz je w górę

rzeki do wybranego przeze mnie miejsca, gdzie nic nie będzie zakłócało ich kultury, wtrącało się w ich tryb życia.

- Wielka Ambalasei, pragnę dalszych wyjaśnień. Czy zabranie ich z naturalnego środowiska nie stanowi poważnego zakłócenia?

- Nie. Po pierwsze nie wierzę, by było to ich naturalnym środowiskiem. Raz już je przeniesiono, więc można to powtórzyć. Co ważniejsze - znajdują się poza zasięgiem zakłóceń, jakie mogą wywołać Córy Rozerwania. Twoje towarzyszkę przyniosły Sorogetso jedynie zło. Nie można dopuścić, by się to powtórzyło. Masz dalsze pytania?

- Wiele...

- No to zachowaj je dla siebie, póki Sorogetso nie znajdą się na pokładzie. To mój rozkaz. Wykonasz go?

Elem zawahała się tylko przez chwilę, nim złączyła kciuki w geście posłuszeństwa wobec władzy i zaczęła wydawać rozkazy załodze.

Załoga, przyzwyczajona do dyscypliny dzięki długiej służbie na uruketo, wzmocnionej obecnie posłuszeństwem dla siódmej zasady Ugunenapsy, zrobiła wszystko, co jej nakazano. W czasie załadunku Ambalasei i Setessei ponownie przeszukały wyspę i okoliczne tereny odwiedzane przez Sorogetso, lecz nikogo nie znalazły. Gdy tylko ostatnie bezwładne ciało znalazło się na pokładzie, Ambalasei kazała dokładnie przeczesać cały teren w poszukiwaniu wszystkich wyrobów Sorogetso i innych należących do nich rzeczy. Znalaziono tykwy na wodę, klatki z trującymi pajakami, błyszczące kamienie w tkanych torbach, jak i inne przedmioty niewiadomego przeznaczenia. Wszystko to zostało również zabrane. Zostawiono legowiska wymoszczone zeschlą trawą; łatwo zrobią sobie nowe. Przed wieczorem uruketo wypłynęło z płycizny i w ślad za skaczącymi enteesenatami ruszyło w górę rzeki. Ambalasei stała na szczycie płetwy, rozkoszując się wytchnieniem po trudach dnia. Była to ciężka, lecz warta wysiłku praca. Usłyszawszy prośbę o uwagę, odwróciła się i ujrzała dowódczynię.

- Dobra robota - pochwaliła ją. - Duży wkład do przyszłego dobrobytu tych prostych stworzeń.

- Jak długo pozostaną w tym stanie?

- Póki nie wstrzyknę im środka rozbudzającego. Nie musisz bać się przemocy czy agresji. Teraz potrzebuję informacji. Czy dzisiejszej nocy postąpićcie jak zawsze? Czy uruketo aż do świtu będzie unosić się na płyciźnie?

- Na rzece zawsze tak robimy.

- Doskonale. Gdy wstanę rano, razem z Setessei pokieruję dalszym rejsem. Nikt inny poza nami nie będzie przebywał na płetwie.

- Nie rozumiem.

Ambalasei przekazała słabość-rozumu.

- Myślałam, że wyraziłam się jasno. Setessei pod moim kierunkiem poprowadzi zwierzę do plaży.

Ponieważ wszystkie odcinki rzeki są do siebie podobne, szczególnie w oczach mało spostrzegawczych Cór tworzących załogę, tylko ja i moja asystentka będziemy wiedziały, gdzie wyładowano Sorogetso. Czy poznasz miejsce lądowania?

- Na pewno, ale...

- W takim razie pozostaniesz w środku. Wiem, dowódczynio, że jesteś opoką siły i dobrą uczoną, ale ja pewnego dnia opuszczę tę część świata, a ty należysz do pilnych wyznawczyń Ugunenapsy. Poproszona w jej imieniu o informacje, na pewno je podasz. Nie mogę tak ryzykować. Nie wolno dopuszczać w przyszłości do żadnych ingerencji w ich życie. Powiedz mi teraz, czy moje instrukcje zostaną wypełnione?

Elem wyraziła sprzeczność pragnień.

- Tak jak ty, wielka Ambalasei, zajmę się nauką. Myśląc jak ty, zgadzam się, że wszystko musi się odbyć tak, jak rozkazałaś. Wierzę jednak również w mądrość Ugunenapsy i muszę pogodzić te dwie sprawy.

- To łatwe. Przypomnij sobie o trzeciej zasadzie Ugunenapsy a zaczniesz myśleć jasno. Czyż nie mówi ona, że duch życia, Efeneleiaa, jest wielką eistaą miasta życia, a my wszystkie jesteśmy jego mieszkankami? Obejmuje to i Sorogetso. Mimo więc przeniesienia ich do nowego, materialnego miasta nad rzeką, pozostaną nadal w większym mieście życia. Zgodnie ze słowami Ugunenapsy. Czy nie mam racji?

Elem nadal się wahała. - Chyba tak, Ugunenapsa na pewno tak powiedziała i dziękuję ci za przypomnienie jej słów. Czuję też pokorę, że choć nie jesteś Córą Życia, to tak dobrze znasz myśli Ugunenapsy, że mnie poprawiasz. Masz oczywiście rację i wykonam twe polecenia.

\* \* \*

Dowodzenie fargi przez Vaintè nie wynikało z jej chęci, lecz stało się czymś oczywistym. Jeśli nawet Velikrei czuła żal za zajęcie jej miejsca przez Vaintè, to zupełnie tego nie okazywała. Wprost przeciwnie, trzymała się jej blisko, wysilała swe niewielkie możliwości, by zrozumieć jej polecenia, przynosiła najsmaczniejsze rybki, patrzyła z zadowoleniem, jak je, sama nie przystępowała do posiłku, nim Vaintè nie zaspokoila głodu. Było to zgodne z przyrodzonym porządkiem. Niektóre wydają rozkazy, inne je wypełniają.

Kierowanie dorosłym efenburu było proste. Jedyłą rzeczą wykonywaną wspólnie było łapanie ryb; to tylko potrafiły robić dobrze. Po wejściu do morza rozpraszaly się, płynąc powoli. Po dostrzeżeniu ławicy przekazywały sobie najprostsze sygnały, powiadamiały też Vaintè. Ta płynęła we wskazanym kierunku sprawdzając, czy ławica jest odpowiednio duża i czy składa się z jadalnych ryb. Jeśli tak, nakazywała gestem atak, a fargi dokonywały go w znany sobie, skuteczny sposób.

Poza łowami nie porozumiewały się z sobą. Piły, gdy czuły pragnienie. Szukały słońca, gdy było im zimno. Leżały na plaży, wygrzewając się jak jaszczurki. Ten widok uspokajał Vaintè, nie zakłócał jej bezmyślnego spokoju.

Cieszyła się z towarzystwa, nawet milczącego. Upływały kolejne, niczym nie różniące się od siebie, nie wymagające myślenia czy uwagi dni. W pobliżu równika czas płynął monotennie. Czasami padało, ale rzadko. Morze pełne było ryb, strumienie słodkiej wody. Życie było proste, bezmyślne.

Fargi nie potrafiły nic więcej. Jeśli w ogóle myślały, co budziło wątpliwości, to na pewno wołały takie życie od zamieszania w mieście i jego ciągłych wymagań.

Jeśli myślała Vaintè, a unikała tego, jak mogła, to jedynie po to, by cieszyć się otoczeniem i towarzystwem.

Po zmierzchu nastawał świt, po świecie zmrok w powolnym, niezmiennym rytmie.

*Alitha hammar ensi igo vezUin  
gedda. Sammad geddar o sammadar  
opapri.*

## POWIEDZENIE TANU

Sarna nie może mieć dwóch głów.  
W sammadzie jest tylko jeden sammadar.

## ROZDZIAŁ XI

Padał deszcz. Obfita tropikalna ulewa spadała bezlitośnie z ołowianego nieba, lak mocno dudniła o naprężone skóry, że mogli porozumiewać się jedynie krzykiem.

- Czy to się kiedyś skończy? - spytała Armun. Zapłakało niemowlę przestraszone błyskawicą; wśród drzew rozległ się grzmot. Armun rozsunała skóry i ululała dziecko.

- To już trzeci dzień - odparł Kerrick. - Nie pamiętam, by kiedykolwiek padało dłużej niż trzy dni z rzędu. Deszcz powinien się dziś skończyć, najdalej jutro. Chmury chyba rzedną.

Spojrzał na Harla suszącego nad ogniskiem mały kawałek sarny. Dym ścielił się nisko po ziemi, podmuch wiatru skierował go na chłopca, aż zaczął on kasłać i wycierać oczy przedramieniem. Siedzący naprzeciw Arnwheet wybuchnął śmiechem, lecz po chwili spotkało to i jego. Ortnar siedział jak zwykle z wyciągniętą przed siebie spuchniętą, bezużyteczną nogą, patrząc markotnym wzrokiem w deszcz. Odkąd przybyli na wyspę, stał się zbyt milczący i zbyt często siedział w ten sposób. Martwiło to Kerricka. Nie miał innych trosk, bo wyspa okazała się dużo lepszym miejscem na obozowisko nad Okrągłym Jeziorem. Można tu było w trzcinach łapać siecią kaczki, polować na sarny i małe murgu o smacznym mięsie. Zabijali wszystkie napotkane duże drapieżniki. Poprzez płytką rzekę ze stałego lądu przybywały nowe, ale nie tak często. Dobrze się tu żyło. Armun odgadła jego myśli, jak to nieraz robiła.

- To dobre obozowisko. Nigdy chyba nie zechcę go porzucić.

- Ani ja. Choć czasami tęsknię za sammadami. Ciekaw jestem, czy nadal przebywają w dolinie Sasku?

- Boję się, czy wszyscy nie zginęli, zabici i zjedzeni przez murgu ze śmiercio-kijami.

- Mówiłem ci nieraz, że żyją i mają się dobrze. - Odsunął kosmyk włosów, który spadł jej na twarz, gdy opuściła wzrok na dziecko, potem przesunął palce ku pięknej rozszczepionej wardze, aż Armun się uśmiechnęła. Łowca nie powinien robić takich rzeczy, zwłaszcza przy innych, tym bardziej to doceniała.

- Nie możesz mieć pewności.

- Jestem pewien. Jak ci tłumaczyłem, murgu nie potrafią kłamać. To ich sposób mówienia, myślenia. To tak, jakbyś wypowiadała na głos każdą myśl, która ci przyjdzie do głowy.

- Nie zrobiłabym tego. Niektórzy ludzie staliby się bardzo nieszczęśliwi - zaśmiała się - a niektórzy bardzo szczęśliwi.

- Rozumiesz więc. Gdy murgu mówią, muszą przekazać wszystkie swoje myśli. Ta, z którą mówiłem, sammadar ich miasta, której dałem nóż z gwiezdneho metalu, obiecała, że powstrzyma walki, wróci do miasta i tam zostanie. Tak powiedziała - a więc tak się stało.

Deszcze powoli ustawały, choć z mokrych drzew nadal skapywała woda. Przed nocą niebo trochę się przejaśniło i między pniami pokazało się zachodzące słońce. Kerrick wstał, przeciągnął się i odetchnął. Jutro będzie pogoda.

Zadowolony, że może wreszcie opuścić ciasny namiot, wziął swą włócznię, hèsotsan i ruszył na w górze wznoszące się za obozowiskiem. Arnwheet zawołał go z tyłu; Kerrick skinął na chłopca. Dobrze było znów się ruszać. Arnwheet szedł obok ze swą maleńką włócznią. Uczył się podchodzenia zwierzyny od Harla i Ortnara, tak iż już teraz, mając zaledwie siedem lat, poruszał się dużo ciszej od ojca. W poszyciu coś zaszeleściło i obaj stanęli. Przedzierało się tam coś małego i Arnwheet rzucił włócznią w tym kierunku.

- Elinou - powiedział. - Widziałem kolory jego pleców, o mało go nie trafiłem!

Pobiegł po włócznię. Elinou, mały, szybki dinozaur, był bardzo smaczny. Arnwheet poznał jego



nazwę od jednego z samców nad jeziorem, określił go więc w yilanè. Jednakże coraz rzadziej używał tego języka, miał po temu mało okazji.

Osiągnęli szczyt i poprzez lagunę patrzyli na małe wysepki leżące wzdłuż wybrzeża. Biały przybój rozbijał się o ich brzegi, na morzu szalał sztorm. Ocean był jak zwykle pusty. Yilanè z miasta chyba nigdy nie pływały wzdłuż brzegu na północ. Zastanawiał się, czy łowczynie znów przybyły nad Okrągłe Jezioro. A jeśli tak, to co się stało z samcami?

- Czy możemy pójść popływać? - zapytał Arnwheet w marbaku, zapomniał już o yilanè.

- Za późno, już niemal noc. Popływamy rano, może uda nam się coś złowić.

- Nie chcę jeść ryb.

- Zjesz - jeśli tylko będą.

Od opuszczenia jeziora rzadko jadali ryby. Może mieli ich przedtem za dużo. Ciągłe myślał o jeziorze i wiedział, dlaczego. Co tam się działo po ich odejściu? Czy wylęgły się młode? Czy Imehai to przeżył? Te myśli zaprzętały mu głowę coraz bardziej. Jeśli Imehai umrze, Nadasko zostanie sam, nie będzie miał z kim rozmawiać. Obaj bardzo lubili mówić, choćby nawet nikogo nie było, woleli jednak mieć słuchaczy. Co się z nimi dzieje?

Wrócili do obozu przed zmrokiem, najedli się i zaczęli się zastanawiać, co robić jutro. Harl przyznał, że pływanie i łowienie to dobry pomysł. Rzadko odzywająca się Darras spytała, czy może iść z nimi.

- Weź ją - powiedział Ortnar. - Armun umie używać śmiercio-kija, moje prawe ramię jest silne. Nic nam tu nie grozi.

Słyszając to, Kerrick podjął decyzję. Wiedział już, co powinien zrobić. Gdy tuż przed snem został sam z Armun, zaczął rozmawiać z nią w mroku.

- Czy wiesz, jak Sasku mierzą upływ czasu? Nie liczą dni. Zamruczała coś na granicy snu.

- Sanone nauczył mnie tego na moją prośbę. Stanowi to tajemną wiedzę mandukto, ale jest dość proste. Nie mogę teraz jak on robić rysunków na piasku, ale liczę księżycy. Od jednej pełni do drugiej mamy jeden okres. To wiele dni. Od opuszczenia przez nas jeziora minęły już trzy pełnie.

Zainteresowały ją nie słowa, lecz to, co się za nimi kryło. Sposób, w jaki je wypowiadał. Poczł, jak zeszywniała.

- Już samtąd odeszliśmy - powiedziała. - Nie ma co o tym mówić. Pora spać.

- Od opuszczenia jeziora zastanawiam się, co tam się dzieje? Była już zupełnie rozbudzona i patrzyła w ciemność, jej myśli wyprzedziły jego słowa.

- Jezioro nie ma znaczenia, może są nad nim murgu. Musisz zapomnieć o tych dwóch. Nigdy już ich nie zobaczysz.

- Martwię się o nich, nie pojmujesz tego? Wiem, że dla ciebie to tylko dwa murgu więcej, najlepiej, gdyby zginęli...

- Żałuję, że tak o nich mówiłam. Staram się teraz zrozumieć, co do nich czujesz. Staram się wyobrazić cię żyjącego wśród murgu. Nie znam tego uczucia, ale chyba pojmuję, że możesz lubić niektóre murgu, zwłaszcza te dwa.

Kerrick objął ją. Nigdy dotąd tak nie mówiła.

- Jeśli rozumiesz, to wiesz, że muszę sprawdzić, co się tam dzieje. - Poczł, jak wierci się w jego ramionach, potem go odpycha.

- Nie wracaj tam. Proszę. Wiem, co do nich czujesz, ale dla mnie nic nie znaczą. Zostań tutaj.

- Porozmawiamy kiedy indziej.

- Nie, teraz. Wrócisz do nich?

- Tylko po to, by zobaczyć, jak tam jest. Będę ostrożny, to tylko kilka dni drogi stąd. Będiesz tu

bezpieczna.

Armun odwróciła się do niego plecami i odsunęła w bok, przestała słuchać. Oboje długo jeszcze czekali na sen.

Miała rację, już się namyślił. Następnego dnia w milczeniu zapakowała trochę wędzonego mięsa i korzeni przypieczonych w popiołach. Ortnar uważał to wszystko za wielki błąd.

- Jezioro to nic. Odeszliśmy stamtąd, nie ma po co wracać. Może tam być teraz więcej murgu. To pułapka.

- Znasz moje powody, Ortnarze. Odchodzę. Tylko na kilka dni. Pilnuj sammadu, gdy mnie nie będzie.

- Jest ze mnie tylko połowa łowcy...

- Twe prawe ramię potrafi rzucać włócznią jak zawsze, jej grot jest nadal ostry. Z Harla większy łowca niż ze mnie, Armun potrafi używać śmiercio-kija równie dobrze jak ja. Poradzicie sobie beze mnie. Zrobisz to dla mnie?

Kerrick przyjął chrząknięcie za zgodę i przed drogą obwiązał stopy mocnymi skórami. Armun milczała cały czas, odpowiadając jedynie na pytania. Zachowywała się tak, odkąd postanowił wrócić nad jezioro. Nie chciał zostawiać jej rozgniewanej, ale nie miał wyboru. Zdziwił się, gdy zawołała go, gdy już odchodził.

- Idź ostrożnie, wracaj bezpiecznie.

- Czy wiesz, dlaczego muszę to zrobić?

- Nie. Wiem tylko, że musisz. Poszłabym z tobą, ale nie mogę zabrać dziecka. Wracaj szybko.

- Wrócę. Nie martw się.

Harl przeprawił się z nim przez rzekę na tratwie zrobionej z grubych pni powiązanych lianami. Wróci nią i ukryje wśród drzew. Nic nie mówił, pożegnał się tylko uniesieniem ręki. Kerrick wszedł między drzewa z uniesionym hesotsanem.

Po osiągnięciu szerokiego szlaku, nadal pokrytego głębokimi śladami po przejściu sammadów, skręcił na południe, potem stanął i rozejrzał się wokół. Nie czuł się tak swobodnie w lesie, jak wyrosli w nim Tanu. Może nawet przegapić złamaną gałąź, którą Ortnar zaznaczył ścieżkę. Odłożył hesotsan i krzemienym nożem wyciął kawałek kory z najbliższego drzewa. Potem rozejrzał się dokładnie po puszczy, starając się zapamiętać wygląd tego miejsca, by mógł je odnaleźć w drodze powrotnej. Wreszcie wziął broń, odwrócił się i ruszył szlakiem.

Droga znad jeziora zabrała im wiele dni, musieli iść wolno ze względu na Ortnara. Sam mógł posuwać się znacznie szybciej. Trzeciego dnia opuścił poryty szlak i wszedł na znajomą ścieżkę prowadzącą do Okrągłego Jeziora. Często polował w tych lasach, znał je dobrze. Zbliżając się do obozowiska, zboczył z drogi, podszedł do jeziora w pobliżu miejsca, gdzie kiedyś stały ich namioty. Posuwał się coraz wolniej, ostatni odcinek pokonał na brzuchu, kryjąc się pod osłoną krzewów. Miejsce po ich obozowisku było puste i już zarosło, jedyną oznaką przebywania tu ludzi był czarny ślad po ognisku. Ukryty za wielkim drzewem przyglądał się szałasowi samców.

Coś poruszyło się przy brzegu, uniósł hesotsan. Zobaczył odwróconego plecami Yilanè. Czekał, aż wyprostuje się i obróci.

To na pewno Nadaske. Miał już do niego zawołać, lecz się rozmyślił. Czy jest sam? Może ktoś jeszcze gdzieś się kryje? Wydawało się, że nic mu nie grozi. Zobaczył, jak Nadaske podszedł do brzegu i pochylił nad spoczywającym w wodzie ciemnym kształtem. To może być tylko Imehei - a więc żyje! Poczul nagle wielką radość, wyszedł na polanę i zawołał.

Nadaske odwrócił się, pobiegł do szałasu i wyszedł z niego z uniesionym, gotowym do strzału hesotsanem. Kerrick stanął tak, by być widocznym.

- Powitanie wielkiemu łowcy, zabójcy wszystkiego, co waży się ruszać w lesie.

Nadaske stał jak wyrzeźbiony w kamieniu, z uniesionym nadal hesotsanem czekał, aż Kerrick podejdzie bliżej. Dopiero wtedy opuścił broń i przemówił:

- Radość po wielokroć. Obecność niespodziewanie przewidywana. Brak rozmów uczynił mnie yiliebe. Wróciłeś.

- Oczywiście - Kerrick wskazał kciukiem na Imehei w geście pytania.

- Pozostał bez zmian. Jaja pękły.

- Nie rozumiem. Czy jaja zginęły?

- Zapomniałem o swej niewiedzy, że ustuzou nie znajdują się na tych sprawach. Po złożeniu jej w torbie mija pewien czas. Potem jaja pękają, wychodzą z nich elininyil i żyją w tej samej torbie, żywiąc się pewnymi gruczołami. Gdy dostatecznie urosną, wyjdą z torby i zaczną pływać w jeziorze, wtedy będzie wiadomo, co z Imehei.

- Wątpliwości-co-do-pełnego-zrozumienia.

Nadaske spojrział na wodę, na swego nieruchomego, milczącego przyjaciela. Uczynił znak życia i śmierci, równości i przeciwieństwa.

- Pozostanie w tym stanie, póki nie wyjdą młode. Wtedy będzie żył albo umrze. Możemy tylko czekać. To już niedługo. Już się trochę ruszają, możesz zobaczyć.

Kerrick spojrział na ruchy pod skórą, potem odwrócił wzrok od nieprzytomnej postaci w jeziorze.

- Kiedy to się stanie?

- Nie wiem. Dziś, jutro, za kilka dni. Nie pamiętam, jak było ze mną. - Zobaczył pytające ruchy Kerricka. - Tak, byłem na plaży. Raz. W hanalè mawiają, że za pierwszym razem można przeżyć, za drugim możesz umrzeć, za trzecim jesteś martwy. Imehei ma to po raz pierwszy. Są duże podstawy do nadziei.

Nie miał po co rozpalać wieczorem ogniska, chyba, że dla odpędzenia owadów. Powietrze było ciepłe jak zawsze, a Kerrick jadł już wcześniej surowe ryby. Ponadto Nadaske nie lubił woni dymu. Jedli i rozmawiali, aż zrobiło się za ciemno, nawet do wieczornej mowy. Spali obok siebie w szałasie wyhodowanym i ukształtowanym przez samców. Przypominał bardziej komory sypialne Yilanè niż namiot Tanu i nie wiadomo, dlaczego Kerrick chrapał głośno.

Rano surowa ryba nie wyglądała już tak apetycznie. Kerrick wziął hèsotsan i poszedł wzdłuż jeziora do zagajnika drzew owocowych. Gdy wrócił, Nadaske właśnie karmił Imehei, potem, gdy ten poruszył się niespokojnie, przesunął go w wodzie, by leżał wygodniej.

- Czy stanie się to dzisiaj? - zapytał Kerrick.

- Dziś, kiedyś, ale stanie się na pewno.

Na pytanie uzyskał tylko taką, bardzo niewystarczającą odpowiedź. Jeśli tu zostanie, to na jak długo? Obiecał szybki powrót, ale jak szybki! Nadal uważał Nadaske i Imehei za część swego sammadu, podobnie jak Tanu, im także winien był lojalność. Tamtym na wyspie nic nie zagraża. Jeśli ma jakieś obowiązki, to tu, nad jeziorem.

Łatwo to było mówić, ale z jednego dnia zrobiły się dwa, potem trzy. Czwartego Kerrick poczuł, że nadeszła pora powrotu na wyspę. Powiedział Armun, że nie będzie go tylko kilka dni, wkrótce upłynie wyznaczona pora. Jeszcze tylko jeden dzień, a będzie musiał odejść, może wróci tu później. Oznaczałoby to następną wyprawę, oddalenie się od wyspy na jeszcze dłużej.

- Bez zmian - rzekł Nadaske następnego ranka w odpowiedzi na jego nie wypowiedziane pytanie.

- Przyda się nam chyba świeże mięso. Na pewno tak jak ja masz już dość ryb. - Nadaske odpowiedział kontrolerom wielokrotnego wzmocnienia potwierdzenia. - Tak sędzę. Widziałem sarnę dalej nad jeziorem. Przyniosę ją.

Nie tylko świeżego mięsa mu brakowało. Chciał na pewien czas oddalić się od plaży. Widok Imehei, zawieszzonego między życiem a śmiercią, sprawiał mu wielką przykrość. To ostatni dzień. Jeśli nic się nie zdarzy, rano odejdzie.

Po podjęciu tej decyzji zajął się łowami. Nie wziął z sobą łuku, nigdy nie nauczył się skutecznie nim polować, wolał posługiwać się hèsotsanem. Wymagało to lepszego podchodzenia zwierzyny, bo była to broń mniej celna od łuku, ale za to zapewniała, że zraniona źle wycelowaną strzałą zwierzyna nie ucieknie. Zataczając duże koło wśród drzew, zaszedł stadko pod wiatr. Dostrzeżono go jednak i sarny szybko zniknęły mu z oczu. Lepiej poszczęściło mu się przy następnym stadzie, zdołał powalić małego koziołka.

Nadaske nie znosił ognia, nienawidził zapachu dymu. Jeśli chce upiec dla siebie kawałek, musi to uczynić z dala od brzegu. Najlepiej będzie, jak roznieci ogień tutaj i zje część mięsa, a resztę zanieśe samcom.

Zbieranie chrustu, a potem rozpalanie ognia przy pomocy krzemienia zajęło mu trochę czasu, podobnie jak pieczenie nad ogniskiem tylnej nogi. Mięso było twarde, lecz smaczne i zjadł wszystko, zostawiając tylko kość. Było już dość późno, gdy zasypał resztki ogniska, zarzucił zdobycz na ramię i wrócił nad jezioro.

Idąc brzegiem, krzyknął głośno prośbę o uwagę. Powtórzył ją, gdy Nadaske nie odpowiedział. Było to do niego niepodobne. Czy coś się stało? Opuścił sarnę na ziemię i wszedł między krzewy. Ostrożnie, cicho, z trzymanym przed sobą hesotsanem posuwał się między drzewami w stronę szałasów. Jeśli łowczynie Yilanè znalazły obozowisko, chciał strzelić do nich pierwszy. Nad brzegiem zwieszał się duży świerk, chowając się za nim, ostrożnie wysunął głowę.

Stało się coś strasznego. Nadaske siedział na piasku, pochylony, z opuszczonymi bezwładnie rękoma. Wyciągnięty na brzeg Imehei leżał na piasku nieruchomo, z otwartymi ustami. Martwy. Plażę pokrywało wiele krwi i małe ciała.

Gdy Kerrick wyszedł z ukrycia, wydając odgłos zapytania, Nadaske zwrócił ku niemu puste oczy. Kosztowało go to wiele wysiłku, ale wreszcie zdołał przemówić:

- Wyszły. Zmarł. Po wszystkim. Mój przyjaciel nie żyje. Nie żyje.

Zbliżywszy się, Kerrick ujrzał, że drobne ciała należały do Yilanè. Nadaske dostrzegł, na co patrzy, i skoczył na nogi. Kłapał zębami, mocno i ciągle, aż po szyi pociekła mu ślina. Każdy jego ruch, każde słowo pełne było cierpienia.

- Żyły, a Imehei zmarł. Zabiły go. Patrzyłem, jak rodzą się w wodzie nawet po jego śmierci. Te na brzegu to samice. Zabiłem je. To one, samice, zabiły go. Teraz inne leżą tu martwe. - Wskazał na jezioro i głośno stuknął kciukami o siebie. - Samce zostawiłem. Są tam. Jeśli przeżyją, będą wolne. Uzyskały szansę, jakiej nigdy nie miał Imehei.

Kerrick nie mógł powiedzieć niczego, co mogłoby zmniejszyć ból Nadaske, odwrócić straszne wydarzenia dnia. Wrócił po pozostawioną sarnę.

W mieście ciało Imehei zostałoby złożone w jednej z jam grzebalnych, gdzie korzenie specjalnych roślin rozpuściłyby je całe, łącznie z kośćmi, tak, by żywiło miasto, które przedtem karmiło jego. Tutaj mogli jedynie wykopać grób w miękkiej ziemi pod świerkiem stojącym nad obozem i złożyć w nim ciało. Kerrick nakrył ziemię kamieniami, by zwierzęta nie mogły jej rozkopać.

Nadaske nic już tu nie trzymało. Gdy Kerrick wygrzebał się spod skór, samiec z małym owiniętym w liście pakunkiem przyszedł do niego.

- Poniesiesz to za mnie? Wymaga ostrożności w drodze -chronienia przed uszkodzeniem.

Rozchylił pakunek, ukazując drucianą rzeźbę rogatego neniteska. Kerrick wyraził zgodę -podziękowanie za zaufanie, zawinął figurkę i uważnie schował między futra.

- Będę niósł ostrożnie, oddam po osiągnięciu celu.

- No to idziemy.

Słońce ledwo uniosło się nad drzewa, gdy rozpoczęli wędrówkę. Żaden z nich nie obejrzał się na pustą plażę.

## ROZDZIAŁ XII

- Dużo tu ryb - powiedział Kellimans, grzebiąc kijem w ognisku.
- Pełno ich wszędzie w całym oceanie - odparł ostro Herilak, starając się powściągnąć gniew.
- A czy będziesz mógł tu łowić w zimie, gdy śmiercio-kije zdechną od mrozu? Wtedy będziesz musiał stąd odejść. Lepiej zrobić to teraz.

- Odejdziemy, gdy zasną się mrozy - powiedział Har-Havola.
- Zgadza się z Kellimansem. A łowić ryby można i w rzece, nie tylko w oceanie.
- Skoro tak lubisz ryby, to powinieneś pływać z nimi w morzu!
- warknął Herilak. - Jesteśmy łowcami, a nie rybojadami...
- Zwierzyny też tu nie brakuje.
- Uważam, że lepiej poluje się na południu - zawołał Hanath.
- Kerrick zrobił coś dla nas.

- Ocalił nam życie - dodał Morgil. - Pójdziemy z Herilakiem, jeśli zacznie go szukać.

- Idź! Nikomu nie jesteś potrzebny - stwierdził Kellimans z pogardą. - Ukradłeś porro mandukto, to wszystko przez ciebie. Jest wielu takich, którzy cieszą się, widząc twe plecy. Idź z Herilakiem. Ja tu zostanę. Nie ma powodu, by odejść.

- Jest. - Herilak skoczył na nogi i wskazał na południe. - Czy ktoś zaprzeczy, że żyjący gdzieś Kerrick ocalił nam życie, każdemu bez wyjątku? - Szarpnął mocno zawieszony na szyi nóż, aż zerwał się sznurek. Rzucił go pod nogi sammadarów. - Murgu oddały nam go. Kerrick zawsze nosił ten nóż z gwiazdowego metalu. To wiadomość dla nas. Mówi, że zmusił ich do przerywania wojny. Przesłał go przez murgu jako znak zwycięstwa. Zakończyły atak i odeszły. Zmusił je do tego. Czy ktoś zarzuci mi kłamstwo?

- Spojrzał przez ogień na sammadarów, którzy kiwaniem potwierdzili jego słowa. Rozejrzał się po słuchających w milczeniu łowcach i kobietach. - Wszyscy wiemy, że to prawda. Twierdę, że musimy iść na południe, by tam szukać Kerricka, zobaczyć, czy żyje, czy możemy mu pomóc.

- Jeśli żyje, nie potrzebuje pomocy - powiedział Kellimans, rozległy się pomruki potwierdzenia. - Herilaku, Kerrick był w twoim sammadzie i szukaj go, jeśli musisz. My zrobimy to, co zechcemy.

- A chcemy tu zostać - dodał Harl-Havola.

- Wszyscy macie kości jak meduzy, serca z błota.

Herilak wziął nóż z gwiazdowego metalu i ujrzał podchodzącą do ogniska Merrith. Spojrzała na zebranych z rękoma na biodrach, ogniem w oczach.

- Jesteście małymi chłopczykami, którzy najpierw się chwają, a potem siusiają ze strachu. Czemu nie mówicie tego, co naprawdę myślicie? Boicie się zbliżyć do murgu. Dlatego zapominacie o Kerricku i żrecie ryby. Oby wasze tharmy potonęły w oceanie i nie ujrzały nigdy gwiazd!

Odpowiedziały jej jeszcze bardziej gniewne krzyki.

- Nie powinnaś była tak mówić. Nie o tharmach - powiedział Herilak.

- Powiedziałam i nie cofnę tych słów. Skoro łowcy uważają, że my, głupie baby, nie mamy tharmów, nie muszę się o nie martwić. Odchodzisz rano?

- Tak.

- Ze swoim sammadem?

- Tak. Rozmawialiśmy o tym i pójdę na południe.

- Nawet twoje mastodonty są mądrzejsze od tych sammadarów. Pójdę z wami.

Herilak kiwnął głową w podziękowaniu.

- Pójdziesz. Chętnie widzę przy sobie jeszcze jednego silnego łowcę.

- Łowcę i kobietę, sammadarze. Nie zapomnij o tym. Przy ognisku powiedziano już wszystko, co było do powiedzenia. Merrith opuściła je i mijając ciemne pagórki namiotów, poszła na pastwisko mastodontów. Jej stara samica, Dooha, uniosła trąbę i zamruczała na powitanie. Merrith poklepała jej kudłatą skórę.

- Wiem, że nie lubisz chodzić po ciemku, ale to niedaleko. Uspokój się.

Merrith zdecydowała się na długo przed zebraniem przy ognisku. Złożyła swój namiot, przywiązała go z całą resztą dobytku do włóków, które teraz przymocowała do mastodonta. Dooha trąbiła skarżąc się, lecz pozwoliła się prowadzić. Gdy tylko Herilak postanowił odejść, Merrith zaczęła przygotowania do drogi. Niech reszta sammadów zostanie nad rzeką i zacznie tyć od tłustych ryb. Ona wyruszy na południe z sammadem Herilaka. Dobrze znowu wędrować, a ponadto lubiła Malagen.

O nikogo innego nie dbała, a nikt nie dbał o nią. Zostawiwszy włoki za namiotami i przywiązawszy Doohę do drzewa, poszła do ogniska Herilaka. Malagen przywitała ją uśmiechem.

- Idziesz z nami!

- Tak. To miejsce śmierdzi rybami.

Malagen nachyliła się i szepnęła: - Nie ty jedna, alladjex Fraken idzie także. To bardzo dobrze.

Merrith prychnęła głośno. - Stary Fraken to zawada. Dość już objadał innych.

- Przecież to alladjex - powiedziała wstrząśnięta Malagen. - Potrzebujemy go.

- Na co nam ten gaduła? Zapomniałam więcej tajników leczenia, niż on znał kiedykolwiek. Nie myl go z mandukto Sasku. Tamci mają przynajmniej trochę rozumu i władzy. Fraken jest za stary i za głupi. Wkrótce umrze i chłopiec-bez-imienia zajmie jego miejsce.

- Nie wierzysz, że Fraken potrafi ujrzeć przyszłość w wypluwkach sów?

- Niektórzy tak mówią. Mało ufam skórkom i kościom wypluwanych myszy. I bez nich potrafię przewidzieć, co będzie.

- Naprawdę?

- Pokażę ci. Nivoth jeszcze o tym nie mówił, ale już niedługo odejdzie z tego sammadu.

- Niech Kadair zawsze cię prowadzi! - Oczy Malagen rozszerzyły się w świetle ognia. - Nie było cię tu, nie mogłaś tego widzieć, ale Nivoth dopiero co zabrał swój namiot.

Merrith roześmiała się głośno i klepnęła po udzie.

- Wiedziałam. Ale można to było przewidzieć przy odrobinie rozumu. Jeśli wybierzemy się na poszukiwanie Kerricka, to może znajdziemy przy nim Armun. Kiedyś powaliła Nivotha na ziemię, złamała mu nos, dlatego jest taki krzywy. Nie chce się z nią spotkać. Bardzo dobrze, że tu zostaje.

- Wiesz wszystko o sammadach. Musisz mi opowiedzieć.

- Nie wszystko, ale dość dużo.

- Rozbijesz tu namiot?

- Nie dzisiaj. Leży zwinięty na włókach, gotowy do drogi.

- Możesz spać w moim namiocie.

- Nie, to namiot twojego łowcy, Newasfara. W namiocie może być tylko jedna kobieta. Położę się przy ognisku. Robiłam to nieraz.

Do rana z ogniska zostały tylko zimne popioły, lecz noc była ciepła. Merrith leżała owinięta w futra, gdy pierwsza czerwona zapowiedź świtu zaćmiła nad oceanem gwiazdą poranną. Wstała i przywiązała drągi włóków na długo, nim inni wyszli z namiotów.

- Niedaleko dziś zajdziemy, Herilaku, skoro śpisz do południa

- powiedziała do sammadara, który wyszedł z namiotu i wciągał głęboko powietrze.

- Twój jęczyczek z samego rana to nie najlepsze powitanie dnia - jęknął.

- Mówi tylko prawdę, wielki sammadarze. Czy rzeczywiście stary Fraken przyłączył się do nas? Nigdy zbytnio nie kochał Kerricka.

- Kocha ciepło. Boi się tu zostać na zimę.

- To mogę zrozumieć. Jak daleko pójdziemy?

- Dziś staniemy nad rzeczką, gdzie zatrzymaliśmy się ostatnio. Jeśli chodzi ci o to, gdzie będziemy szukać Kerricka, to powędrujemy tak daleko na południe, jak okaże się to konieczne.

- Do miasta murgu?

- Jeśli będzie trzeba. Jest tam gdzieś.

- Dawno już mnie tam nie było - powiedział Kerrick, ścisząc głos, by nie okazać gniewu.

- Nie o to chodzi - odparła Armun. - Jesteś łowcą, a łowca wędruje, gdzie chce. Możesz tam chodzić codziennie, ale Arnwheet zostanie ze mną.

Ze swego miejsca w cieniu wielkiego dębu Kerrick widział polanę, a za nią wodę. Wyspa okazała się bardzo dobrym miejscem. Oba namioty kryły się wśród drzew, obok płynął potok z świeżą wodą. Nie brakowało zwierzyny, kaczek, ryb ani jagód. Armun i Darras przynosiły pełne kosze korzonków i grzybów. Wszyscy dobrze się czuli, nawet mrukliwy Ortnar, dzieci rosły. Jediną troską Armun był Nadaske; nie przestawała o nim myśleć, widziała go wszędzie, choć nigdy się nie pojawiał. Był jak ciągle zdrapywany, nie mogący się zagoić strup.

- Chłopcu nic nie grozi z jego strony - tłumaczył cierpliwie Kerrick, nie po raz pierwszy. - Sam chce iść. - Spojrzał na Arnwheeta siedzącego obok Harla. Uciekł, gdy tylko rodzice zaczęli sprzeczkę. Armun również na niego popatrzyła, spróbowała mówić rozsądnie:

- Pomyśl o mnie, a nie o nim. Wyrośnie coś dziwnego, wpół Tanu, wpół murgu. Jak...

- Jak ja? - spytał z goryczą. - Pół czegoś, to wszystko niczego.

- Nie o to mi chodziło, choć może i tak. Sam mówisz, że z ciebie ani dobry murgu, ani dobry łowca. Pozwól jemu zostać dobrym łowcą, tylko o to cię proszę.

- Wyrośnie na wielkiego łowcę, bo nie wychowują go murgu. O to możesz się nie bać. Bardzo jest ważne jednak, by umiał z nimi rozmawiać, znał ich zwyczaje. Dzielimy z nimi ten świat i tylko ja jeden wiem o nich wszystko. Gdy dorośnie Arnwheet, będzie nas dwóch.

Kerrick czuł, że ten argument nie trafia do Armun. Nie po raz pierwszy starał się jej wyjaśnić swe uczucia, by raz na zawsze mogła je zrozumieć. Nie pojmowała ich jednak, może nie była w stanie. Wziął hèsotsan i wstał.

- Idę zobaczyć się z Nadaske. Wrócę przed nocą. - Spojrzała na niego równie uparcie, jak on na nią. - Arnwheet pójdzie ze mną. Nie ma o czym mówić. - Odwrócił się i odszedł szybko, nie chciał słyszeć, co na to odpowie.

- Czy Harl może iść z nami? - zapytał Arnwheet, potrząsając radośnie włącznią.

- Co ty na to, Harl?

- Idziecie łowić ryby czy polować?

- To może później, najpierw jednak porozmawiamy z Nadaske.

- Wy nie rozmawiacie, ale trzęsiecie się i chrząkacie - stwierdził chłopiec w powstrzymany gniewie. - Pójdę sam.

Kerrick patrzył, jak odchodzi. Z każdym dniem coraz mniej było w nim chłopca, coraz więcej łowcy. Za dużo przebywał z Ortnarem, który nasączał go swą goryczą. Powinien rozmawiać z kimś jeszcze. To dobre miejsce, mało tu niebezpieczeństw, dużo jedzenia. A jednak nie brak im trosk. To jego wina, ale nie może niczego zmienić. - Chodźmy do Nadaske. Dawno już z nim nie rozmawialiśmy.

Niebo zaczęło się chmurzyć, zanosiło się na deszcz. Na północy opadają już liście, zbliżają się



pierwsze śniegi. Tu jedynie noce będą chłodniejsze, reszta zostanie bez zmian. Ścieżka wiodła przez mokradła. Miejscami było dość głęboko i Kerrick przebywał tam zielone wody z Arnwheetem na ramionach. Przepłynęli cieśninę na drugą wyspę. Chłopiec denkiem głosem zawołał prośbę-o-uwagę i Nadaske wyszedł im na powitanie ze swego szałas. Okazywał ruchami radość-z-mówienia.

- Dla kogoś słuchającego tylko fal, głosy przyjaciół są jak piosenka.

- Co to jest piosenka? - zapytał Arnwheet, naśladowując ruchy i głos samca przy wymawianiu nowego słowa.

Kerrick zaczął wyjaśniać, lecz przestał. Arnwheet przybył tu, by słuchać i uczyć się języka. Nie zamierzał mu w tym przeszkadzać.

- Nigdy nie słyszałeś piosenek? Może, rzeczywiście, nigdy ci nie śpiewałem. Pamiętam jedną, którą często nucił Esetta.

Zaśpiewał chrapliwie, głosem zmienionym przez wspomnienie:

Za młodu poszedłem raz na plażę,  
udało mi się wrócić.  
Już niemłody pójdę drugi raz,  
czy jednak wrócę?  
Nie, za trzecim...

Nadaske umilkł nagle, siedział nieruchomo wpatrzony w wodę, lecz widział tylko przeszłość.

Kerrick słyszał już tę piosenkę, było to w hanalè, gdzie więziono samców. Wtedy jej nie rozumiał. Teraz wiedział wszystko o umieraniu na plażach.

- Czy ktoś poszedł pływać i utonął? - zapytał Arnwheet poruszony smutkiem pieśni, której nie rozumiał. Nadaske spojrział na niego jednym okiem, lecz nic nie powiedział.

- Czy jesteś najedzony? - zapytał Kerrick. - Jeśli masz dość ryb, mogę ci przynieść mięsa... - Umilkł, widząc, że Nadaske go nie słucha.

Arnwheet podbiegł do Nadaske i szarpnął go za kciuk.

- Nie skończysz piosenki?

Nadaske spojrział na chłopca i wyraził niemożność.

- To bardzo ponura piosenka, nie powinienem jej śpiewać. - Ostrożnie oswobodził kciuk i spojrział na Kerricka. - Odkąd tu jestem, coraz mi smutniej. Co ze mną będzie? Czemu tu jestem? - Znużenie zmieniło jego ruchy, ale i tak rozumieli jasno, co mówi.

- Jesteś tu, bo jesteśmy efenselè i tu cię przyprowadziłem - powiedział zmartwiony Kerrick. - Nie mogłeś tam zostać.

- Może powinienem. Może lepiej by było, gdybym nie przeżył Imehi. Dwóch to coś. Jeden to nic.

- Jesteśmy tu, Nadaske. Jesteśmy teraz twoim efenburu. Arnwheet musi się jeszcze wiele uczyć, a tylko ty możesz być jego nauczycielem.

Nadaske poruszył się, zastanowił, a gdy odpowiedział, w jego głosie nie było już aż tak wielkiego smutku.

- Powiedziałaś prawdę. To bardzo małe efenburu, liczące tylko nas trzech, ale lepsze-liczniejsze od zostania samemu. Pomyślę mocniej i przypomnę sobie lepszą piosenkę. Musi być taka. Poruszał ciałem, myśląc o znanych sobie piosenkach, szukając jakiejś odpowiedniej.

*efendasi 'esekeistaa*  
*belekefeneleiaa, deenkè deedasorog*  
*beleksorop eedeminsu\**

### TRZECIA ZASADA UGUNENAPSY

Duch życia, Efeneleiaa, jest  
najwyższą Eistaą Miasta Życia,  
którego mieszkańcami jesteśmy  
wszyscy.

## ROZDZIAŁ XIII

Idąc słonecznymi korytarzami pomiędzy wysokimi drzewami, Enge czuła wielki spokój i więź z otoczeniem. Trudy jej życia stały się przeszłością, dalekimi wspomnieniami okrucieństwa i śmierci. Teraźniejszość była ciepła i jasna, podobnie zapowiadała się przyszłość. Gdy wkraczała do ambesed, myśli te były wprost z jej kroków i ruchów. Inne dostrzegły to z zadowoleniem.

- Podziel się z nami myślami - poprosiła Satsat - bo widać, że są pogodne.

- Zwyczajne, proste. Mnie grzało słońce, niech was - moje wspomnienia. Patrząc na miasto, zrozumiałam, jak długą drogę przebyłyśmy. Pomyślcie o tym i podzielcie mą radość. Najpierw była Ugunenapsa, samotna wśród innych. Od niej się zaczęło, jej Osiem Zasad zmieniło świat. Potem kilka spośród nas uwierzyło w jej myśli i zostało skazanych za swe poglądy. Zmarło wiele naszych sióstr, wydawało się wtedy, że wszystkie nas czeka ten sam los. Nigdy jednak nie utraciłyśmy wiary w Ugunenapsę i oto zamieszkujemy świat stworzony według naszych przekonań. Otacza nas miasto piękna, pracujemy zgodnie, pragnące naszej śmierci zostały daleko, nic o nas nie wiedzą. Zgromadziwszy się tu, by czcić nasze poglądy, widzimy wokół dowody słuszności wiary. Tkwimy między kciukami Ugunenapsy i daje to nam pokój ducha.

Jak wszystkie inne spojrzała w stronę miejsca eistai i uniosła złączone kciuki.

- Tkwimy między jej kciukami - powiedziała, a wszystkie powtórzyły ten gest.

Ta uroczystość narodziła się w sposób naturalny i dawała im wielką przyjemność. Wybrane dla kierowania sprawami miasta spotykały się każdego ranka w ambesed, by omawiać zadania dnia. Było to bardzo naturalne postępowanie, bo taki był niezmienny zwyczaj wszystkich miast Yilanè. Gromadziły się przed miejscem eistai, mimo iż pozostawało puste. Ktoś wspomniał o tym, o wygrzonym przez słońce korzeniu, a Enge w nagłym natchnieniu stwierdziła, że nie jest ono puste, bo zajmuje je Ugunenapsa. Efeneleiaa, duch życia, była eistaą nowego miasta i rządziła nim niewidoczna z ambesed. Odtąd gromadząc się przed pustym korzeniem, czerpały z niego siłę, bo wiedziały, że wcale nie jest pusty.

Spokój tej radosnej, choć prostej uroczystości został zakłócony prośbą Far< o uwagę. Nim powiedziała coś więcej, wtrąciła się Elem.

- Ważna sprawa, konieczność-pierwszeństwa-w-mówieniu. Uruketo jest głodne. Muszę zabrać je na kilka dni na ocean, by tam się najadło.

- Zrób to dzisiaj, gdy tylko stąd wyjdiesz - powiedziała Enge.

- Sprawa równie ważna - stwierdziła Far< - należy ją rozważyć przed odpłynięciem uruketo.

- Nie - odparła Elem bardzo stanowczo. - Najważniejsze jest bezpieczeństwo i zdrowie zwierzęcia, to pierwszeństwo nie podlega dyskusji.

- Znakomicie powiedziane, mądrze - stwierdziła Ambalasei, podchodząc do nich powoli. - Często byłam tu świadkiem, jak

skłonność do gadania przeważała nad konkretną rzeczywistością życia.

Minęła zgromadzenie i rozsiadła się wygodnie na miejscu eistai, opierając się o wygrzane drzewo. Jeśli nawet zauważyła zmieszane pomruki Cór, to je zlekceważyła. Wiedziała o powszechnym wierzeniu, dlatego cieszyło ją, że siedzi na kolanach niewidocznej Ugunenapsy.

- Chciałam mówić o tej niewiernej - powiedziała Far< z kontrolerami niesmaku.

Te śmiałe słowa wywołały milczenie wstrząśniętych Yilanè, a pierś Ambalasei zadrgała i zapłonęła. Nim jednak odpowiedziała, wtrąciła się Elem, pragnąc zapobiec kolejnemu pojedynkowi woli.

- Ambalasei wyhodowała to miasto, nosi ono jej imię. Nie masz powodu mówić o niej tak

obraźliwie.

- Wielki powód - odparła Far< bardzo brutalnie. - Bardzo dużo nad tym myślałam, wiezcie więc, że nie mówię pod wpływem impulsu. Jak podczas deszczu nie raduje nas wczorajszego słońce, tak i nie chwalcmy wczorajszych zwycięstw w obliczu jutrzejszych klęsk.

- Jeśli za tymi sprzecznościami kryje się ziarno rozsądku, ukaż je nam - powiedziała Ambalasei z kontrolerami jeszcze większej zniewagi. - Choć bardzo w to wątpię.

- Mówisz prawdę, wspominając o wątpieniu - ogromne oczy Far< płonęły mocnym uczuciem. - Jesteś wielkim niedowiarkiem. Siedzisz na miejscu Ugunenapsy, byśmy uwierzyły, żeś od niej wyższa, tak nie jest. Sprzeciwiasz się jej woli. Zabrałaś stąd Sorogetso, naszą przyszłość.

- Córo Swarów, Sorogetso nie są waszymi siostrami i nigdy nie będą.

- Nie są teraz - lecz w nich nasza nadzieja. Ich przyszłe efenburu elininył stałoby się córami naszej przyszłości. Przeszkodziłaś temu...

- To pierwsze prawdziwe słowa, jakie wypowiedziałaś!

- Nie może tak zostać. Muszą tu wrócić. Rozmawiałam z załogą uruketo, nikt nie zna miejsca wysadzenia Sorogetso. Musisz nam je wskazać.

- Nigdy!

- Skazujesz nas w ten sposób na śmierć. Ten krzyk bólu wywołał pełne grozy milczenie, jedynie Ambalasei nie poruszyła moc uczuć Far<, wyraziła tylko swój niesmak.

- Ninperedapso, mamy już dość twego zuchwalstwa i bezczelności. Zostaw nas.

- Nie, bo nie możesz mi rozkazywać. Nie unikniesz tak łatwo skutków swych złych czynów. Mówiłam o śmierci i upieram się przy tym. Wszystkie umrzemy, jak muszą umrzeć wszystkie stworzenia, ale ze śmiercią ostatnich spośród nas zginie i to miasto, a z nim słowa i pamięć Ugunenapsy. Niszczysz nas wszystkie. Zabierasz nam przyszłość.

- Mocne słowa jak na kogoś tak wątpiego. - Gniew Ambalasei już minął. Ten pojedynek na wole zaczął ją bawić, ostatnio żyła zbyt spokojnie. - To Ugunenapsa sprawiła, że nadchodzi kres Cór Życia, bo nie dała im Braci. Nie mnie należy winić za braki waszej filozofii. Ukaż mi, która z Ośmiu Zasad dopuszcza hodowlę Sorogetso do waszych potrzeb, a chętnie uznam, iż błędziłam.

Far< zaczynała już odpowiadać, gdy wystąpiła Enge i stanęła między nimi.

- Ja powiem. Choć sposób mówienia Far< sprawia mi wielką przykrość, to dziękuję jej za przypomnienie o tym wielkim kłopotcie. Dziękuję też wielkiej Ambalasei za przypomnienie, iż rozwiązanie musi tkwić w słowach Ugunenapsy, bo tak jest w istocie. Jeśli go tam nie znajdziemy, to problem okaże się naprawdę nierozwiązywalny. Nie wierzę w to. Mądrość i olśnienie, które zrodziły Osiem Zasad, muszą rozstrzygnąć o ich przyszłości. Jeśli poszukamy, znajdziemy odpowiedź.

- Szukałam i znalazłam - powiedziała Far<. - Prosiłam Ambalasei, by pomogła nam ocalić życie. Ona jednak jest zwiastunką śmierci i nie chce pomagać. Dlatego odwróćmy się od niej ku Ugunenapsie, bo tylko ona ma rację. Poświęćmy nasze myśli Ośmiu Zasadom. Córy Życia, spoczywa na nas obowiązek pomagania innym w poznaniu Ducha Życia i prawdy o istnieniu.

Musimy zrobić to, co czyniliśmy w przeszłości, rozejść się do miast Yilanè i mówić o znanej nam prawdzie.

- I napotkać śmierć, na którą po stokroć zasługujecie - wtrąciła się Ambalasei, jej ruchy były równie chłodne co słowa. - Nazywacie mnie zbawicielką, bo wyrwałam was z więzów i dałam miasto, w którym możecie żyć bez groźby śmierci za swą wiarę. Jeśli chcecie je porzucić, zróbcie wedle swej woli. Pragnę tylko, by jako pierwsza poszła Ninperedapsa, czyli przeszkadzająca, poprzednio nazywana Far<.

Far< wyprostowała swą szczupłą postać i wyraziła zgodę.

- Uczynię to. - Zwróciła się do Elem z gestem pytania. - Czy zabierzesz mnie do brzegów z miastami Yilanè, bym mogła tam ogłosić prawdy Ugunenapsy? Czy zabierzesz ze mną inne, pragnące tego samego?

Pełna niepokoju i niepewności Elem wahała się chwilę, potem zwróciła się o radę do Enge. Jak zawsze przyjęła ona na siebie brzemień odpowiedzialności.

- Tej prośby nie można odrzucić - ani też od razu na nią przystać. Musimy się naradzić i zastanowić...

- Dlaczego? - wtrąciła niegrzecznie Far<. - Wszystkie jesteśmy wolne i równe sobie. Powstrzymując mnie przed dokonaniem tego, co musi być uczynione, uzurpujesz sobie władzę kierującej wszystkimi eistai. To niedopuszczalne...

- Nie! - Enge rzuciła głośno z gestem posłuszeństwa i uwagi. - Niedopuszczalna jest brutalność twego postępowania i głębia zniewag, którymi obrzucasz tą, dzięki której to wszystko jest możliwe. Rozważmy twe słowa, bo dotyczą spraw najważniejszych. Teraz jednak nakazuję ci milczeć ze względu na sposób ich przedstawienia.

- Nie umilknę, nie usłucham żadnych rozkazów. Powiedziałaś, że rozważysz me słowa, więc zrób to. Odchodzę stąd, bo tego chcę. Wrócę tu jednak jutro o tej porze, by usłyszeć waszą odpowiedź.

Powiedziawszy to, Far< odwróciła się i odeszła, a za nią jej zwolenniczki. Pozostałe tkwiły w oburzeniu i rozpacz. Milczenie przerwała, mówiąc cicho, lecz z wielką siłą, Ambalasei.

- Gdybym mogła, nastąpiłabym na nią, gdy była jeszcze w jajach.

- Ambalasei, nie mów tak - poprosiła słabo Enge - bo zmusisz mnie do odpowiedzi, której będę się bardzo wstydić.

- Jak i ja pragniesz się jej pozbyć. To oczywiste.

- Mówiła prawdę.

- I w blasku dnia roztoczyła nad nami noc - powiedziała Sat-sat. Inne poruszyły się w gestach potwierdzenia. - Skoro chce odejść, może po własną śmierć, czemu miałybyśmy ją powstrzymywać?

Gesty zgody nasiliły się znacznie.

- Nie można do tego dopuścić - ku ich zdziwieniu sprzeciwiła się Ambalasei. - Nie macie pojęcia, jaką radość sprawiłby mi widok jej oddalającej się postaci, lecz byłby to błąd, mogący przynieść nam zgubę. Zastanówcie się głęboko, nim zawiadomicie świat Yilanè o istnieniu tego miasta. Mogą zabrać nam to, co stworzyliśmy.

- Rozumiem twą troskę o nasze dobro - odparła Enge - i dziękuję za nią, lecz nigdy nie zamierzałyśmy kryć się przed innymi. Jesteśmy tu i pozostaniemy. Nie mamy się czego bać. Yilanè nie mają zwyczaju iść do innego miasta inaczej niż z pokojem, niezdolne są nawet do takiej myśli.

- W tak zwanych zwykłych okolicznościach jest to prawdą, lecz Córy Życia stanowią zagrożenie dla władzy każdej eistai. Czy choć jedna z nich tolerowała waszą obecność i wasze nauki? Widzę odpowiedź w waszych ruchach. Nigdy. Na północy są miasta, którym zagrażają nadchodzące chłody zimy. Jeśli eistaa któregoś z nich dowie się o waszej tu obecności, to czy nie zapragnie zagarnąć dla siebie tego pustego miasta?

- Ależ ono nie jest puste.

- Dla każdej eistai jest takie, bo nikt tu nie rządzi. Będąc na miejscu eistai, dowiedziawszy się o nim, uznałbym nawet nie za możliwe, lecz konieczne przywrócenie właściwych rządów temu miejscu pełnemu chaosowi. - Ambalasei uniosła głos, by przekrzyczeć gorące sprzeciwy. - Mówiłam z punktu widzenia eistai, na pewno by tak na to patrzyła. Uważajcie więc na tę wyprawę o wątpliwej wartości. Zamiast nawróconych, może przywieźć tu zagładę. Zostałyście ostrzeżone.

- Dziękujemy ci za to, Ambalasei - powiedziała Enge. - Jeśli jednak Far< i jej zwolenniczki

pragną odejść, musimy im na to pozwolić. Nie można ich zatrzymać czy kazać zostać. Musimy rozważyć ich propozycję na równi z każdą z nich. Co mamy zrobić, by słowa Ugunenapsy nie zmarły wraz z nami? Rozważajcie Osiem Zasad, błagam was, tak jak ja to czynię. Musimy znaleźć rozwiązanie.

- I to przed powrotem uruketo - dodała Ambalasei i spojrzała na Elem. - Mocno namawiam na natychmiastowe odpłynięcie i powrót dopiero po najedzeniu się zwierzęcia do syta.

Elem wyraziła zgodę i odeszła. Ambalasei pospieszyła za nią, lecz zaczęła mówić dopiero wtedy, gdy znalazły się daleko od ambesed.

- Ile dni ci to zajmie?

- Trzy, może cztery, zależy, jak pójdą połowy.

- Niech będzie siedem. Jeśli nie znajdę rozwiązania tego problemu w ciągu sześciu dni, to nigdy to nie nastąpi. Far< nie robi nam tej uprzejmości, nie położy się i nie umrze.

Rzeczywiście. Każdego ranka pojawiała się ze swoimi zwolenniczkami w ambesed. Zadawały zawsze te same dwa pytania. Czy Osiem Zasad ujawniło rozwiązanie? Przez pięć dni jedyną odpowiedzią było milczenie, wówczas zadawały następne pytanie: czy uruketo wróciło? Potem wychodziły. Ambalasei nie uczestniczyła w tych smutnych spotkaniach, gdyby rozwiązanie się znalazło, szybko by się o tym dowiedziała. Spędzała całe dni na spokojnym badaniu i katalogowaniu przywiezionych okazów. Dopiero szóstego dnia poszła do ambesed tuż po wschodzie słońca i z pewną satysfakcją zajęła miejsce eistai. Odwzajemniała powitania nadchodzących, lecz odezwała się dopiero po przybyciu wszystkich.

- Czy znalazłyście rozwiązanie? - zapytała. W przeczącej odpowiedzi Enge zawarty był wielki smutek.

- Ciągłe nas omija.

- Niewątpliwie dlatego, że nie istnieje. Pozwolicie więc Far< odpłynąć?

- Nie możemy jej zatrzymać.

- To się okaże.

W wejściu do ambesed pokazała się Far< ze swymi naśladowczyniami. Było ich coraz więcej, bo przyciągała wiele swą wolą celu. Ambalasei poruszyła się z wyraźną niechęcią na widok podchodzącej i stojącej przed nią Far<.

- Czy wśród Ośmiu Zasad znaleziono rozwiązanie? - Z wyższością spoglądała ona kolejno na każdą z siedzących Yilanè. Miała już coś powiedzieć, gdy wtrąciła się Ambalasei:

- Odpowiedzią jest tak i nie.

- Nie mówię do ciebie ani nie słucham, bo jesteś niewierna.

- Ty nie-mówiąca, to zbyt wspaniałe, by móc uwierzyć. Posłuchasz jednak, bo to, co uczynisz, zależy od mego zezwolenia.

Far< z gestami odmowy odwróciła się do niej plecami, by nic nie słyszeć. Wtedy odezwała się Enge.

- Żal i przeprosiny za brak szacunku-niegodne zachowanie się naszej towarzyszki. Ambalasei, o jakim zezwoleniu mówisz?

- Uruketo wróci jutro.

- Wtedy odpłyniemy - stwierdziła Far< stanowczo; słuchała rozmowy jednym okiem.

- Nie odpłyniecie! - głośno i ostro zabroniła Ambalasei. - Przypomnę ci, że uruketo należy do mnie, ja je zabrałam i opanowałam. Czy temu zaprzeczysz?

Zebrane jak zawsze zwróciły się po radę do Enge. Stała nieruchomo pogrążona w myślach, potem okazała uległość.

- W tej sprawie musimy postąpić zgodnie ze słowami Ambalasei. Z własnej woli dała się z nami uwięzić, pozwoliła nam uciec i sprawiła, że opuściliśmy w tym uruketo miasto nieszczęścia. Przeprowadziła nas tutaj i wyhodowała miasto życia. Korzystamy z uruketo, lecz jedynie za jej zezwoleniem...

- Błędne rozumowanie! - krzyknęła Far<. - Skoro to czyni, jest naszą eistaą, à my nie mamy żadnej.

- Nie macie też uruketo - stwierdziła Ambalasei złośliwie. - Zrobisz, co powiem, albo zostaniesz w mieście. Jesteś bardzo młoda, zapalczywa, próżna i głupia, choć może inne myślą o tobie inaczej. Zrobisz jednak to, co ci każe, zgodzisz się na moje wskazówki, a jak nie, spróbujesz sama popłynąć do Gendasi\*. To bardzo daleko, nawet dla kogoś mającego równie silną wolę co ty.

Ambalasei oparła się o ciepłe drewno i napawała się nienawiścią Far<.

## ROZDZIAŁ XIV

Jak zawsze, tak i tym razem Enge musiała starać się pogodzić skłócone strony.

- Ugunenapsa uczy nas, iż wszystkie zamieszkujemy w mieście życia. Far<, w tym mieście Ambalasei jest ci równa. Pod wieloma względami cię przewyższa, w wiedzy i umiejętnościach, a najbardziej w trudach ponoszonych dla Cór Życia. Stoi o wiele wyżej niż ja, ustępuje jedynie objawicielce prawdy, Ugunenapsie. Jesteśmy tu, jak też jest to miasto i ty, Far<, ponieważ Ambalasei przyprowadziła nas do tego ładu. A to, że możesz w przyszłości coś uczynić, zawdzięczasz jedynie uwolnieniu przez nią. Nie proszę o wdzięczność, żądam jednak, byś to przyznała.

Far< była nadal gniewna.

- Czy i twoje rozkazy mam wypełniać? Jesteś teraz moją eistaą?

Jej gniew nie poruszył Enge.

- Każę ci tylko stwierdzić fakt. Czy Ambalasei nie dała ci wolności?

Po pełnym wahania milczeniu Far< sztywno potwierdziła. Enge pochwaliła ten gest.

- To dobrze. Nigdy o tym nie zapominaj. Ambalasei pomogła nam w przeszłości i będzie pomagać nadal. Mogłabyś więc być choć na tyle grzeczna, by wysłuchać tego, co chce powiedzieć o warunkach korzystania z uruketo. Same warunki możesz odrzucić, ale musisz je wpieryw poznać. Zgadzasz się?

Far< opuściła oczy w głębokim namyśle. Gdy je uniosła, nie była już gniewna, patrzyła błagalnie.

- W żarliwym pragnieniu szerzenia nauk Ugunenapsy i zapewnienia im trwania dałam się ponieść złości. Przepraszam za to ciebie i inne Córy Życia. - W kierunku Ambalasei zrobiła gest odrzucenia. - Nie przepraszam i nigdy nie przeproszę tej niewiernej.

- Nie chcę tego, szkarado. Słyszałam, że wielkość Yilanè należy mierzyć jej wrogami. Mam nadzieję, że do nich należysz, bo byłabym zgubiona, gdybym nazwała cię przyjaciółką. A teraz - czy wykonasz me polecenia?

- Wysłucham ich - syknęła Far<.

- Rozsądne słowa, jak na ciebie. - Uczona odwróciła się, wykonując gesty odrzucenia nieważnego szczegółu, i zwróciła się do pozostałych. - Omówimy teraz wydarzenia historyczne i ich wpływ na przyszłość. Wszystkie byłyście kiedyś niewiernymi. Potem wysłuchałyście kogoś takiego jak Enge, jak to mówicie, ujrzałyście światło i stałyście się wierzącymi. Czy nie było tak? - Kiwnęła głową, widząc potwierdzenie. - W ten sposób pojawiają się nowe Córy. Gdzie to się stało? Pytam cię, Enge.

- W mieście Inegban\*, gdzie rozmawiałem z wielce uczoną Yilanè imieniem Essokel.

- W mieście!

- Tak, oczywiście.

- A pozostałe - spytała Ambalasei z gestem obejmującym je wszystkie. - Każda z was poznała pobudzającą filozofię Ugunenapsy w mieście?

Wszystkie przytaknęły, nawet Far<, choć z wielkimi oporami. . - Oczywiście, musiało tak być. Wszystkie jesteście Yilanè, bo inaczej nie zdołałybyście pojąć argumentów. Ale czy te nawrócenia rzeczywiście spełniają nawoływania Ugunenapsy wyrażone w jej ósmej zasadzie? Czy nie dostrzegacie tu pewnej podstawowej różnicy?

Spotkało się to z powszechnymi ruchami i oznakami zdumienia oraz z jaskrawym odrzuceniem przez Far<, która nie chciała nawet rozważać zasad Ugunenapsy wyrażonych przez niewierną. Jedyne Enge stała nieruchomo w milczeniu, kołysząc lekko kończynami i ogonem, jakby była echem rozmyślań. Ambalasei patrzyła, jak jej ruchy narastały, wznagały się, aż wreszcie wyrzuciła w bok ramiona w wielkiej radości odkrycia.



- Wielka Ambalasei jak zawsze olśniła nas blaskiem swych myśli, winniśmy jej chwałę, najwyższą chwałę.

Far< zareagowała odmową, pozostałe pytaniami, Ambalasei radosnym przyjęciem należnego jej uznania. Ciało Enge drżało niepowstrzymanie od siły targających nim uczuć.

- Ambalasei ma tak wielki rozum i zrozumienie, iż pokazuje nam, gdzie mamy dążyć nauki Ugunenapsy. Zawsze zawierają odpowiedzi, nie dostrzegamy ich tylko dlatego, że źle szukamy. Czyż ósma zasada nie nakłada na nas obowiązku pomagania wszystkim innym w poznaniu Ducha Życia i jego istoty? Dlaczego więc tak się ograniczamy?

Zakończyła pytaniem i pragnieniem uzyskania odpowiedzi. Far< nadal okazywała zdziwienie i pogardę.

- Czy mamy tłumaczyć zasady Ugunenapsy rybom w morzu?

- Milcz, Far< - powiedziała Satsat z przesadnymi od gniewu ruchami. - Hańbisz nas i siebie mrokiem swych myśli. Ambalasei naprawdę wiecie nas ku prawdzie - czyniąc to, bliższa jest naukom Ugunenapsy aniżeli ty poprzez odmowę. Byłyśmy wszystkie Yilanè, kiedy dowiedziałyśmy się o Ugunenapsie. Z tego powodu myślimy jedynie o Yilanè, zapominając o fargi. Wszystkie one pragną się od nas uczyć, ich umysły są próżnymi naczyniami czekającymi na wypełnienie prawdą Ugunenapsy.

- Potrzeba wielkiej inteligencji, by dojrzeć rzeczy ukryte przed oczyma mniej zdolnych - stwierdziła Ambalasei ze zwykłą jej skromnością. - To musicie czynić - iść do fargi i uczyć je. W swym zapale pojmowania wierzą we wszystko. Zatrzymujcie je, nim opuszczą plażę i wejdą do miasta. Dawajcie im jeść, to na pewno przyciągnie ich uwagę. Potem mówcie im o Ugunenapsie, o tym, jak będą mogły żyć wiecznie. Zróbcie to, a będziecie miały dość adeptek. Trzymając się z dala od miast, unikniecie schwymania i uwięzienia, co spotykało was w przeszłości. Fargi jest nieskończenie wiele, nikt nie zauważy braku tych, które nawrócicie. Przystańcie na to, a uruketo zabierze was do miasta, na leżące poza nim plażę.

Ambalasei przyjmowała podziękowania jako coś oczywistego, przysłuchiwała się ożywionej dyskusji, lecz cały czas patrzyła jednym okiem na Far< i Enge szybko to zauważyła. Poprosiła o uwagę i zwróciła się do chudej Yilanè:

- A co ty na to? Czy zanieiesz fargi prawdę Ugunenapsy?

Wszystkie teraz patrzyły w milczeniu, ciekawe odpowiedzi ich kłótlivej siostry. Ta uniosła głowę, okazała pewność postanowienia i przemówiła:

- Nie myliłam się, choć może byłam zbyt gorliwa. Ambalasei doprowadziła nas do prawdy i za to jej dziękuję. Pójdę do fargi i przemówię, by to miasto żyło zawsze. Dziękuję jej jeszcze raz za pomoc.

W jej słowach były tony niechęci, lecz mimo to mówiła szczerze. Przepiętna radością objawienia i rozwiązaniem najbardziej nabrzmiałego problemu Enge nie zwróciła uwagi na owe podteksty. Pokój został przywrócony. Wielkie dzieło Ugunenapsy będzie trwać.

- Co rozkażesz, wielka Ambalasei? - spytała Enge w postawie błagalnicy, a nie osoby równej. Ambalasei chętnie na to przystała.

- Wyhoduję pojemniki do przechowywania mięsa. Wyruszymy, gdy urosną i zostaną napełnione. Uważam, że kaznodziejek nie może być za dużo, potrzeba będzie wiele miejsca dla nawróconych. Po zjedzeniu mięsa i nawróceniach uruketo popłynie z powrotem. Miasto urośnie, bo dostaniemy do pracy młode, silne fargi.

- Mówiąc o odpłynięciach, stwierdziłaś, iż wyruszamy - zauważyła Enge. - Zamierzasz zabrać się z uruketo?

- Oczywiście. Kto lepiej ode mnie wszystkim pokieruje? Tęsknię też do dyskusji, w których nigdy nie pada pewne imię. Teraz uzgodnijcie między sobą, kto popłynie. Proponuję najwyżej pięć Yilanè.

- Proponuję? - powtórzyła Far< z pewną obawą i niechęcią.

- Rozkazuję, jeśli wolisz. Jestem jednak wielkoduszna i nie żywię uraz. Ty i cztery inne, jeśli o to ci chodziło. Popłyniesz, Enge?

- Moje miejsce jest teraz w mieście, muszę przygotować je dla przybyłych, choć bardzo pragnęłabym być z tobą. Czy zamiast mnie może popłynąć najbliższa mi Satsat?

- Chętnie!

- Pozostały trzy miejsca - powiedziała Ambalasei, rozciągając sztywne mięśnie i odchodząc. - Poinformuję was, gdy nadejdzie pora wyruszenia - zawołała i opuściła ambesed. Wolnym krokiem przemierzała wyhodowane przez siebie, nazwane na jej cześć miasto. Wiedziała jednak, że szła powoli nie tylko z powodu zmęczenia. Była stara i często w chwilach spokojnego namysłu czuła, iż dochodzi do kresu swych możliwości fizycznych. Nadejdzie on, nie jutro, lecz może już w jutro jutra czeka na nią ze swą pustką. Przed nadejściem tego nieuniknionego dnia musi jeszcze coś zrobić. Gdy uczona wchodziła do laboratorium, Setèssei właśnie rozkładała okazy, lecz natychmiast przerwała pracę i dała znak gotowości przyjęcia poleceń.

- Trzeba wyhodować pojemniki - powiedziała Ambalasei, grzebiąc w składzie wyschniętych jaj i dzbanów. Znalazła to, czego szukała i dała asystentce. - Do wzrostu konieczny jest płyn odżywczy, potem należy umieścić w nich przygotowane mięso. Wpierw jednak przynieś mi ugunkshaa i stworzenie pamięci.

- Jakiej pamięci szukasz?

- Jakiejś nieważnej, bo chcę coś zapisać.

- Mamy dawne opisy prądów morskich i wiatrów na południu, teraz zastąpione przez nowe obserwacje i odkrycia.

- Doskonale się nadają. Nie przechowuję niepełnych, mglistych zapisów, a jedynie ważne historyczne osiągnięcia.

Przed Ambalasei siedziało ugunkshaa, poważnie zmienione, bezrozumne stworzenie, jego wielkie, zbudowane z cząstek organicznych soczewki wpatrywały się w uczoną. Setèssei umieściła obok stworzenie pamięci i ostrożnie umieściła jeden z czułek wyrastających nad obumarłym okiem w załomku ciała głosiciela wspomnień. Po delikatnych poprawkach na soczewkach ukazał się czarno-biały obraz i rozległ się stłumiony głos. Umilkł, gdy drugie, mniejsze oko otwarło się powoli i spojrzało na Ambalasei.

- To, co powiesz teraz, zostanie wysłuchane i zapamiętane - powiedziała Setèssei odchodząc.

Ambalasei odprawiła ją, zebrała myśli i zaczęła mówić. Każdy jej ruch, każdy dźwięk zapisywał się dokładnie w mózgu stworzenia pamięci.

- Powiem wam najpierw o rzekach w morzu prowadzących do tego nowego lądu...

- Godna najwyższego zaufania Setèssei zostanie z wami podczas mej nieobecności - powiedziała Ambalasei. - Choć oczywiście mi nie dorównuje, to zna się na sprawach miasta, pomagała w jego hodowli. Zna się także na leczeniu ran, tak łatwo odnoszonych przez twoje niezdarne siostry.

- Wdzięczność-po-wielokroć - oznajmiła Enge. - Czy już wszystko przygotowane do wypłynięcia?

- Niemal wszystko. Reszta mięsa powinna zostać przyrządzona dzisiaj. Wypływamy natychmiast po jego załadunku. Najlepiej rano, bo chcę dokonać obserwacji prądów prowadzących na północ. Trzeba połączyć moje nowe mapy ze starymi. Potem pragnę ujrzeć miasto, o którym mi opowiadałaś, Alpèasak.

- Śmierć i zagłada w ogniu! Wszystkie Yilanè zginęły, na ulicach i w gajach pełno ustuzou z zabójczymi kamieniami-zębami.

- Przeżyłaś jednak ty i kilka innych.

- Garstka ocalałych Cór Życia uciekła w uruketo i jest teraz ze mną. Była także dowodząca stworzeniem i jej załoga, oraz ta, której imienia nie wypowiem. Ponadto samiec o nieznanym imieniu i uczona Akotolp.

- Akotolp! Gruba i krągła jak rzeczny węgorz?

- Ta sama.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Jak ci mówiłam, opuściłam uruketo, by uniknąć śmierci z kciuków bezimiennej.

- Muszę zobaczyć to miasto. Może ustuzou już odeszli. W każdym razie prądy płyną w tym kierunku, nim skręcają ku brzegom Entoban\*. Konieczne są obserwacje, poprawienie map.

Wyruszyły tuż po świcie, wypłynęły rzeką na otwarte morze. Ambalasei przy pomocy dwóch załogantek wypuszczała w oceanie neshkaki. Zwierzęta dobrze pływały i starały się uciec, lecz były przytrzymywane przez bardzo długie ogony. Barwa ich skóry zmieniała się zależnie od temperatury wody, co umożliwiało Ambalasei wnoszenie poprawek na mapach. Wolne od wszelkich obowiązków Córy spędzały godziny nie poświęcane snowi na dyskusjach o Ośmiu Zasadach, zaszywały się jednak w głębi uruketo i Ambalasei ich nie słyszała.

Przyjemna, ciepła wyprawa dawała jej wiele radości. Niemal zbyt szybko minęły wyspę Maninlè, potem podobny klejnot, archipelag Alakas-aksehent. Ambalasei zmęczyła się już pracami i spała na dole. Nowe i stare mapy zostały połączone. Znany świat znacznie się rozrósł dzięki jej geniuszowi. Dokonawszy tego, spała bardzo dobrze, obudziło ją dopiero szarpnięcie za ramię. Ujrzała dowodzącą uruketo Elem, okazującą uwagę i posłuszeństwo poleceniom.

- Kazałaś mi się obudzić, gdy widać będzie ląd Gendasi\*.

- Widać go?

- W tej chwili zasłaniają go chmury deszczowe, lecz jest tam na pewno.

- Idę. Potrzeba pomocy we wchodzeniu. Mięśnie zeszywniały mi od wilgoci i snu.

Mocne ramię Elem pomogło jej wstać i wejść powoli na płetwę. Uczona szła z wysiłkiem, bez przerwy narzekając. Dwie załogantki zbiegły na dół spłoszone jej gniewem, Elem poleciła pozostać.

- Czy byłaś tu kiedyś? - spytała Ambalasei.

- Nie, ale mapy są dokładne. Musimy tylko płynąć wzdłuż łańcucha złotych wysepek do tego bagnistego wybrzeża. Alpèasak leży dalej na północ.

Wiatr przegnał deszcz i widać było wyraźnie niski brzeg o piaszczystych plażach na tle lasów. Elem zerknęła na słońce.

- Powinnyśmy dopłynąć przed zmrokiem.

- Pozostań na morzu, skoro nie jesteś pewna. Nie zapominaj o ustuzou, o których mówiła nam Enge.

- Straszne, niepojęte, groźne.

- Mogą tam być. Ostrożność wzmocniona.

- Chyba niepotrzebna - stwierdziła Elem, osłaniając oczy przed słońcem. - Przy brzegach coś się rusza, uruketo, łodzie.

Ambalasei mruczała coś i mrugała, lecz nie mogła ich dostrzec. Zobaczyła szczegóły dopiero po podpłynięciu bliżej.

- Obserwacje bardzo ciekawe. Miasto niewątpliwie znów należy do Yilanè. Tam są baseny i inne uruketo. Nie zbliżaj się do nich. Podpłyn do brzegu przy tamtych plażach. Niech tu przyjdą

misjonarki. Każ też przynieść pojemniki z mięsem.

Gdy dołączyła do nich piątka Cór, Ambalasei wskazała na brzeg i górującą nad nim kępę wysokich drzew.

- Zapamiętajcie to miejsce i liczbę dziesięć. Tyle co dwie dłonie. Uruketo wróci tu po upływie tylu dni. Zabierze was i te, którym będziecie mogły wskazać swą drogę. Fale są małe, łatwo dopłyniecie do brzegu.

- Co z mięsem? - spytała Far<.

- Zostanie wyrzucone do morza, fale wyniosą je na brzeg, tam je pozberacie. Wracajcie tu za dziesięć dni.

- A jeśli nie dokończymy naszej pracy? - spytała Far<, zawsze potrafiąca znaleźć temat do sporu.

- Wtedy coś postanowimy. Nazywam was misjonarkami, bo waszą misją jest mówienie fargi o prawdzie, która jest chyba jedyną waszą troską. Nawróćcie je i szybko wracajcie. Postarajcie się jednak, proszę, o przyprowadzenie rozumnych i silnych. Ambalasei wymaga wiele pracy.

- Nie pójdziesz z nami? - zapytała podejrzliwie Far<.

- Nie. Mam coś znacznie ważniejszego do zrobienia. Dziesięć dni. - Zaczekała, aż ostania zanurzyła się w oceanie, i popłynęła do brzegu. - Zabierz mnie do portu. Odpłyn, gdy tylko wysiądę. Z nikim tu nie rozmawiaj. Wróc po mnie wczesnym rankiem dziesiątego dnia. Zrozumiałaś?

- Zrozumiałam, wielka Ambalasei. Dziesięć dni.

## ROZDZIAŁ XV

Po zejściu z grzbietu uruketo na wyżłobione drewno nabrzeża Ambalasei poczuła wielkie zadowolenie. Jednym okiem patrzyła na zwierzę wypływające na pełne morze, jak szybko znika w krzątaninie portu. Przed sobą miała widok szerokich ulic, fargi chodzących szybko z ładunkami świeżych ryb, kawałkami mięsa, różnymi pakunkami. Powietrze pełne było zapachów, wykrzykiwanych poleceń i rozkazów.

- Wielkie miasto, pełne życia, w którym przez dziesięć dni będę dobrze jadła i rozmawiała, nie słysząc ani razu imienia Ugunenapsy. Trudno w to uwierzyć. - Położyła u swych stóp mały pojemnik i spojrzała na gapiące się fargi. Jedna stała dość blisko z niemal zamkniętymi ustami i błyskiem rozumu w oczach.

- Czy rozumiesz-pojmujesz? - spytała Ambalasei powoli i wyraźnie.

Fargi uniosła dłoń i zasygnalizowała zrozumienie samymi barwami, potem dodała na głos.

- Pojmowanie i pragnienie wskazania.

- Będiesz je miała. Weź to. Idź za mną. - Musiała powtórzyć to dwukrotnie, nim fargi wyświetliła kolor zrozumienia i ruszyła naprzód.

W towarzystwie drepczącej za nią fargi Ambalasei przemierzała szeroką ulicę, radując się bardzo krzątaniną miasta. Doszła do powoli przesuwającego się szeregu farg, z których każda trzymała krwisty kawałek mięsa. Dołączyła do nich, pożądliwie kłapiąc zębami, nagle poczuła, jak jednostajne jest ciągle jedzenie tylko węgorzy. Chłodne, galaretowate mięso; świeże, jeszcze ciepłe mięso!

Ulica rozszerzyła się w dużą salę jadalną. Minęły ciekawy zbiór ryb, później ich spróbuje, podeszła do zasłoniętych kadzi, w których przygotowywano świeże mięso. Uniosła pokrywę pierwszej i wyjęła nogę małego zwierzęcia, podziwiała ją przez chwilę, a potem ugryzła wielki, soczysty kęs.

- Uwaga-na-mówienie - rozległ się szorstki głos i Ambalasei oglądnęła się, jedząc ze smakiem. Stała przed nią Yilanè z wałkami tłuszczu na szyi, zwisające mięśnie jej ramion pokrywały wymyślne malunki. - Odłóż to mięso, obca mi stara. Jest przeznaczone dla eistai.

Trzymająca pojemnik Ambalasei, fargi zaczęła drzeć ze strachu, słysząc te pełne groźby słowa. Ambalasei dała jej znak bezpieczeństwa, ochrony przed wyższą, braku powodu do lęku. Żuła powoli, rozkoszując się słodkim mięsem i ustawiając się w pozycji najwyższej wobec najniższej. Potem przełknęła resztę i syknęła gniewnie:

- Tłusty, poślaczany żuk, którego trzeba rozgnieść! Śmierdzący robak z najniższego dołu na gnój! Stoi przed tobą Ambalasei, najwyższa z wysokich, eistaa nauki, rozum świata, o nieskończonej mocy. Powinnam cię skazać na śmierć za to głupie gadanie. Zastanowię się nad tym.

W jej ruchach było tyle mocy, tyle siły woli i pogardy, że fargi krzyknęły i rozbiegły się na wszystkie strony, a ta, którą przyprowadziła, stała z zamkniętymi oczyma, jęcząc i drżąc. Krępa Yilanè cofnęła się przerażona, barwy jej skóry bladły w obliczu śmierci. Nie mogła mówić, ledwo potrafiła myśleć. Bardzo z siebie zadowolona Ambalasei wzięła następną porcję mięsa, ugryzła i połknęła kęs, nim się znowu odezwała.

- Pochwała twego pełnego lęku szacunku. Wielka wspaniałomyślność, zapomnienie obrazy. Twe imię?

- Muruspe... - zdołała wreszcie wykrztusić.

- Powiedz mi, Muruspe, kto jest eistaa tego wielkiego miasta mającego tak dobre jedzenie?

- Jest nią... Lanefenuu, Eistaa Ikhalmenetsu, nim Ikhalmenets przybył do Alpèasaku.

- Otoczony-morzem Ikhalmenets tu przybył. Nie słyszałam o tym.

- Mrozy zimy, opuszczające się śniegi chłodnej bieli.

- Wierzę w to. Wasze miasto leżało za daleko na pomoc. Prowadź mnie teraz do Lanefenuu, bo o niej słyszałam i chętnie ją poznam.

Ambesed było wielkie i słoneczne, eistaa, z ramionami lśniącymi wielobarwnymi wzorami, siedziała wygodnie i wydawała polecenia zebranych wokół niej Yilanè. Była to miła, kulturalna scena, która napełniała Ambalasei wielką przyjemnością. W tym nastroju podeszła bliżej i przemówiła:

- Potężna Lanefenuu, Eistao otoczonego-morzem Ikhalmenetsu, teraz przybyłego do Alpèasaku, przyjmij pozdrowienia od Ambalasei, wiedzącej wszystko, która stoi przed tobą.

Lanefenuu ułożyła ręce w ciepłym powitaniu i podziwie.

- Jeśli jesteś tą Ambalasei, o której słyszałam jeszcze jako mokroskóra fargi, witam cię najserdeczniej w moim mieście.

- Czyż świat ten pomieściłby dwie Yilanè o takich osiągnięciach? To niemożliwe. Przyznaję, że jestem Ambalasei, o której mówiłaś.

- Ambalasei! - Imię to rozległo się głośnie echem, uczona odwróciła się i ujrzała zbliżającą się znajomą postać. - Ta, która przekazała mi wszystkie tajniki nauki. Widzieć cię tutaj to największa przyjemność w życiu.

- Niewątpliwie. Jesteś szczupłą Ukhereb, moją uczennicą?

- Tak. Zobacz, tam pędzi inna twoja studentka.

- Tłusta postać - to może być tylko Akotolp. Wielkość twego miasta, Lanefenuu, wzrasta bardzo dzięki obecności uczonych o ich wiedzy, którą oczywiście poznały ode mnie.

Przycisnęły kciuki w powitaniu i Lanefenuu kazała przynieść dla starej uczoney bardziej wygodne krzesło. Obecne Yilanè przesunęły się chętnie, bo wszystkie słyszały o Ambalasei, natomiast tłoczące się z tyłu fargi drżały w oczekiwaniu wielkich wydarzeń. Zapadłe milczenie przerwała eistaa.

- Jakie nieznane cele naukowe sprowadzają cię do naszego miasta?

- Nauka uruketo. Dowodząca zabrała teraz zwierzę bardziej na północ, by prowadzić dalej niezmiernie ważne badania oceanu. - Kiwnęła na fargi noszącą pojemnik, sięgnęła do środka i wyjęła stworzenie zapisujące. - Tu są fakty, Eistao. Ważne odkrycia, które zmieniają całkowicie wiedzę o świecie. Nie są jeszcze znane w żadnym z miast Yilanè. Z przyjemnością podzielę się nimi najpierw z Lanefenuu. Wcześniej nawet niż z uczonymi-przyjaciółkami. Wielka eistaa, która bezpiecznie przewiozła przez ocean całe swe miasto, zasługuje na najwyższe zaszczyty. Lanefenuu odparła zwiększeniem przyjemności. Ten dzień będzie się długo pamiętać.

- Wszystkie do tyłu - rozkazała. - Najwyższa z Yilanè nauki porozmawia tylko ze mną.

Przepychały się i wpadały na siebie, taką moc miał rozkaz i w tak wielkim wydarzeniu uczestniczyły. Cofały się o dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści kroków, aż Lanefenuu i Ambalasei otoczył wielki krąg patrzących w podziwie Yilanè, za którymi stały fargi. Ambesed wypełniło się po brzegi, gdy tylko rozeszły się wieści, całe miasto śpieszyło, by patrzeć i słuchać.

Widziały, jak Ambalasei wręcza eistai stworzenie zapisujące, jak zbliżyły się w rozmowie, mówiąc tak cicho, że nie sposób było zrozumieć znaczenia ich ruchów. Wszystkie jednak pojęły łatwo gest triumfu, z jakim eistaa skoczyła na nogi i uniosła stworzenie nad głowę. Rozległ się głośny tupot nóg, gdy na znak Lanefenuu zbliżyły się do niej.

- O tym dniu będzie się mówić, pamiętać na zawsze. To, co odkryła mi największa z Yilanè nauki, ja odkrywam wam. Znany nam świat jest niepełny. Yilanè przybyły z Entoban\* tu, do Gendasi\*, i ujrzały, jak świat się dla nich podwoił. Znałyśmy tylko jeden kontynent, a przepłynęłyśmy na drugi.

Teraz słuchajcie w podziw. Dzięki swej mądrości wielka Ambalasei odkryła na południe od nas trzeci, ogromny i ciepły kontynent. - Zwróciła się do uczonej. - Ambalasei, opisałaś ten nowy ląd, nie podałaś nam jednak jego nazwy. Czy uczynisz to teraz?

- Tak, skoro taka jest prośba Eistai, którą trzeba spełnić, choć powstrzymuje mnie przed tym skromność. Gdy po raz pierwszy ujrzałyśmy z uruketo ten ląd, jedna z obecnych tam powiedziała, że skoro przewidziałam jego istnienie, wiedziałam o tym przed

wszystkimi innymi, dlaczego by nie, mam opory przed powiedzeniem tego, dlaczego by nie nazwać nowego lądu... Ambalasokey.

- Tak będzie! Ja, Lanefenuu, ogłaszam to i taką będzie odtąd nosić nazwę. Ambalasokey, miejsce znalezione przez Ambalasei. To prawdziwy cud.

Jeszcze większym cudem, który trudno sobie wyobrazić, było milczenie Ambalasei podczas składania jej hołdu. Siedziała nieruchomo, utrzymując ciało w pochylonej pozycji przyjmowania zaszczytu, niczego nie wyjawiając. Skoro nie chciała mówić o pewnych sprawach, o powstaniu nowego miasta i odkryciu nowych Yilanè, a obecne nic nie wiedząc, nie mogły pytać, wiedza ta nie zostanie przekazana. Wystarczyło wszystkim, że otrzymały cały nowy kontynent. Jak na jeden dzień było to bardzo wiele.

Podeszła wezwana Akotolp i odebrała od eistai stworzenie zapisujące, trzymając je uważnie między kciukami. Uzyskawszy zezwolenie Lanefenuu pośpieszyła z Ukhereb do laboratorium. Ambalasei patrzyła, jak odchodzą, z uczuciem wielkiej ulgi; zapewniła sobie miejsce w historii. Wiedza o jej odkryciach rozejdzie się powoli wśród uczonych wszystkich miast. Potrwa to długo, bo Yilanè nie lubią pośpiechu, ale nastąpi na pewno. Przybędą tu kiedyś inne uczone, wysłuchując zapisu, zanoszą o nim wieści do Entoban\*. Wywołają one zainteresowanie w miastach, którym zagraża zbliżenie się zimy, wyruszą ekspedycje. Jej miasto, Ambalasokey, zostanie wtedy odkryte, ale nie nastąpi to szybko, nie za jej życia. Tyle przynajmniej może dać miłującym gadanie Córom. Będą miały czas, aby rozwiązywać swe problemy i, jeśli to możliwe, zapewnić przyszłość swemu miastu.

Inną sprawą są Sorogetso. Ich przyszłość tkwi między jej kciukami, a to poważna odpowiedzialność. Jak bardzo się im poszczęściło, że to ona ich znalazła i zapewniła niezakłócone życie. Takie brzemie obciążało jej szerokie ramiona! Ambalasei uśmiechnęła się ze szczęścia i kazała usługującej fargi przynieść wodo-owoc.

Nastąpiły przyjemne dni. Eistaa dbała o jej wygody i zaszczyciła opowieścią o bohaterskim odjeździe z Ikhalmenetsu. Bardzo mało czasu poświęciła bitwom z zajmującym miasto ustuzou i wynikłej stąd długiej wojnie. Imię Vaintè wymówiła Lanefenuu z taką złością, że Ambalasei pilnowała się, by nigdy go nie wymówić w jej obecności. Wypytywała jednak obie uczone i pochwaliła skuteczną broń biologiczną zastosowaną wobec nieprzyjaciela.

- Miałyście całkowitą rację. To miasto Yilanè, dlatego miałyście obowiązek zniszczenia zajmujących je napastników, odepchnięcia ich do jaskiń i nor. Wy nie popełniłyście błędu, lecz Vaintè źle zrobiła, goniąc je i próbując zniszczyć. Wydają się być jadowitym, śmiercionośnym gatunkiem, ale jednak gatunkiem, który należy chronić jak wszystkie inne. Bronili się zaciekle, jak wszystkie zwierzęta zapędzone w kąt. Dwa uruketo zginęły, nim ustały walki, Vaintè została odesłana w niesławie! Okropne. Jest to jednak lekcja, która być może czegoś nauczy. Próba zniszczenia innych gatunków jest załążkiem samozniszczenia.

Obie uczone poparły ją całkowicie, z gestami wielkiego wzmocnienia. Temat był tak niemiły, że z radością przeszły do znacznie przyjemniejszej dyskusji o odkryciach biologicznych dokonanych przez Ambalasei i podobieństwa niektórych opisywanych przez nią gatunków z formami życia występującymi w Gendasi\*. Była to wspianiała, owocna dyskusja.

Dni mijały szybko. Ciało otrzymywało znakomite jadło, umysł znakomite podniety, Lanefenuu namawiała ją do pozostania, podobnie Ukhereb i Akotolp, lecz Ambalasei była uparta.

- Bardzo jestem rada z waszych przyjemności, ale nie zakończyłam pracy. Każdego dnia staję się coraz starsza, mam coraz mniej czasu na dopełnienie badań. Muszą być prowadzone dalej. Badające temperaturę wody uruketo wkrótce powróci. Odpłynę, gdy tylko przybędzie. - Bardzo sprawnie operowała ogólnikami, które sugerowało niewiedzę. Był to dziewiąty dzień, następnego ranka powróci uruketo i wtedy odejdzie. Żyło się jej tu bardzo miło.

Przyjemności nie trwały długo. Siedzące spokojnie uczone posłyszały dochodzące z ambesed krzyki i odgłosy wielkiego niepokoju. Nim się nimi zainteresowały, przysłała wysłanniczka. Była nią nie żadna fargi, lecz sama Muruspe, efenselè Lanefenuu.

- Potrzebna obecność... - wysapała - prędkość ruchów... wielka konieczność.

Fargi robiły im przejście, aż doszły do środka ambesed i otaczającej eistaę grupki. Wysoka Yilanè trzymała tam za ramiona drugą, mniejszą. Jej szczupłą postać wydawała się Ambalasei dziwnie znajoma.

- Patrz! - zawołała Lanefenuu. - Patrz, co znaleziono na naszej plaży.

Skamieniała z przerażenia Ambalasei po raz pierwszy w życiu nie była w stanie nic powiedzieć.

Patrzyła na Far<.



## ROZDZIAŁ XVI

- Niezrozumiałość - przekazała Akotolp. - Nieznajomość sensu obecności.

- Mów, esekasak - nakazała eistaa. - Powiedz zgromadzonym, co odkryłaś.

Esekasak, strażniczka plaży narodzin, okazała się wysoką Yilanè trzymającą szczupłą postać Far<.

Potrząsnęła nią i popchnęła naprzód, by ukazać wszystkim.

- Moim zadaniem jest strzeżenie plaż, ochrona przebywających tam samców. Strzegę i bronię plaż, gdy samce są w hanalè. Zapewniam bezpieczeństwo wynurzającym się z morza elininyil. Są one słabe i wymagają osłony. Do moich obowiązków należy także przyjmowanie każdej wynurzającej się z morza elininyil, bo w mieście żyje się inaczej, niż wśród efenburu w oceanie... - Urwała i zwróciła się do eistai z prośbą o pomoc.

- Opowiem o tym - powiedziała Lanefenuu - bo esekasak nie może. Jej dodatkowym obowiązkiem jest oddzielanie samców od samic po ich wynurzeniu się z oceanu, zabieranie ich natychmiast do hanalè. Robiła to właśnie, gdy znalazła na plaży tę, którą trzyma.

Lanefenuu zamilkła, bo gniew wykrzywił jej ciało i nie mogła mówić wyraźnie. Opanowała się i wskazała Far<, z wielkim trudem mówiąc dalej:

- Znalazła tę... opuszczającą plażę... z elininyil. Z SAMCEM!

Była to niesłychana, niepojęta zbrodnia. Ład i organizacja miasta nie dopuszczały do niej, nie mogły dopuścić. Samce przebywały w hanalè, gdzie mało kto je widział, nigdy nie wychodziły bez straży. Co się stało? Jak mogło się stać? Większość patrzących zeszywniała z grozy, tak iż otępienie i milczenie Ambalasei nie zwracało niczyjej uwagi. To Akotolp w każdej sytuacji przede wszystkim uczona, wystąpiła naprzód i zaczęła wypytywać:

- Gdzie jest samiec?

- Teraz w hanalè.

- Czy coś powiedział?

- Jest yiliebe.

- Czy ta mówiła?

- Nie.

Akotolp przybliżyła twarz do Far<, krzyknęła rozkazująco.

- Nie znam cię - powiedziała - podaj swe imię!

Far< zaprzeczyła i jęknęła z bólu, gdy wielka strażniczka zacisnęła kciuk na jej chudej ręce.

Akotolp spojrzała po kręgu Yilanè.

- Czy ktoś ją rozpoznaje? Czy ktoś zna jej imię? Odpowiedzią było tylko milczenie, przerwała je Lanefenuu.

- Nieznane jest jej imię. To obca, nie z tego miasta. Skąd jesteń, nieznajoma? Ktoś by cię poznał, gdybyś przybyła z nami z Ikhalmenetsu.

Słyszac to, Far< poruszyła członkami i wbrew woli wyraziła nie-Ikhalmenets. Nie mogła kłamać, jak wszystkie Yilanè była niezdolna do ukrycia prawdy. Co myślała, to i mówiła, było to łatwe do zrozumienia. Lanefenuu naciskała ją bezlitośnie.

- Próbujesz osłonić swe imię i swe pochodzenie. Nie potrafisz. Nie zdołasz nic przede mną ukryć. Zaczną wymieniać miasta, a ty będziesz odpowiadać. Potrwa to tak długo, aż mi powiesz. Dowiem się wszystkiego.

Far< rozejrzała się, wierząc w przerażeniu. Nie chciała mówić, lecz wiedziała, że zostanie do tego zmuszona. Jej oczy spoczęły przez chwilę na sztywnym ciele Ambalasei, zawahały się i przesunęły. Zrozumiała.

Zadna tego nie zauważyła, bo wszystkie obserwowały jedynie Akotolp i wypytywaną przez nią więźniarkę, lecz Ambalasei przez chwilę mówiła. Przekazała jedno proste, bezsłowne pojęcie. Far< zrozumiała. Wykręciła się w geście pojęcia i nienawiści, tak silnym, że aż odrzuciła eistaa.

Śmierć, powiedziała Ambalasei. Śmierć.

Far< wiedziała, że w końcu poda informację, a czyniąc to, zdradzi istnienie miasta i Cór Życia. Zostaną one odnalezione, pochwycone i zabite, ich świeża wolność ulegnie zagładzie. Powie - i umrze wszystko, co było celem jej życia. Nienawidziła Ambalasei, która przeżyje. Ją czeka tylko jedno.

Śmierć.

Jej - i wszystkich innych. Myśl o wszystkich śmierciach, których będzie przyczyną, przyprawiała Far< o męki. Zamknęła oczy i zwiła w uścisku eskasak. Ambalasei patrzyła na to nieruchomo i bez wyrazu.

- Martwa - powiedziała Lanefenuu ze wstrętem, gdy esekasak rozchyliła kciuki i Far< upadła na ziemię. - Nigdy się już nie dowiemy.

Akotolp podeszła bliżej i szturchnęła nogą bezwładne ciało, przywołała najbliższą fargi. - Dokonamy sekcji, Eistao. Może to choroba, zapalenie mózgu, to tłumaczyłoby to niezwykle zachowanie.

Lanefenuu wyraziła zwolnienie z obecności i zabrano ciało. Wyszła również większość obecnych, ponieważ ciągle poruszająca się w gniewie i obrazie eistaa niewątpliwie nie była w nastroju do rozmów. Zapomniana przez chwilę Ambalasei odeszła z innymi, pragnąc pozostać nie zauważoną. Fargi kłębiły się w mroku, szukając schronienia na noc, uczona szła tuż za nimi. W zapadającej nocy nikt nie zwracał na nią uwagi. Przespała się na twardej ziemi, bladym świtem wstała i ruszyła na brzeg. Minęła przywiązane uruketo i wyszła na wolny koniec nabrzeża. Czekala tam, zmuszając się do nieruchomego milczenia. Bardzo szybko z mgiełki zalegającej nad morzem wynurzyło się uruketo i Ambalasei ku swej wielkiej uldze ujrzała stojącą na płetwie Elem. Ich obecność między innymi uruketo nie zwracała uwagi. Załoga pomogła Ambalasei wejść na pokład i uczona nakazała natychmiastowe odpłynięcie.

- Przekazujesz wielkie zmartwienie, wielkie nieszczęście - powiedziała Elem, gdy wspięła się do niej.

- Mam po temu powody. Powiem o tym później. Teraz ani ty, ani załoga nie macie czasu słuchać, bo musicie ciężko pracować, by jak najszybciej dopłynąć do plaży.

Na piasku czekały już na nie cztery Córy Życia ze zwartą grupą przestraszonych fargi. Dopiero po opanowaniu zamieszania zdołano wpędzić fargi w fale, zmusić, by płynęły do uruketo. Gdy już się jednak zdecydowały, posuwały się wytrwale, były dobrymi pływakami, bo dopiero co wynurzyły się z morza. Wspięły się na pokład i rozglądały się bezmyślnie, zanim przybyły Córy. Pierwsza z wody wynurzyła się Satsat, stanęła twarzą w twarz z wściekłą Ambalasei.

- Co się tam stało? Co napadło tą idiotkę Far<? Czy wiesz, co zrobiła?

- Wiem. Nie potrafiłyśmy jej powstrzymać. Mówiła, że zakończyłyśmy już tu swoje zadanie, bo rozmawiałyśmy z fargi i dawałyśmy im jeść. Rozumiejące nas zostały i słuchały, będące nadal yiliebe odeszły. Są z nami te, które wiedzą o Ugunenapsie. Nasze miasto będzie rosnąć i rozkwitać...

- Przystaniesz trajkotać? Mów o Far<. Satsat spojrziała w wielkim strapieniu na fargi i swe towarzyszkę wspinające się na uruketo, próbowała uporządkować myśli.

- Powiedziała, że mamy nowe Córy Życia - lecz tylko córę. By nasze miasto mogło rosnąć i kwitnąć w zwykły sposób, potrzebujemy samców, jak to zawsze mówiła. Nalegałyśmy, by nie szła, mówiłyśmy o niebezpieczeństwie, ale nie chciała nas słuchać...

- Łatwo w to uwierzyć.

- Mimo groźby śmierci godziła się na każde ryzyko. Czuła, że żadna ofiara nie jest zbyt wielka wobec ukazania mądrości Ugunenapsy choćby jednemu samcowi. Opuściła nas i nie wróciła. Ani wczoraj wieczorem, ani dziś rano.

- Zrobiła to, co chciała - powiedziała ochryple Ambalasei - spełnione zostało jej największe pragnienie. Nie żyje. Zmarła, by nie mówić. To chyba jedyna rozumna rzecz, jaką uczyniła w całym swym życiu.

Ambalasei odwróciła się od przerażonej Satsat, weszła do wnętrza uruketo i poszukała ciemnego, spokojnego miejsca. Pozostała tam niemal przez całą drogę, mało jedząc, lecz wiele śpiąc, nie zwracając uwagi na pozostałe. Rozmawiała jednak z niektórymi fargi, powoli, spokojnie, bez cechującej ją porywczosci.

Wróciły w południe, ciepłe i wilgotne. Ambalasei pierwsza zeszła na brzeg i oddaliła się, pozostawiając wyładunek innym. Ich przybycie zostało zauważone i wydawało się, że nad rzekę wyległo całe miasto.

- Patrzycie zamiast pracować. Typowe dla Cór Gapiostwa. - Pominęła pełne szacunku powitanie Enge i zwróciła się do swej asystentki, Setèssei. - Na pewno podczas mej nieobecności doszło do wielu tragedii?

- Kilka wypadków.

- Śmiertelnych?

- Nie.

- Fatalnie. Poza tym miasto rośnie dobrze?

- Tak.

- Przynajmniej tyle. - Zwróciła się do Enge, nakazała słuchanie i posłuszeństwo. - Przejdź się ze mną brzegiem, byśmy mogły uniknąć widoku Cór i wszystkich myśli o Ugunenapsie.

- Z przyjemnością. Widzę fargi na pokładzie, wszystko więc poszło dobrze.

- Nie powiedziałabym. Jedna została w Alpéasaku. Far<.

- Nie rozumiem. Dlaczego to zrobiła?

- Nie miała wyboru. Nie żyje.

Ambalasei powiedziała to ze złośliwą radością, potem szła w milczeniu, czekając, aż Enge trochę się pozbiera. Wtedy krótko i obojętnie przedstawiła przebieg wypadków.

- Zmarła z głupoty, tak uważam.

- Jesteś zbyt okrutna wobec zmarłej. Nigdy już nie przysporzy nam kłopotów. Zmarła w nadziei ujrzenia miasta żywym. Długo będziemy z żalem wspominać jej śmierć.

- Proponowałabym, byście wspominały ją z radością, bo gdyby nie zmarła, wszystko to dobiegłoby końca. Nie ucieszyłabyś się już z nowych nawróconych. Rozmawiałam z nimi, są ledwo Yilanè i strasznie głupie. Przypominają wytresowane zwierzęta. Nic nie wiedzą o Ugunenapsie, jeszcze mniej o nią dbają. Nauczyły się powtarzać wbite im w głowy wyrażenia. Robią to, by otrzymać pożywienie.

- Zrozumieją potem.

- Jeśli nie, będą z nich przynajmniej dobre pracownice, ale to ostatnia wyprawa misyjna. Zbliżanie się do miast jest zbyt niebezpieczne. Musisz znaleźć inny sposób zapewnienia wam przetrwania. Jeszcze raz przemyśl Osiem Zasad.

- Zrobię to, choć nie teraz. Zbyt mocno przepełnia mnie rozpacz po utraczonej siostrze. Wiem, Ambalasei, nie musisz tego mówić, że była głupia i uparta. Ale zrobiła to dla nas i będziemy po niej lamentować.

- Wasz wybór. Ja wolę badać ten nowy kontynent. Gdy tylko ukończę przygotowania, wyruszę znowu w górę rzeki.

Enge pożegnała z szacunkiem odchodzącą Ambalasei. Trudno było jej uwierzyć, że nigdy już nie ujrzy Far<. Żałowała teraz szorstkości, z jaką ją traktowała. Pustkę po niej trudno będzie wypełnić. Nie można jednak zbyt długo nad tym dumać.

Jedna z przybyłych patrzyła ze zdumieniem na cuda miasta. Enge podeszła do niej i wyraziła powitanie. Fargi cofnęła się.

- Nie bój się. Wszystkie tutaj to Córy Życia, nigdy cię nie skrzywdzą. Czy masz imię?

Fargi patrzyła tylko na nią, choć niepewnie poruszała szczękami.

- Czy rozumiesz, co mówię? - Pozostało to bez odpowiedzi. - Cóż, nauczysz się mówić. Wtedy nauczysz się prawd przekazanych przez Ugunenapsę...

- Pierwsza zasada - powiedziała fargi, powoli i niezdarnie. - Tkwimy między kciukami ducha życia imieniem Efeneleiaa.

- Nie jesteś więc yiliebe, widzę, że poznałaś mądrość...

- Druga zasada. Wszystkie mieszkamy w mieście. Trzecia zasada. Duch życia, Efeneleiaa, najwyższa eistaa miasta -

Powoli przestała mówić, poruszając nadal szczękami i wiercąc się w próbie przypomnienia sobie następnych zasad. Nie mogła, więc zaczęła od początku. - Pierwsza zasada...

- Wystarczy, możesz przerwać.

- Jedzenie - jedzenie - jedzenie! - powiedziała fargi i otworzyła szeroko usta, jak pisklę w gnieździe.

Enge wzięła ją za rękę i poprowadziła do kadzi z żywnością. Była bardzo przygnębiona. Ambalasei miała rację. Fargi nauczyły się powtarzać dźwięki i ruchy, których nie mogły rozumieć, oczekując w zamian jedzenia. Wytresowane jak zwierzęta, nie są Yilanè. A Far< nie żyje.

Enge odegnała rozpacz. Jest wiele do zrobienia, bardzo wiele.

*Es mo tarril drepastar, er em so  
man drija.*

## POWIEDZENIE TANU

Jeśli ranny jest mój brat,  
krwawię i ja.

## ROZDZIAŁ XVII

Idący szlakiem przed sammadami Herilak bez przerwy się rozglądał. Przepatrywał nie tylko puszcę, lecz również korony drzew. Zatrzymał się przy przegradzającym drogę zwalonym pniu; dawno nie przechodził tędy żaden sammad. Coś zaszeleściło w poszyciu, lecz niczego nie dojrzał. Wśród liści krzyczały ptaki - nagle rozległ się odległy odgłos śmiercio-kija.

Odwrócił się nasłuchując krzyków i ryków mastodontów. Z przygotowanym śmiercio-kijem pobiegnął do sammadów. Nadris stał jedną nogą na wielkim, nieruchomym cielsku maraga, którego nazywali kolcogrzbietem.

- Co się stało?! - zawołał Herilak.

- To wyszło zza drzew, popędziło na mastodonta. Musiałem je zabić.

Małe oczka zasnuła śmierć. Zwierzę pokrywały płyty pancerza i rzędy kolców tkwiących wzdłuż boków oraz na długim ogonie. Strzał był celny, trująca strzałka trafiła stworzenie w pysk.

- Są dobre do jedzenia - powiedział Nadris.

- Ale trudno je poćwiartować - odparł Herilak. - Jeśli je przewrócimy, można będzie odciąć tylne łapy. Niedługo musimy się rozłożyć na noc, nie mamy więc zbyt dużo czasu. Zostań tutaj i zacznij ćwiartować - przyślę ci na pomoc Newasfara. Niech jego mastodont zabierze mięso, odejdźcie stąd przed zmrokiem.

Ruszyli naprzód, mastodonta przewracały oczyma i trąbity ze strachu przy mijaniu wielkiego cielska. Herilak ponownie szedł pierwszy, szukając polany, na której mogliby się zatrzymać i rozniecić ogniska. Będą potrzebować dużo chrustu, bardzo dużo, by upiec wszystko mięso, bo co zostanie, zepsuje się w cieple, a szkoda.

Od szlaku odchodziła w dżunglę ścieżka wydeptana przez zwierzęta. Stanął, sprawdzając, czy drzewa nie rosną tam rzadziej, i coś przyciągnęło jego uwagę. Herilak pochylił się i przyjrzał uważniej. Na pniu coś błyszczało, odłupany kawałek kory. Ślad częściowo zarósł, lecz został zrobiony w tym roku. A wyżej zobaczył złamaną, zwisającą gałąź. Tanu oznakowali tę ścieżkę.

Prowadząca mastodonta Merrith doszła do stojącego na szlaku Herilaka. Uśmiechnął się do niej i wskazał na dżunglę na wschodzie.

- Coś znalazłem, oznakowaną ścieżkę prowadzącą w stronę wybrzeża. Oznakowaną więcej niż raz.

- Czy to może być Kerrick?

- Nie wiem, ale coś tam jest, może inny sammad. Jeśli nawet nie znajdę Kerricka, to może się dowiemy, czy czegoś o nim nie wiedzą. Zatrzymamy się tutaj. Zawiadom innych - chcę zobaczyć, dokąd prowadzi ta ścieżka.

Ściemniało się już, gdy Herilak doszedł do wody i spojrzał na wyspę. Za ciemno, by iść dalej. Wyciągnął powietrze, sprawdzając, czy nie pachnie dymem. Nie był pewien. Przekona się rano.

Tego wieczoru najedli się do syta, przejedli się nawet, bo mięsa było o wiele za dużo, niż mogli zjeść lub zakonserwować. Tylko Fraken skarżył się na twardość kęsów, ale zostało mu tylko kilka zębów. Chłopiec-bez-imienia musiał pokroić jego porcję na małe kawałki, nim sam mógł przystąpić do posiłku. Zdołał ukradkiem porwać dla siebie kilka skrawków. Herilak żuł mięso, nie myśląc o nim, zastanawiał się, co znajdzie rano na wyspie. Długo nie mógł zasnąć, a potem spał niespokojnie, obudził się, gdy gwiazdy jeszcze nie zniknęły z nieba. Z popiołów ogniska wyjął zimny kawałek mięsa, ugryzł kęs i poszedł obudzić Hanatha.

- Chcę byś poszedł ze mną. Potrzebuję pomocy, by przedostać się na wyspę.

Rozmowa obudziła Morgila.

- Co ze mną? - zapytał.

- Zostań w sammadzie. Uwędcie jak najwięcej mięsa. Wrócimy, gdy tylko sprawdzimy, czy są tam Tanu. Hanath cię zawiadomi, jeśli trafimy na sammad.

Ranek był chłodny, szybko dotarli do morza. Hanath uniósł głowę i wciągnął powietrze.

- Dym. - Wskazał na wyspę. - Dochodzi stamtąd.

- Wydawało mi się wczoraj wieczorem, że go czuję, a spójrz na te znaki. Przez błoto przeciągnięto tratwę lub łódkę. Ktoś jest na wyspie, musi być.

- Jak się tam dostać?

- Tak samo...

- Patrz. Coś się tam rusza, pod drzwiami.

Obaj łowcy stali nieruchomo i cicho, wpatrując się w cienie pod dalekim lasem. Z krzaków na słońce wyszedł ktoś, potem jeszcze ktoś.

- Łowca z chłopcem - powiedział Hanath.

- Dwaj chłopcy, jeden duży jak łowca.

Herilak zwinął dłonie przy ustach i wydał przeciągły okrzyk. Obaj chłopcy stanęli, odwrócili się i pomachali dojrzanym łowcom. Potem zniknęli wśród drzew.

Kerrick spojrział na chłopców zbiegających stokiem, byli tak zadyszani, że ledwo mogli krzyczeć.

- Łowcy, dwaj nad wodą.

- Czy to Tanu? - zapytał Ortnar, dźwigając się z trudem.

- Mieli włosy jak my i włócznie - powiedział Harl. - To łowcy Tanu.

- Muszę ich zobaczyć - stwierdził Kerrick, sięgając po hèsotsan.

- Pokażę ci, gdzie są! - Podniecony Arnwheet aż podskakiwał.

- Dobrze.

Armun usłyszała rozmowę i wyszła przed namiot z dzieckiem na rękach.

- Zostaw tu chłopca - powiedziała.

- Nie ma się czego bać. To Tanu. Ortnar zostanie z tobą. Arnwheet zobaczył ich pierwszy, zasłużył na spotkanie. Może opowiedzą nam, co się stało w dolinie.

- Przeprowadź ich tutaj.

Patrzyła, jak odbiegali, chłopcy krzyczeli do siebie. Czyżby inny sammad? Spotkałaby inne kobiety, z którymi mogłaby porozmawiać, inne dzieci. Była niemal tak podniecona, co i chłopcy. Z namiotu wyszła Darras, jak zawsze cicha i bojaźliwa. Przyda się jej spotkanie z innymi dziewczętami. Byłoby cudownie, gdyby naprawdę przechodzi tędy inny sammad.

Chłopcy biegli przodem, krzycząc z podniecenia, i nim Kerrick doszedł do brzegu, zdążyli już z krzaków wyciągnąć tratwę. Mieli rację, po drugiej stronie był łowca. Tylko jeden, wielki i jakby znajomy. Pomachał hèsotsanem i zawołał.

To Herilak, na pewno. Kerrick odmachał mu w milczeniu, przypomniał sobie ostatnie spotkanie w mieście. Sammadar był zły na niego, bo zmusił sammady do pozostania w mieście i uczestnictwa w jego obronie. Potem już nie rozmawiali, następnego ranka Kerrick ruszył z Ortnarem na pomoc. Szli tak, by omijać z dala wszystkich Tanu. Chronili w ten sposób obu samców Yilanè. Co Herilak tu robi i co mu teraz powie? Padło między nimi wiele twardych słów.

Kerrick stał w milczeniu na tratwie kierowanej przez chłopców. Patrzył na wielkiego łowcę, również trwającego w milczeniu. Gdy tratwa stuknęła o brzeg, Herilak odłożył swą broń na trawę i poszedł bliżej.

- Witam cię, Kerricku - powiedział. - Witam. - Dotknął zwisającego mu z szyi noża z gwiazdowego metalu, potem zerwał go i wyciągnął przed siebie. Kerrick wziął go powoli. Wypolerowane piaskiem ostrze błyszczało w słońcu.



- Przyniosły go - powiedział Herilak. - Murgu. Atakowały nas, zwyciężyły. Potem przestały. Zostawiły to nam.

- Miała to być wiadomość dla kogoś innego. Dobrze, że znów go widzę. Zrozumiałeś, co to znaczy?

Ponurą twarz Herilaka rozjaśnił rzadki u niego uśmiech.

- Nie rozumiem wszystkiego, co się stało. Wiem jednak, że coś się stało, że ustały zabijające nas ataki, że murgu odeszły. Zdarzyło się to na pewno dzięki tobie. - Twarz Herilaka znów spochmurniała, umilkł i założył race. - Gdy spotkaliśmy się ostatnio, Kerricku, powiedziałem ci wiele przykrych słów. Byłeś w moim sammadzie, lecz mimo to mówiłem i robiłem rzeczy, których nie powinienem. Nie uczyniłem tego, co należy, dla twojej kobiety, Armun. To dla mnie wielka hańba.

- To przeszłość, Herilaku. Nie będziemy już o tym mówić. Powitaj mego syna, Arnwheeta. To sammadar Herilak, pierwszy między samadarami i łowcami.

- Nie pierwszy, Arnwheecie - zaprzeczył Herilak, spoglądając na chłopca. - Bądź dumny ze swego ojca. Jest wśród nas pierwszy. A tego znam, to syn Nivotha. Odszedł z Armun. Czy i ona tu jest?

- Jest. A także Ortnar z twego sammadu.

- Coś wtedy mroczyło mi głowę. Potraktowałem Ortnara tak jak ciebie. Może i gorzej. Uderzyłem go. Mogę jedynie powiedzieć, że omroczenie minęło. Żałuję tego, co uczyniłem, lecz nie mogę niczego cofnąć.

- Nie musimy teraz o tym mówić. Chłopcy wspomnieli o dwóch łowcach.

- Drugi wrócił do sammadu, przyprowadzi wszystkich nad wodę. Czy przyłączysz się do nas ze swoim sammadem?

- Dokąd ciągniecie?

- Szukaliśmy ciebie.

Kerrick wybuchnął śmiechem na widok zmieszanej miny Herilaka. Łowca skrzywił się najpierw, potem także zaczął się śmiać.

- Znaleźliście mnie, możecie więc się tu zatrzymać, przyłączyć do nas. Wyspa jest bezpieczna, zwierzyny nie brakuje. Są na niej sarny i małe murgu. To dobre miejsce na obóz.

- Drapieżne murgu?

- Jest ich trochę, ale z ładu przybywa ich niewiele. Szukamy ich śladów w błocie, tropimy i natychmiast zabijamy. - Rozmowa o murgu coś mu przypomniała.

- Chętnie witam cię tutaj z całym sammadem - powiedział i zawahał się chwilę. - Muszę cię jednak uprzedzić, że na drugiej wysepce jest jeden z samców z miasta.

- Jeden z tych, którzy przeżyli pożar? - skrzywił się i nieświadomie uniósł broń.

- Ten sam. Było ich dwóch, lecz jeden... zmarł. Wiem, że według ciebie należy zabijać wszystkie murgu, mówiłeś mi o tym. Ten jeden jest niegroźny.

- Czy to znaczy, że jeśli tu przyjdziemy, to maraga nie wolno będzie niepokoić? To duża prośba.

- Duża, zapewne, ale musi tak być. Rozmawiam z nim. A dzięki temu, że umiem rozmawiać z murgu mogłem ocalić dolinę, przerwać wojnę. Przekazać ci ten nóż.

- Nigdy przedtem tak o tym nie myślałem. Po zagładzie mego sammadu uważałem, że murgu należy nienawidzić i niszczyć. Wszystkie. Mówiłeś, że niektóre są inne, lecz nie mogłem tego pojąć.

- Ten jest nieszkodliwy, jak wszystkie samce przebywał całe życie w zamknięciu. To samice prowadzą wojnę. Chcę, by ten jeden żył nadal.

Herilak skrzywił się, lecz w końcu kiwnął głową.

- Będzie, jak mówisz. Nie zbliżę się do tego zwierzęcia.

- A inni?

- Każdy będzie musiał obiecać to samo, bo inaczej tu nie zostanie. Wstęp na wyspę z maragiem zostanie zakazany, to najlepsze wyjście. Pokaż nam, która to wyspa, a wszyscy Tanu przysięgną, że na nią nie wejdą. Także dzieci. Nie podoba mi się to, ale tobie zawdzięczamy nasze życie, tyle przynajmniej możemy dla ciebie zrobić. Stworzenie będzie bezpieczne.

W puszczy rozległo się trąbienie i ukazał się pierwszy mastodont. Sammady zbliżały się do wyspy.

## ROZDZIAŁ XVIII

Armun słyszała mastodonty przed ich przybyciem i w podnieceniu przyciskała do siebie dziecko. Pokazały się, prowadzone przez łowców. Nie tylko łowców, bo pierwsza szła kobieta, jakby znajoma.

- Merrith - zawołała raz i drugi, aż starsza kobieta usłyszała ją, odwróciła się, pomachała ręką i szybko podeszła.

- Armun! Jesteś tu bezpieczna. Masz rodzinę. Byłaś dziewczyną, teraz jesteś matką, masz bardzo ładne dziecko. Muszę je potrzymać.

- Nazywa się Ysel. - Uśmiechnięta ze szczęścia Armun podała córeczkę. - Urósł już jej brat, musiałas go widzieć, wyszedł wam na spotkanie.

- Patrz na jej oczka, zupełnie jak twoje. - Merrith zerknęła na namiot, którego poła odchyliła się i wyjrzała zawstydzona Darras.

- Druga córka!

- Jest teraz dla nas niby córka, ale nią nie jest. - Darras trzymała Armun za nogę, opierała się przed wyjściem do obcej kobiety. - To Merrith, znam ją, odkąd byłam małą dziewczynką, mniejszą niż ty teraz, Darras.

Merrith uśmiechnęła się i dotknęła włosów dziewczynki, poczuła, jak drży pod jej palcami. Potem mała odsunęła się i pobięła przyjrzeć się mastodontowi, stojącemu spokojnie i żującym wielką porcję liści.

- Była sama, gdy ją znaleźliśmy - wyjaśniła Armun. - Tylko ona i mastodont. Resztę sammadu wybiły murgu. Odtąd jest z nami. Miewa koszmary i często budzi się w nocy.

- Biedne dziecko - powiedziała Merrith i oddała Ysel matce.

- Czy wiesz, jaki to był sammad?

- Sorliego, sammad Sorliego.

Merrith otworzyła szeroko usta i chwyciła się za piersi.

- Nie żyje, moja córka nie żyje! Poszła ze swoim łowcą do sammadu Sorliego. Melde. Nie żyje, jak jej siostra.

Usłyszawszy to, Armun zeszywniała, przycisnęła dziecko tak mocno, że zaczęło płakać. Opanowała się, utulała córeczkę, aż przestała łkać. Nadal jednak drżał jej głos.

- Gdy znaleźliśmy Darras, początkowo nic nie mówiła, tylko płakała. Widziała, jak ich zabijano. Potem mogłam z nią rozmawiać, opowiedziała mi o wszystkim, jak znalazła się sama w lesie. Powiedz jej imię, Darras. Powiedz mi, jak nazywała się twoja matka. - Armun zawahała się, potem zmusiła się do mówienia. - Powiedziała imię swej matki. Była nią Melde.

Obie kobiety patrzyły na siebie w milczeniu, wreszcie Merrith zdołała przemówić:

- To dziecko jest moją wnuczką?

- Na pewno. Muszę z nią pomówić. Nigdy mi go nie powiedziała, ale musi znać imię swego ojca.

Początkowo Darras nie wiedziała, co się dzieje, nie mogła tego zrozumieć. Dopiero gdy dokładnie wytłumaczono jej pokrewieństwo, pojęła i wybuchnęła długo powstrzymanym płaczem w ramionach swej babki.

- Będiesz ze mną - powiedziała Merrith - jeśli tylko zechcesz i jeśli pozwoli Armun.

- To córka twojej córki. Teraz należy do ciebie. Musisz rozbić swój namiot w pobliżu, byśmy mogły być zawsze blisko siebie.

Łzy Merrith przeszły w śmiech, dołączyła do nich Armun, a po chwili nawet Darras zdołała uśmiechnąć się przez łzy.

Dni po przybyciu sammadów należały do najszcześniejszych w całym życiu Armun. Murgu już z nimi nie walczyły, nie musieli się ich bać. Pojawienie się sammadów zmieniło całkowicie życie na wyspie. Pod drzewami pojawiły się namioty, z wielu ognisk wzbijał się dym. Między nimi biegały wrzeszczące dzieci, a ich krzykom wtórowały z pola ryki mastodontów. Zwierzyny nie brakowało, brzuchy były pełne, w wędzarniach zwisały ciężko wędzone mięsa. Zrąbano wielkie drzewo o twardym drewnie, ociosano z gałęzi i zawleczono na brzeg w pobliże namiotów.

Tam pod kierunkiem Herilaka zostało wypalone w środku. Po zakończeniu prac będą mogli pływać łodzią na bagna i zastawiać sidła na ptaki, które teraz bardzo strzegły się łowców. Arnwheet przyglądał się temu z innymi chłopcami i w wielkim trudzie robili mniejszą łódkę dla siebie. Kosztowało ich to kilka przypieczonych palców i sporo łez, lecz praca się posuwała.

W odzyskanym szczęściu Armun zrozumiała, o ile lepiej żyje im się po połączeniu z sammadami. Herilak przyszedł do Ortnara i choć nikt nie słyszał, o czym mówili, to niewątpliwa przepaść między nimi została zasypana, wróciła dawna więź. Namiot Ortnara stał teraz obok sammadarowego, siadywał z innymi łowcami do wieczornych ognisk, czasem nawet się z nimi śmiał. Już nie mówiło pójściu w las.

Arnwheet, gdy nie pracował przy łodzi, co zdarzało się rzadko, bawił się z innymi chłopcami w swoim wieku, a Harl chodził z łowcami na polowanie. Wszystko biegło jak należy i była bardzo szczęśliwa. Siedziała na słońcu przed namiotem. Na miękkiej skórze wierciła się i gaworzyła córeczka. Obok klęczała Malagen i przyglądała się dziecku z wielką radością.

- Czy mogę ją potrzymać? - zapytała w seseku. Armun nie zapomniała jeszcze tego języka, a Malagen była bardzo rada, że może go znowu słyszeć i używać. Tuliła Ysel w ramionach, jasne włosy dziecka odcinały się wyraźnie od jej czarnych splotów. Nigdy nie przestawała się nią zachwycać.

- Jakie ma oczka, błękitne jak niebo! Zrobiłam coś dla niej, mam tutaj.

Sięgnęła pod ubranie i dała Armun ciemną wstążkę.

- Gdy urosną jej włosy, owiniesz tym główkę, jak robią to Sasku.

Armun pogładziła podarunek z podziwem.

- Jest takie miękkie, ale różni się od tkanych przez ciebie materiałów - co to jest?

- Coś bardzo ważnego i tobie powiem pierwsza. Po opuszczeniu dolin zabrałam z sobą krosna, widziałas je; tkalam na nich płótno z włókien charadisu. Nie mam go już jednak, skończył się cały. Wtedy przyjrzałam się waszym waliskis i gdy mogłam, dotykałam je. Są cudowne.

Armun kiwnęła potwierdzająco. Wiedziała, że waliskis, jak Sasku nazywali mastodonta, grały bardzo ważną rolę w ich wierzeniach. Malagen mogła cały dzień przyglądać się im z podziwem.

- Dotykałam je i czesałam, lubią to. Potem odkryłam, że przy wyczesywaniu wypadają włosy. Zatrzymywałam je, bo są bardzo cenne. Potem któregoś dnia skręciłam je, jak to robimy z włóknami charadisu i odkryłam, że można je tkać. Zrobiłam to! - Roześmiała się i wyszeptwała: - Robiłam opaskę dla mandukto, ale mogę utkać następną. A ta jest taka mała. Chyba bardziej będzie pasować Ysel.

Sasku potrafili bardzo wiele i Armun cieszyła się bardzo, że Malagen jest z nimi. Przeszukiwała całą wyspę, potem namówiła Newasfara, by popłynął z nią na ląd, gdzie znalazła odpowiedni rodzaj gliny. Łowcy nie pomagali kobietom przy pracy, lecz przynajmniej chronili je przed zwierzętami podczas kopania gliny. Załadowały mastodonta Merrith i wróciły z pełnymi koszami. Teraz wznosiły piec i wkrótce będą miały naczynia twarde-jak-kamienie, takie jak u Sasku.

Działo się tyle, że Armun nie boczyła się już na Kerricka za odwiedzanie maraga. Zauważyła, że przeważnie chodził sam, bo Arnwheet wolał bawić się z innymi chłopcami. Bardzo była z tego rada,

choć nie mówiła tego głośno. Kerrick był jej łowcą i znał się na rzeczach, których nie potrafili robić inni łowcy, nawet sammadarzy. Jedną z nich było rozmawianie z murgu. Gdyby nie rozmawiał z jednym na wyspie, na której zabili wielkie zwierzęta morskie, wszystko byłoby inaczej. Sammady by zginęły. Wszyscy teraz wiedzieli, czego dokonał i jak to zrobił, nigdy nie mieli dość jej opowieści. Słuchali też o Paramutanach, przebyciu całego oceanu, wszystkich innych przeżyciach. Słuchali z szacunkiem, nie tylko dlatego, że jej łowcą jest Kerrick, ale z powodu jej dokonań. Już nie kryła swej rozszczepionej wargi ani o niej nie myślała. Życie było pełne, słońce gorące, ciągłe lato znacznie lepsze od ciągłej zimy. Niektóre kobiety wspominały śnieg, jagody występujące tylko na północy i inne rzeczy. Słuchała ich w milczeniu, bo nie chciała więcej tego widzieć.

Kerrick widział u Armun te zmiany, przyjmował je z radością. Przed przybyciem innych jego sammad nie był zbyt szczęśliwy. Chromy łowca, smutna dziewczynka, dwaj chłopcy o zbyt wielkiej różnicy wieku, by naprawdę móc się z sobą bawić. Wszystko to uległo zmianie. Darras mieszkała teraz z babką, po raz pierwszy uśmiechała się i rozmawiała, chyba wreszcie zapomniała o zagładzie swego sammadu. Kerrick żałował tylko, że Arnwheet stale przebywa ze swymi kolegami i nie ma czasu na rozmowy z Nadaske. Sam też rzadko do niego chodził. Minęło już wiele dni od ostatniej wizyty, tak wiele, że nie potrafi określić ile. Nie należy tak traktować przyjaciół. Odciął nogę niedawno zabitej sarny, zabrał hèsotsan i poszedł nad ocean wydeptaną ścieżką. Nie spotkał nikogo, gdy pokonywał cieśninę w drodze na wysepkę. Na pagórku spojrział na morze, puste jak zawsze. Yilanè trzymały się swego miasta, jak obiecała Lanefenuu. Gdyby wcześniej przyprowadził tu sammad znad Okrągłego Jeziora, nigdy by się nie natknęli na łowczynię Yilanè. Imehai żyłby nadal. Potrząsnął głową, by rozpedzić te myśli. Nie warto się trapić, przeszłości nie można zmienić. Idąc przez krzaki, zachowywał uwagę.

Szałas był pusty. Brakowało hèsotsanu, może więc Nadaske wybrał się na polowanie. Kerrick znalazł w środku świeżo ścięte liście i położył na nich mięso. Gdy wyszedł, zobaczył czekającego Nadaske. Kerrick zgiął ręce w pochwałę.

- Nadaske to stworzenie leśne, porusza się cicho jak wiatr. Czy polowałeś?

- Nie. Słyszac kroki, poszedłem do kryjówki. - Schował hèsotsan do szalasu i zobaczył mięso. - Słodkie mięso martwego zwierzęcia po wielokroć lepsze od ryb. Podziękowanie dla efenselè.

- Wkrótce przyniosę ci więcej. Tyle się zdarzyło, byłem bardzo zajęty, dlatego nie przychodziłem. Czemu jednak się kryjesz? To taka zabawa z hanalè?

Usta Nadaske pełne były mięsa i nie mógł odpowiedzieć od razu. Jadł żarłocznie, wreszcie przełknął wszystko.

- Dziesięć razy, dziesięć razy lepsze od ryb. Zabawa z hanalè, tak, była taka. Nudna-głupia. Trudno mi teraz myśleć o tamtym życiu, jak mogliśmy dostrzegać w nim jakieś przyjemności. Nie, nie zabawa. Było tu małe ustuzou, groziło zabiciem kamiennym-zębem. Teraz uważam i kryję się.

- Byli tutaj? Kto, łowcy, jak ja?

- Nie, nie takie duże, drobne jak maleńkie-miękkie, może większe.

- Musieli to być jacyś chłopcy. Czy napadli na ciebie z włóczniami, rzucali je?

- Krzyczeli i machali bronią, uciekali do lasu.

- Zajmę się tym - powiedział Kerrick ponuro. - Wiedzą, że nie wolno im tu przychodzić. Myślą, że są bardzo odważni, ale się mylą. Nigdy się to nie powtórzy.

Nadaske ogryzał kość, nie zostawiał nawet kawałeczka mięsa. Odrywał je, połykał i wyrażał słodycz-mięsa, słodycz-życia. Kerrick myślał o chłopcach, co zrobić, by nie wrócili tu znowu, i dopiero po chwili zrozumiał słowa Nadaske. Otaczali go tylko Tanu, świat Yilanè wydawał się mu coraz bardziej daleki i obcy. Wielkie szczęki i błyszcząca skóra Nadaske są takie inne od Tanu. I

sposób trzymania kości między przeciwległymi kciukami. Kerrick zauważył jakiś ruch i zobaczył przebiegającą polaną jaszczurkę. Nadaske rzucił kość, a jaszczurka stanęła, widząc ten ruch. Zastygła w bezruchu zupełnie jak Nadaske. Były równie inne, równie obce.

- Coś jeszcze się zdarzyło - powiedział Nadaske i chwila poczucia odmienności minęła. To Nadaske, jego przyjaciel.

- Co takiego?

- Było tu uruketo.

Przeszedł go zimny dreszcz. - Nie! Tutaj? Czy wylądowało?

- Przeczenie-przeczenie. Było na oceanie, daleko od brzegu. Płynęło na północ, następnego dnia wróciło.

- To samo?

- Przypuszczenie-tak, pewność-nie.

Nagły strach minął. Yilanè nie wylądowały, nic nie groziło sammadom. Po oceanie pływają uruketo, to jasne, dopóki jednak sammady trzymają się z dala od brzegu, nie ma się czego bać. Był to jednak znak, taki sam jak widok dwóch czarnych ptaków naraz, co według Armun zapowiadało niepomyślny dzień. Nieszczęście ściągało też skierowanie noża czubkiem do siebie. Sam nie wierzył w znaki.

- Czy widziałeś przedtem uruketo?

- Raz daleko w morzu.

- Chyba nie mamy się czego lękać. Alpèasak leży na brzegu na południe od nas. Do jego portu zawijają uruketo i łodzie rybackie. Na razie nie wychodzą na brzeg.

- Nie wyjdą. - Nadaske wskazał kciukiem na zęby w powiedzonku, że zwierzę raz gryzone unika tego, co je ugryzło. - Dbająca o uruketo eistaa nie zapomni o dwóch martwych na brzegu. Zostaną w mieście, a my tutaj. Jedzenia jest dość dla wszystkich.

- Na pewno masz rację. Trudno jednak uwierzyć, że między Yilanè a ustuzou może istnieć pokój.

- Jest pokój między nami. Prawdopodobnie dlatego, że jesteśmy samcami. To samice są przyczyną wszelkiego zła na świecie. Strzeż się swoich samic.

Kerrick wyraził zgodę i czujność. Zrezygnował z prób wyjaśnienia stosunków łączących obie płci Tanu. Nadaske nigdy by nie uwierzył, że nie słucha poleceń Armun.

- Pora wracać - powiedział wstając.

- Ciekawa sprawa, pragnienie, by Kerrick zobaczył hèsotsan. Nadaske przyniósł broń i wskazał na jedną z podkurczonych bezużytecznych łapek stworzenia.

- Małość-zmiany, obecność-znaczenia?

Kerrick wziął hèsotsan, żywa broń była bardzo ważna dla ich życia. Każde w nich zmiany miały znaczenie. To stworzenie wyglądało jak wszystkie inne, miało zamknięte oczy, szczątkowe kończyny przylegały ściśle do boków. Stawało się takie na stałe po przejściu okresu ruchliwej młodości. Spojrzał na nogę, białawy nalot na ciemnej skórze, potarł go koniuszkiem palca.

- Skóra jest tu szarawa, to widać. Chyba nie spotkałem takiej u żadnego. Może zwierzę się starzeje. Czy wiesz, jak długo żyje?

- Brak wiedzy. Poza tą skazą działa jak zawsze.

Kerrick wziął jedną ze swych strzałek i umieścił pod fałdą skóry, skierowała hèsotsan w morze i ścisnął. Rozległ się znajomy dźwięk i strzałka wyleciała łukiem. Gdy potarł pysk zwierzęcia, otworzyło go powoli i zjadło podany kawałeczek mięsa.

- Wydaje się, że wszystko w porządku. Nie masz się czym martwić.

- Zawsze trzeba się martwić. - Nadaske odebrał hèsotsan i obejrzał go uważnie. - Nie ma

hèsotsanu, nie ma życia. Śmierć od drapieżnika.

- Na razie nie musisz się przejmować. Strach bezpodstawny, przyszłość pełna słońca i mięsa.

Kerrick wracał do obozu. Na brzegu stanął i obejrzał dokładnie swój hèsotsan. Wszystko było bez zmian.

Ziarno zmartwienia zostało jednak zasiane. Biegł truchtem przez wysepkę, chciał jak najprędzej wrócić.

Pragnął przyrzeć się dokładnie innym hèsotsanom.

## ROZDZIAŁ XIX

Nigdy się nie dowiedzieli, co było przyczyną kłopotów; nie mieli też najmniejszego pojęcia, jak je powstrzymać.

Obawy Kerricka początkowo się nie sprawdzały. Wszystkie przejrzone przezeń hèsotsany wyglądały normalnie, szarą skórę miała tylko broń Nadaske. Musiał to być skutek jakiegoś wypadku, któremu uległo zwierzę. Kerrick przestał o tym myśleć, bo jak wszyscy inni łowcy wyczekiwał niecierpliwie łowów na ptaki. Więcej teraz padało, czasem rano było mglisto. Stary Fraken był jeszcze w stanie zauważyć skracanie się dnia; na północy zaczynała się zima. Wszyscy wiedzieli o tym i bez Frakena, bo cieśniny i bagna zaroily się od wielkich stad ptaków. Przylatywały falami i lądowały kolejno z wielkim krzykiem. Nie zatrzymywały się na dłużej niż dzień czy dwa. Przerzywały swą dalszą wędrówkę na południe tylko po to, by najeść się i odpocząć. Pień został wydrążony i przycięty, łódź była już gotowa, nadeszła pora upolowania części niezliczonego ptactwa.

Wielu łowców trudziło się nad wypalaniem łodzi i każdy z nich pragnął wziąć udział w pierwszej wyprawie. Kerrick zapobiegał nieuniknionym kłótniom, stwierdzając, że pierwszą czwórkę wybierze się za pomocą chłopięcej zabawy. Przycięto równo tyle słomek, ilu było łowców i wsadzono je do świeżo wypalonego garnka. Końcówki czterech źdźbeł umociono w gruczole atramentowym hardalta, aż zabarwiły się na fioletowo. Każdy łowca wyciągnął słomkę po kolei. Odbyło się to przy wielu krzykach, skargach pechowców i przechwałkach szczęściarzy. W końcu wszyscy poszli do łodzi. Załadowano do niej sieci i całą obłożono trzciniami, za którymi skryli się łowcy. Wyłynęli przed wieczorem, płosząc ptaki. Nie próbowali ich łapać, lecz schowali się w sitowiu, czekając na przybywające przed zmrokiem nowe stada.

Herilak odciągnął Kerricka na bok, mówiąc cicho:

- Chodź, coś ci pokażę.

W swoim namiocie wyciągnął broń.

- Pytałeś o śmiercio-kije. Czy o to ci chodziło? Kerrick obejrzał hèsotsan i zmartwiał na widok szarej, luźno zwisającej łapy stworzenia. - Od kiedy jest taki?

- Od paru dni, nie wiem. Co to znaczy?

- Może nic. Zwierzęta starzeją się i zdychają. Może to tylko to.

Okazało się, że nie. Szarość na broni Herilaka rozrastała się, najpierw powoli, lecz stale. Pewnego dnia zwierzę nie wystrzeliło strzałki i zaczęło śmierdzieć. Zagrzebali je w lesie z dala od namiotów.

- To samo jest z jeszcze dwoma - powiedział Herilak.

- Pewnie jakaś choroba - odparł Kerrick. - Może przechodzi z jednego na drugi. Musimy je porozdzielać.

- A jeśli zdechnie ich więcej?

- To zdechnie. Możemy polować - i bez nich.

- Tak, ale nie zabijać murgu. - Herilak spojrział ponuro na leżący za cieśniną ład. - W nocy przyszedł stamtąd wielki marag. Mastodonty usłyszały go, czy może poczuły. Hanath usłyszał ich trąbienie i zabił drapieznika, nim zbliżył się do stada. Był dwa razy większy od mastodonta, a zęby miał takie długie jak twoja ręka. Takiego maraga nie zabijesz strzałą czy włócznią.

- Zdechł jeden śmiercio-kij. Mamy jeszcze inne.

- One też szarzeją. Jeśli zdechną wszystkie... Kerrick nie zdołał znaleźć żadnego pocieszenia, był równie zmartwiony co i Herilak.

- Możemy wiosną pójść na północ, do śniegów i gór, niedostępnych dla murgu.



- Możemy to zrobić - ale na jak długo? Zima bez końca nadal więzi doliny. Miejscowi Tanu nie będą nam radzi. Zdarzało się już, że Tanu zabijali Tanu i znów do tego dojdzie, jeśli pójdziemy na pomoc. Dobrze się tu nam żyje i poluje, ale tylko dopóki mamy śmiercio-kije.

Było to tak oczywiste, że nie chcieli o tym rozmawiać. Herilak posłał po sammadarów dopiero wtedy, gdy zachorowały dwa dalsze hèsotsany. Zebrali się przy ognisku, cicho gwarząc, bez śmiechów. Wszyscy umilkli, gdy Herilak stanął przed nimi.

- Wiecie wszyscy o śmiercio-kijach. Jeden zdechł, dwa następne dostały szarych plam.

- Trzy - zawołał Har-Havola. - Od wczoraj są i na moim. Co będzie, jeśli zachorują i zdechną wszystkie?

- Jeszcze do tego nie doszło - powiedział Kerrick. - Nie skazuj ich tak szybko.

- Ale może tak się stać, co wtedy? Jak będziemy zabijali murgu?

Rozpoczęła się beładna, jałowa dyskusja. Wreszcie stojąca za kręgiem sammadarów Merrith zniecierpliwiła się i zawołała:

- Skrzeczycie jak ptaki w gnieździe, a nawet nie znosicie jaj. Skąd mamy śmiercio-kije? Od murgu, wszyscy to wiedzą. Czy nie możemy zdobyć nowych, gdy te zginą?

Wszyscy spojrzeli na Kerricka.

- Nie bardzo. Murgu bardzo by się ucieszyły, dowiadując się, że potrzebujemy śmiercio-kijów. Na pewno nam ich nie dadzą.

- No to je zdobędziemy - zawołał jakiś łowca.

- To oznaczałoby nową wojnę, bo musielibyśmy zabić jakiegoś maraga. Wiecie wszyscy, że ich atak na dolinę powstrzymałem groźbą. Wątpię, by udało mi się to po raz drugi. W żadnym razie nie wolno nam zabijać murgu ani zdradzić im, że potrzebujemy śmiercio-kijów.

Padaly dalsze pytania, wszyscy byli ciekawi, jak robi się śmiercio-kije.

- Nie robi, lecz hoduje. Młode przypominają zwykłe jaszczurki, tylko są od nich dłuższe, wyglądają bardziej jak węże. Rosną w bagnistej sadzawce otoczonej wałami, tak iż nie mogą uciec. Dorastając poruszają się coraz mniej, aż wreszcie stają się takie jak nasze.

- Czy moglibyśmy je hodować? - spytała Merrith.

- Chyba nie. W mieście często się im przyglądałem, próbowałem to zrozumieć, ale bez skutku. Nie wiem nawet, czy wylęgają się z jaj. Poruszają się, póki są małe. Potem sztywnieją i stają się takie, jak widzicie. Wtedy nie mogą się rozmnażać. Może przechodzą przez inny stan, którego nie dostrzegłem, choć patrzyłem uważnie. To tajemnica murgu.

- Czy znasz miejsce, w którym trzymane są śmiercio-kije? - zapytał Herilak.

- Wiem, gdzie były trzymane, trudno powiedzieć czy są tam nadal. Część miasta spłonęła, część uschła. Po powrocie murgu na pewno rozrosło się i zmieniło.

- Mimo wszystko, gdybyśmy znaleźli młode śmiercio-kije i przynieśli tutaj, mielibyśmy to, czego nam trzeba. Może się uda.

- To trudne...

Protesty Kerricka utonęły we wrzawie. Grupa łowców musi tam iść, znaleźć śmiercio-kije i zdobyć ich tyle, by starczyło na długo. Kerrick musiał krzyczeć, by zostać usłyszonym.

- Może to i dobry pomysł, co jednak, jeśli to miejsce będzie strzeżone, jeśli trafimy tam na murgu? Co wtedy?

- Zabijemy je! - zawołał jakiś łowca, a inni go poparli.

- Głupi łowcy! - ryknął Herilak. - Zróbcie to, a znów zacznie się wojna. Słyszeliście, co powiedział Kerrick. Tym razem nic nas nie uratuje. Musimy znaleźć inny sposób.

Kerrick skierował wzrok w ogień, wiedział jednak, że patrzą na niego, czekają, co powie. To on

wiedział wszystko o murgu, znajdzie jakieś rozwiązanie. Westchnął, wstał i zwrócił się do łowców:

- Jeśli dojdzie do najgorszego, jeśli zdechną wszystkie nasze śmiercio-kije, będziemy musieli zdobyć nowe. Są jeszcze w dolinie Sasku.

- To daleko stąd - powiedział Herilak. - Nie dadzą nam wiele broni. Boją się powrotu murgu. Nasze giną teraz, ich może już zdechły. Bliżej mamy do miasta.

- Bliżej, lecz i niebezpieczniej. Trudno tam będzie podejść całą grupą. Nie ma co nawet o tym myśleć. Wpierw musimy się upewnić, że są tam śmiercio-kije.

- Ty i ja - stwierdził stanowczo Herilak. - Ty, bo znasz zwyczaje murgu. Ja, bo znam puszcę. Pójdziemy we dwóch.

Kerrick rozejrzał się i spostrzegł przerażoną twarz Armun. Wiedziała, czym to grozi. Wokół rozległy się przytakujące pomruki, wszyscy czekali na odpowiedź Kerricka. Kiwnął głową, nie patrząc na Armun.

- Pójdę z Herilakiem. Weźmiemy tylko jeden śmiercio-kij. Poniesie go Herilak. Jeśli zwierzęta chorują, a rozmawiałem kiedyś z kimś znającym się na chorobach, to zarażają się od siebie. Dlatego musicie je porozdzielać, trzymać w ciepłe i dobrze karmić. Jeśli w mieście znajdziemy nowe, przyniosę je, trzymając z dala od Herilakowego. Nie możemy pozwolić, by choroba przeszła ze starych na nowe.

Zgodzono się, że pozostałe hèsotsany będą strzeżone i pilnowane, używane wyłącznie do zabijania dostających się na wyspę wielkich drapieżników. Do tej pory łowcy nie troszczyli się zbytnio o broń, teraz zrozumieli, jak bardzo zależy od niej przeżycie sammadów.

Wyprawa do miasta musiała odbyć się jak najszybciej. Wezmą z sobą jedynie broń i wędzone mięso. Armun patrzyła, jak Kerrick ładuje je do torby, by rano wyruszyć.

- Pójdę z tobą - powiedziała.

- To tylko szybka wyprawa zwiadowcza. Musisz tu zostać i opiekować się dzieckiem.

- Powiedziałam kiedyś, że nigdy się nie rozstaniemy.

- I tak będzie. Popłynąłem na łowy z Paramutanami. Teraz jest tak samo. Pójdziemy szybko, odnajdziemy to miejsce i wrócimy. Herilak zna puszcę, nikt nas nie zauważy. A ja znam murgu. Nie masz się czego bać.

Bała się. Oboje się bali. Nie mówił tego głośno, lecz jasne było, że spokojne życie na wyspie dobiegało końca. Przyszłość stała się ponownie niepewna i wątpliwa.

W nocy zaczęło padać, krople bębniły o namiot i wpadały przez wejście. Szarym, mokrym świtem dwóch łowców opuściło wyspę i ruszyło na południe. Dobrze znali drogę i szli szybko.

Trzeciego dnia zeszli z szerokiego szlaku używanego przez sam-mady i powędrowali ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Przedtem nieraz tu polowali i Herilak znał każdą chyba kępę drzew i każdy strumyk. Stał skryty wśród drzew nad ciemnym nieruchomym stawem.

- Jesteśmy już blisko. Za tą wodą są mokradła wielkiego murgu z trzema rogami.

- Neniteska. Jesteś pewny? Chyba nigdy nie podchodziłem do miasta od tej strony.

- Jestem pewny.

- Trzymają je zawsze na najbardziej oddalonych od miasta polach. Jeśli znajdziemy neniteski, to chyba zdołam odszukać miejsce śmiercio-kijów.

W dżungli rozległy się głośne trzaski, a potem ochryple ryki. Z wyciągniętą bronią podeszli do najbardziej skrajnego ogrodzenia miasta. Drzewa rosły tu gęsto, łączyły je liany, niektóre z trującymi kolcami. Zapora ta powstrzymywała większość zwierząt - ale nie to, które dopiero co tędy przeszło. Widzieli połamane gałęzie, podeptane poszycie, głębokie ślady w podmokłym gruncie wypełniające się wodą. Zostawiły je ciężkie nogi z ostrymi pazurami.

Herilak poznał trop.

- Wielki zabójczy marag.

- Epetruk. Musiał poczuć neniteska. Chodźmy za nim, to najlepsze dojście do miasta.

Straszne ryki i skrzeki oznajmiły o spotkaniu epetruka z jego ofiarą. Walka była jednak wyrównana. Drapieznik krążył wokół neniteska, który stale kierował ku niemu wielką kościaną tarczę chroniącą łeb. Epetruk bał się trzech długich rogów, ślady krwi na jednym mówiły, dlaczego. Rozległ się następny ryk i z bagna wybiegł drugi nenitesk. Epetruk mimo rozwścieczenia rozpoznał niebezpieczeństwo. Odrzucił głowę w tył i zawył. Potem odwrócił się i uciekł, waląc ogonem. Łowcy schowali się wśród drzew. Czekali tam, aż umilkły odgłosy ucieczki epetruka. Kerrick rozejrzał się po polu, szukając znajomych miejsc.

- Tędy - powiedział. - Pójdziemy bokiem, bo musimy jak najdłużej trzymać się z dala od pól wewnętrznych.

Znalazłszy się wśród znajomych miejsc, przekonał się, jak małym zmianom uległo miasto, jeśli w ogóle jakimś uległo. Drzewa urosły, lecz wszystko było w zasadzie takie samo jak przedtem. Poruszył rękoma i nogami w częstym wyrażeniu Yilanè: jutro jutra będzie jak wczoraj wczoraj. Wyrosłe według planu miasto pozostawało takie samo aż do końca. Powinien był o tym pamiętać. Obszary zniszczone przez pożar zostały odtworzone w dokładnie takim samym kształcie co uprzednio. Jako chłopiec szedł tą ścieżką. Dotknął ramienia Herilaka i wskazał przed siebie, mówiąc szeptem:

- Przed nami są gaje. Murgu przychodzą tu po owoce dla saren i innych zwierząt. Robotnice nie mają broni, lecz tak daleko od miasta będą z nimi strażniczki z śmiercio-kijami.

Pole było puste, zalegały je tylko gnijące owoce. Kerrick prowadził między porozrzucanymi drzewami na drugi jego koniec.

- To już niedaleko. Widzisz ten wysoki brzeg? Staw jest za nim.

Herilak nachylił się nad ziemią.

- Trop, bardzo świeży.

- Jakiego zwierzęcia?

- Murgu mieszkających teraz w tym mieście. Zrobiony niedawno, bo w nocy padało.

Szedł pierwszy, przemykał między drzewami cicho jak cień, za nim ostrożnie posuwał się Kerrick, patrząc uważnie pod nogi. Wyszli na wał jednocześnie z drugą grupą. Nie mieli gdzie się cofnąć.

Dwie fargi z paczkami rozwarły szeroko zdumione oczy.

Towarzyszająca im Yilanè uniosła hèsotsan. Herilak był szybszy i strzelił pierwszy. Yilanè zgięła się wpół i upadła.

Kerrick zawołał, lecz było już za późno. Broń Herilaka trzasnęła powtórnie, kładąc obie fargi.

- Nie musiałeś ich zabijać. Są niegroźne.

- Czy umieją mówić?

- Chyba tak. Masz rację. Widziały nas. Pracują, a więc potrafią przynajmniej rozumieć rozkazy. Opowiedziałyby o tym, co spostrzegły.

- Zostań tu - mogą być następne.

Herilak zniknął wśród drzew. Kerrick przyglądał się ciałom, otwartym szeroko oczom i ustom.

Każda z fargi niosła niedojrzałe hèsotsany, rozsypały się teraz po ziemi. Ich nogi drżały słabo, rozpełzały się powoli po trawie. Kerrick przypomniał sobie, że zbiera się je właśnie w tym stanie, gdy trudno im już uciekać. Zgarnął wszystkie, było ich sześć. Drobne łapki drapały go po rękach, lecz nie mogły uciec.

- Były tylko te trzy - powiedział Herilak i zobaczył, co trzyma Kerrick. - Masz je! Potrzebne nam

śmiercio-kije. Musimy stąd odejść, nim przyjdą inne murgu.

- Wpierw musimy coś zrobić z tymi ciałami. Zwierzęta nie używają śmiercio-kijów. Jeśli murgu znajdą te trupy, poznają, że zabiło je coś spoza miasta.

- Wrzuc je do bagna.

- Nie mogą ich znaleźć. - Kerrick spojrział na zbocze. - Tam są młode śmiercio-kije, bardzo wiele. Pamiętam, że karmiliśmy je z tego wału.

- Mamy tu mięso - stwierdził Herilak, kopiąc martwą Yilanè. - Jeśli zostaną szybko zjedzone, to może murgu z miasta niczego nie znajdą.

- Musimy wrzucić ciała na głębinę, by nie dostrzegły kości. Tylko tyle możemy zrobić. - Pochylił się po hèsotsan strażniczki, musiał go wyrwać z jej palców. Herilak zabrał pierwsze ciało.

Nim odeszli, Herilak sprawdził, czy nie zostawili jakiś śladów i zatarł wszystkie. Opuścili miasto tą samą drogą, którą do niego weszli, obok spokojnie się teraz pasących nenitesków.

## ROZDZIAŁ XX

- Zaczekaj - zawołał Kerrick, gdy tylko znaleźli się wśród otaczających miasto drzew.

Herilak rozejrzał się uważnie, wsłuchując się w odgłosy dżungli.

- Powinniśmy się oddalić. Tu jest niebezpiecznie.

- Musimy stanąć na chwilę. Spójrz.

Herilak ujrzał, że ręce i piersi Kerricka pokryte są krwawymi ranami zadanymi przez kłuszące śmiercio-kije. Kerrick rzucił je na trawę i umył się w pobliskim strumyku.

- Musimy znaleźć inny sposób noszenia ich - rzekł Herilak. - Czy są jadowite w tym stanie?

- Nie sądzę. Jeden chapnął mnie za ramię, a jeszcze żyję.

- Mają ostre zęby, ale dojrzałe nie są jadowite. Przy karmieniu nieraz ukąsiły mnie w palec.

Przełóż mięso do mojej torby, a broń zwiąż. Pospiesz się z tym.

Kerrick podarł swą torbę na pasy i owinał nimi hèsotsany, zostawiając długą pętlę, którą zarzucił na ramię. Zaraz potem ruszyli dalej.

Tuż przed zmrokiem Herilak zabił małe biegające murgu, lecz nie zbliżył się do niego, pozostawiając ćwiartowanie Kerrickowi. Obaj łowcy trzymali się z dala od siebie, nie dopuszczając do zetknięcia się nowych hesotsanów ze starym. Kerrick nakarmił je kawałkami poćwiartowanego maraga. Sami łowcy zadowolili się suszonym mięsem, nie chcąc rozpalać ogniska tak blisko miasta.

- Wolałbym nie wracać już do miasta - powiedział Kerrick, gdy już się położyli.

- Nie będziemy musieli, jeśli przeżyją te śmiercio-kije. Wiemy jednak, skąd wziąć następne w razie ich śmierci.

- To zbyt niebezpieczne.

- Nieważne - bez nich zginiemy.

Rano znów nakarmili mięsem niedojrzałe hèsotsany i ruszyli szlakiem na północ. Deszcz przestał padać i przez wysokie drzewa przedzierało się słońce, kładąc na ziemię pasma światła.

Słońce odbijało się od przejrzystego oka ugunkshaa, ukazując zapisany w stworzeniu-pamięci obraz Ambalasei. Wydawane przez nie dźwięki były ciche, lecz słyszalne.

- Rzeka ma wiele dopływów, dwa niemal dorównują głównemu nurtowi. Niewątpliwie zbiera wody z większej części kontynentu. Zamierzam popłynąć możliwie jak najdalej w górę rzeki, pobierając codziennie próbki wody...

Prośba o uwagę zagłuszyła cichy głos. Ukhereb zwróciła jedno oko na wejście i zobaczyła tam swą asystentkę, Anatempè.

- O co chodzi? - spytała Ukhereb.

- Bolesć z powodu przerwania ważnego spotkania uczonych, lecz przybyła fargi z wiadomością o wielkiej wadze. Eistaa pragnie widzieć was obie.

- Każ stworzeniu wracać z wiadomością o naszym rychłym nadejściu.

Anatempè wyszła, lecz obie uczone ruszyły za nią dopiero po uciszeniu ugunkshaa i umieszczeniu go wraz ze stworzeniem zapisującym w bezpiecznym miejscu.

- Wspaniałe odkrycia! Ambalasei to największa z uczonych - powiedziała Akotolp, człapiąc ku drzwiom. Ukhereb potwierdziła.

- Zgadza się, choć sama często to powtarza. Nie ma jej równej. Czy powinniśmy pomalować ramiona na znak szacunku dla Eistai?

- W wiadomości mówiono o pośpiechu. Uważam, że natychmiastowa obecność ważniejsza jest od ozdób.

Gdy obie uczone weszły do ambesed, ujrzały Lanefenuu pogrążoną w milczących myślach. Zwróciła ku nim jedno oko, lecz mimo poznania odczekała chwilę, nim przemówiła.

- Rozum-pomoc wymagane od Yilanè nauki.

- Rozkazuj, wysłuchamy Eistae.

- Nie cieszę się z nowości, nie lubię niezrozumiałych zdarzeń. Zdarzyło się coś nowego, co wielce mnie niepokoi. Wczoraj wysłałam grupę robotnic z poleceniem przyniesienia hesotsanów z jamy hodowlanej. Nie wróciły. Rano posłałam tam następne, a z nimi Intèpelei, która kiedyś była łowczynią. Jest tutaj. Posłuchajcie, co powie.

Intèpelei, ponura, krępa Yilanè, miała skórę pokrytą błotem i wieloma małymi, krwawiącymi rankami. U jej stóp leżały dwa zawinięte pakunki. Mówiła nie najlepiej, lecz zwięźle.

- Wokół jamy hesotsanów znalazłam ślady deptania, przygiętą trawę, poruszoną ziemię, w błocie wyraźne odciski stóp Yilanè. Wczorajsze. Szukałam i niczego nie znalazłam. Potem zobaczyłam, że wiele hesotsanów je w wodzie, a nie w miejscu, gdzie zostawia się im mięso. Wszłam do wody, odegnałam stworzenia i znalazłam to. Są jeszcze dwie inne.

Pochyliła się po mniejszą paczkę i wytrząsnęła czaszkę Yilanè. Uczone wyraziły odrazę i zgrozę. Jeszcze większą, gdy łowczym rozwinęła drugi pakunek, ukazując straszliwą mieszaninę ciała i kości.

- To klatka piersiowa Yilanè - stwierdziła Akotolp. - Mięśnie ciągle się trzymają, ścięgna i przyczepy nadal obecne. - Puknęła w nie kciukiem. - Zmarła niedawno.

- Czy mogła żyć jeszcze wczoraj? - spytała Lanefenuu.

- Tak, na pewno - odparła z kontrolerami przerażenia wywołanego odkryciem.

- Podzielałam twe odczucie. Zgroza-i-ciekawość-przyczyn. Co się stało? Czy wpadły do środka? Czy były wtedy żywe? Myślę o tym, przypominałam sobie o liczbie trzy. Tyle łowczyń opuściło kiedyś miasto i nigdy nie wróciło. Szukano je, lecz bez skutku. Trzy i trzy - oraz jedna. Tą jedną jest Yilanè przybyła do miasta, która schwytała tu samca i umarła. Trzy i trzy i jedna. Teraz mówię do ciebie, Akotolp, i do ciebie, Ukhereb, Yilanè nauki. Zdarzyły się trzy dziwne rzeczy, trzy nie wyjaśnione rzeczy i jestem niezadowolona. Powiedzcie mi teraz - czy coś je łączy? Czy w trzech, trzech i jednej jest jakiś wspólny czynnik?

Ukhereb zawahała się, szukając wyjaśnienia. Akotolp potrząsnęła tłustymi fałdami na karku i przemówiła z uczuciem:

- Wspólny czynnik. Śmierć trzech i jednej, możliwość śmierci trzech. Może pewność, bo inaczej już by wróciły. Śmierć poza naszym miastem, przybywająca do niego. Nie ze środka. Potrzeba faktów. Ponownych lotów ptaków.

- Tych, których używano do śledzenia uciekających ustuzou?

- Tak, Eistao. Od dawna się nimi nie posługiwano. Znudzili się im widoki drzew i plaży.

Lanefenuu kłapnęła gniewnie szczękami.

- Koniec z nudą! Coś z daleka powoduje śmierć w moim mieście. Macie się dowiedzieć, co to jest. Koniec z tajemnicą - potem koniec ze śmierciami.

- Będzie, jak rozkazałaś. Podpowiedz zwiększenia ilości zbrojnych strażniczek. Zasadzenie wokół barier nowych jadowitych roślin.

- Zróbcie to. I meldujcie codziennie, co dostrzeżecie. Uczone wyraziły posłuszeństwo i lojalność. Potem odeszły zatopione w myślach.

- Od powrotu do miasta panował spokój - powiedziała Ukhereb. - Czy znów zacznie się zabijanie? Czy nie miałyśmy go dosyć? Czy mogły to spowodować ustuzou śmierci?

- Poszukamy ich. Jeśli są w pobliżu, będą odnalezione i pilnowane. Szkoda, że nie ma tu Vaintè.

To największa zabójczym ustuzou.

Ukhereb wyraziła zgodę-opór.

- Wiem, że jej służyłaś. Ocalała ci życie. Ale jej jedyną eistaa była śmierć. Tylko jej służyła. Mamy już dosyć nowych śmierci, proszę cię, przestań myśleć o Vaintè.

Dla Vaintè wszystkie dni były takie same. Zlewały się z sobą. Słońce na niebie, ryby w morzu, zmroki. Zawsze bez zmian.

Teraz coś się zmieniło i nie była z tego zadowolona. Fargi coś zaniepokoiło. Wychodziły z oceanu, oglądały się na fale, mijały ją szybko. Wypytywała je, sama już zaniepokojona, lecz oczywiście nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Velikrei, która była trochę Yilanè, znajdowała się zbyt daleko, wraz z innymi szła plażą i wśród drzew do mokradeł. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Vaintè spojrzała na ocean, za falami przyboju dostrzegła na horyzoncie ciemny kształt.

Czy coś tam jest? To niemożliwe. W morzu mogą być tylko ryby i inne stworzenia. Czasami przyplływały większe ryby, drapieżniki z długimi zębami i pyskami, ale nie mogły tak wysoko wznosić się nad wodą. Poczula teraz strach fargi, odwróciła się, szukając schronienia wśród drzew.

Nagle opanował ją gniew. Nie jest tchórzem. Ta myśl ją męczyła, tak bardzo, że musiała znów pomyśleć. Odwykła już od tego. Rozdrażniona syczała gniewnie i darła piasek pazurami nóg. Była zła na morze, na rzecz w morzu. Znów na nią spojrzała i dostrzegła, że jest teraz bliżej plaży.

Coś jej przypominała. Poznała ją. To dlatego poczuła nagły przyływ nienawiści, dlatego wrócił jej gniew, który kiedyś tu czuła.

Opuszczona.

Odrzucona.

Zostawiona na śmierć.

Uruketo.

Mogła teraz stać i patrzeć na nie zimno, bo minął już jej krótki napad złości. To istotnie było wspomnienie dawnego gniewu. Czemu by miała bać się uruketo?

Obserwowała je uważnie, dostrzegając czarną wyniosłość płetwy, głowy Yilanè stojących na jej wierzchołku. Obok w morzu plusk wody, potem następny. To oczywiście enteesenaty. Nieodłączni towarzysze wielkiego żywego statku. Pływające wraz z nim, karmiące je.

Uruketo tak bardzo zbliżyło się do brzegu, że uderzały w nie fale, spływając płatami piany. Yilanè zeszła po płetwie, stanęła na grzbiecie stworzenia. Coś jej podano, Vaintè nie mogła dostrzec, co. Wrzuciła to w następną falę. Potem wspięła się na płetwę.

Co zrobiła? Skąd wzięło się tu uruketo? Nie przywykła do takich myśli Vaintè potrzęsła gniewnie głową. Czemu się tym przejmuje? Czemu się złości?

Uruketo odpływało teraz, niktęło w morzu. Nie kierowało się na ocean, lecz na północ. To ważne.

Ale dlaczego? Dręczyło to ją, drażniło tak bardzo, że jedna z powracających fargi uciekła na widok gniewnych ruchów jej ciała.

Uruketo płynęło na północ. Północ jest tam, południe w drugą stronę. Płynęło na północ. Znacznie tego długo do niej nie docierało. Tuż przed zmrokiem zobaczyła Velikrei wychodzącą z morza. Niosąc rybę, szła długim krokiem przez przybój.

Velikrei szła tak, gdy przybyła tu po raz pierwszy z innymi fargi. Przyszły z tego kierunku. Z pomocy.

Jest tam miasto. Miasto z plażami, na których fargi się urodziły. Miasto, do którego poszły po wynurzeniu się z morza. Potem porzuciły miasto, które je odrzuciło, odpłynęły od niego i przybyły na tą plażę.

Vaintè wpatrywała się w pomoc, póki mogła cokolwiek dostrzec w zapadającym zmroku.



## ROZDZIAŁ XXI

Było to jak przebudzenie się z długiego snu, trwającego przez nie kończące się noce. Albo jak wyklucie się z jaja, porzucenie pierwszej nocy życia i wyjście na świat. Takie były myśli Vaintè. Wpierw ją zdumiewały, potem dziwiła się, że jest zdumiona.

Gdy pewnego dnia piła z sadzawki z czystą wodą, ujrzała w niej swe odbicie i spojrzała na nie niepewnie. Rozłożyła szeroko ramiona, wpatrując się w pokrywające je błoto. Umyła je w sadzawce, rozpraszając odbicie i zastanawiając się ponownie czemu to ją drażni.

Każdego ranka patrzyła na ocean, szukając uruketo. Nigdy nie powróciło. Martwiła się tym odstępstwem od niezmiennego rytmu dnia, do którego dawno przywykła. Spanie, jedzenie, spanie. Nic więcej. Utraciła swój spokój i bardzo tego żałowała. Co ją niepokoi? Czym się trapi? Wiedziała - lecz odsuwała od siebie wspomnienia. Na plaży jest tak spokojnie.

Wreszcie obudziła się pewnego dnia. Stała na plaży, a przed nią jedna z fargi tkwiła po pas w morzu.

- Ryba - oznajmiła fargi barwami dłoni. Powtórzyła to raz jeszcze.

- Jaka ryba? - zapytała Vaintè. - Gdzie? Więcej niż jedna? Jaka duża, jaka mała. Ile ich? Nakazuję odpowiedzieć.

- Ryba - jeszcze raz przekazało głupie, wybałuszające oczy stworzenie.

- Bryła bezużyteczności - kamień głupoty - góra niepojętości... - Vaintè umilkła, ponieważ przerażona fargi zanurkowała i odpłynęła szybko. W jednej chwili znalazły się w wodzie wszystkie inne, które usłyszały jej wybuch. Plaża opustoszała, co rozsierdziło ją jeszcze bardziej. Krzyczała głośno, gwałtownie, drżąc od siły swych uczuć.

- Bezrozumne, głupie, nieme stworzenia. Nic nie wiecie o pięknie mowy, giętkości języka, radości z pojmowania. Pływacie, łapiecie ryby, grzejecie się na słońcu, śpicie. Nic by się nie zmieniło, gdybyście umarli. Ja mogłam umrzeć...

Obudziła się już, wypoczęta, całkowicie otrząśnięta z bardzo długiego snu. Nie wiedziała jak długiego, czuła jednak, że minęło wiele dni i nocy. Stojąc w obmywającej jej nogi wodzie, rozmyślała nad swym losem i zaczęła go trochę rozumieć. Opuszczona, wygnana ze znanego jej świata, odarta ze swego miasta, pozycji, potęgi, miała umrzeć na tej plaży. Lanefenuu pragnęła jej śmierci, miała nadzieję, że umrze - lecz tak się nie stanie. Nie jest bezrozumną fargi, której można kazać umrzeć i która natychmiast usłucha.

Niewiele jednak brakowało. Tak bardzo pragnęła przetrwać, że zamknęła się w sobie, zadowalała się cieniem życia. Nigdy więcej. Już po dniach mroku. Co jednak ją czeka?

Vaintè jest eistaą, zawsze będzie pierwsza. Będzie prowadzić, a inne pójdą, gdzie każe. Ale nie na tej plaży.

Otoczona z trzech stron bagnami, z czwartej oceanem. Jest niczym, nic tu po niej. Przybyła na nią jako chora. Teraz jest już zdrowa. Nie ma powodu, by tu zostawać, pamiętać o tym miejscu, nie ma tu nikogo, z kim mogłaby się pożegnać. Nie oglądając się za siebie, weszła do morza, zanurkowała w nie, zmywając z siebie błoto, potem wynurzyła się i popłynęła na pomoc. Tam kierowało się uruketo, stamtąd przybyły fargi.

Pojawił się przed nią skalisty przylądek, mijała go powoli, aż wreszcie przesłonił plażę, na której przebywała tak długo. Nie obejrzała się na nią, bo już o niej zapomniała. Gdzieś przed nią jest miasto. Tam popłynie.

Za cyplem ukazał się wielki półksiężyc zatoki o złotym piasku plaż. Vaintè tak bardzo zmęczyła się pływaniem, że znieruchomiała, pozwalając falom wynieść ją na brzeg. Na gładkim piasku nie było

żadnych śladów stóp. Była teraz sama i bardzo to jej odpowiadało. Szło się jej lżej, niż płynęło, przed zmrokiem zrobiła spory szmat drogi.

Rano złapała kilka ryb i ruszyła dalej. Każdy dzień był teraz inny. Dni odróżniały się od siebie. Zaczęła je liczyć, zauważać, gdy tak szła po plaży, opływała klify i cyple.

Pierwszego dnia dotarła do zatoki. Była tak wielka, że szła jej brzegiem cały drugi i większość trzeciego dnia. Czwartego rozpoczęły się klify, do brzegu dochodziło pasmo gór. Tę noc spędziła niewygodnie skulona na skalnej półce, opryskiwana pianą przyboju. Szóstego dnia minęła ostatnie skały i wróciła na plażę.

Trzydziestego piątego dnia zauważyła, że jej podróż dobiega końca. Plaża, po której szła, nie różniła się początkowo od wszystkich innych. Potem nagle bardzo się zmieniła. W spokojnej wodzie dostrzegła krótkie bryzgi powodowane jakby przez ławicę ryb - lecz to nie były ryby. Wynurzyły się i patrzyły na nią okrągłymi oczkami, zanurkowały natychmiast na jej powitalny gest. Niedojrzałe efenburu, bojące się wszystkiego. Będą jadły ryby lub ryby je, aż pewnego dnia ocalałe wyjdą z morza jako fargi. Najrozumniejsze zostaną Yilanè i włączą się w życie miasta.

Skoro są tu w oceanie, to plaże narodzin nie mogą być daleko - i nie były. Naturalna zatoka została pogłębiona i osłonięta. Pokrywał ją drobny piasek wyrzucany przez żłobiące dno eisekole. Strażniczki tkwiły na wyznaczonych miejscach, samce leżały na skraju wody. Nad plażą wznosiły się wzgórza, niewątpliwie ulubione miejsce widokowe, bo prowadziły na nie dobrze wydeptane ścieżki, które niknęły dalej między wysokimi drzewami miasta.

Vaintè stanęła. Aż do tej chwili nie zastanawiała się nad tym, co zrobi po osiągnięciu miasta. Droga do niego pochłaniała ją całkowicie, płynęła i maszerowała. Wiedziała, że miasto leży dalej na pomoc, że musi do niego dojść. Co dalej?

Co to za miasto? Kto jest jego eistaa? Nie wiedziała tego, była głupia jak fargi-świeżo-wyszła-z-morza. Spojrzawszy na ocean, zobaczyła podpływające do portu uruketo, małe łódki wracające z połowów. Bogate miasto, bo wszystkie są bogate. Ryby i mięso. Mięso. Nie próbowała go, nawet nie myślała o nim w minionym beczasowym okresie. Teraz czuła jego smak w ustach i przesunęła językiem po zębach. Wejdzie do miasta i naje się. Potem obejrzy wszystko, pozna. Tak jak zrobiłaby to fargi. Wszystkie ścieżki prowadziły do miasta, wybrała najkrótszą z nich.

Ujrzała przed sobą tłumy fargi, potem kilka z nich niosących pakunki, obok szły dwie Yilanè. Vaintè usłyszała trochę z ich rozmowy i zapragnęła mówić. Wpierw jednak musi zjeść, dostała ślinki na samą myśl o zimnym, galaretowatym mięsie. Głupie fargi szły w jej kierunku, stanęła im na drodze i zmusiła do zatrzymania się.

- Jesteście Yilanè? Która z was mówi-rozumie? Rozeszły się na boki, patrząc na większą fargi, która wyraziła pewne zrozumienie.

- Jedzenie. Pojmujesz jedzenie?

- Jeść jedzenie. Jeść dobrze.

Wszystkie były pulchne, jadły dobrze - teraz ona zrobi to samo.

- Zjemy. Idźcie. Zjemy.

- Jedzenie, jedzenie - mruzczały w podnieceniu mniejsze fargi. Może nawet wracały z posiłku, lecz mimo to sama myśl je poruszała.

- Jedzenie - stwierdziła Yilanè z niezdarnym kontrolerem ruchu. Skierowały się do miasta, a Vaintè ruszyła za nimi. Mijały zwieńczone koronami ulice, strzeżone hanalè, brzegi rzeki. Było tam rojno i gwarno, pełno ryb i kadzi z przygotowanym mięsem. Fargi podeszły do ryb, tylko takie jedzenie poznały w swym krótkim życiu. Przy mięsie stały Yilanè. Rozmawiały, a ich niezrozumiałe słowa odstraszyły świeżo przybyłe fargi, ale nie Vaintè. Zbliżyła się do kadzi, wyrażając siłę i

umiejętność każdym poruszeniem ciała. Yilanè bez stanowiska ustępowały jej drogi. Inna przyjrzała się jej, przywitała i złożyła życzenie dobrego jedzenia. Mając pełne usta, Vaintè mogła jedynie wyrazić podziękowanie.

- Co to za miasto? - spytała jak równa równą, sięgając po następny kawałek mięsa.

- To Yebéisk. Jego Eistaa o wielkiej mocy jest Saagakel.

- Yebéisk i Saagakel są znane we wszystkich miastach Entoban\*.

- Jesteś Yilanè mądrości. Z jakiego jesteś miasta?

- Podróżuję teraz i znam wiele miast - były to właściwe słowa. Vaintè sięgnęła po mięso, unikając bardziej szczegółowych wyjaśnień. Nie mogła jednak ukryć tonów siły władzy związanych z odwiedzionymi przez nią miastami. Jej rozmówczyni zauważyła to i odezwała się jak ktoś trochę niżej stojący do znacznie ją przewyższającego.

- Miasto wita gościa.

- Dobrze powiedziane. Chciałabym zobaczyć ambesed i spojrzeć na siedzącą tam Eistaa.

- Radość z prowadzenia po skończeniu jedzenia. Czy można poznać imię czcigodnego gościa?

- Vaintè. A twoje?

- Opsotesi.

Popołudnie było gorące, wybrały więc ocienione uliczki, idąc od rzeki do leżących za nią wzgórz, a potem do ambesed. Tymczasem minął już południowy żar i ambesed było pełne ruchu.

- Wspaniale - powiedziała Vaintè z kontrolerami wielkiego podziwu. Opsotesi wygięła się z radości.

Ambesed zajmowało dużą polanę okoloną wysokimi drzewami. Przez jej środek płynął strumień czystej wody, jego nurt wił się łagodnie. Brzegi potoku spinały błyszczące metalowe mostki ozdobione kłębami drutu z nanizanymi lśniącymi kamieniami.

Vaintè i jej nowa znajoma stanęły wśród wielu innych Yilanè w publicznej części ambesed. Niektóre piły ze strumienia, inne opryskiwały się dla ochłody. Na drugim brzegu było przestronnie. Zielona trawa rosła tam bujnie. Stały wśród niej małe grupki Yilanè, największa otaczała siedzącą w zaszczytnym miejscu eistaa.

- To ambesed dorówuje Eistai - stwierdziła Vaintè. - Wzrasta mój szacunek dla waszej Eistai, gdy na to patrzę.

- Dwa razy z nią rozmawiałam - powiedziała z dumą Opsotesi. - Umiem mówić i przenoszę wiele wiadomości.

- Pochwała-zdolności. Opowiedz mi o tych wiadomościach, bo musiały być ważne, skoro wysłuchała ich sama eistaa.

- Po wielokroć ważne. Stałam na nabrzeżu, gdy przyplęnęło uruketo z bardzo znacznymi Yilanè. Przekazałam wielkiej Eistai ich imiona.

- Yilanè o wielkim znaczeniu, wspaniała Eistaa - powiedziała Vaintè, powtarzając imiona dla ukrycia znudzenia. Opsotesi mówiła dobrze, lecz nie potrafiła niczego więcej, nigdy nie zajdzie wysoko. Ale przynajmniej знаła miasto. - Co jeszcze przekazałaś Eistai?

- Mroczną sprawę - poruszyła ciałem, wspominając ją niechętnie. - Obca przybyła do miasta. Kazano mi uważać na nią...

Przerwała i zeszywniała, potem wyraziła wątpliwość, rozpoznanie-jasność. Vaintè przemówiła stanowczo:

- Opsotesi, mówisz do mnie zagadkami. Dlaczego?

- Przepraszam! Wątpliwość z głupoty. Jesteś obcą - ale nie możesz być tą obcą. Tamta jest... - Znów zamilkła, poruszając się ze strachem. Vaintè wyraziła przyjaźń i ciekawość. Zaczęła coś

podejrzewać. Opsotesi ciągle milczała, więc zaczęła ją zachęcać.

- Wiem o odrzuconych. Nie jestem jednak jedną z nich, pogardzam nimi. Mów więc - powiedziano ci o Córach Życia?

- Tak! Przepraszam za strach. Vaintè jest nade mną, przewyższa mnie pod każdym względem. O tej sprawie mówiłam. Był gniew, uciekliśmy.

Vaintè uspokoiła ją, pochwaliła siłę i umiejętność mówienia. Potem zdecydowała, co ma zrobić.

- Przybyłam z daleka, miła Opsotesi i jestem zmęczona. Nie na tyle jednak, by nie spełnić swego obowiązku i nie wyrazić swej wdzięczności waszej Eistai ze przyjemności doznanej w tym mieście.

Opsotesi rozdziawiła buzię jak fargi.

- Zrobisz to? Zwrócisz się do niej nie przywołana?

- Przemówi do mnie, jeśli zechce. Ja tylko się jej pokażę.

Vaintè zdecydowanie wyprostowała plecy, w oczach płonęła jej wiedza. Opsotesi pożegnała się z nią jak najniższa z najniższych, na co Vaintè odpowiedziała nieznacznym ruchem. Podczas marszu Vaintè inne Yilanè milkły i usuwały się na bok. Stała na błyszczącym mostku, chwając go głośno, i poszła dalej. Otaczające Eistaa zauważyły zbliżanie się Vaintè, lecz nie uczyniły najmniejszego ruchu. Dumne ze swych pozycji, nie porzucały ich tak łatwo. Przybyła nie zaprotestowała. Usiadła powoli na ogonie, układając ręce w znaku pełnej szacunku prośby o uwagę.

Ciekawość obcej przemogła w końcu dumę. Najbliższa, gruba Yilanè z purpurowym wzorkiem na rękach i wielkim brzuchu spojrzała chłodno na siedzącą. Potem zwróciła ku niej głowę, kołysząc się i pytając z wyższością.

- Wytlumacz obecność, najwyższa do najniższej.

Vaintè rzuciła jej jedno pogardliwe sporzenie, potem znów zwróciła wzrok na Eistaa. Piers grubaski poczerwieniała, nie przywykła do tak niegrzecznego traktowania. Saagakel, bardzo rozumna Eistaa, dostrzegła to zdarzenie i radowała się nim. Patrzyła, lecz się nie wtrącała. Ostuku była gruba i leniwa, przydałoby się jej zmniejszenie pozycji i wagi.

- Żądanie odpowiedzi od obcej! - rozkazała Ostuku. Vaintè spojrzała na nią zimno i przemówiła z minimum ruchów, odprawiając tamtą.

- Rozkazują mi tylko najwyższe. Rozmawiam tylko z uprzejmymi.

Ostuku gapiła się na nią z gniewem i mieszanym. Pewność przybyłej była niewątpliwa, zachowanie śmiałe. Odwróciła się od Vaintè, nie chcąc dalej rozmawiać.

- Wybitna Yilanè - pomyślała Saagakel, przekazując oczywiście swą opinię innym. Dostrzegła ją i Vaintè, wyraziła następnie pełne szacunku podziękowanie, radość z obecności. Wszystkie teraz na nią patrzyły. Dojrzała to, wstała i przemówiła:

- Przepraszam, Saagakel, Eistao mocy. Nie zamierzałam narzucać się swą obecnością, chciałam tylko nasycić się wspańczościami twego ambesed, twą własną potęgą. Odchodzę, bo wywołałam zamieszanie.

- Mile widziane, bo dziś było bardzo nudno. Podejdź bliżej, opowiedz o sobie i o odwiedzinach Yebéisku. Vaintè spełniła polecenie, zbliżając się do eistai.

- Jestem Vaintè, była eistaa Alpèasaku. - Podając nawę miasta, dodała kontrolery posępności i końca. Saagakel odpowiedziała wiedzą-o-okolicznościach.

- Słyszałyśmy o twoim mieście i tych, które tam zmarły. Zabójcze ustuzou, wydarzenie wielce nieszczęśliwe.

- Szczęście powróciło. Ustuzou odegnano, miasto znów należy do Yilanè - bo Ikhalmenets przeniósł się do Alpèasaku. Saagakel wyraziła wiedzę-i-pamięć.

- Słyszałam o tym wielkim wydarzeniu od przybyłych tu z Ikhalmenetsu na uruketo. Słyszałam też o

tej, która wypędziła ustuzou. Dziwny zbieg okoliczności, bo owa Yilanè również nosiła imię Vaintè.

Vaintè opuściła oczy i próbowała mówić pokornie, lecz niezbyt jej to wyszło.

- Jest tylko jedna mało ważna Yilanè o imieniu Vaintè. Saagakel wyraziła wielkie zadowolenie.

- Po dwakroć cię witam w moim mieście. Musisz mi opowiedzieć o leżącym za oceanem nowym ładzie Gendasi\*, o wszystkim, co się tam działo. Usiądź tuż przy moich prawych kciukach i mów do nas. Posuń się, gruba Ostuku, zrób miejsce naszej nowej towarzyszce.

## ROZDZIAŁ XXII

Vaintè chodziła odtąd co dzień do ambesed i dołączała do kręgu zaufanych eistai. Z radością ponownie przyglądała się życiu wielkiego miasta, przedstawianym Saagakel kłopotom, jej rozkazom. Eistaa łatwo udzielała władzy innym, lecz jedynie w ograniczonym zakresie; przygotowanie tego pola, przeniesienie tych zwierząt, usprawnienie połowu ryb. Nie doglądała pracujących dla niej, czekając na raport o pomyślnym wykonaniu zadania. Zawsze go otrzymywała, ponieważ te Yilanè, które nie wypełniały dokładnie jej poleceń, nigdy już nie pojawiały się w części ambesed przeznaczonej dla rządzącej. Vaintè podziwiała tę taktykę, jak również trudniej dostrzegalny fakt, iż żadna z pomocnic nigdy nie otrzymała władzy obejmującej więcej niż jedno zagadnienie i na czas nieograniczony. Saagakel była eistaą i uważała, by nikt inny nie miał doświadczenia czy okazji do zajęcia jej miejsca.

Po zakończonym dniu eistaą kąpała się w sadzawce ciepłej wody, ukrytej wśród drzew za jej miejscem potęgi. Po odświeżeniu się i umyciu jadła z wielką przyjemnością przynoszone jej mięso. Potem przeważnie polecała Vaintè opowiadać o dalekim, zamorskim Gendasi\*, o wyrosłym, należącym do Yilanè Alpèasaku, spalonym i zajęтым przez ustuzou, a w końcu odzyskanym. Vaintè miała tyle do przekazania, że mogła swobodnie wybierać zakres i sposób mówienia. Słuchające nie dostrzegały luk w jej opowieści, bo otrzymywały oddzielne, pełne fragmenty. Przyjmowały je z ciekawością, grozą, podziwem i wdzięcznością. Jak i Vaintè pragnęły, by opowieść ciągnęła się bez końca, by mogły wtedy czerpać z niej więcej przyjemności.

Vaintè z kolei starała się jak najwięcej dowiedzieć o mieście i eistai. Po długim okresie milczenia mówienie i słuchanie bardzo ją radowały. Omijając bolesne wspomnienia, leczyła swe rany. Yebéisk był wspaniałym miastem. Jak we wszystkich innych jego centrum stanowiło ambesed. Wokół niego rosło drzewo miasta, złożona siatka życia, karmiąca i tworząca jego tkankę. Z jednej strony było morze z plażami narodzin, w pozostałych aż do najdalszych wałów miasta ciągnęły się pola i gaje. Przed zwierzętami z dzikiej dżungli broniły żywe ściany z drzew i trujących roślin oraz takie wielkie i niepokonane stworzenia, jak neniteski i onetsensasty, żywe skamieliny z minionych epok. Wał kończył miasto. Dalej rozciągały się góry, pustynie i suche równiny, nieodpowiednie dla Yilanè, obejmujące bezkresne odległości, nie objęte żadnymi mapami i niemal nieznane. Mało kto znał przecinające je szlaki. Za nimi, w miejscu o odpowiedniej glebie i klimacie, zaczynał się nowy wał i następne miasto. Na całym wielkim kontynencie Entoban\* pomiędzy miastami Yilanè ciągnęły się dzikie pustkowia.

Pewnego dnia z bezkresnej dżungli przybyła bardzo doświadczona łowczyni imieniem Fafnepto. Nie pochodziła z Yebéisku ani z żadnego innego znanego tu miasta, bo wędrowała stale od jednego do drugiego. Fafnepto dopiero co przybyła z daleka i wszystkie słuchały jej z wielkim przejęciem.

- Wróciłaś, Fafnepto - powiedziała Saagakel z kontrolerami podziwu.

- Jak zapowiadałam, Eistao. - Dotknęła nogą leżącego na trawie pojemnika. Wysoka i silna, o skórze pokrytej licznymi bliznami, przypominała Vaintè bardzo jej kiedyś bliską stronnicekę i przyjaciółkę, Stallan. Ona też była łowczynią, podobieństwo nie było dziełem przypadku. Fafnepto miała jednak cechę odróżniającą ją od wszystkich Yilanè. Jakieś zwierzę, o którym nigdy nie mówiła, a nikt nie ośmielił się o to zapytać, rozdarło jej głowę i klatkę piersiową, pozostawiając wielką, długą bliznę przecinającą całą twarz. Nie miała lewego oka, lecz opowiadano, iż lepiej widzi jednym niż inne dwoma, co na pewno było prawdą.

- Przyniosłam to, o co prosiłaś, Eistao. Jaja są tutaj. Saagakel wyraziła wdzięczność i zadowolenie.

- Fafnepto, przewyższająca wszystkie Yilanè siłą i mądrością, czy mówisz o jajkach okhalakxa? - Na potwierdzenie Fafnepto odpowiadała ogromną radością, podzielaną przez wszystkie słuchające z wyjątkiem Vaintè.

- Nic nie wiesz o okhalakxie? - spytała Saagakel.

- Przeprosiny za niewiedzę - odparła Vaintè.

- Brak informacji zostanie pewnego dnia zastąpiony przyjemnością. To jedno ze starszych zwierząt, występuje tylko w kilku miastach. Silnej budowy, o mocnej czaszce i, co najważniejsze, smacznym mięsie. Miałyśmy małe stadko, powoli dorastało, lecz padło od jakiejś choroby. Fafnepto zmieniła tragedię w szczęście, za co miasto jest jej bezgranicznie wdzięczne. Spełni każdą jej prośbę.

- Mam jedną - odparła prosto Fafnepto, szorstko, lecz bez niegrzeczności. Zwróciła bystre oko na Vaintè. - Słyszałam, że ten gość ma wielką wiedzę o leżącym za morzem lądzie Gendasi\*, o żyjących tam ustuzou i innych zwierzętach. Chciałabym o nich pomówić.

- Moja wiedza jest twoją - powiedziała Vaintè, a Saagakel pochwaliła ją za lojalność i sprawność mówienia. Fafnepto odeszła od grupy i ruszyła wzdłuż strumienia.

- Znane mi ustuzou są małe i pokryte futrem - powiedziała Fafnepto. - Słyszałam, że w Gendasi\* żyją inne.

- Oprócz takich, jakie znasz, są także większe, z rozgałęzionymi rogami, bardzo dobre do jedzenia. Trzymamy je w mieście dla mięsa. Są i inne, o pewnej inteligencji i dużej przebiegłości. Jadowite stworzenia, zasługujące jedynie na śmierć. To one zniszczyły Alpèasak, który teraz wyrósł na nowo.

- Słyszałam o nich. Czy są Yilanè?

- Nie. Podobno porozumiewają się między sobą, lecz nikt nie może ich zrozumieć. Jedno bardzo niszczycielskie stworzenie było kiedyś Yilanè.

Na wspomnienie Kerricka ciało Vaintè zareagowało ruchami wielkiej odrazy i nienawiści. Były tak silne, że musiała stanąć i umilknąć, by móc się znów opanować. Fafnepto czekała cierpliwie, aż Vaintè znacznie mówić dalej.

- Widziałas, co do niego czuję. To jedno ustuzou zniszczyło wszystko, co stworzyłam.

- Zabiję je dla ciebie, gdy tylko znajdę. Vaintè poczuła bardzo ciepłe uczucia dla tej mocnej, zeszpeconej blizną Yilanè i wyraziła je w sposobie mówienia.

- Wierzę ci, silna Fafnepto, i dziękuję. Opowiem ci wszystko, co wiem o zwierzętach i Gendasi\*, bo jest tam pod wieloma względami inaczej.

Fafnepto była dobrą słuchaczką i wtrącała się tylko po to, by prosić o bliższe wyjaśnienie szczególnie interesujących punktów. Vaintè mówiła o rzeczach, o których nawet nie myślała od czasu powrotu do Entoban\*. Uspokajało to ją i dawało jeszcze większą radość z mówienia. Pod koniec zawahała się i Fafnepto zauważyła chęć zadania pytania.

- Jeśli Vaintè czegoś ode mnie chce - niech powie.

- Nie chodzi o chęć, lecz o coś więcej niż ciekawość. Możesz ją zaspokoić, ponieważ jesteś z tego, jak i z innych miast. Yebéisk przyjął mnie dobrze, mam zaszczyt często rozmawiać z Eistaą. Panuje tu swoboda mowy, ale jednego tematu nikt nie porusza. Pomija się coś, co prawdopodobnie istnieje. Pomija tak wyraźnie, że o tym nie słyszałam. Czy mogę z tobą porozmawiać na ten temat?

- Na jaki?

- Cór Życia.

Łowczyni dała znak milczenia, nim jeszcze Vaintè dopowiedziała tę nazwę. Rozejrzała się na wszystkie strony, sprawdzając, czy nikt nie był na tyle blisko, by je słyszeć, a potem zaprowadziła Vaintè na ubocze, do zalanego słońcem miejsca za niskim żywopłotem, gdzie nie było nikogo.

- Nikt tutaj się niczego nie domyśli z ruchów naszych ciał - powiedziała Fafnepto. - Słusznie zwróciłaś się do mnie, bo żadna inna nie ośmieliłaby się ci o tym powiedzieć. Czy wiesz dużo o Córach?

- Aż za wiele. Powodują nieskończone kłopoty-męki. Wolałabym, by wszystkie umarły.

- Tak samo jak Eistaa. Było ich tu wiele, zamkniętych w sadzie owocowym dla zapobieżenia rozchodzeniu się ich jądów. Potem przybyły nowe spoza miasta i również zostały uwięzione. Ujęła się za nimi uczona imieniem Ambalasei. Jej krew pragnie poczuć Eistaa na swych zębach. Ambalasei uwolniła je wszystkie i zabrała stąd.

- To musiało być trudne.

- Miała uruketo. Wzięła je bez zgody Eistai, załadowała wszystkie uwięzione i odtąd przepadły bez wieści.

- Odpłynęły? Jak?

- Tego nie wiem. Innym nie wolno o tym wspominać, ale ze mną Eistaa nadal o nich rozmawia. Mam wypytywać we wszystkich odwiedzanych przeze mnie miastach o uruketo i jego ładunek. Nigdzie się nie pojawiło. Zniknęło bez śladu.

Vaintè zatopiła się na jakiś czas w myślach, nim ponownie zwróciła się do Fafnepto.

- Uważam, że mówiąc o tym ze mną, kierujesz się jakimś głębszym powodem. Czy jest tak, Fafnepto?

- Jest.

- Pytałaś o ustuzou z Gendasi\*. Szukasz też uruketo. Czy uważasz za możliwe, że uruketo popłynęło do Gendasi\*?

- Szukałam w wielu miejscach. Sądzę, że uruketo opuściło Entoban\*. Jeśli tak - to gdzie może być?

Vaintè odpowiedziała po starannym namyśle.

- Wypyujemy się nawzajem. Opływamy sedno, lecz nie zbliżamy się do niego. Powiem jasno. Uważam, że uruketo przepłynęło ocean. Pozostaje tylko jedna kwestia - czy powiesz o tym Saagakel? A może ja mam to zrobić?

- Zakazała mi wspominać o tej sprawie.

- Mnie nie zabroniła, więc się tym zajmę. Czy byłaś w mieście, gdy to się stało?

- Nie.

- Muszę dowiedzieć się czegoś więcej, nim ośmielę się zwrócić do Eistai. Kto zgodzi się pomówić o tym ze mną?

- Porozmawiaj z Ostuku. Choć gruba, jest inteligentna. Pomoże ci.

Rozstały się w przyjaźni. Vaintè miała teraz wiele do myślenia. Wiedziała, że w tak delikatnej sprawie nie ma się co spieszyć. Nie dopuszczała, by nowe wiadomości odbijały się w sposobie jej mówienia. Śledziła jednak Ostuku i pewnego ranka wypatrzyła sposobność do rozmowy. Eistaa przemawiała do swych doradczyń. Po radzie Ostuku wyszła z ambesed. Vaintè poszła za nią i zwróciła się bardziej przyjaźnie.

- Ostuku, najbliższa Saagakel. Czy mogę z tobą porozmawiać, czy też zajmują cię bardzo pilne sprawy?

- Ważne, lecz nie takie pilne.

- W takim razie proszę o wiedzę od kogoś bardzo mądrego. Na osobności.

Ostuku zastanawiała się przed odpowiedzią.

- Z przyjemnością. Bardzo lubię pewien zagajnik pełen słońca i cienia.

- Wdzięczność-zwielokrotniona.

Do wspomnianego przez Ostuku zagajnika doszły w milczeniu. Rozgrzane słońcem, pięknie



wyrzeźbione ławy zachęcały do siedzenia czy leżenia. Wokół wysokich drzew rosły kwiaty i zielona trawa. Spoczęły w cieniu, bo słońce stało wysoko. Vaintè od razu przystąpiła do rzeczy.

- Potrzebuję porady. Zwróciłam się do Fafnepto, a ta mi powiedziała, że najmądrzejszą uzyskam od ciebie - nie licząc oczywiście Eistai. To bardzo delikatna sprawa. Rozumiem, że żadna nie może jej poruszać w obecności Eistai. Mam do przekazania specjalne wiadomości. Czy mogę z tobą porozmawiać?

Ostuku cały czas słuchała w milczeniu. Potem rozejrzała się po pustym gaju i zwróciła do Vaintè.

- Czy to dotyczy Cór Życia?

- Tak.

Ostuku wyraziła wielkie zmartwienie i wielki wstręt.

- Eistaa nie pozwala o nich mówić w swej obecności. Możemy jednak o nich porozmawiać, jeśli zapewnisz mnie, że to ważne.

- Zapewniam. Fafnepto wie o nich coś, co chce przekazać Saagakel. Ponieważ jednak ma zakaz mówienia w tej sprawie, zrobię to za nią. By jednak mówić jasno, muszę wpierw dowiedzieć się czegoś więcej. Czy mi pomożesz?

- Pomogę ze względu na Eistaa. Ta sprawa bardzo złości nas wszystkie.

- Wiem, że niejaka Ambalasei pomogła uciec trzymanym tu więźniarkom. W uruketo.

- Tak. Nigdy nie podejrzewałam tej starej o taką bezczelność i przebiegłość. Nabrała mnie i nas wszystkich. Eistaa nigdy jej nie wybaczy.

- Wracając do sprawy. Czy wśród więzionych były przybyłe niedawno do miasta?

- Były.

- Muszę zapytać, choć upłynęło wiele czasu. Czy pamiętasz ich imiona?

- Tylko jedno. Rozumnej, silnej Yilanè, która ośmieliła się spierać z Eistaa. Odważna, lecz nieroztropna. Nazywała się Enge.

Vaintè tak bardzo wykrzywiła się z gniewu i innych silnych uczuć, że Ostuku aż się odsunęła. Vaintè przeprosiła ją szybko.

- Najniższa do najwyższej, nic z tego nie czuję wobec ciebie. Znam tą Enge, znam ją aż za dobrze, bo byłyśmy efenselè. Wraz z tym, co powiedziała mi Fafnepto, wszystko zaczyna się układać w możliwą odpowiedź. Wiedza-prawdopodobieństwo, dotąd Ambalasei odplynęła na uruketo.

Ostuku wyraziła wdzięczność. - Fafnepto za skierowanie cię do mnie, tobie za wyrażenie myśli. Jeśli masz taką wiedzę, to musisz ją natychmiast zdradzić Saagakel, bez względu na zakaz. Tylko ty możesz to uczynić. Czy zrobisz to, narażając się na gniew Eistai?

- Gotowa jestem na śmierć za gościń, jakiej udzieliła mi ona i to miasto.

- Dobrze powiedziane. Podziękowania od wszystkich. Ta sprawa już zbyt długo dręczy Eistaa. Wdzięczność po wielokroć większa, jeśli zdołasz jej pomóc.

- Zrobię to jeszcze dziś. Prośba o wskazanie kogoś potrafiącego malować, bo nim przemówię, muszę ozdobić ramiona wzorami największej wagi.

- Poślę po kogoś. Zrobię to jeszcze dziś.

Załatwiwszy wszystkie pilne sprawy miasta, Saagakel siedziała zmęczona, opierając się o nagrzane drewno. Odpowiedzialność to nie przelewki. Zauważyła, jak odsuwają się stojące blisko i dostrzegła powoli nadchodzącą Vaintè. Miała ona ramiona pomalowane we wzory ważności-konieczności rozmowy na osobności. Saagakel bardzo to zainteresowało, bo męczyły ją już błahe problemy miasta. Poruszyła się i wstała.

- Idę do sadzawki, gdzie nikt mi nie przeszkodzi. Chodź ze mną, Vaintè, porozmawiamy.

Gdy znalazły się same, wzięła kawałek zimnego mięsa, leżącego tam zawsze na wypadek nagłego

głodu, ugryzła i oddała resztę Vaintè. Ta wzięła go uroczyście, pozuła powoli i przełknęła, nim zaczęła mówić.

- Ja, która byłam eistaą, zwracam się do ciebie jako do Eistai. Obie cierpiałymy z tego samego powodu. Poruszę bolesne sprawy, lecz tylko dlatego, że widzę przyszły kłopotów. Chcę mówić o Córach Życia, które nazywam Córami Śmierci. Czy mnie wysłuchasz?

Ciało Saagakel wykręcił gniew, natychmiast podzielony przez Vaintè. Czuli też nienawiść, a nic tak nie łączy, jak ona.

- Mów - nakazała Saagakel - bo widzę, że myślimy o tym tak samo. Powiedz mi, co wiesz - i co możesz zrobić. Pomóż mi zrzucić brzemię przygniatające me dni, a chwycisz moje prawe kciuki jako najwyższa we wszystkim. Mów!

Vaintè wyraziła wdzięczność i uległość.

- Muszę powiedzieć ci o rzeczach dawnych, które wpływają na sprawy obecne. Rodzimy się w efenburu. Nie wybieramy go. Miałam efenselè, której się wyrzekłam. Pragnę jej śmierci. Nazywa się Enge, przewodzi innym Córóm Śmierci.

- Enge przybyła tu, uwięziłam ją, bo mówiła buntowniczo. Podburzyła szanowaną, starszą uczoną imieniem Ambalasei. Zawróciła ją z właściwej drogi. Uwolniła wszystkie te groźne stworzenia i uwiozła stąd na moim uruketo. Odtąd nikt ich nie widział.

- Silna łowczyni Fafnepto opowiedziała mi o tym, zwracała się do mnie o wskazówki w tej sprawie. Rozmawiałymy i dzięki połączonej wiedzy doszliśmy do ważnych wniosków, które należy ci przedstawić. Zrobię to teraz, bo wszystkie inne mają zakaz poruszania tej sprawy.

- Nie bez powodu. Gniew bez obiektu niszczy.

- Wiem, bo sama go czułam.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz.

- Uruketo odpłynęło stąd, nikt go więcej nie widział. Żadne miasto w Entoban\* nic o nim nie wie.

- A więc zginęły?

- Nie sądzę. Enge była w Gendasi\* i przeżyła zniszczenie Alpèasaku. Gdyby nie była Córą Śmierci, mogłaby zostać eistaą. Uważam, że popłynęła na uruketo poza zasięg twój władzy. Dotychczasowy.

- Do Gendasi\*? Czy to możliwe?

- Możliwe i prawdopodobne. Żadne miasto w Entoban\* nie przyjęłoby takiego ładunku śmierci - żadne też ich nie widziało. Gendasi\* jest jednak wielki, w większości nam nieznany, ciepły i pełen dobrego mięsa. Jest tam ona, jest tam twoje uruketo i zdrajczynie Ambalasei. Nie widziałam ich, nie znam nikogo, kto by je widział. Jestem jednak przekonana do szpiku kości, że musi tak być.

Saagakel nie mogła ustać spokojnie, poszła do końca polany i z powrotem. Jej mięśnie naprężyły się i poruszyły, szczęki zaciskały się tak mocno, że aż bezwiednie zgrzytała zębami. - Co można zrobić? - zawołała głośno. - Czy zastanawiałaś się nad tym, co można zrobić?

- Trzeba rozpocząć poszukiwania. Znam dobrze ład Gendasi\* bo śledziłam tam i ściagałam ustuzou-zabójców. Zabijałam ich. W Alpèasaku są Yilanè nauki potrafiące szukać i znajdować. Dotąd szukały jedynie ustuzou, mogą jednak równie dobrze odszukać Yilanè.

Saagakel uspokoiła się już, opuściła ją wściekłość.

- Muszę o tym pomyśleć i podjąć decyzję. Rada jestem, że porozmawiałymy, Vaintè, bo mogę teraz coś zrobić z zamkniętym we mnie gniewem. Idź teraz do Ostuku. Powiedz jej, by przekazała innym, że rano omówimy sprawy, które nie są dłużej zakazane. Będzie to jak oczyszczenie rany. Razem coś przedsięwziemy i nie obejdzie się bez śmierci. Byłam zbyt łagodna. - Ja też. Traktowałam je kiedyś jak Yilanè, nie doceniając niebezpieczeństwa, jakie stanowią. Zasluguja

jedynie na śmierć.

*Hoatil ham tina grunnam, sassi  
peria malom skermom mallivo.*

## POWIEDZENIE TANU

Każdy może udźwignąć nieszczęście,  
nieliczni pozostają lepsi na czasy pomyślne.

## ROZDZIAŁ XXIII

Stok nad potokiem był stromy, a trawa śliska po deszczu. Kerrick poślizgnął się i upadł, zjechał po zboczu w gęste krzaki. Ciernie wczepiały się w niego, gdy wstawał przy pomocy włóczni, rozdzierały mu ciało, gdy przedzierał się przez chaszczę. Przed upadkiem myślał o Nadasce, uznał, że powinien go odwiedzić na samotnej wyspie. Myślał oczywiście w yilanè, który to język znacznie lepiej od marbaku nadawał się do wyrażania niezadowolenia, dlatego też Kerrick wykrzywił się bardzo, opisując barwnie cierniste krzewy, przez które przechodził. Był to odpowiedni kres nieprzyjemnego dnia. Ulewny deszcz przeszkodził mu w polowaniu, zapędzając zwierzynę do kryjówek. Para stworzeń, na które trafił, z łatwością umknęła przed jego strzałami, zabili ją inni. Po wyjściu z krzaków zszedł ostrożnie nad strumień, odłożył włócznię i łuk na zimny mech i uklęknął obok, obmywając wodą zadrapania. Na odgłos z lasu chwycił za broń.

- Jestem Tanu, a nie murgu - powiedział Hanath na widok nastawionej włóczni. - Oszczędź mi życie, dzielny sammadarze, a odpłacę ci uprzejmością.

Kerrick mruknął coś w odpowiedzi i napił się ze złączonych dłoni. Zwykle chętnie słuchał żartów Hanatha, ale nie dziś. Patrzył, jak łowca nabiera wody do wielkiego glinianego naczynia.

- Kobiety noszą wodę, łowcy przynoszą mięso - powiedział złośliwie.

- Tak jest - odparł Hanath, płucząc dzban i nie przejmując się obrazą. - A ten łowca przyniósł wiele mięsa małej Malagen, nim wypaliła ów dzban. Tylko ona robi je takie duże i mocne.

- Łowcy nie potrzebują dzbanów.

- Ten łowca potrzebuje. Dobry dzban ma dla tego łowcy wartość stada saren.

Zaciekawiony Kerrick zapomniał o złym humorze.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Piłeś z mandukto Sasku i próbowałeś ich porro a teraz pytasz mnie, dlaczego? Porro smakuje lepiej niż wątroba sarniątka, jest lepsza od baby, dużo lepsza od jedzenia sarniej wątroby przy spaniu z babą...

- Pamiętam - Herilak mi mówił. Ty i Morgil mieliście kłopoty z mandukto w dolinie. Ukradliście im porro i wypiliście.

- Nigdy! - Hanath wyprostował się i walnął mocno w pierś. - Nie jesteśmy złodziejami kradnącymi w nocy. Tak, trochę go spróbowaliśmy, tylko odrobinę. Potem podpatrywaliśmy, jak je robią. To łatwa do przejrzania tajemnica. Potem zrobiliśmy swoje i napiliśmy się.

- I potem chorowaliście?

- Chorowaliśmy. - Hanath usiadł na brzegu, nachylił i na to wspomnienie napił się do syta z dzbanu. - Robienie porro to niewielka sztuka, wielką jest natomiast uzyskiwanie właściwej mieszanki. Ciągle badamy tę tajemnicę.

- Ciągle? A więc po to ten dzban? Na porro?

- Tak i nie. Mandukto robią porro z tagaso, ale zużyliśmy już całe przyniesione tutaj. Musimy teraz szukać innych sposobów. To bardzo trudne.

- Jeszcze trudniej zrozumieć, o czym mówisz.

- Wytlumaczę ci. Gdy wypijesz porro, będziesz wiedział, jakie to dobre! - Entuzjazm Hanatha opadł. - Może też być bardzo złe - westchnął - gdy coś zrobisz nie tak. To proste. Wkładamy do wody suche ziarno porro, jak przy robieniu kaszy i ciągle mieszamy. Dodajemy mech, zakrywamy dzban, trzymamy go w cieple i po kilku dniach mamy porro! Czasami. - Znów westchnął.

- A po co mech?

- Nie wiemy - ale bez niego nic się nie udaje. Dostaje się tylko starą, gorzką kaszę. Jeśli jednak się

go doda, cała mieszanina zaczyna kipieć, bulgocze jakby była żywa, puszcza bańki jak na bagnie...

- Brzmi to okropnie.

- Nie, to coś wspaniałego. Bańki w bagnie śmierzą, ale w porro kręcą tylko w nosie, są bardzo dobre. Jeszcze lepsze były od tagaso. Od niektórych ziaren bardzo się pochorowaliśmy. - Skrzywił się, ale zaraz chwycił pełen dzban i wstał. - Dziś zrobiliśmy nowe. Chyba jest już gotowe. Musisz przyjść i spróbować.

- Dopiero po tobie - powiedział Kerrick roztropnie. Wziął broń i poszedł z łowcą, który ożywił się na wspomnienie nowej mieszanki.

- Pomyśleliśmy sobie tak. Kasza z tagaso przypomina kaszę z innych ziaren. A ziarno to ziarno - czyż nie tak? Tym razem ścięliśmy koniuszki traw, z których kobiety robią kaszę. Potem przesialiśmy ziarna. Moczyliśmy je i przykrywaliśmy, aż uzyskaliśmy właściwą kaszę, potem umieściliśmy ją na słońcu. Gdy rano przyłożyłem ucho do dzbanu, usłyszałem bardzo miłe bulgotanie. Cały czas trzymamy go w cieniu. Morgil chłodzi go, polewając wodą. Teraz spróbujemy porro!

Kerrick nigdy tu jeszcze nie był, nie domyślał się, jak wielkiej pracy dokonali obaj łowcy. Rozbili namiot w otwartej dolinie z dala od innych sammadów, gdzie mieli słońce i cień konieczne dla bulgotania. Wielkie dzbany tkwiły na słońcu lub chłodziły się w cieniu, liczne skorupy świadczyły o nieudanym naczyniu czy mieszaninie. Morgil leżał na boku, obejmując dzban ramionami.

- Nic nie słyhać - powiedział radoście i polał wodą mokrą glinę. - Czy spróbujemy teraz?

- Kerrick nam pomoże.

- To dzielny łowca - napije się pierwszy.

- Nie taki dzielny - odparł Kerrick, cofając się o krok. - Wy zrobiliście porro i powinniście najpierw się napić.

Morgil przeciął splecione trzciny, które mocowały pokrywę z liści, a Hanath odrzucił je na bok. Pochylił się następnie nad wylotem dzbanu i powąchał zawartość, by odwrócić się z uśmiechem.

- Na razie pachnie dobrze.

- Ostatnim razem pachniało lepiej - przypomniał mu ponuro Morgil - a potem chorowaliśmy dwa dni.

Na to wspomnienie obaj z wahaniem zanurzyli w dzbanie gliniane kubki. Morgil usiadł ostrożnie i nie pił, obserwując, jak Hanath wacha porro i nabiera odrobinę do ust. Skrzywił się najpierw, a potem szeroko uśmiechnął.

- Najlepsze z tych, jakie robiliśmy! Równie dobre jak mandukto, a nawet lepsze. - Połknął resztę napoju, westchnął i czknął z zadowoleniem. Morgil wypił pośpiesznie swą porcję. Kerrick posmakował porro z wahaniem.

- Równie dobre, co u Sasku - przyznał. - Lepsze, bo jest tutaj, a nie w odległej dolinie.

Odpowiedzieli mu tylko szybkim łykiem.

Po trzecim kubku Kerrick stwierdził, że coraz chętniej słucha głupich żartów Hanatha, były mniej głupie niż zwykle, a nawet naprawdę śmieszne. Śmiał się tak bardzo, że wylał większość zawartości czwartego kubka i musiał napełnić go na nowo. Pijący dwa razy szybciej od pozostałych Morgil położył się na trawie, zamknął oczy i zaczął chrapać. Kerrick napił się jeszcze trochę i odstawił kubek. Zaczynał rozumieć, dlaczego mandukto pija porro tylko przy specjalnych okazjach. Hanath mruczał coś do siebie, śmiał się z własnych żartów, nie zauważył nawet, jak Kerrick wstał z trudem na nogi i odszedł. Znów padało, lecz nie przejmował się tym.

Szedł powoli między porozrzucanymi namiotami, radując się gwarem i ruchem tego miejsca. Szare pióropusze dymu wzbijały się z dymników, niknąc w deszczu. Jakaś kobieta zawołała inną, ktoś się nagle roześmiał. W pobliżu leżała mała, przekopana łączka, kępy traw były wyrwane i wyrzucone na

bok. Kobiety same to robiły, łowcy uważali tę pracę za nieodpowiednią dla siebie, a teraz uważnie sadziły ziarna charadisu przyniesione przez Malagen z doliny Sasku. Wszystkim kobietom podobała się miękkość tkanin robionych z włókien charadisu i chętnie przy nim pracowały. Łowy udały się wspaniale i jedzenia wystarczyło dla wszystkich, tak iż miały dość czasu na zajmowanie się roślinami. Tkaniny i mocne naczynia, to dobrze, że Tanu poznali tajemnice Sasku. Herilak wyszedł z namiotu na widok Kerricka i przywitał go radośnie.

- Czy łowy się udały? - zapytał.

- Nie byłeś na nich?

- Znalazłem na północy ślady pary wielkich murgu. Śledziły mnie ze śmiercio-kijem.

- Nie choruje?

- Doglądam go, chronię przed innymi, dobrze karmię. Zabiłem oba murgu. Nim odszedłem, zajęli się nimi padlinożercy.

- Za mocno padało jak na łowy. Nic nie przyniosłem. Innym lepiej się powiodło. Wszystkie śmiercio-kije mają się dobrze. Pytałem pozostałych.

Strach nigdy nich nie opuszczał, musiał byś stale kojony. Śmiercio-kije były dla nich życiem. Kerrick odwrócił się zbyt gwałtownie i musiał oprzeć się o drzewo. Herilak patrzył na niego z troską.

- Jesteś chory?

- Nie, ale napiłem się nowego porro.

- Rozumiem. Sam je kiedyś piłem. Ci dwaj wkrótce zginą, jeśli nie przestaną.

- Nowy dzban jest bardzo smaczny.

Usłyszeli kobiecy głos wołający ich imiona i ujrzeni Merrith nadchodzącą z owiniętym w liście pakunkiem. Otworzyła go, pokazując dymiące bulwy.

- Pieczone w ognisku - powiedziała. - Wykopałam je wczoraj.

Przełamali czarną, spaloną skórkę, parząc przy tym palce, i zjedli słodki środek. Pokiwała z radością głową na ich pochwalne pomruki. Ucieszyło to Kerricka, choć inni przyjmowali to jako coś zwykłego. Dla niego życie sammadu było czymś nowym i sprawiającym wielkie zadowolenie. Dobrze było w sammadzie rozmawiać, jeść - i pić! Nie zaznał tego nigdy w swym samotnym życiu, tym bardziej więc wszystko doceniał.

Wkrótce ujrzy Nadaske, bardzo dawno go już nie odwiedzał. Myśl o nim przyszła nie przywoływana, przyjął ją niechętnie. Skoro wszystko idzie tak dobrze, dlaczego trapi się niewygodami przyjaciela? Czemu nie raduje się swoim szczęściem? Staje się chyba taki sam jak stary Fraken, którego bardziej cieszą skargi niż przyjemności. Nie, chodzi o coś innego. Jest przywiązany do samca Yilanè, rozumie dobrze jego samotność. Jest tu wśród obcych, tak jak Kerrick był między Yilanè. Musi go odwiedzić. Wkrótce.

- Weźcie jeszcze - zachęcała Merrith.

- Oczywiście. - Jadł ze smakiem, zapominając natychmiast o Nadaske. Życie w sammadzie było bardzo przyjemne.

Dopóki nie zachorują śmiercio-kije. Ta mała troska nigdy go nie opuszczała.

Herilak odwrócił się na dźwięk swego imienia, otrzepując z palców spalone skórki. Wołał go chłopiec-bez-imienia, poważny jak zawsze.

- Alladjex jest bardzo chory, z trudem oddycha. Boję się, że umiera.

Nauczył się znakomicie maskować swe uczucia. Po śmierci Frakena chłopiec przejmie jego imię, zostanie nowym alladjexem. Niewątpliwie bardzo tego pragnął, kończyło to jego naukę i służbę, lecz mimo to niczego po sobie nie pokazywał.

- Musimy posłuchać, co powie - stwierdziła Merrith ściszym głosem. Niezbyt lubiła Frakena, jego okłady i przepowiednie, lecz wszyscy wiedzieli, jak bardzo ważne są słowa umierającego. W obliczu śmierci nikt nie kłamie. Często umierający widzieli rzeczy nieznane żywym. Ostatnie słowa są bardzo ważne. Ruszyli za chłopcem.

Inni z sammadu już tam byli, ciągle napływali nowi. Futra i skóry leżały przy ogniu. Gdy weszli, Fraken słabo zakasłał, miał wychudłą, ściągniętą twarz i zamknięte oczy; może nic już nie powie. Chłopiec-bez-imienia pochylał się nad nim i coś szepnął do ucha. Fraken mruknął, otworzył oczy i spojrzął na stojących w milczeniu. Zakasłał ponownie i chłopiec starł mu krew z ust.

- Jesteście tu, bo umieram. Przedtem mówiłem wam różne rzeczy i słuchaliście. Teraz umieram i słuchacie. Ten chłopiec, który zostanie Frakenem, wie, jak czytać przyszłość z sowych wyplułek. Słuchajcie go, bo wyuczyłem go dobrze. Słuchajcie teraz mnie, bo widzę wyraźnie, jak nigdy przedtem..

Przerwał, kaszłąc długo, a potem leżał, aż odzyskał trochę sił.

- Unieście mnie - powiedział, znów miał krew na brodzie. Chłopiec podparł mu głowę, tak iż mógł przez ognisko widzieć milczący, przypatrujący mu się krąg. Przyjrzał się Herilakowi, potem Kerrickowi i skrzywił w gniewie twarz.

- Jesteśmy na ziemi murgu, i to jest złe. Powinniśmy być w górach, w śniegu. Tam powinniśmy być. Daleko od murgu, daleko od myśli o murgu, czynów murgu, widoku murgu, działających jak murgu.

Niektórzy zerkali na Kerricka i szybko odwracali wzrok od jego nieruchomej, niczego nie zdradzającej twarzy. Starzec zawsze go nienawidził, wiedział o tym. Umierając nie mówił prawdy, lecz mścił się. „Umrzyj szybko - pomyślał Kerrick. - Nie będzie nam cię brakowało.”

- Żyjąc wśród murgu, staniemy się tacy jak one. Jesteśmy Tanu. Wracajmy w góry, do starych zwyczajów.

Zamknął w bólu oczy i znów się rozkasłał. Już ich nie otworzył, choć jeszcze żył. Kerrick czekał z innymi. Choć nienawidził starca, nie ośmielił się teraz okazać swych uczuć. Ściemniało się i chłopiec-bez-imienia podsycił ogień. Dym otulił Frakena, lecz ten nie zakasłał. Herilak pochylał się i dotknął szyi stariego, potem otworzył mu jedno oko, zamknął je i wstał.

- Umarł. To nowy Fraken.

Kerrick wyszedł i ruszył powoli przez mrok do swego namiotu. Nienawiść zmarłego starca nie trapiła go, wreszcie się go pozbył. Fraken był złośliwy, lepiej, że umarł. Chciał, by wrócili do gór i śniegu - choć sam wolał przebywać w ciepłym południu.

W dalekich górach nie było na co polować, zbyt głębokie leżały tam śniegi. Sammady nie mogły tam wrócić. Muszą zostać tu, na ciepłym południu, gdzie łowy są takie udane.

Dopóki śmiercio-kije powstrzymują zabójcze murgu. Zawsze wracał do tej myśli.



*essekakhesi essawalenot,  
essentonindedei uruketobele*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Gdzie prowadzą prądy oceanu,  
tam płynie uruketo.

## ROZDZIAŁ XXIV

Enge słyszała krzyki, odkąd tylko wyszła z ocienionego przejścia, lecz zrozumiała je dopiero po ujrzeniu Ambalasei. Stara uczona spoczywała na ławce i wołała do swej pomocnicy.

- Dźgnij to - lecz nie zrań. Niech zaatakuje kij.

Z drugiego końca polany dobiegły strachliwe syki i wrzaski. Enge patrzyła ze zdumieniem, jak Setessei szturchnęła długim kijem jakiegoś ptaka. Zwierzę rzucało się dziko, gubiąc pióra, potem złapało drewno zębami. Nie może to więc być ptak, nie mają one zębów. Obok związane były cztery dalsze stworzenia, również i one skakały i syczały ze strachu.

- Teraz - zawołała Ambalasei. - Uwolnij go.

Nogi stworzenia przytrzymało zwierzę-więzy. Setessei szturchnęła je kijem, aż trafiła w splot nerwowy otwierający gębę. Uwolnione zwierzę pobiegło natychmiast z krzykiem w stronę drzew. Machało rozprostowanymi skrzydłami, podskakując w powietrzu. Wreszcie zniknęło w gąszczu.

- Wspaniale - powiedziała Ambalasei, wyrażając prawą ręką powodzenie badań. Ruch ten przeszedł natychmiast w kontroler wstrętu-nieprzyjemności, gdy jej zabandażowany kciuk przeszył ostry ból.

- Radość z obecności - stwierdziła Enge. - Smutek z powodu rany, nadzieja, że szybko zostanie uleczona.

- Podzielim tę nadzieję. Zakażenie od przypadkowego zacięcia się struno-nożem podczas sekcji. Powolność leczenia wskazuje na podeszły wiek organizmu.

- Ambalasei przytłaczają lata mądrości.

- Także zwykłe lata, Enge. Trudno ukryć oznaki starości. Można jednak o nich zapomnieć wobec przyjemności sprawianych przez badania-odkrycia. Widziałaś, jak biegło to stworzenie?

- Tak. Choć nie rozumiem powodów złapania-uwolnienia, nie poznaję też samego zwierzęcia. Miało pióra jak ptak, ale także zęby, a nie dziób.

Ambalasei okazała docenienie spostrzegawczości.

- Porzuć pogoń za niewidzialnymi teoriami Ugunenapsy, a zrobię z ciebie prawdziwą uczoną. Nie? Uważam inaczej. Całkowity brak inteligencji. Jak już zauważyłaś, szczególną cechą ninkulileba są zęby, stąd jego nazwa. To stworzenie jest żywą skamieliną. Widziałam podobne w skałach pochodzących z bardzo dawna. Jego potomkowie żyją jeszcze na tym odosobnionym kontynencie. Z dala od Inegban\*. Widziałaś zęby i pióra. To ogniwo łączące wczesne jaszczury z dobrze latającymi estekel\*. Choć może i nie. Podejrzewam ewolucję równoległą. Te stworzenia są znacznie bliżej spokrewnione ze współczesnymi ptakami. Skrzydła i pióra, choć nie potrafią jeszcze latać, byłaś tego świadkiem. Skrzydła pomagają im szybko biegać, łapać owady i uciekać przed drapieżnikami. Ten kontynent to rewelacja, jego fauna i flora warte są całego życia badań.

Mówiąc to, Ambalasei oderwała od dłoni nefmakel i spojrzała gniewnie na gojącą się ranę, potem skinęła na Setessei, by ta podała świeży opatrunek. Gdy asystentka umieszczała go na miejscu, Ambalasei wyraziła ciekawość powodów obecności Enge.

- Troska-o-ranę, pragnienie-pomocy.

- Rana się goi, choć boli. Pomoc w czym?

- Omal zawiadomiła o kłopotach z pojemnikami. Mięso gnije.

- Brak enzymu. Setessei zajmie się tym jak zwykle. A dlaczego Enge przekazuje tę wiadomość, a nie sama Omal? Albo jakaś fargi Yilanè.

- Ambalasei zawsze przenika myśli innych, nim zaczną mówić. Choć sprawa nie ma dla ciebie znaczenia, poszukuję jasności myśli odnajdującej umykającą mi prawdę.

- Czasami czuję się jak jedyna Yilanè pomiędzy yiliebe fargi. Co beze mnie stałoby się z tym światem?

Pytanie było retoryczne, lecz Enge odpowiedziała na nie z całą powagą.

- Nie mówię w imieniu świata, lecz jedynie w swoim i moich towarzyszek. Zginęłybyśmy. W pełni czasu nie zostanie to zapomniane. - Okazała posłuszeństwo najniższej wobec najwyższej.

- Dobrze powiedziane. Pochlebne, lecz prawdziwe. Teraz powiedz, na co ma się przydać moja ogromna mądrość?

- Pytało mnie wiele, zadawało to samo pytanie na wiele sposobów, trapi je jedno zmartwienie.

- Te leniwe stworzenia powinny ciężiej pracować, a mniej myśleć. Nowe fargi, które nazywacie Córami Życia, choć nadal pozostają fargi o niezmiernej głupocie, wykonują większość prac miasta. Pozostawia to innym zbyt wiele czasu na gadanie i spory.

- Ambalasei ma jak zawsze rację. Ale i ja podzielam to zmartwienie. Nic nie może ukoić mego lęku o przyszłość. Strachu przed końcem. Obawy o śmierć miasta.

Ambalasei prychnęła gniewnie.

- Abstrakcyjne myśli rodzą abstrakcyjne lęki. Wszystkie jesteście zdrowe, miasto rośnie dobrze, niewiele nam zagraża, jest pełno żywności. Yilanè o rzeczywistym rozumie cieszyłaby się tym, nie myśląc o odległych kłopotach. Wszystkie jesteście młode, dopiero zaczynacie długie i być może udane życie. Czemu trapiacie się daleką przyszłością? Nie martw się odpowiedzią, bo łatwo ci ją podam. Jesteście Córami Swarliwości, nigdy nie osiągniecie prawdziwej mądrości ani prawdziwego szczęścia. Wasze ciągłe spory o kres staną się waszym kresem.

- Ale przecież przyszłość kiedyś nadejdzie...

- Nie dla mnie. Same tworzycie swoje kłopoty, same musicie je rozwiązywać. Zbliżam się do kresu moich prac tutaj i po ich zakończeniu odjadę.

- Nigdy nie myślałam...

- Ale ja tak. Dałam wam życie i miasto. Jest wasze. Po moim odpłynięciu. Studiujcie myśli Ugunenapsy, szukajcie odpowiedzi u niej, a nie u mnie. Setèssei podrażnij następnego nunkulileba. Ten lot nie-lot jest bardzo ciekawy, bo ich pióra bliższe są łuskom niż lotkom. Trzeba to zanotować. Nauka ciągle się rozwija, choć wasze Córy Życia nie mają o tym pojęcia.

Saagakel rozejrzała się po otaczającym ją kręgu doradczyń, dała znak najwyższej uwagi i przemówiła.

- Córy Życia. Mówię te słowa i chociaż mnie złością, to nie czuję już niszczącej wściekłości, która kiedyś opanowała mnie i was wszystkie. Mówię te przekłete słowa, bo mamy o nich nowe wiadomości dostarczone przez Fafnepto i przez Vaintè. Musimy teraz znaleźć sposób wykorzystania tej nowej wiedzy, wywarcie zemsty na tych, które zhańbiły to miasto, zhańbiły swą Eistaa.

W czasie przemowy Saagakel rozległy się krzyki zgody, gniewne obietnice zemsty, gorące nawoływania o wyjaśnienia. Wszystko to było bardzo miłe. Vaintè siedziała sztywno po prawej ręce Saagakel, przemówiła dopiero na przyzwalający znak Eistai.

- Wasza Eistaa opowiedziała mi, co się tu zdarzyło podczas niesłusznego uwolnienia tych stworzeń, a potem ich ucieczki na dumnym uruketo miasta. Ta hańba musi być ukarana. Wymaga to rozważenia dwóch rzeczy. Tej dzikiej bandzie zwierząt przewodzi niejaka Enge. Znam ją dobrze i powiem wam o niej. Uruketo zniknęło i nikt nie ma pojęcia gdzie. Silna Saagakel wie o tym jednak. Wie, że nie widziano uruketo w żadnym mieście Entoban\*. Słyszając to, możecie pomyśleć, że umknęły one przed sprawiedliwością Eistai. Tak nie jest. Wierzę, że potrafię do nich dotrzeć.

Spotkało się to z pomrukami zdziwienia i radosnym wyczekiwaniem na odsłonięcie tajemnic.

Stojące daleko za strumieniem starały się zrozumieć, co dzieje się po drugiej stronie ambesed. Beskutecznie, lecz mimo to pozostawały na miejscu, patrząc uważnie. Wiedziały, że omawiane są bardzo ważne sprawy. Odsunęły się na bok na odgłos krzyków przepychającej się Gunugul, prowadzącej dwie obładowane fargi. Vaintè wskazała na nadchodzące.

- Wszystkie znacie Gunugul, najstarszą wiekiem i znaczeniem ze służących temu miastu dowódczyn uruketo. Przyniosła nam coś ważnego. Pokaż nam swoje mapy, mądra Gunugul i wyjaśnij, co dla nas oznaczają.

Rozkazując ostro, nakazała Gunugul postawić i otworzyć pojemniki, potem wyjąć mapę i rozłożyć ją na trawie. Fargi stanęły nieruchomo po obu jej bokach, przytrzymując ją pazurami. Obecne przepychały się, by się przyjrzeć, choć oczywiście niczego nie rozumiały. Gunugul wskazała na ciemnozielony obszar na jednym z boków.

- To Entoban\*, na którym leży to wielkie miasto. A tu, nad oceanem, znajduje się Yebéisk. - Z pomrukiem podziwu wpatrywały się w złotą plamkę. Gungul przesunęła kciuk od miasta przez błękit mapy. - Z tej strony Yebéisku zaczyna się ocean. Wszystkie miałyśmy zaszczyt wysłuchania opowieści Vaintè, jak przepłynęła nim do lądu po drugiej stronie, do Gendasi\* i miasta Alpèasak. Zabierzcie tą, dajcie mi drugą mapę.

Patrzyły z ciekawością na rozwijanie następnej mapy. Była równie tajemnicza i niezrozumiała jak pierwsza, lecz może tym bardziej fascynująca. Gunugul znów wskazała.

- Gendasi\*. Wielki i pusty kontynent. Pusty, bo brak na nim Yilanè, choć roi się od ustuzou, jak mówiła Vaintè. Pokażę wam teraz to, o co mnie prosiła.

Gunugul cofnęła się, ukazując mapę ciekawym spojrzeniom. Większość obecnych słuchała Vaintè jednym tylko okiem, drugim wpatrując się w mapę pełną dalekich tajemnic.

- Opowiadałam wam o mieście Alpèasak. Nie mówiłam jednak, bo sprawa ta wstrętna była waszej Eistai, a więc nie nadająca się do publicznego omawiania, że przebywały w nim Córy Życia. Wiele z nich zmarło podczas rośnięcia miasta, choć nie wszystkie.

Jeszcze więcej zginęło podczas spalenia miasta, bo w przeciwieństwie do prawdziwych Yilanè nie umierają one we właściwym czasie, lecz żyją nadal jak robactwo. Nie będę więcej o tym mówiła, to zbyt obrzydliwe, wspomnę tylko, że poznałyście jedną z tych, które przeżyły tam, gdzie wiele zginęło. Przetrwała, choć powinna była zginąć. Potem przybyła do tego miasta, by uciec z niego znowu. Nazywa się Enge.

Zapomniały teraz o mapie. Wszystkie oczy spoczywały na Vaintè. Wszystkie głosy umilkły, by lepiej wysłuchać wszystko, co zechce powiedzieć.

- Znana jest jako Enge, Córa Życia, dysponuje wielką, choć spaczoną inteligencją. Ma wiedzę o dalekim Gendasi\*. Wie o drogach poprzez ocean.

Vaintè rozejrzała się po zagapionych słuchaczach. Było to takie niezwykle, że jedynie Eistaa wiedziała, dokąd prowadzą te słowa, gdzie powiedzie połączony szlak wiedzy. Wszystkie pochyliły się w milczeniu, pogrążone w uwadze, każda linia ich ciała błagała o wyjaśnienia.

- Słyszaliście, że nie odnaleziono uruketo, które uciekło z tego miasta. Gunugul, czy mogło przepłynąć ocean?

- Gdzie prowadzą prądy oceanu, tam płynie uruketo.

- Czy mogło dotrzeć do dalekiego Gendasi\*?

- Inne uruketo dokonały tego, mogło i te. Vaintè odchyliła się i zwróciła do Eistai.

- Saagakel, Eistao Yebéisku, uważam, że twe uruketo przepłynęło ocean i udało się do Gendasi\*. Nie do Alpèasaku, bo tamtejsza eistaa nie kocha Cór Śmierci. Uruketo nie ma w tym miejscu, musi jednak być gdzieś na wybrzeżu. Nie ma innego dla niego miejsca.

- Przepadło! - jęknęła doradczyni w udęce. - Przepadło! - Inne podjęty biadania, lecz na znak eistai zapadła natychmiast cisza.

- Jesteście Yilanè o małym rozumie, jeszcze mniejszej inicjatywie. Dlatego wami kieruję, a wy słuchacie. Czemu nie zastanowiliście się choćby przez chwilę, że możemy udać się za tymi stworzeniami, schwytać je, zabić, wyrzucić zemstę, odzyskać nasze uruketo.

Gdy dotarło do nich znaczenie tych słów, milczenie przeszło w krzyki radości i zdziwienia, wdzięczności dla eistai i pewności zwycięstwa. Saagakel przyjęła należne jej pochwały, podczas gdy Vaintè stała skromnie w tyle. Nie potrzebowała aplauzu.

Szukała zemsty.

Podobnie eistaa, lecz bardziej powściągliwie. Chciała gonić uruketo, ścigać je aż na koniec świata. Złapać je i zabić starą Ambalasei, która przysporzyła jej tyle bólu. Tego pragnęła.

Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Była eistaa, to jej miasto. Gdyby odpłynęła, musiałaby przekazać władzę innej, by za nią rządziła, a potem została jej następczynią. Po powrocie zostałaby na swym miejscu nową eistaę. Zemsta albo władza - wybór był prosty.

- Wszystkie wyjść - rozkazała, nakazując natychmiastowe przekroczenie strumienia. - Vaintè zostaje. Gunugul zostaje. Fafnepto zostaje.

Nie potrzebowała narad ani wskazówek, nawet ze strony swych najbardziej zaufanych doradczyń. Podjęła decyzję i jej rozkazy zostaną wykonane. Teraz czekała w milczeniu na rozejście się tłumu, odezwała się dopiero wtedy, gdy wszystkie przekroczyły mostki.

- Gunugul, powiedziałaś nam, że uruketo może przepłynąć ocean. Kiedy możesz wyruszyć?

- Kiedy rozkażesz, Eistao. Jest dobrze nakarmione i grube, załoga czeka w pogotowiu. Możemy załadować zakonserwowane mięso i wodę pomiędzy świtem a zmrokiem. Potem będzie można odpłynąć. Widziałaś mapy, kurs jest jasny.

- Dobrze. Będiesz jak zwykle dowodziła swoim uruketo. Odnajdziesz szlak do dalekiego Gendasi\*. Po osiągnięciu jego brzegów Vaintè poprowadzi poszukiwania. Opowie ci o tamtejszym lądzie i oceanie, a ty popłyniesz tam, dokąd ci wskaże. Zrobisz to dla mnie, Vaintè?

- Zrobię, co rozkażesz, Eistao. Wypełnienie twych rozkazów sprawi mi największą radość, bo szukam tego samego co i ty.

A co po znalezieniu uruketo? Co mam zrobić z tymi, które ci je skradły?

Wielki entuzjizm Vaintè opadł trochę po słowach Saagakel, lecz skryła to pod postawą pilnej uwagi.

- Po odnalezieniu uruketo zwrócisz się po rozkazy do Fafnepto. Nie jesteś z tego, miasta, Fafnepto, czy jednak coś dla niego zrobisz? Czy odnajdziesz te, które mnie zraniły i wymierzysz im moją surową sprawiedliwość? Jesteś łowczynią - czy zapolujesz dla mnie?

Fafnepto ustawiła się w niezdarnej postawie posłuszeństwa.

- Zrobię, jak rozkażesz. Uczynię to z przyjemnością. Polowałam już na stworzenia wszystkich rodzajów, nigdy jednak na inne Yilanè. Uważam, że będzie to dobra zabawa i doskonałe łowy.

- Dobrze powiedziane. Zostań teraz i wysłuchaj moich wskazówek, a inne niech odejdą.

Vaintè bardzo uważała, by niczym nie zdradzić swego niezadowolenia. Przed odejściem okazała wdzięczność i szacunek, bo na pewno czuła to wobec eistai, która dała jej taką sposobność. Dopiero po przekroczeniu srebnego mostku pozwoliła sobie na pewną gorycz w ruchach. To ona powinna dowodzić i eistaa o tym wiedziała.

Dlatego też nie dowodziła. Nikt nie przejmie władzy Saagakel za jej życia. Ona podejmuje wszystkie decyzje, każda inna je wykonuje. Gunugul przepłynie ocean, Vaintè odnajdzie łup. A co potem?

Odwróciła się i spojrzała na dwie dalekie postacie. Widziała ruchy ich kończyn, ale nie rozumiała niczego z rozmowy. Jakie są rozkazy dla Fafnepto? Vaintè nie posiadała niczego, ale gdyby coś miała, władzę, pozycję, to oddałaby wszystko za możliwość podsłuchania toczącej się w oddali rozmowy. Nie mogła jednak tego uczynić. Odwróciła się i ruszyła szybko za dowódczynią uruketo.

Musi dopilnować, by oprócz żywności i wody zabrano na pokład hèsotsany.

## ROZDZIAŁ XXV

- Już tu byłam - powiedziała Vaintè. - Bardzo dawno temu. A może w poprzednim życiu. Stałam tu, gdzie teraz. Na twoim miejscu, Fafnepto, znajdowała się dowodząca uruketo. Już nie żyje. Nazywała się Erafnaiś. Od dawna o niej nie myślałam. Jej uruketo zginęło razem z nią.

To był łatwy rejs. Trochę padało, ale obeszło się bez sztormu. Inne stale spały, lecz Vaintè przebywała przeważnie tutaj, na wierzchołku płetwy. Jej kciuki, zaciśnięte kurczowo na pomarszczonej skórze, czuły faliste ruchy zwierzęcia prującego morze, popychanego mięśniami potężnego ogona. Każdy ruch zbliżał je do Gendasi\*, z którego dwukrotnie została wygnana. Trzeciego razu nie będzie. Z mrocznego wnętrza wynurzyła się Fafnepto i stanęła obok, ciesząc się gorącym słońcem. Nie mówiła dużo, ale była dobrą słuchaczką. Pragnęła dowiedzieć się wszystkiego o nowym kontynencie i szanowała wiedzę Vaintè, którą ta chętnie się dzieliła.

Zmrużonymi do wąskich szparek oczyma wpatrywała się Fafnepto w jaskrawe słońce, osłoniła je jeszcze dłonią, wskazując na horyzont.

- Coś tam widzę, daleko na wodzie. Kilka zarysów. Czy to wyspa?

- Tak. Wczoraj, gdy byłaś w środku, minęliśmy dużą wyspę. Ją pierwszą się widzi po pokonaniu oceanu. Teraz zbliżamy się do łańcucha wysepek. Nazywają się zgodnie ze swoją naturą. Alakas-aksehent, ciąg złotych, rozsypanych kamieni. Ich piaski i okoliczne wody są ciepłe przez okrągły rok. Wysepki te ciągną się w jednej linii aż do lądu. Tam znajdziemy miasto Alpèasak. To miejsce musimy ominąć, tam na pewno nie zawinęło poszukiwane przez nas uruketo.

- Czy one mogą być na tych wysepkach?

- Nie sądzę. Słyszałam, że mało co tam rośnie, brakuje wody. Uciekiniarki szukały brzegu ze zwierzyną, na którą można polować.

- Rozumiem. Czy wiesz, żeby polować na jakieś zwierzę, trzeba myśleć tak jak ono?

- Nigdy przedtem o tym nie słyszałam, ale teraz ci wierzę. I dziękuję. Polując na zbiegłe Yilanè, musimy myśleć jak one.

- Musisz spróbować myśleć jak te, na które polujesz. Wiele razy rozmawiałam z uczoną imieniem Ambalasei. Rozumiem tę część jej myśli, która czuje to co ja, chęć poznania wszystkich żywych stworzeń. Przynosiłam jej okazy, odpowiadałam na pytania. Nie rozumiem jednak, dlaczego uwolniła więźniarki, pomogła im w ucieczce.

- Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Jest dla mnie niepojęte, by jakakolwiek rozumna Yilanè pomogła z własnej woli Córom Śmierci. Mogę ci jednak opowiedzieć o Enge, ich przywódczyni. Ma potężną inteligencję, choć teraz bardzo wypaczoną.

- Skoro przewodzi - dokąd by je zaprowadziła?

- To bardzo ważne pytanie, na które musimy znaleźć odpowiedź. Mając ją, trafimy na nasz łup.

- Czy popłynęłaby na wspomnianą przez ciebie wielką wyspę, którą minęliśmy wczoraj?

- Maninlè? Nic o niej nie wiem, znam tylko nazwę, ona wiedziałaby jeszcze mniej...

Vaintè zamilkła nagle, odwróciła się i spojrzała na spienione wody za uruketo, potem w dal. Wreszcie odwróciła się do Fafnepto ze znakiem szacunku i wdzięczności.

- Jesteś rzeczywiście łowczynią, wypowiedziałaś naprawdę ważną myśl. Musimy posłać po dowódczynię. Nie słyszałam, by ktokolwiek odwiedził tę wyspę, ale to o niczym nie świadczy. Musimy przeszukać jej wybrzeża. Jeśli będzie tam uruketo, to je znajdziemy.

Gungul zgodziła się natychmiast. Towarzystwo i karmiące uruketo enteesenaty zawróciły bardzo szybko, ono natomiast musiało dokonać długiego, powolnego zwrotu. Enteesenaty wyskakiwały nad wodę, wpadały w nią z pluskiem, płynęły aż do zmroku. W nocy unosiły się na fali, jak i ich ogromny

towarzysz, a rankiem razem podpłynęły do piaszczystych brzegów wyspy.

- Góry i dżungle - powiedziała Vaintè. - Świeża woda i dobre łowy. To może być schronienie.

Musimy przeszukać całe wybrzeże.

- Ile czasu potrwa okrążenie wyspy? - spytała Fafnepto. Gunugul okazała brak wiedzy-zależność od wielkości.

- Co najmniej kilka dni.

- W takim razie wysiądę na brzeg, na tym przylądku - powiedziała Fafnepto. - Zbyt długo już jestem na oceanie, poza lasem. Bardzo pragnę ujrzeć zwierzęta tej strony Ziemi. Będę tutaj, gdy wrócicie.

- Zabierzesz ze sobą żywność? - spytała Gunugul.

- Tylko hèsotsan. Przed waszym powrotem przygotuję świeże mięso.

Trzymając wysoko broń łowczyni ześlizgnęła się do wody i bez trudu dotarła na brzeg. Uruketo płynęło wzdłuż brzegu, przebywające stale na płetwie Vaintè i dowódczyni przyglądały się uważnie mijanym plażom i zboczom. Trudno się było spodziewać, że tak łatwo i szybko odnajdą swój łup. Mimo wszystko łowy rozpoczęły się. Vaintè nie czuła się już pasażerką.

Napotykały zatoczki i naturalne porty; badały wszystkie. Gdy po dwóch dniach okrążyły kraniec wyspy, uruketo musiało porzucić prąd, w którym dotychczas płynęło.

- Z południa płynie tu ciepła woda - powiedziała Gungul. - Stworzenia lubią ciepło. Patrz tam, na skraju nurtu ma inny kolor. Przypomina rzekę na oceanie. Płynąc wzdłuż prądów, znajdujemy nasz kurs.

Vaintè patrzyła na brzeg, ledwo słysząc słowa dowódczyni.

- Czy na południe od tej są inne wyspy? - spytała Gunugul. - Na mojej mapie nie są zaznaczone. Czy te tereny były badane?

- Nic nie wiem o dalszych wyspach. Na pewno ich nie widziałam, gdy tędy przepływałam.

- Może powinniśmy poszukać dalej na południe - stwierdziła Gunugul, patrząc na pusty ocean. Vaintè wraz z nią spoglądała

na błękitne wody i wał białych chmur na horyzoncie. Dalej na południe? Mogą tam być inne wyspy. Zawahała się przez chwilę, potem okazała stanowczość postanowienia.

- Tam nic nie ma. Przewodząca im Enge zna wybrzeże na pomocy i w tym kierunku by uciekła. Wpierw jednak musimy okrążyć wyspę. Jeśli ich tu nie znajdziemy, popłyniemy na północ. Tam odnajdziemy te, których szukamy.

„I tych, których ja szukam.” Jej ciało zeszywniało, myśli płynęły swobodnie. Była tu na rozkaz Saagakel, ma odszukać Enge, uczoną Ambalasei i uruketo. W tej pogoni działała zgodnie z wolą eistai. Ale jest tam i Kerrick, znajdzie go. Nienawidziła go równie mocno co i Córy. Może jeszcze silniej, bo dwukrotnie zdołał ją pokonać. Nie będzie trzeciego razu. Gdy go znajdzie, to będzie koniec.

Mały roślinożerny marag wisiał na drzewie zaczepiony za zadnią łapę. Kerrick wypatroszył go do końca, potem odciął luźną tylną łapę. Była dobrze umięśniona i na pewno smaczna. Owinął ją w wielki liść, który spiął cierniami. Potem wytarł o trawę krzemienisty nóż, zebrał zakrwawione kawałki skóry i zaniósł je do jamy pod drzewami. Muchy wzbily się chmurą, gdy dorzucił skóry do kości i innych odpadków. Odpędził owady i poszedł wymyć ręce w pobliskim strumieniu.

Gdy doszedł do namiotu, zobaczył, że jest nadal pusty. Armun nie wróciła jeszcze z dzieckiem. Zaniepokoiło go, że przyjął to z ulgą. Jeśli chce odwiedzić Nadaske, to innym nic do tego. Oczywiście, tak nie było. Armun nie sprzeciwiała się już głośno tym wizytom, ale jej milczenie było



równie wymowne, jak słowa. Bardziej wymowne i dłuższe, gdy zabierał z sobą Arnwheeta. Nie robił tego od bardzo dawna, może ze względu na to, co to ze sobą pociągało. Dzisiaj go weźmie. Chłopiec bardzo dobrze strzelał z łuku; może coś upoluje. Sam weźmie jedynie hèsotsan dla obrony przed drapieżnikami i zostawi całe łowy Arnwheetowi. To ósme lato chłopca; wkrótce dostanie większy łuk.

Biorąc hèsotsan z jego futrzanego gniazdka, poczuł jak zawsze drobny lęk. Nieruchomy i żywy - czy też milczący i martwy? Pyszczyk otworzył się, gdy go potarł, zęby chwyciły powoli kawałek mięsa. Kerrick chwyciwszy związane mięso, poszedł szukać swego syna.

Chłopców zawsze było łatwo znaleźć, wystarczyło posłuchać ich piskliwych krzyków. Byli teraz na brzegu niedaleko bagna, wrzeszczeli z radości. W jedną z ich pułapek złapał się duży ptak. Nie mógł uciec, bo do linki przywiązany był ciężki kloc, lecz ciągle syczał i bił wściekle skrzydłami. Dwaj chłopcy siedzieli na przewróconej do góry dnem łodzi, ssąc palce pokaleczone ząbkowanymi krawędziami dziobu ptaka. Arnwheet przywitał ojca krzykiem radości.

- Złapaliśmy go, atta, sami, gdy przyszedł paść się na trawie. Czy nie jest tłusty?

- Bardzo. Ale czy na pewno nie on was złapał? Wydaje się bardzo żywy.

- Zabij go, sammadarze - zawołał jeden z chłopców, a inni się przyłączyli. Ptak spojrzał na niego czerwonym okiem i znów syknął. Kerrick uniósł hèsotsan, ale używał go teraz wyłącznie do zabijania drapieżnych murgu. Wręczył broń Arnwheetowi, który wziął ją z dumą.

- Trzymaj tak, jak ci pokazałem, i nie dotykaj tego miejsca.

- Wiem, wiem.

Chłopiec wypiął pierś, inni przyglądali mu się z radością, podczas gdy Kerrick wyciągnął nóż i ostrożnie okrążył ptaka. Ten zwrócił się ku niemu z szeroko otwartym dziobem. Jeden z chłopców rzucił w niego kamieniem. Ptak odwrócił głowę, a Kerrick chwycił go za szyję i szybko podciął gardło. Zwierzę opadło, tworząc kupkę zakrwawionych piór. Chłopcy krzyknęli jeszcze głośniejszym głosem i podbiegli do niego. Kerrick wziął hèsotsan od syna.

- Niosę to mięso dla Nadaske. Pójdiesz ze mną? Arnwheet skrzywił się i rozejrzał. Dobrze się tu bawił. Kerrick spojrzał na łódź chłopców.

- Pływałeś już w niej?

- Tylko po bagnie. Sammadarzy powiedzieli, że nie wolno nam wypływać dalej. Dwaj chłopcy nie posłuchali. Zostali tak zbici, że aż rycieli.

- To bardzo dobrze, że twój ojciec jest sammadarem i nie musisz się martwić o lanie. Biegnij po swój łuk, popłyniemy łodzią na wyspę. Zapolujemy tam.

Teraz nie było już sprzeciwów. Kerrick położył ostrożnie hèsotsan na trawie, potem przewrócił łódkę. W środku była nierówna i siedziała na wodzie dziwnie skrzywiona. Najważniejsze, że pływała. Obok leżały dwa wiosła, a raczej ledwo spłaszczone kawałki gałęzi, ale wystarczą im. Były tam też puste tykwy do wylewania wody, na pewno się przydadzą. Lepiej zrobią, jak będę się trzymać blisko brzegu. Zepchnął łódkę na głębszą wodę, wziął hèsotsan i wsiadł ostrożnie. Przesuwał się w niej tak długo, aż łódka unosiła się mniej więcej prosto.

- Czyż to nie wspaniała łódź? - zawołał nadbiegający Arnwheet. Wpadł do wody i omal nie spowodował wywrotki przy wsiadaniu. Kerrick szybko opanował sytuację i wskazał na tykwy.

- Nabrała wody. Wylej ją i staraj się zbytnio nie wiercić.

Musiał ostrożnie zanurzać wiosła, bo łódka była bardzo wywrotna. Arnwheet siedział dumnie na dziobie i wykrzykiwał niepotrzebne rady, gdy płynęli wzdłuż brzegu. Trzymał łuk w pogotowiu, lecz zwierzyna dawno już przed nim umknęła. Kerrick okrążył wyspę i przebył wąski kanał do mniejszej wysepki na oceanie. Arnwheet niemal ich wywrócił przy wyskakiwaniu na brzeg i Kerrick z wielką

ulgą wślizgnął się do sięgającej pasa wody, trzymając hèsotsan wysoko nad głową. Wciągnęli łódkę na piach.

- Czy to nie dobra łódź? - spytał Arnwheet w marbaku. Kerrick odpowiedział mu w yilanè.
- Znakomicie wyrosłe-najmocniejsze drewno do jazdy na wodzie.
- Nie wyrosło. Wydrążyliśmy je ogniem.
- Wiem. Ale tak się mówi w yilanè.
- Nie lubię tak mówić.

Chłopiec lubił się sprzeczać, a Kerrick nie chciał go zmuszać. To dobrze, że ma silną wolę. Gdy dorośnie, będzie wydawał rozkazy, a nie wykonywał. Prowadził, a nie słuchał.

- Yilanè to dobra mowa. Możesz w nim rozmawiać z Nadaske, bo on w ogóle nie zna marbaku.
- Chłopcy się wyśmiewają. Widzieli, jak rozmawiałem z tobą, i mówią, że trząśłem się jak przestraszona dziewczynka.

- Nigdy nie słuchaj tych, którzy nie potrafią tego co ty. Nigdy nie będą tak mówić jak ty. To ważne, byś tego nie zapomniał.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Rzeczywiście, dlaczego? Jak odpowiedzieć na to proste pytanie? Kerrick usiadł na piasku i zaczął się zastanawiać.

- Usiądź obok. Odpocznijemy chwilę i powiem ci o wielu ważnych sprawach. Ważnych nie teraz, lecz kiedyś najważniejszych. Czy pamiętasz, jak marześ, gdy byliśmy w śniegach u Paramutanów?

- Lepiej jest w cieple.

- Lepiej - dlatego tu jesteśmy. Nie możemy już żyć na północy, bo śnieg tam nigdy nie topnieje. Ale na południu są murgu. Możemy je zabijać i jeść, zabijać, nim zdążą zjeść nas. - Arnwheet nie zauważył nawet, jak Kerrick przeszedł na yilanè. - Są tu też Yilanè, tacy jak Nadaske. Inaczej niż on, nie są efenselè, lecz starają się nas zabić. Z tego powodu musimy je poznawać, musimy się ich strzec. Kiedyś jako jedyny Tanu potrafiłem z nimi rozmawiać. Teraz jesteśmy dwaj. Któregoś dnia zostaniesz sammadarem i będziesz robił to, co ja teraz. Musimy znać Yilanè. Żeby żyć tutaj, potrzebujemy ich hesotsanów. To bardzo ważna rzecz, którą kiedyś będziesz musiał zrobić. Tylko ty będziesz do tego zdolny.

Arnwheet wiercił się niespokojnie i kopał stopą w piasku. Słyszał, co ojciec do niego mówi, lecz nie mógł w pełni pojąć znaczenia tych słów. Był jeszcze małym chłopcem.

Kerrick wstał i otrząpął nogi.

- Teraz odwiedzimy naszego przyjaciela Nadaske, zaniemiemy mu mięso, a on nam zaśpiewa. Po drodze silny łowca będzie szedł z naciągniętym łukiem i może coś upoluje.

Z okrzykiem zadowolenia Arnwheet chwycił za łuk i nałożył strzałę. Potem zmrużył oczy i naśladując łowców na szlaku, skulił się, by zniknąć cicho za porośniętym trawą wzgórkim.

Kerrick poszedł za nim, zastanawiając się, czy chłopiec coś zrozumiał z jego słów. Jeśli nawet nie teraz, pojmie je któregoś dnia. Kiedyś Kerrick umrze i Arnwheet zostanie łowcą, sammadarem. Przejmie wtedy całą odpowiedzialność.

Nadaske stał na brzegu, wpatrując się w morze. Odwrócił się z gestami zadowolenia na krzyki Kerricka. Jeszcze większą radość okazał, gdy otrzymał mięso. Powąchał pakunek i dodał inny kontroler większego zakresu.

- Mały-mokry nie jest już mały ani mokry, efenselè Kerrick, mięso bardzo dobre. Zbyt długo już nie rozmawialiśmy.

- Jesteśmy teraz - odparł Kerrick, wiedząc, że minęło wiele czasu, i chcąc o tym rozmawiać. Odwrócił się, szukając krzewu na tyle gęstego, by rzucał duży cień. Piasek był bardzo ciepły i

odgarnął górną warstwę, dokopując się do zimniejszej, potem wsadził tam hèsotsan. Nikt nie wiedział, jak choroba przenosi się z jednego stworzenia na drugie ani czy w ogóle się przenosi. Jednak na wszelki wypadek przestrzegali wszelkich środków ostrożności i nie pozwalali innym łowcom dotykać swych hesotsanów, nigdy też nie kładli jednej broni obok drugiej.

Arnweet opowiadał Nadaske o udanych łowach na ptaka, a samiec bardzo zainteresował się pomysłem łapania zwierząt w pętlę. Kerrick nie wtrącał się, ani nie próbował pomagać chłopcu, gdy miał trudności z wyjaśnieniem w yilanè budowy i działania sideł. To Nadaske zadawał właściwe pytania, pomagał znaleźć prawidłowe odpowiedzi. Kerrick przyglądał się temu z zadowoleniem. Nadaske naprawdę ciekawiły wyniki, chciał wiedzieć, jak się je robi.

- Jeśli dobrze zrozumie ich budowę, to łatwo je zrobię. Wszyscy wiedzą, że samice są brutalne. Wiadomo też, że całe umiejętności Yilanè i ich sztuka pochodzi wyłącznie od samców. Widziałeś zrobionego-błyszczącego drucianego-kamiennego neniteska.

- Czy mogę zobaczyć go teraz?

- Innym razem. Teraz pokażę ci coś bardziej ciekawego-jadalnego.

Poszli za Nadaske na leżący od strony lądu brzeg wyspy, gdzie ten wykopał dół na poziomie przypiływu. Samiec odsunął przykrywający go płaski kamień, pokazując wyłożone wodorostami wnętrze. Leżały tam świeże małże. Wybrał dla gości duży, soczysty okaz, a drugi wsadził do ust i mocno ugryzł miażdżąc skorupę.

- Zęby Nadaske są mocne-liczne - powiedział Kerrick, otwierając muszlę krzemienym nożem. - Zęby ustuzou się do tego nie nadają, muszą korzystać z kamiennego zęba.

- Albo z metalowego - dodał Arnweet, ściągając rzemyk przez szyję i dobierając się do małża nożem z gwiazdowego metalu.

- Nie - powiedział Kerrick - nie nim. - Arnweet spojrzał na niego zdumiony siłą zakazu. Kerricka zdziwiła moc własnych uczuć. Podał swój nóż z krzemienia, zabrał metalowy i potarł go palcami. Był porysowany i wyszczerbiony, ale miał dobre ostrze i spiczasty czubek, szlifowany przez Arnweeta na kamieniu.

- Był mój - powiedział. - Wisiał mi zawsze na szyi, najpierw na rzemyku, potem na metalowej obroży, tak jak ten.

- Jeden większy, jeden mniejszy, prawie takie same - powiedział Nadaske. - Wyjaśnienie istnienia-powiązania.

- Herilak powiedział mi, że został wycięty z gwiazdowego metalu. Był przy jego upadku, widział, jak z nieba spadła płonąca skała, która nie była z kamienia, lecz z metalu. Gwiazdowego metalu. Odszukał go raz z innymi łowcami. Znalazł go sammadar imieniem Amahast. Jak widzicie, gwiazdny metal jest twardy, lecz można go rozszczepić ostrymi kawałkami kamienia. Tak zrobiono te noże, duży i mały. Amahast nosił duży, a mniejszy dał synowi. Był moim ojcem. Teraz mój syn go nosi, tak jak ja kiedyś.

- Co to znaczy ojciec, co syn? - zapytał Nadaske, gładząc kciukiem błyszczącą powierzchnię noża.

- Trudno ci to będzie zrozumieć.

- Czy uważasz mnie za fargi o niskiej inteligencji, niezdolnej do zrozumienia-pojęcia?

Kerrick wyraził przeprosiny za nieporozumienie.

- Nie, po prostu wiąże się to ze sposobem narodzin ustuzou. Nie ma u nich jaj ani efenburu w morzu. Dzieci rodzą matki, które znają przeto ich ojców.

Nadaske okazał zmieszanie i niedowierzenie.

- Kerrick miał rację. Niektórych rzeczy o ustuzou nie sposób zrozumieć.

- Powinieneś myśleć o Arnweecie i o mnie jako o najmniejszym efenburu. Bliższym-niż-bliski.

- Zrozumienie-częściowe, przyjęcie-całkowite. Zjedzcie jesz ęże małży.

Przed wieczorem Arnwheet zaczął się nudzić rozmową i rozglądać na boki. Kerrick dostrzegł to i zrozumiał, że chłopiec nie powinien być znudzony wizytami u Nadaske. Muszą zawsze być dla niego czymś ciekawym, wyczekiwanym.

- Pora odejścia - powiedział Kerrick. - Może ptaki wrócą na bagna i zdołasz któregoś ustrzelić.

- Krótkość wizyty-krótkość życia - stwierdził Nadaske w ponurej próbie zatrzymania ich dłużej.

- Już wkrótce-ze świeżym mięsem - odparł Kerrick odwracając się. Wziął hèsotsan i starł z niego kilka ziaren piasku. Stał nagle zupełnie nieruchomo.

- Dostrzegłeś coś, czego nie widzę - stwierdził Nadaske, odczytując przestroch z postawy ciała.

- Nic nie dostrzegłem. To tylko piasek na głupim hèsotsanie. - Kerrick zmiotł go palcami, potem jeszcze raz. Mała szara plamka nie znikwała.

## ROZDZIAŁ XXVI

Kerrick nie chciał powiedzieć, co zobaczył, jakby plamka mogła zniknąć od przemilczenia, nigdy się nie pojawić, Arnwheet podzielał to milczenie w czasie drogi. Strzelił z łuku do wygrzewającej się na słońcu jaszczurki, niemal ją trafił, gdy uciekała w trawę. Potem usiadł na dziobie łódki i pozostał tam cały czas, mocząc palce w wodzie. Kerrick chciał go przed tym ostrzec, nagle przypomniał sobie, jak robił to samo, będąc chłopcem, i jak bardzo się przeraził wynurzającego się z morza maraga. Ale to było dawno temu, w płytkich, przybrzeżnych wodach nie ma się czego bać. Wyszli z łódki, przewrócili ją do góry dnem i Arnwheet pobiegł do namiotu. Kerrick znów spojrzał na swój hèsotsan. Plamka nie zniknęła.

Przy ich ognisku panowało milczenie. Armun wiedziała, dokąd poszli, i swe niezadowolenie wyrażała każdym ruchem. Tym razem Kerrick nie próbował z nią rozmawiać, był również milczący jak ona, mając nadzieję, że w końcu wybaczy im wizytę na wysepce. Zmęczony Arnwheet zasnął jeszcze przed ukazaniem się pierwszych gwiazd. Kerrick zasypał piaskiem przygasające ognisko i poszedł do strumyka umyć ręce. Tarł je starannie, potem umył jeszcze raz. Pomyślał przy tym, że jeśli zaraził hèsotsan, to już za późno na czystość. Otrząsnął ręce z wody i poszedł do namiotu Herilaka.

Po wejściu na polanę ujrzał, że Merrith przeniosła swój namiot tuż obok sammadara. W otwartym wejściu siedziała Darras, trzymając słomianą lalkę. Nadal była milczącą dziewczynką, lecz uśmiechnęła się na jego widok. Poły namiotu Herilaka były zamknięte, z wnętrza dobiegał śmiech. Miał już zawołać, gdy poznał, że to głos kobiety. Nic o tym nie wiedział, lecz był zadowolony. Usiadł na futrze obok Darras.

- Nigdy nie widziałem tej lalki.

- Zrobiła ją babcia. Patrzyłam na to. Czy nie jest ładna? Ma na imię Melde. Tak nazywała się moja matka.

- To bardzo ładna lalka.

Dorzucił suchych gałęzi do ognia i podsycił go, aż drewno zaczęło trzaskać i płomień buchnął w górę. Uniosła się kłapa drugiego namiotu, wyszła z niego Merrith i usiadła obok.

- Darras powiedziała mi o nowej lalce. Jest z niej bardzo zadowolona.

Merrith uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Nie tylko ona się cieszy.

Herilak zawołał na powitanie i Kerrick poszedł do niego. Usiedli w ciemności przed namiotem, patrząc przez migające ognie na kobietę i dziewczynkę. Herilak wyglądał na równie szczęśliwego jak Merrith. Kerrick nie chciał tego psuć, sammadar zbyt długo był ponury i smutny. Rozmawiali o polowaniu, innych sammadach, dolinie Sasku. Wreszcie Merrith zabrała dziewczynkę do namiotu i zamknęła połę.

- W lecie może tu być bardzo gorąco - powiedział Herilak - ale zimą nigdy nie ma mrozu. Ta wyspa to bardzo dobre miejsce dla sammadów.

- Czy kiedyś wrócimy w góry? Tak powiedział przed śmiercią stary Fraken.

- Stary Fraken był starym głupcem. Wiele razy tak mówiłeś. Na pomocy ciągle trwa zima.

- Mój śmiertcio-kij chyba zachorował. Herilak zamilkł na bardzo długo. Gdy wreszcie się odezwał, w jego głosie powrócił ponury smutek.

- Musiało się to kiedyś zdarzyć. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Tym razem musimy zdobyć nowe śmiertcio-kije przed stratą starych, trzymać je osobno.

- Chcesz znów iść do miasta murgu? Ukraść następne? Zabić dalsze murgu?

- Czy możemy zrobić coś innego?

Kerrick nie miał na to gotowej odpowiedzi. Siedział w milczeniu ze złożonymi dłońmi, tak mocno splatając palce, że aż trzaskały mu kostki. Nad drzewa wychynał księżyc, zalewając polanę zimnym światłem. Nad ich głowami cicho przeleciała sowa, w lesie zawołało jakieś nocne zwierzę.

- Nie - odpowiedział Kerrick z wielką niechęcią. - Nie mogę nic innego wymyślić. Wiemy, gdzie są śmiercio-kije. Jeśli jednak zostaniemy znów dostrzeżeni...

- Nie musisz teraz iść. Wiem, gdzie jest staw.

- Nie boję się tam pójść!

- Tego nie powiedziałem. Chodziło mi o to, że teraz mogą zaryzykować inni. Zrobiłeś już swoje, nawet więcej, i to po wielokroć.

- To nieważne. Najbardziej się boję naszej zależności od murgu i miasta. Pójdziemy tam, bo musimy, potem któregoś dnia będziemy musieli pójść jeszcze raz. Ale za którymś razem to się stanie, zostaniemy w mieście dostrzeżeni przez murgu. Co wtedy?

- Za dużo się martwisz. Należy żyć z dnia na dzień.

- To już nie jest prawdą. Mogłeś tak mówić, gdy byliśmy w górach i tropiliśmy sarny. Teraz już nie. Jesteśmy w pułapce, z której nie ma wyjścia.

- Tym razem będzie nas więcej. Weźmiemy mnóstwo śmiercio-kijów.

- Nie. To niemożliwe. Ryzyko jest zbyt wielkie. Najwyżej dwóch łowców. I zostawimy tu nasze śmiercio-kije. Potem, po opuszczeniu sammadów, będziemy musieli wiele razy umyć siebie i skóry, które nosimy. Choroba nie może się przenieść na przyniesione przez nas śmiercio-kije.

- Nie zrozumiałem tego, co mówiłeś o myciu i chorobie.

- Ani ja - odparł Kerrick z krzywym uśmiechem. - Ale tak słyszałem od kogoś, kto się zna. Było to przed naszym spotkaniem, gdy bardzo chorowałem...

- Więc usłyszałeś to od maraga?

- Tak. A przekonałeś się po ataku na miasto, potem w dolinie, gdzie wyhodowały specjalne rośliny mające nas zabić, jak dużo wiedzą one o żywych stworzeniach. Ten marag o wielkiej wiedzy powiedział mi, że choroby, zakażenia, są przenoszone przez małe żyjątka.

- Widziałem robaki w ranach.

- Żyjątka mniejsze jeszcze od nich, takie małe, że trudno w to uwierzyć, ale powtarzam ci to, co sam słyszałem. Może więc to, co zabija śmiercio-kije przechodzi od jednego do drugiego. Nie wiem. Jeśli jednak można to powstrzymać przez mycie, musimy się szorować.

- Na pewno. Ponadto po dobrym myciu każdy łowca lepiej pachnie. Pójdziemy we dwóch. Ty i ja.

- Nie - powiedział Kerrick z nagłą stanowczością. - Jesteś sammadarem i nie mogę ci mówić, co masz robić. Wezmę kogoś, kto robi to, co mu każą. Pójdziemy cicho, unikając murgu. Unikając zabijania, jeśli któregoś spotkamy. Gdybyś tam wtedy był, czy posłuchałbyś zakazu zabijania?

- Nie posłuchałbym. Mówisz prawdę. Ale kogo weźmiesz? Twój sammad jest mały, jedynym w nim łowcą jest chłopak, Harl.

- Jest sprawny i milczący w lesie. Pójdzie ze mną. Tak musi być.

- Popemiasz błąd.

- Być może - ale to mój błąd.

Herilak skrzywił się gniewnie, ale nie potrafił nic wymyślić. Decyzja została podjęta.

- Kiedy pójdziesz?

- Bardzo prędko. Tym razem musimy pójść tam i zabrać śmiercio-kije, nim zdechną inne. Muszą być zawsze gotowe do użytku.

Nic już nie było do dodania i rozstali się w milczeniu.

Kerrick obudził się rano o pierwszym brzasku, mało spał tej nocy. Leżał nieruchomo, słuchając

spokojnego oddechu Armun, aż promienie słońca padły na skórę namiotu. Wtedy wyszedł cicho i poszedł do kryjówki, w której trzymał hesotsan, odwinął go starannie i uniósł do światła. Martwy obszar powiększył się.

Poła namiotu łowców została odrzucona i Ortnar usiadł w porannym słońcu. Wyciągnął przed siebie sztywną nogę, ciągły ból wyłobił na jego twarzy głębokie zmarszczki.

- Chcę pomówić z Harlem - powiedział Kerrick.

- Jeszcze spałem, gdy wyszedł, dobrze przed świtem. Zna miejsce nad strumieniem, gdzie rano przychodzi sarny. Któregoś dnia zostanie dobrym łowcą.

- Porozmawiam z nim, gdy wróci. - Nie było nic do dodania, Ortnar nigdy nie był dobrym partnerem do pogaduszek. Kerrick odwrócił się i poszedł do swego namiotu. Armun już wstała i rozniecała ogień.

- Widziałam, jak oglądałeś śmiercio-kij. Za bardzo się nim martwisz.

- To więcej niż zmartwienie. Zachorował.

- Znowu! - powiedziała to z wielkim bólem.

- Tak. Muszę iść do murgu. Znów.

- Nie, nie ty. Mogą pójść inni.

- Na pewno mogą - ale nigdy by nie wrócili. Tylko Tanu będący na wpół maragiem może zrozumieć miasto murgu. Teraz najem się i odpocznę. Mało spałem w nocy.

Gdy się obudził, słońce stało wysoko na jasnym niebie. Na dworze siedział Harl, czekając cierpliwie. Patrząc na niego oczyma jeszcze zamglonymi snem, Kerrick widział go jak obcego. To już nie jest mały chłopiec, lecz dorosły łowca. Wstał i podszedł do namiotu, gdy tylko ujrzał, że Kerrick się obudził.

- Ortnar powiedział, że mnie szukałeś, że chcesz ze mną pomówić.

- Byłeś na polowaniu. Czy sarny przyszły?

- Prosto na mnie. Dwie zabiłem. Czego ode mnie chcesz? Jak Ortnar nie miał czasu na pogawędki.

Używał słów jak strzał, były ostre i szybkie.

- Chcę ciebie. Czy pójdziesz ze mną do miasta murgu? Zachorował mój śmiercio-kij.

- Ilu pójdzie.

- Tylko ty i ja.

Oczy Harla się rozszerzyły.

- Ostatnim razem poszedłeś z sammadarem Herilakiem.

- Tak. I zabił spotkane przez nas murgu. Tym razem zależy mi tylko na umiejętnościach tropienia, a nie zabijania. Chcę widzieć i nie być widzianym. Pójdziesz ze mną?

Harl uśmiechnął się i wyciągnął zaciśnięte pięści, jedną nad drugą.

- Pójdę. Przyniesiemy śmiercio-kije?

- Tak. Musisz mi jednak coś powiedzieć. Czy będziesz robił to, co ci każę? Jeśli zobaczymy murgu z miasta, nie będzie wolno ich zabijać. Czy się powstrzymasz?

- Prosisz o trudną rzecz.

- Wiem. Ale jeśli nie zrobisz tego ty, znajdę kogoś innego. Jesteś z mojego sammadu. Jeśli zrobisz to, o co cię poproszę, nie będzie innego łowcy. Możesz wybierać.

- Wybieram pójście z tobą. Zrobię, co każesz, sammadarze. Kiedy wyruszamy?

- Rano. Weźmiemy tylko włócznie i łuki. Śmiercio-kije zostaną tutaj.

- A jeśli spotkamy wielkiego maraga, którego nie będzie można zabić włócznią czy strzałą?

- Zginiemy. Uchronią nas przed tym tylko twoje umiejętności poruszania się w lesie. Czy to potrafisz?

- Tak. Zrobimy, jak powiedział sammadar.

Wyszli o świcie i do nastania upału zrobili spory kawał drogi na południe. Po dojściu do brodu na wąskiej rzeczce wymyli się w czystej wodzie, jeden siedział w niej, a drugi go pilnował. Harl nie rozumiał przyczyn mycia, ale zrobił, jak mu kazano. Mrucząc o zamknięciu łuku i cięciwy, rozłożył strzały na trawie, by wyschły. Kerrick spojrzał na pakunki suszonego mięsa i ekkotazu.

- Nie można myć mięsa - powiedział Harl. Kerrick się uśmiechnął.

- To prawda. Ale możemy je zjeść. Przed wejściem do miasta wyrzucimy to, co nam zostanie, razem z torbą. Ostatnim razem pociąłem skórę, by związać śmiercio-kije. Choroba mogła się tak przenieść. Teraz owiniemy je rozszczepioną korą i pnączami. Nie mogą złapać choroby.

Drugiego dnia Harl zatrzymał ich, unosząc rękę, i wsłuchał się w puszcę. Znajdowało się w niej coś wielkiego. Obeszli zwierzę wielkim łukiem, aż wyszli na brzeg. Do wieczora szli piaskiem. Wrócili na ląd dopiero wtedy, gdy wybrzeże stało się bagniste i nieprzebyte. Więcej nic im nie przeszkadzało i szli szybko. Po osiągnięciu znanych mu już zewnętrznych krańców miasta Kerrick zatrzymał się.

- Wrócimy do strumienia, przez który ostatnio przechodziliśmy. Wyrzucimy torbę z mięsem i znów się umyjemy.

- Wpierw zjemy jak najwięcej.

- Oczywiście. Ruszamy dalej po południu. - Harl skrzywił się na to niezadowolony. - Mamy ważny powód do zaczekania. Murgu miasta nie chodzą po nocy. Jeśli będą jakieś przy stawach ze śmiercio-kijami, opuszczą je wtedy, by jeszcze przed zmrokiem znaleźć się w mieście. Wróciwszy tu o szarówce, zdołamy zabrać śmiercio-kije i wycofać się, choćby było już po zmierzchu. Czy to możliwe?

- Jeśli zobaczę szlak za dnia, odnajdę go i w nocy. Będzie tak, jak powiedziałeś, sammadarze.

Przed wieczorem, w mokrych i zimnych strojach ze skóry, znaleźli się przy zewnętrznej granicy miasta. Kerrick szedł pierwszy, ścinając i odsuwając trujące rośliny i ciernie. Po minięciu zapory powiedział szeptem Hartowi, co ma robić dalej. Szli coraz wolniej, ostatni odcinek do ziemnego wału wokół stawu pokonali pełzając. Harl wszedł pierwszy i skinął na Kerricka.

- Nikogo tu nie ma, od ostatniego deszczu nie widać żadnych śladów.

- Chcę pozostać w ukryciu, aż się ściemni. Możemy z tych pnączy spleść sieci do niesienia śmiercio-kijów.

Przed samym zmierzchem Harl wszedł na ziemny wał, rozejrzał się i skinął na Kerricka. Pod nimi, w płytkiej wodzie i na piaszczystym brzegu roilo się od hesotsanów. Kerrick wrzucił pecyny ziemi, by odpędzić te mogące chodzić i wskoczył do wody. Blisko niego na piasku hesotsany słabo poruszały nogami, niezdolne do ucieczki.

- Takich nam trzeba - powiedział. - Dam je tobie.

Wziął tyle, ile mogli łatwo unieść, potem wyciągnął rękę do Harla i wyszedł ze stawu. Hesotsany syczały cicho przy wiązaniu, próbowały kąsać ich w palce. Robota poszła szybko. Zarzucili na ramiona pakunki owiniętych stworzeń i chwycili za broń.

- Udało się nam! - powiedział Kerrick, czując, jak opuszcza go napięcie. - Teraz chodźmy stąd.

Harl szedł pierwszy po łagodnym stoku, wracając na drogę, którą przyszli do miasta.

Gdy minął szczyt wału, rozległ się ostry trzask hesotsanu i chłopiec upadł. Zmarł, nim jeszcze dosięgnął ziemi.



## ROZDZIAŁ XXVII

Kerrick zatrzymał się, cofnął, skrył szybko pod wałem. Harl leżał tuż obok. Miał otwarte usta, nic nie widzące oczy skierowane były w niebo. Na jego piersiach leżała wiązka hesotsanów, stworzenia powoli wierciły się w więzjach.

Harl nie żyje. Zabity hesotsanem. Yilanè, musiała to być Yilanè, leżąca tam, w zasadzce. Pułapka została dobrze zastawiona. Nie ma z niej wyjścia. Ruszając się czy próbując uciekać, pozbawi się osłony. Nie może iść naprzód - ani się cofnąć. Zaczną strzelać, gdy tylko go zobaczą.

Musi więc znów stać się Yilanè.

- Uwaga na mówienie! - zawołał i dodał: - Śmierć... przeczenie! - Nie miało to większego sensu, ale chciał, by czekające na zewnątrz zawahały się przed strzelaniem. Odsunął na bok paczkę hesotsanów i powoli wstał, a potem wyszedł z ukrycia, wołając przy tym głośno i trzymając ręce w geście poddania.

- Nie mam broni. Nie zabijaj mnie - powiedział, jak tylko mógł najmocniej i najwyraźniej. Skóra mu drżała, oczekując na strzałkę przynoszącą natychmiastową śmierć. Yilanè stała tuż przed nim w gęstych krzakach. Wyszła spod osłony drzew. Celowała hesotsanem wprost w Kerricka. Była sama. Mógł tylko stać nieruchomo w geście poddania.

Intèpelei patrzyła na niego, nie poruszając bronią. Nie strzelała.

- Jesteś ustuzou będącym Yilanè. Słyszałam o tobie.

- Jestem Kerrick, Yilanè.

- A więc musisz być tym, który przybył do Ikhalmenetsu i zabił uruketo naszego miasta. Jesteś nim?

Kerrick zastanawiał się nad kłamstwem, ale nie miało ono sensu.

- To ja.

Intèpelei wyraziła radość z odkrycia, ciągle jednak trzymając hèsotsan wymierzony w pierś Kerricka.

- Muszę więc zabrać cię do Lanefenuu, która często mówi o ustuzou i swej do nich nienawiści. Zechce cię chyba zobaczyć, nim umrzesz. Czy zabiłeś trzy Yilanè i wrzuciłeś je do stawu z hèsotsanami?

- Nie zabiłem.

- Ale zrobił to twój rodzaj ustuzou?

- Tak.

- Domyślałam się, że to tłumaczy ich śmierć. Inne nie zgadzały się ze mną. Zrobiłam to, co było konieczne. Od tego dnia ukrywałam w pobliżu fargi. Miały zawiadamiać mnie o pojawieniu się ustuzou. Jedna przyszła do mnie dzisiaj. Teraz porozmawiamy z Lanefenuu.

- Już niemal ciemno.

- No to pośpiesz się, bo jeśli ściemni się, nim będziemy w ambesed, zabiję cię. Idź szybko.

Kerrick ruszył z wahaniem, szukał jakiegoś wyjścia, lecz nie znajdował żadnego. Ta Yilanè to łowczyni, zgadywał to, wiedział, że zabije go przy najmniejszej próbie ataku. Dała znak górnymi kciukami i ruszyła. Potem zadrżała i niemal upadła.

Strzała wbiła się jej głęboko w plecy.

Uniosła hèsotsan drżącymi rękoma i wycelowała w Kerricka. Szczęknął raz, strzałka chybiła. Uniosła broń wyżej.

Druga strzała trafiła ją w kark i Yilanè upadła. Herilak przybiegł cicho ścieżką, spojrzął na dwa ciała.

- Zobaczyłem maraga dopiero wtedy, gdy zabił chłopca. Nie mogłem strzelić, nim nie wyszedł na

drogę.

- Śledziłeś nas.

- Tak. Nie miałem śmiercio-kija, ale szedłem za wami. Wam dwóm groziło zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Musimy pozbyć się ciał. Do stawu...

- Nie trzeba - powiedział Kerrick słabo. - Rozmawiałem z nią, nim ją zabiłeś, słyszałeś. Rozstawiła strażniczki pilnujące tej drogi. Powiedziały jej, że przyszliśmy.

- Musimy szybko odejść.

- Nie, to łowczynie, przyszła tu sama. Jest teraz za ciemno, by dołączyły do niej inne. W mieście są jednak obserwatorzy, które nas dostrzegły i powiedziały jej. Rano przyjdą tu inne. Nie zdołamy ukryć naszej obecności. Już o niej wiedzą. Nie chciałem zabijania. Myślałem, że lepiej będzie, jak pójdziemy bez ciebie, lecz i tak nas śledziłeś. Powinniśmy pochować Harla.

- Szkoda czasu. Jego tharm jest w gwiazdach i nie dba o pozostawione ciało. Wytnę strzały, zabierzemy hèsotsany i odejdziemy. Gdy przyjdą tu rano, będziemy już daleko na szlaku.

Kerrick poczuł wielkie osłabienie. Ukląkł przy martwym chłopcu i wziął wiązkę hesotsanów. Potem wyprostował kończyny Harla, zamknął mu oczy i powoli wstał.

- Zabiłem go - powiedział z goryczą. - Przeprowadziłem go tutaj.

- Zabił go marag. Mamy nowe śmiercio-kije. Zostaw go i przestań o nim myśleć. Był młodym, ale dobrym łowcą. Wezmę jego włócznię i łuk. Inny chłopiec, który pragnie być łowcą, otrzyma w nich wielką siłę.

Nic już nie pozostawało do powiedzenia. Mieli broń. Ruszyli na pomoc z wiązkami zwisającymi z ramion, szybko zniknęli z pola widzenia. Pod drzewami zrobiło się ciemno, cienie objęły dwa ciała, tak sobie obce, lecz teraz połączone niemożliwymi do zerwania więzami śmierci.

Wewnątrz miasta nie było dużych padlinożerców, ciała przetrwały więc noc bez zmian. Rano znalazły je wrony. Wylądowały ostrożnie i zbliżyły się w podskokach, nieufnie podchodząc do tego wielkiego, niespodziewanego daru. Zaczęły rozrywać ciała, gdy spłoszyły je głośnie krzyki. Ścieżką nadeszły pierwsze fargi, trzymając przed sobą hèsotsany. Rozproszyły się, przetrząsając las, przeszukując dalszy ciąg ścieżki. Porządek przywróciła dopiero Muruspe, przezornie trzymająca się z tyłu. Obok stanęła Anatempè, wyrażając szok i żal.

- Co to ma znaczyć? Co tu się stało?

- To bardzo proste - odparła Muruspe, wyrażając ogromny wstręt. - Intèpelei otrzymała ostrzeżenie o wtargnięciu ustuzou, przyszła tu sama, zmarła przez swą śmiałość. Musiała zabić jednego ustuzou, inne zabiły ją. Jesteś Yilanè nauki, pomocnicą Ukhereb. Czy możesz mi powiedzieć, kiedy to się stało?

Anatempè przykucnęła i dotknęła skóry obu ciał. Wyraziła niepewność wniosku.

- Nie rano. Może w nocy, prawdopodobnie wczoraj wieczorem.

- Prawdopodobnie. Ukryte tu wczoraj fargi powiedziały, że widziały dwa ustuzou. Jedno leży tu martwe, drugie uciekło. Co tu robiły? Po co przyszły?

Anatempè spojrzała na wał otaczający staw hesotsanów. Muruspe również tam popatrzyła.

- Czy ma to coś wspólnego z hèsotsanami?

- Alpèasak to wielkie miasto. Dwa razy zabójcze ustuzou się do niego dostały. Dwa razy w stawie hesotsanów znalazły się trupy.

- A ustuzou używają hesotsanów tak samo jak my. - Muruspe zamilkła, zatopiona w myślach, potem nakazała uważać na rozkazy. - Zaniesiemy ciała do ambesed. To sprawa dla Eistai.

Przechodząca miastem smutna kolumna spotykała się z oznakami bólu i wstrętu. Fargi uciekały od niej, przestraszone śmiercią Yilanè, widokiem martwego ustuzou. Oba ciała złożono na ziemi i Muruspe poszła zawiadomić eistaę.

Lanefenuu patrzyła na leżące przed nią martwe ciała, milczała zamyślona. Milczenie wypełniało całe ambesed, nikt nie ośmielał się go przerwać. Obie uczone, Ukhreb i Akotolp, zbadały już ciała i zgadzały się z prawdopodobnym przebiegiem wypadków.

Ustuzou zabiła strzałką z hesotsanu, niewątpliwie z broni Intèpelei. Łowczyni została następnie zabita kamiennym-zębem ustuzou, na jej karku i plecach znajdowały się śmiertelne rany.

- Po co to ustuzou przyszło do mego miasta? - odezwała się wreszcie Lanefenuu, patrząc po kręgu swych doradczyń. - Zabijanie ustuzou dobiegło końca. Ja je zakończyłam. Vaintè odeszła. Trzymamy się naszego miasta, lecz one nie trzymają się swojego.

Znasz te istoty, Akotolp. Poznałaś je, gdy po raz pierwszy przybyłaś do Alpèasku, nim uciekałaś po jego zniszczeniu, nim tu wróciłaś. Czemu są tutaj?

- Mogę jedynie zgadywać.  
- To zgaduj. Bez wiadomości tylko to nam pozostaje.  
- Myślę, że... przyszły po hèsotsany. Mają do zabijania swoje kamienne-zęby, lecz lubią też robić to hèsotsanami. Przyszły je nam ukraść.

- Również tak sądzę. Musimy dowiedzieć się czegoś więcej. Trzy łowczynie zniknęły na północy, trzy Yilanè zostały zabite w moim mieście. Miałaś ich szukać, Akotolp. Co znalazłaś?

- Nic. W pobliżu miasta nie ma żadnych śladów ustuzou — aż do leżącego daleko na pomocy okrągłego jeziora. Ptaki latają i przynoszą obrazy.

- No to wyślij je dalej. Te paskudne stworzenia są tam, chcę wiedzieć gdzie. Znajdź je. Czy mam wysłać łowczynie na poszukiwania?

- Byłoby to nierozsądne, ponieważ ustuzou są sprytniejsze od wszystkich innych zwierząt. Łapały w zasadzki i zabijały nasze łowczynie. Gdy kryły się przed ptakami, robiłyśmy coś jeszcze. W nocy mogą latać sowy, używałyśmy już tych widzących w mroku stworzeń.

- Teraz zrób to samo. Muszą być odnalezione.

- Czy znalazłyście te, których szukamy? - spytała Fafnepto po wejściu na grzbiet uruketo. Kapała z niej morska woda, gdy uważnie wycierała nozdrza hesotsanu, upewniając się, że może swobodnie oddychać.

- Nie ma ich na wybrzeżu tej wyspy - odparła Vaintè. - Choć mogły tu przybyć, dobrze, że ich tu szukałyśmy. To bogate, żyzne miejsce.

- Dobrze też się tu poluje. Znalazłam te małe, rogate ustuzou, o których mi mówiłaś, zabiłam kilka. Ich mięso jest bardzo słodkie. - Skinęła na Gunugul słuchającą ich z wierzchołka płetwy. - Na brzegu jest dla was świeże mięso. Czy można je tu przynieść?

- Podziękowanie-radość z jedzenia. Załatwię to.

Załogantki popłynęły na brzeg, holując puste pęcherze do podtrzymywania ułożonych ciał martwych zwierząt. Fafnepto przeszła samą siebie i poczyniła spustoszenie wśród miejscowej zwierzyny. Czekać na dostarczenie mięsa, Gunugul rozłożyła mapy i wskazała kciukiem na ich położenie.

- Na północ od nas leży kontynent Gendasi\*. To jest miasto Alpèasak. Wydaje się, że leży ono w pobliżu końca tego wielkiego półwyspu. Czy to prawda?

Vaintè skinęła potwierdzająco dłonią.

- Istotnie, jest tak, jak powiedziałaś. Pływałam na pomoc wschodnim wybrzeżem, lądowałyśmy tam i zabijałyśmy ustuzou. Dalej jednak staje się zimno, zawsze trwa tam zima.

- Czy mamy tam popłynąć?

- W pierwszym odruchu byłam przeciwna. Zgodnie z radą Fafnepto próbowałam myśleć jak te,

których szukamy. Płynąc na pomoc musiałyby wpierw minąć Alpèasak ryzykując wykryciem, a potem im dalej by się znalazły, tym byłoby zimniej. Nie sądzę, by były na wschodzie. Na zachodzie jest ciepły ocean i ciepły ląd, lecz nie ma ich na twoich mapach. Pływałam tam na uruketo i wędrowałam lądem. Dalej jest wielka rzeka, którą pokonałyśmy, a wzdłuż wybrzeża leżą zatoczki, za którymi ciągną się lasy bogate w zwierzynę. Na pewno popłynęły tam.

- To i my tam popłyniemy - powiedziała Gunugul. - Z radością uzupełnię te mapy.

W ten sposób znalazły się przy brzegach Gendasi\*, płynąc między złotymi wysepkami, aż dotarły do piaszczystych plaż. Alpèasak zniknął im z oczu na wschodzie i ruszyły na zachód wzdłuż brzegu. Letni sztorm zalewał drzewa deszczem, zasłaniając je i ukazując. Enteesenaty skakały wysoko, rade z różnorodności ryb, które mogły łapać w ciepłych płytkich wodach. Gunugul uzupełniała mapę, członkinie załogi zajadały się dostarczonym przez Fafnepto świeżym mięsem. Ożywiona Vaintè z nieskończoną cierpliwością przyglądała się brzegowi, wyczekując żarliwie śmierci tych wszystkich, którzy wystąpili przeciwko niej.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Arnwheet siedział w cieniu, dmąc wytrwale w gwizdek. Zrobili go dla niego Paramutanie, miał na końcu ruchomy pręt, jak jedna z ich pomp. Zamiast jednak czerpać wodę, gwizdek wydawał jedynie ostry, falujący dźwięk, rozpluwający się w popołudniowym upale. Była połowa lata, dni stawały się coraz dłuższe i cieplejsze. Mało co można było robić w skwarne popołudnie, mało też było do robienia. Mieli mięso, owoce i wszystkie zielone rośliny rosnące w ziemi, także ryby i dzikie ptactwo. Minęły trzy pełne księżyce, odkąd Kerrick i Herilak wrócili z miasta z nowymi śmiercio-kijami. Szli szybko i nikt ich nie ścigał. Potem, o ile wiedzieli, murgu nie wychodziły z miasta. Starannie strzeżono szlaku prowadzącego na południe, lecz nikt nim nie przybywał. Wypadki się skończyły. Zachorowały wprawdzie i zdechły dwa starsze śmiercio-kije, lecz wszystkie nowe były zdrowe. Sam-mady były najedzone i żyły w spokoju, jakiego nie zaznały, odkąd zaczęły się długie zimy.

Ostry, falujący dźwięk wisiał w gorącym powietrzu. Kerrick podziwiał pilność chłopca. Boki namiotu były podciągnięte, wpuszczały do środka niewielki wietrzyk. Dziecko spało, a Armunczeszała się grzebieniem wyciętym z rogu. Kerrick przyglądał się jej z wielką przyjemnością. Gwizdek umilkł nagle, potem znów odezwał się jeszcze przeraźliwiej. Kerrick przekręcił się i zobaczył, że obok Arnwheeta usiedli dwaj łowcy, przyglądając się gwizdkowi. Jeden z nich, Hanath, próbował na nim grać, jego policzki poczerwieniały z wysiłku. Podał gwizdek Morgilowi, który dał w niego tak długo, aż wydobył odgłos umierającego mastodonta. Arnwheet śmiał się z ich wysiłków. Kerrick wstał, przeciągnął się i ziewnął, potem podszedł do nich, mrużąc oczy w jaskrawym słońcu. Dyszący Morgil oddał gwizdek chłopcu.

- Nic nie macie do roboty, skoro przyszliście ukraść zabawkę Arnwheetowi? - spytał Kerrick.  
- Hanath... powiedział mi o niej - wysapał Morgil. - Strasznie hałasuje. Zrobił to Paramutanin, o którym opowiadałeś?

- Tak. Są bardzo dobrzy w wycinaniu kości i drzewa. Robią też podobne, lecz większe rzeczy, którymi wylewają wodę ze swych łodzi.

- I żyją na łądzie, łapiąc ryby w mrozie i śniegach? - spytał Hanath z wielką ciekawością. - Musisz nam więcej o nich opowiedzieć.

- Słyszałeś opowieści, wiesz o nich tyle samo co i ja. Dlaczego jednak interesujecie się Paramutanami? Przecież warzenie porro nie pozwala wam nawet na łowy?

- Wielu innych poluje. Wymieniamy z nimi mięso na porro.

- Na razie też mamy go dosyć - powiedział Morgil. - Dobre jest dobre, lecz okropne, gdy złe. Mandukto chyba robili słusznie, pijąc je tylko wtedy, gdy zdarzyło się coś ważnego. Mówiłeś, że Paramutanie wyprawiają się na południe na wymianę. Czy przybywają tak daleko jak tu?

- Nie, nienawidzą gorąca, umarliby tutaj. Pod koniec lata ci, którzy chcą handlować, przepływają do brzegu na pomocy, w miejscu, gdzie wielka rzeka spotyka się z oceanem. Udają się tylko tam.

- Czym się wymieniają?

- Przywożą wyprawione skóry, czasami futra, tłuszcz jadalny. W zamian chcą krzemienych noży, grotów włóczni, nawet strzał. Sami robią kościane haczyki na ryby i rodzaj grotów na włócznię, lecz potrzebują noży.

- Wydaje mi się, że potrzebuję kilka futer - powiedział Hanath, ocierając pot z czoła.

- Ja też - dodał Morgil. - Uważamy, że nadeszła pora wymiany.

Kerrick przyjrzał się im ze zdziwieniem.

- Wydaje mi się, że futra to ostatnia potrzebna wam rzecz. - Gwizdek zabrzmiał piskliwie, gdy

Arnwheet zadał w niego, przypominając o sobie. Kerrick zastanowił się nad słowami łowców i uśmiechnął się. - Może potrzebujecie nie tyle futer, co długiej wyprawy, polowania, zimnej wody i mrozu. Morgil klasnął w ręce i uniósł wzrok w niebo.

- Sammadar dostrzega nasze skryte myśli. Powinien być alladjexem, a nie młody i głupi Fraken.

- Nie trzeba być alladjexem, by widzieć, że od dawna nie byliście na szlaku i chcecie ponownie poczuć w nozdrzach zapach pomocnych kniei.

- Tak! - powiedzieli razem, a potem Hanath poprosił w imieniu ich obu. - Opowiedz nam o miejscu, w którym czekają Paramutanie. Zrobimy wiele noży...

- Inni je zrobią, my wymienimy je na porro - powiedział Morgil. - Ale czy ci Paramutanie przybędą na wymianę? Powiedziałaś nam, że przepłynęli ocean i teraz polują i łowią ryby na jego drugim brzegu.

- Przybędą, tak mi mówili. Przepłynięcie oceanu to dla nich drobnostka. Potrzebne im rzeczy mogą dostać jedynie poprzez wymianę z Tanu. Przybędą.

- A my ich spotkamy. Możesz nam powiedzieć, gdzie znajdziemy zarostolicych?

- Musicie spytać Armun. Zna to miejsce, ponieważ tam właśnie po raz pierwszy spotkała Paramutanina.

Wyszła z namiotu, gdy ją zawołał, usiadła przy Arnwheecie o odgarnęła mu z twarzy potargane włosy. Gwizdał wesoło, ciesząc się z liczniejszej widowni.

- Bardzo łatwo tam trafić - powiedziała, gdy wyjaśnili jej, czego chcą. - Musicie znać szlak wiodący z gór do morza.

Słuchający Kerrick poczuł nagłe podniecenie, niemal czuł mroźny wiatr dobiegający z oceanu, chłodne uderzenia zawiewanego śniegu. Zapomniał, co to takiego zimno. Nie chciał oczywiście znowu marznąć, lecz jedzenie śniegu, chodzenie ciemnymi borami sosnowymi, tak, to warte zachodu. Natarczywie wypytywana Armun opowiadała o Paramutanach, ich życiu na lodzie, robionych przez nich rzeczach, ulubionym przysmaku, zgniłej rybie. Obaj łowcy słuchali pilnie jej słów, zaciekawieni dziwnymi zwyczajami. Gdy skończyła, Hanath z takim zapalem walnął Morgila po plecach, aż ten się przewrócił.

- Zrobimy to - zawołał. - Pójdziemy, już najwyższa pora. Pójdziemy na północ na wymianę z futrzastymi.

- Może pójde z wami - powiedział Kerrick. - Pokażę wam drogę.

Oczy Armun rozszerzyły się z lęku. Nim coś powiedziała w gniewie, wziął w dłoń jej rękę.

- Oboje pójdziemy, czemu nie, weźmiemy z sobą mastodonta, by niósł rzeczy na wymianę.

- Opóźniałby nas - powiedziała. - Ponadto nie pójdziemy, nie chcę nawet o tym myśleć. Mamy dzieci...

- Będą tu bezpieczne. Ysel je już przeżute mięso. Arnwheet ma swoich przyjaciół, wokół są sammady i wielu łowców.

- Ja też chcę iść! - zawołał Arnwheet, uciszony przez Armun.

- To są chęci łowców. Ty jeszcze nim nie jesteś. Może kiedyś pójdziesz, nie teraz.

Zabrała chłopca ze sobą do namiotu, zostawiając trzech łowców pochylonych ku sobie, robiących plany. Była zatroskana, lecz nie zmartwiona. Co ma zrobić, skoro Kerrick chce z nimi iść? Musi coś postanowić, nim wróci. Bardzo chce pójść, to jasne. Może życie na tej wyspie toczy się za łatwo. Na pewno jest za gorąco. Roześmiała się głośno. Sama też bardzo tego chce. Gdy wrócił Kerrick, już była zdecydowana.

- Myślę, że ci dwaj mają dobry pomysł - powiedział, okręcając palce na nożu z gwieźdznego metalu. - Oczywiście, futra nie są nam tu potrzebne, przynajmniej w lecie, ale Paramutanie mają

wiele innych rzeczy.

- Na przykład gwizdki?
- Nie tylko - powiedział ze złością, potem dostrzegł jej uśmiech.
- Chcesz tej wyprawy, prawda?
- Oczywiście.

- Ja też. Jest tu zbyt spokojnie, zbyt gorąco. Malagen, ta kobieta Sasku, lubi doglądać Ysel, chętnie się nią zajmie, gdy wyruszę. Arnwheet ma swoich przyjaciół i nawet nie poczuje, że nas nie ma. Myślę, że udanie się na trochę na północ dobrze nam zrobi. Będą tam zimne deszcze, może śniegi, a po powrocie będziemy już mieli za sobą największe upały.

Na polanie przed namiotem przemknął cień. Kerrick wyszedł i spojrzał w palącą, błękitną misę nieba, ocieniając oczy dłonią. To wielki ptak, może orzeł, krążył powoli, jego czarna sylwetka przesuwała się po niebie. Był zbyt wysoko, by cokolwiek dojrzeć. Odleciał i Kerrick wrócił do cienia. Czy to ptak Yilanè, wysłany, by ich szukał? Nieważne, Lanefenuu nigdy nie zapomni zabitych uruketo. Walka się skończyła.

Dzień po dniu uruketo płynęło powoli na zachód wzdłuż brzegu. Gdy fale rozbijały się na piaskach, co najmniej trzy Yilanè stały bez przerwy na płetwie, obserwując mijane wybrzeże. Jedynie przy większych wyspach i zatokach zmniejszano prędkość, starannie przeszukując te odcinki. Jeszcze bardziej zwolniono po dopłynięciu do dużej zatoki z wysepkami, jak się okazało, ujścia rzeki, które trzeba było dokładnie przetrząsnąć. Fafnepto stała na płetwie, mrugając od słońca, przyglądając się chłodnym cieniom pod pobliskimi drzewami. Gdy mijały skalisty przylądek, wskazała go Vaintè.

- Dziwność kształtu skały, pamiętana - nie zapomniana. Wsiądę tu na brzeg i zdobędę świeże mięso.

- Wszystkie to docenią. Po zakończeniu poszukiwań wrócimy tu na spotkanie. Dobrych łowów.

- Dla mnie łowy są zawsze dobre - zeszła po płetwie i wślizgnęła się do wody.

Przeszukanie zatoki zajęło im niemal cały dzień. Potem ruszyły w górę rzeki wijącej się wielkimi, szerokimi zakolami. Po raz pierwszy Vaintè zaczęła się niepokoić, iż ich poszukiwania mogą zakończyć się fiaskiem. Wiedziała, że Gendasi\* jest ogromne, ale nigdy tak naprawdę nie doceniała wielkości nowego kontynentu. Dotąd zawsze ścigała ustuzou, szła tam, gdzie ją prowadziły. Teraz zaczęła sobie uświadamiać, że można nie znaleźć czegoś nawet tak potężnego jak uruketo, jeśli się nie wie, gdzie

tego szukać. Rzeka była ciągle szeroka i głęboka, wiła się leniwie. Inne uruketo mogło łatwo tędy płynąć. Czy mają szukać dalej? Z wielką ulgą odkryła, że piaszczyste łachy zatarasowały wkrótce nurt, zmuszając do zawrócenia. Nie trzeba dalej przeszukiwać rzeki. Ścigane przez nie muszą przebywać gdzieś dalej na brzegu oceanu.

Późnym popołudniem wróciły do skalistego przylądka. Nie dostrzegły tam Fafnepto.

- Czy to tu wylądowała? - spytała Gunugul. Vaintè wyraziła pewność co do miejsca. - Zatem nadal poluje. Wszystkie czujemy radość-zadowolenie ze świeżego mięsa. Wyślę na brzeg pęcherze, byśmy mogły odpłynąć, gdy tylko wróci.

Vaintè patrzyła, jak załogantki wnosiły pęcherze i skakały z nimi do rzeki. Woda wyglądała na zimną, zalesiony brzeg kusząco. Zbyt już długo przebywa w zatechłym wnętrzu uruketo. Po chwili ześlizgnęła się z grzbietu uruketo i popłynęła szybko na plażę.

- Podniecenie odkryciem - zawołała jedna z załogantek, wskazując na leżące w wysokiej trawie ciała pięciu dużych saren.

Vaintè podziwiała je, potem ujrzała wynurzającą się spomiędzy drzew Fafnepto. Okazała ona pilność rozmowy, gdy tylko Vaintè zaczęła podziwiać łupy.

- Chcę ci coś pokazać. Tędy.
- Czy wiąże się to z tymi, których szukamy?
- Nie. Ale to chyba ustuzou, o których mówiłaś. Są za tymi drzewami.
- Mogą być niebezpieczne!
- Już nie. Wszystkie są martwe.

Na drugim brzegu małej łączki nad potokiem stał skórzany namiot. Przed nim leżały na ziemi dwa duże ustuzou, trzecie mniejsze padło obok.

- Zabiłam je, nim mnie spostrzegły - powiedziała Fafnepto. - Mówiłaś, że mogą być niebezpieczne.
- Przeszukałaś tę budowlę?
- Tak. Nikogo tam nie ma. Wiele skór - i hèsotsan.

Jedno z ustuzou leżało twarzą do góry. Vaintè przewróciła z nadzieją drugie, lecz to nie był Kerrick. - Dobrze zrobiłaś, że je zabiłaś - powiedziała.

- Czy o tym kamiennym-zębie mówiłaś? - spytała Fafnepto, wskazując na włócznie w ręce martwego łowcy.

- To jeden ich rodzaj. Drugi wysyłają przez powietrze, prawie tak jak hèsotsan strzałki. Nie jest zatruty, lecz znacznie cięższy. To bardzo niebezpieczne zwierzęta.

- A więc na pewno nie ma w pobliżu szukanego przez ciebie uruketo.
- Mądra obserwacja. Będziemy szukać dalej.

Vaintè wracała na brzeg w głębokim milczeniu, jej ciało falowało od myśli. Wiedziała, że musi dalej szukać uruketo i Cór Życia wraz ze zdraziecką uczoną. Obiecała to Saagakel. A Fafnepto jest tutaj, by pomagać w poszukiwaniach. Ale nie będą szukać wiecznie. Rozmyślając nad tym, zrozumiała, że mało ją obchodzi, czy Enge ze swymi towarzyszami żyje czy nie. Nie teraz, po zobaczeniu tych ciał na polanie. Widok martwych ustuzou usunął z jej myśli całe poszukiwanie. Teraz nie jest ważne. Naprawdę chodzi jej o znalezienie Kerricka.

Znalezienie i zabicie go.

- Pilna-doniosłość wiadomości dla Eistai - powiedziała fargi, drżąc z wysiłku zapamiętania tego, co miała przekazać, zrobienia tego jasno i zrozumiale.

Odchylona na swym miejscu Lanefenuu pochłaniała chciwie wielki kawał galaretowatego mięsa. Wokół siedziały półkolem doradczynie, wyrażając ruchami podziw dla jej wspaniałego apetytu. Eistaa odrzuciła kość i w skróconej formie kazała fargi mówić dalej. Stworzenie gapiło się, nic nie rozumiejąc.

Muruspe zwróciła się do fargi.

- Dostałaś rozkaz mówienia. Dokończ, co kazano ci powiedzieć. - Fargi zrozumiała nagle proste rozkazy, zaczęła szybko mówić, dopóki wszystko pamiętała.

- Ukhereb donosi o ważnym odkryciu. Prosi o przybycie Eistai.

Lanefenuu odesłała fargi, ciężko wstała, zażądała gestem wodo-owocu i oczyściła nim ręce.

- Prośba o me przybycie oznacza ważną sprawę - powiedziała. - Idziemy.

Po wyjściu z ambesed dwie doradczynie pognały przodem, oczyszczając drogę, reszta szła w tyle. Muruspe, efenselè i pierwsza doradczyni eistai, szła u jej boku.

- Czy wiesz, o co może chodzić? - zapytała ją Lanefenuu.

- Nie wiem więcej niż ty, Eistao. Mam jednak nadzieję, że Yilanè nauki odkryły jakieś ślady zabijających ustuzou.



- Ja też. Z mniej ważną sprawą Ukhreb sama by przyszła do ambesed.

Oczekująca Akotolp przywitała je w poszerzonym otworze w ścianie, wyrażając zadowolenie i zapowiedź radości.

- Przepraszam od Ukhreb za prośbę-o-przyjście. To co chcemy pokazać, trudno jest przynieść wygodnie-szybko.

- Pokażcie mi natychmiast - oczekiwanie jest nie do zniesienia.

Akotolp prowadziła przez pograżone w półmroku przejście, potem następnym otworem do ciemnej komory. Dopiero po zamknięciu wejścia mogły się rozejrzeć w słabej czerwonej poświacie wydzielanej przez klatkę owadów. Ukhreb trzymała mokry arkusz jakiejś białej substancji pokrytej ciemnymi znaczkami.

- Ten obraz zniknąłby po wystawieniu teraz na światło dzienne. Chciałam natychmiast pokazać go Eistai.

- Wyjaśnienie-ważności, znaczenie-niejasne - Lanefenuu nachyliła się, śledząc wskazujący kciuk Ukhreb.

- Obraz uzyskany z wysoka. To drzewa wokół polany. Tu i tu są budowle wzniesione przez zabijających ustuzou ze skór zwierząt. To grupa trzech ustuzou, tam są dalsze. Oraz tu i tu.

- Widzę teraz! Są takie brzydkie. Czy należą do tego samego rodzaju, co zabity w mieście?

- Tego samego. Popatrz na jasne futro na ich głowach, skóry, którymi się niżej wiążą.

- Gdzie są teraz?

- Na północ od miasta. Niezbyt blisko, na wyspie przy brzegu. Wkrótce będę miała dla ciebie inne obrazy, w tej chwili są wywoływane. Na jednym z nich jest chyba hèsotsan.

- Jeden z naszych hesotsanów - powiedziała gniewnie Lanefenuu. - Musimy zrobić z tym koniec. Dwa razy tu przyszli, zabijając Yilanè i zabierając hèsotsany. Trzeciego razu nie będzie.

## ROZDZIAŁ XXIX

Dobrze było znów wędrować, choć powietrze między drzewami było parne, a obok mokradeł roiło się od kęsających owadów. Życie na wyspie było przyjemne, ale zaczęło zbyt przypominać pobyt w dolinie Sasku. Sammady siedziały na miejscu i wyglądało na to, że zostaną dłużej. W przeszłości były polowania zimowe i letnie, na jesieni jagody i grzyby, wiosną świeże kielki i korzonki. Wszystko to się zmieniło. Zwierzyny nigdy nie brakowało, owoce dojrzewały przez okrągły rok, żywności mieli aż w nadmiarze. Zmiany pór roku tkwiły jednak w krwi Tanu i czuli niepokój, gdy zbyt długo pozostawali na jednym miejscu. Teraz wędrowali w czwórkę na pomoc. Hanath i Morgil szli przodem, czasem zostawali w tyle, tropiąc zwierzynę, potem przyłączali się biegiem. Dla Kerricka i Armur wędrowka była wielką radością. Byli razem i to im wystarczało. Nie żalowali pozostawionych dzieci, bo w sammadzie były znacznie bezpieczniejsze niż na szlaku.

Kerrick żałował jedynie, że zbyt krótko pożegnał się z Nadaske. Odkładał to stale z dnia na dzień, miał zawsze tyle do zrobienia. Wreszcie nadeszła pora odejścia. Mógłby wyruszyć bez pożegnania, na pewno ucieszyłoby to Armun, ale stwierdził, że nie może tak postąpić. Nie znalazł Arnwheeta, pobiegł gdzieś z innymi chłopcami. Wszystko było już gotowe, na pakunkach z kamiennymi nożami piętrzyło się wędzone mięso i ekkotaz, Armun zabrała nawet trochę ubrań z charadisu. Mogli wyruszać. Wtedy Kerrick po prostu odwrócił się i poszedł na brzeg, nie zwracając uwagi na wykrzykiwane pytania. Zrobił to, co musiał.

- Odchodzisz stąd? - zapytał Nadaske, wyrażając natychmiastową-śmierć. - Żegnam na zawsze. Ostry kamienny-ząb przeszyje Nadaske, gdy tylko znikniesz z oczu.

- Wrócę, już wkrótce. Idziemy na północ na wymianę, to wszystko.

- To wszystko? Rzeczywiście. Nasze efenburu ciągle maleje. Imehei odszedł. Rozglądam się wokół i nie widzę młodego mokrego-miękkiego. Już nie przyjdzie, gdy ty odejdziesz. Jest tu tylko samotność.

- Żyjesz tu, nikt nie zabiera cię na plażę.

Nadaske nie rozgniewał się na te słowa, odwrócił się tylko i popatrzył na pusty ocean, wskazał na leżący wzdłuż niego dziewiczy piasek. - To plaża samotności. Może powinienem był pójść z resztą hanalè na plażę śmierci.

Kerrick nie mógł nic powiedzieć, zbyt wielka była rozpacz jego przyjaciela. Siedzieli chwilę w milczeniu, potem Kerrick wstał, by odejść. Nadaske patrzył za nim jednym okiem, lecz nie odpowiadał na pytania. W końcu Kerrick poszedł, zostawiając na plaży samotną, wpatrującą się w puste morze postać.

Ale to już minęło, zostało zapomniane wśród przyjemności wędrowania. Szli już kilka dni, więcej niż połowę liczby łowców, gdy Hanath znalazł na szlaku ślady innych.

- Patrzcie - tu i tu, przygięli gałązki na znak dla idących za nimi. To może być ścieżka.

- Też, ale szli tędy i Tanu. - Morgil pochylił się, wachając ziemię. - Musieli iść tędy po wodę.

Szlak mijał wielką zatokę, potem przechodził rzekę. Zamiast trzymać się go, ruszyli wzdłuż nurtu, aż Morgil poczuł coś w powietrzu.

- Dym! - zawołał. - Są tu Tanu.

Już o zmierzchu doszli do innych sammadów, tych samych, od których odłączył się Herilak, skręcając na południe. Na ich krzyki przybiegli łowcy, prowadzeni przez sammadara Har-Hawolę.

- Szukaliśmy was, ale nie znaleźliśmy - powiedział.

- Nie poszliście dostatecznie daleko na południe - odparł Kerrick.

- Doszliśmy dotąd. W zimie nie ma tu śniegu, dużo jest zwierzyny i ryb.

- A wasze śmiercio-kije - czy żyją?

- Oczywiście. Jeden zdechł, inne są takie jak zawsze.

- Mamy wam wiele do przekazania. Nasze śmiercio-kije zdechły, lecz mamy już inne.

Har-Havola zmartwił się. - Musicie nam o tym opowiedzieć. Chodźcie, najemy się, zrobimy ucztę.

Mamy tu wiele smacznych rzeczy, musicie spróbować wszystkich.

Pozostali z sammadami jeden i drugi dzień, potem stwierdzili, że muszą iść dalej.

- Szlak jest długi - powiedział Kerrick. - Musimy dojść na pomoc i wrócić.

- Przy następnym polowaniu pójdziemy na południe - stwierdził Har-Havola. - Znajdziemy wasze

sammady na wyspie, o której mówiliś, powiemy im, że was spotkaliśmy. Będziemy jednak trzymać śmiercio-kije z dala od waszych, tak jak nas ostrzegłeś. Oby wasza wyprawa potrwała krótko, obyście wrócili bezpiecznie.

Szli dalej w upale lata, z każdym jednak dniem nadciągała jesień i ciągle zbliżali się ku północy. Przed świtem bywało chłodno, na skórach do spania leżała gruba rosa. Gdy głębokie koleiny szlaku zaczęły skręcać ku brzegowi, ujrzeli przed sobą ocean, jego szare wody pod szarym niebem. Poczuli słoną mgiełkę porywaną przez wiatr z załamujących się fal i Armun wybuchnęła śmiechem.

- Jest tu zimno i mokro - ale się cieszę.

Hanath krzychał radośnie i rzucił włócznię wysokim łukiem, wbiła się w plażę daleko od nich. Cisnął pakunki i pobiegł po nią. Morgil za nim. Wrócili zdyszani i szczęśliwi.

- Rad jestem, że poszliśmy - powiedział Kerrick. - Warto było tu przyjść, choćbyśmy nawet nie spotkali Paramutan.

- Będą tam. Czyż Kalaleq nie powiedział, że wrócą, że żaden ocean nie jest dla nich zbyt szeroki?

- Tak, lecz powiedział także, że przy braku łodzi przepłynie ocean. To wielkie samochwały.

- Mam nadzieję, że przybędą.

Szli na północ plażą, wieczorem rozniecili ognisko w zagłębieniu piaszczystych wydm. Po zmroku zaczęło padać, znad morza

przypęzła bardziej jeszcze mokra i zimna mgła. Do jesieni mieli już blisko.

Rankiem Kerrick rozpalil ogień i dołożył do niego resztki drew. Przesycone solą, wyrzucone przez fale gałęzie skwierczały w żółtych i niebieskich płomieniach. Armun rozłożyła skóry, by mogły wyschnąć. Dwaj łowcy nadal leżeli zawinięci w swoje, nie chcieli jeszcze wstawać. Kerrick szturchnął ich końcem włóczni, słysząc w odpowiedzi tylko jęki.

- Wstawać! - zawołał. - Potrzebujemy więcej drzewa na ognisko. Wyłaźcie, wielkie leniuchy!

- Lepiej nazbieraj go sam - powiedziała Armun.

Kiwnął głową i wciągnął na nogi mokre madrapy, potem wszedł na szczyt wydmy. Deszcz ustał, a mgła opadła, jaskrawe promienie słońca barwiły morze. Na granicy największego przypiływu zobaczył świeże wodorosty, muszle i błyszczące kamyki. Drewno będzie tam za mokre, dalej jednak leżało całe uschnięte drzewo. Może odłamać od niego kilka gałęzi. Kerrick wciągnął morskie powietrze i spojrzał poza przybój. Coś ciemnego uniosło się na fali i zniknęło. Opadł na piasek. Czy to uruketo? Co robią Yilanè tak daleko na północy? Osłonił oczy i starał się dojrzeć coś wśród spienionych fal.

Było tam coś - ale nie uruketo.

- Żagiel! - krzyknął. - Żagiel - są tam Paramutanie. Armun przybiegła do niego, za nią wgramolili się obaj łowcy.

- To żagiel - powiedziała - ale płyną na południe. Co tam robią?

- Wodorosty - zawołał Kerrick. - Hanath, przynieś je, i drewno, nawet mokre. Rozpalcie ognisko, by dojrzeli dym!

Kerrick wzniecał ognisko, aż buchnęło jasno na powitanie objuczonych łowców. Nałożył na nie grubą warstwę wodorostów, tak jednak, by dymiły, nie tłumiąc ognia. W niebo wzbiły się białe obłoki.

- Dalej płyną na południe - zawołała Armun. - Nie widzą nas.

- Przynieście więcej!

Ogień szalał, słup dymu pęczniał i rósł, aż wreszcie Hanath zawołał z plaży: - Zatrzymali się, zawracają, zobaczyli nas.

Patrzyli ze szczytu wydmy, jak ikkergak buja się na wodzie z łopoczącym żaglem, potem skręca i nabiera wiatru w wielką płachtę. Pędził do brzegu, wznosząc się na falach, potem wpadł na piasek w chmurze piany. Ciemne postacie machały im i krzyczały, jedna wychyliła się przed dziób, wpadła do morza i ruszyła na brzeg. Obaj łowcy zostali na miejscu, lecz Kerrick i Armun pobiegli przez piasek w stronę statku.

Fala opadła z Paramutanina, stał na brzegu, ociekając wodą i krzycząc radośnie.

- Nie do wiary, włosy słońca, przyjaciele lat.

- Kalaleq! - zawołał Kerrick, gdy Paramutanin wyszedł ze śmiechem z morza. Chwycił i potrząsnął ręką Kerricka, potem odwrócił się do Armun i krzycząc radośnie, obejmował ją ramionami, aż musiała go odepchnąć, gdy sięgnął silnymi palcami do jej pośladków.

- Dokąd płyniecie? - zapytała.

- Na południe, ale jest za gorąco, jak widzicie mam na sobie tylko własne futro. - Gdy spojrzała na niego, opuścił ogon odstający co nieco, lecz podniósł go uderzony przez nią w ramię. Paramutanina nic nie zmieni.

- Dlaczego południe? - spytał niezdarnie Kerrick, starając się przypomnieć sobie ten trudny język.

- Szukamy łowców. Czekaliśmy na plaży na północy, ale nie przyszli. Mamy skóry i wiele dobrych rzeczy. Potem postanowiliśmy poszukać bardziej na południe, znaleźć łowców. Nie domyślaliśmy się, że czekają tu na nas przyjaciele.

Hanath i Morgil podeszli bliżej, mrużąc na powitanie coś niezrozumiałego. Przyłączyli się też inni Paramutanie, krzycząc z radości i przynosząc w podarunku surową, zgniłą rybę. Morgil wybałuszył oczy i niemal zapłakał, gdy zmusił się do jej przełknięcia. Potem wszyscy poszli do ogniska na świeże mięso. Odcinane przez Kerricka surowe kęsy z tułowia wczorajszej zdobyczy przyjmowane były z ogromnym zadowoleniem. Kalaleq zajadał chciwie, brudząc się krwią i opowiadając Armun o wszystkim, co zaszło po ich rozstaniu.

- Zabijanie jest dobre, ularuaqi wypełniają morze tak bardzo, że można przejść przez nie po ich grzbietach. Wszystkie kobiety mają dzieci, czasem trzy lub cztery naraz. Nauczyliśmy się łapać i zabijać wielkie ptaki. A co u was? Musisz mi opowiedzieć, bym mógł powtórzyć Angajorqaq, bo mnie pobije, jeśli o czymś zapomnę.

- Jesteśmy wszyscy razem, żyjemy spokojnie. Mamy dzieci, ale nie tyle co Paramutanie, bo śpimy inaczej niż oni. Wszystko jest dobrze.

Po zjedzeniu mięsa Paramutanie pobiegli do ikkergaka, zostawionego na piasku przez odpływ, i wrócili z pakunkami skór. Hanath z Morgilem przynieśli noże i groty włóczni. Wśród wielu krzyków i zamieszania zaczęła się wymiana. Armun miała wiele roboty z tłumaczeniem. Kerrick siedział na wydmy z dala od całej wrzawy, wkrótce dołączył do niego Kalaleq. Wróciła pamięć i Kerrick mówił już znacznie swobodniej.

- Przepelnił nas lęk, gdy zobaczyliśmy, że wszyscy łowcy zniknęli - powiedział Kalaleq.

- Uciekli przed północą i śniegiem. Mamy obóz daleko stąd, na południu. Poluje się tam łatwo i zawsze jest ciepło.

- Umarłbym! Nawet tutaj żar aż pali. - Kerrick uśmiechnął się na to i szczerzej otulił w skóry, chroniąc przed zimnym wiatrem od morza. - Złapaliśmy mnóstwo ryb, znaleźliśmy niektóre rośliny niezbędne na takkuuk, liście i wnętrza kory pewnych drzew, z których warzymy wodę do picia. Potrzebujemy jednak bardzo noży i płakaliśmy ze strachu, że wrócimy bez nich. Teraz płaczymy z radości, że trafiliśmy na ciebie - i na groty włóczni.

Armun przyszła do nich, wręczyła Kalaleqowi zwinięty kawałek ubrania utkanego z charadisu. Kalaleq rozwinął go i wznosił do nieba.

- Niewiarygodne! Miękkie jak futro na pupie niemowlęcia. I dobrze pachnie.

- To dla Angajorqaq - powiedziała Armun. - Można to nosić wokół głowy, pokażę ci jak. Jest utkane z włókien pewnej rośliny.

Robią je Sasku. To łowcy mieszkający w głębi lądu, daleko od morza. .

- Och, co też potrafią, choć muszą codziennie płakać z tęsknoty za oceanem. Tyle tu cudów, charadis, wasze włócznie, łuki, groty, noże, ekkotaz - muszę go jeszcze spróbować!

- Wy też macie wiele cudów - powiedziała, śmiejąc się i odpychając jego dłonie. Jedzenie i seks, to obyczaje Paramutan. - Ikkergak, którym płyniecie, harpuny do zabijania, łódki z żaglami, pompy i gwizdki.

- Masz rację - jesteśmy tacy dobrzy! Robimy tyle rzeczy, że aż kręci mi się w głowie od myślenia o nich.

Kerrick uśmiechnął się, słysząc przechwałki i opisy wszystkich rzeczy, jakie robili Tanu, Paramutanie, a nawet Sasku. Są takie inne, a mimo to jednakowe. Wszyscy robią rzeczy. Tym różnią się do Yilanè, które nie wykonują niczego. Twórcze były jedynie samce Yilanè. To artyści, robią rzeźby z metalu, ci dwaj, którzy uciekli z hanalè, nauczyli się nawet łowić ryby i polować. Samice jednak nie tworzyły niczego. Hodowały wszystko, co potrzebowały. Były w tym dobre, zwłaszcza uczone, nie potrafiłyby jednak zrobić czegoś nawet tak prostego jak włócznia.

Kerrick pograżył się w myślach. Zrozumiał, że świat nie jest taki, jak to sobie zawsze wyobrażał. Urodził się jako Tanu, lecz wyrósł wśród Yilanè i nadal zbyt wiele myślał jak one.

Ale już nigdy więcej! Bardzo wyraźnie widział teraz przyszłość. Wiedział, co musi zrobić.

*eistaapeleghè eistaaii,  
yilanè, ninkuru yilanè gebgeleb*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Yilanè z dwiema eistaami?  
Ohydne-niemożliwe-niepojęte.

## ROZDZIAŁ XXX

Była to największa rzeka, jaką widziała dotąd Fafnepto, większa nawet od wszystkich w Entoban\*. Niesiona przez nią ziemia docierała daleko w morze, tworzyła mielizny i wysepki zatykające ujście. Wiele dni zajęło im samo odszukanie większych odnóg wśród wysp, którymi wreszcie dotarli do głównego nurtu toczącego się między wysokimi cyplami. Cały dzień płynęło uruketo w górę rzeki, która wcale się nie zwężała. Nocą dryfowały na płyciźnie, a rankiem ruszyły dalej. Fafnepto zobaczyła, że Gunugul i Vaintè stoją już na płetwie i dołączyła do nich. Musiały się mocno trzymać, bo uruketo wyszarpywało się z mielizny. Gdy znów znalazło się na głębokiej wodzie, Fafnepto poprosiła o uwagę.

- To wielka rzeka - powiedziała. - Jej ogrom i ilość dni, które zajmie jej przeszukanie, zmusza mnie do jednego wniosku. Zrozumiałam, że Gendasi\* to nie Entoban\*, trzeba tu postępować inaczej. To bogaty, lecz pusty ląd. Nie brak w nim życia, wiemy o tym dobrze, lecz nie ma tu Yilanè. Nie mogę się nadziwić, iż widzę takie ujście nie obramowane pięknymi miastami. Przypomniałam sobie, że w Entoban\* są nadal miasta, które marzną w zimy. Po powrocie udam się do nich i powiem, że nie mają się czego obawiać. Czeka tu na nie pusty świat. Wiesz o tym, Vaintè, to przecież ty wyhodowałaś pierwsze miasto na tych brzegach?.

- Tak. Alpèasak. Masz rację we wszystkim.

- To mnie podtrzymuje na duchu. Musisz dalej śledzić me myśli. Eistaa Saagakel obdarzyła mnie zaufaniem. Wysłała z misją odnalezienia zabranego jej uruketo, odnalezienia Ambalasei, która je wzięła. Czyż nie zgodziłam się to uczynić?

- Zgodziłaś się - przyznała Vaintè zaciekawiona, do czego to prowadzi. W mowie i myśleniu Fafnepto krążyła równie pokrętnie, jak szła prosto i zdecydowanie w lesie. Może to wynik samotnego życia. Vaintè skryła niecierpliwość w postawie pilnego słuchania.

- Rozumiesz więc mą troskę, bo zaczynam sądzić, że nie sprostim zaufaniu Eistai, nie wypełnię jej rozkazów, jeśli będziemy dalej tak postępować jak dotychczas. Uważam, że szukając na oślep, nigdy nie znajdziemy tych, które ścigamy. Potrzebna nam pomoc.

- A co proponujesz? - spytała Vaintè, wiedząc dobrze, co usłyszy.

- Musimy wrócić wzdłuż brzegu do miasta Alpèasak i porozmawiać z jego mieszkankami. Może coś wiedzą o szukanym przez nas uruketo.

- A może nie - powiedziała Gunugul.

- Wtedy niczego nie stracimy, bo będziemy szukać dalej. Twierdzę jednak, że musimy tam spróbować. Vaintè, co o tym myślisz?

Vaintè spojrzała na szerokość rzeki i okazała obojętność co do wyboru.

- Musisz sama zdecydować, bo ty masz tu najwyższą władzę. Być może w Alpèasaku wiedzą coś o tych, których szukamy. Wpierw jednak musisz usłyszeć jedno. Tamtejszą eistaa jest Lanefenuu, przed przybyciem do Alpèasaku władała Ikhalmenetsem. Jak wiesz, to ja uwolniłam Alpèasak od ustuzou, tak, iż mogła do niego przenieść swe miasto. W jej imieniu ścigałam i zabijałam ustuzou, potem w jej imieniu przerwałam wojnę. Nigdy o tym przedtem nie mówiłam, lecz zdradzę ci to teraz. Kiedyś łączyła nas przyjaźń, lecz już nie łączy. Kiedyś jej służyłam; teraz odrzuca mą obecność. Czy rozumiesz?

Kciuki Fafnepto mignęły w zrozumieniu-wzmocnieniu.

- Służyłam wielu eistaom w wielu miastach i znam ich zwyczaje. Rządzą, a wiać wydają rozkazy i nie słuchają uważnie. Słyszą, co chcą usłyszeć, mówią, co chcą powiedzieć. To, co jest między Lanefenuu a tobą, pozostanie między wami. Służę Saagakel i pójdę do tego miasta jako jej

wysłanniczka. Uważam, że powinniśmy zostawić rzekę i wrócić na ocean. Potem popłynąć do Alpèasaku. Czy zrobisz to?

- Mówisz w imieniu mojej eistai. Popłyniemy do Alpèasaku.

Mulisty nurt rzeki nie podobał się enteesenatom i po zawróceniu skakały radośnie, wpadając do wody w bryzgach piany. Wróciwszy na ocean, popłynęły wzdłuż brzegu na wschód. Choć nadal na płetwie stały obserwatorki, to posuwano się teraz znacznie szybciej. Mijały przeszukane poprzednio zatoczki i wysepki, lecz trzymając się głębszej wody. Gunugul umieściła na mapie prądy i teraz pozwalała uruketo płynąć z nimi z dala od brzegu. Raz straciły brzeg z oczu na całe trzy dni. Gdy ujrzały go ponownie, były zielony od tropikalnych drzew. Fafnepto dołączyła do Vaintè na płetwie, wyrażając poznanie barwami dłoni.

- Znam to wybrzeże. Po opuszczeniu wyspy płynęliśmy tędy na pomoc.

Vaintè potwierdziła.

- Chyba masz rację, a wobec tego jesteśmy bardzo blisko Alpèasaku.

- Czy miasto leży nad oceanem?

- Nad oceanem i nad rzeką. Są tam wielkie plaże, ciepłe wody, zatrzesienie zwierzyny. Nie jest równie stare co inne miasta Yilanè, lecz w swej młodości ma wiele świeżości-uroku, jakiego brakuje innym miejscom.

Obserwatorka została wezwana na dół. Nikt nie słyszał ich rozmowy, a Fafnepto chciała się czegoś dowiedzieć.

- Nigdy nie byłam w otoczonym-morzem Ikhalmenetsie.

- I nigdy nie będziesz. Pokrywa go śnieg zimy, wszystkie z niego odeszły.

- I są teraz w Alpèasaku. Rządzi nimi teraz Lanefenuu, tak jak ty kiedyś - potwierdziła Fafnepto. -

Porozmawiam z Lanefenuu i dowiem się o twojej obecności. Przedtem chciałabym mieć o niej więcej informacji, o niej i o tobie, o tym, co może się zdarzyć przy waszym spotkaniu.

Vaintè wyraziła zrozumienie.

- Co do ostatniego, to nie wiem. Ja nic nie zrobię i nic nie powiem. Na pewno jednak ona będzie miała wiele do powiedzenia. Sama stwierdziłaś, że eistaa nikogo nie słucha. Ta kazała mi oczyścić miasto z zapaskudzających ją ustuzou. Zrobiłam to. Ścigałam je i zabijałam uciekające. Miałam wszystkie między kciukami, mogłam wybić je do nogi - gdy eistaa mnie powstrzymała. Byłam posłuszna jej poleceniu, ale i niezadowolona. Najlepiej to określe, mówiąc, że była niezadowolona z mego niezadowolenia.

- Delikatność-sytuacji zrozumiana. Stosunki eistai z eistaa są trudne. Więcej o to nie zapytam. - Chciała coś dodać, lecz z dołu przyszła członkini załogi i na tym zakończyły rozmowę. Wkrótce potem dotarły do Alpèasaku i nie miały okazji do niej wrócić.

Vaintè nie pragnęła więcej widzieć Alpèasaku, lecz nie miała wyboru. Stojąc na płetwie, patrzyła na znajomy krajobraz. Na tę piaszczystą plażę przybyło uruketo po ich ucieczce z płonącego miasta, nowe drzewa wyrosły na miejsce spalonych. To tu opuściła Alpèasak, tu widziała śmierć Stallan. Patrzyła na umieranie swego miasta. Teraz widać rzekę - wytarte drewno nabrzeży i ciemne kształty uruketo. Odeszła stąd po raz drugi, nigdy nie sądziła, iż powróci. Uczyniła to jednak, choć wbrew własnej woli. Nie okazywała ani trochę tego zamętu myśli, stojąc mocno i nieruchomo. Tkwiła tak nadal, gdy dołączyła do niej Fafnepto, a Gunugul kierowała uruketo do brzegu. Wreszcie uderzyło ono o nabrzeże, gdzie mogło się najeść.

Po raz pierwszy Fafnepto była bez hèsotsanu, bo nie można wchodzić z bronią do obcego miasta. Zwykle szłaby bez ozdób, lecz jako wysłanniczka eistai miała ramiona wymalowane w metalowe mostki Yebéisku.



- Chciałabym, Gunugul - powiedziała - byś na razie została w uruketo. - Gunugul okazała posłuszeństwo poleceniu, gdy

Fafnepto spojrzała jednym okiem na Vaintè. - Ty też w nim zostaniesz.

Vaintè zaprzeczyła ostro.

- Nie kryję się w ciemnościach. Nie znam lęku. Pójdę z tobą do ambesed, bo także jestem wysłanniczka Saagakel. Fafnepto przyjęła to.

- Prowadź więc, bo na pewno znasz drogę.

Zeszły z pletwy i stanęły na porytym drewnie nabrzeża. Stała na nim dowódczyni innego uruketo, z którą Vaintè kiedyś płynęła. Na widok Vaintè wyraziła wstrząs i zmieszanie i jej nie powitała. Ta odwróciła się z zimną wzdrgadą i trzymając tak ramiona, weszła do miasta. Gapiące się fargi cofały się przed nimi, potem szły z tyłu. Vaintè dostrzegła znane sobie Yilanè, lecz tego nie okazywała. One także nie, bo wiedziały o jej sporze z eistaa. Żadna Yilanè nie szła za nią tak jak fargi.

Poznawała wszystko, bo miasta się nie zmieniają. Tam, za pierwszymi kadziami z mięsem, jest strzeżone hanalè. A ta szeroka, słoneczna droga wiedzie do ambesed. W nim zaszła pewna zmiana, bo Lanefenuu pragnęła sobie przypomnieć porzucony Ikhalmenets. Dwa samce, otoczone i pilnowane przez strażniczki, rzeźbiły gruby pień drzewa miasta. Widać już było szczyt głównej góry na opuszczonej wyspie. Lanefenuu osobiście doglądała pracy i odwróciła się dopiero wtedy, gdy podeszły bardzo blisko, a Fafnepto wydała najgrzeczniejszy z dźwięków prośby-o-słuchanie.

- Witam obcą - powiedziała Lanefenuu i przerwała, poznawszy Vaintè przy boku Fafnepto. Pierś zapłonęła jej szkarłatem, wargi odsłoniły zęby w geście gotowości-do-jedzenia.

- Przyszłaś tu Vaintè - ośmieliłaś się wejść do mojego ambesed!

- Przybyłam tu na rozkaz Saagakel, eistai Yebéisku. Rządzi mną teraz.

- Więc rzeczywiście zapomniałaś, że kiedyś ja tobą rządziłam. Wygnałam cię z Gendasi\* i z Alpèasaku, zabroniłam na zawsze się pokazywać. Mimo to wróciłaś.

Pierś jej straciła już barwę, szczęki zaciskały się mocno, każdy ruch ciała wyrażał zimny gniew. Vaintè nic nie odpowiedziała, dopiero Fafnepto śmiało przerwała ciszę.

- Jestem Fafnepto. Saagakel, eistaa Yebéisku przysłała mnie do Gendasi\* z misją. Przynoszę ci jej pozdrowienia. Lanefenuu spojrzała przelotnie na Fafnepto.

- Przywitani cię, Fafnepto, i porozmawiam z tobą na osobności, gdy tylko rozprawię się z tą wyganą-która-powróciła.

- Nikt się ze mną nie rozprawi. Chciałam, by wiadano o mojej obecności, teraz wracam na uruketo Yebéisku. Poczekam tam na ciebie, Fafnepto.

Zewsząd dobiegły jęki, a najbliższe fargi uciekały przed zimnymi głosami i jadowitymi ruchami obu stron. Po wypowiedzeniu swych słów Vaintè stała chwilę nieruchomo, wyrażając postawę brak-strachu-zdecydowanie, potem wolno się odwróciła. Między zgromadzonymi Yilanè dostrzegła znajome rysy, lecz nie okazała tego w żaden sposób. Promieniując na równi siłą i nienawiścią przemierzyła powoli całe ambesed i zniknęła.

Fafnepto stała nieruchomo, czekała tak, aż Lanefenuu opanuje kipiący w niej gniew. Nim eistaa zdołała przemówić, skinęła po wodo-owoc, wypiła go i odrzuciła. Dopiero wtedy zwróciła jedno oko na gościa, drugim nieprzerwanie patrząc na wyjście z ambesed.

- Witam cię, Fafnepto - powiedziała wreszcie - przyjmuję cię tu jako wysłanniczkę Saagakel, eistai Yebéisku. Jaka misja sprowadziła cię poprzez ocean do mego miasta?

- Sprawa wielkiej wagi, kradzieży i zdrady, i tych, które mówią o życiu, choć są częściową śmiercią.

Lanefenuu nakazała grzecznie chwilowe milczenie. Fargi nie mogą słuchać ani nawet wiedzieć o

tak ważnych sprawach. Skinęła kciukiem w stronę Muruspe, a gdy efenselè wystąpiła naprzód, wydała jej szybkie rozkazy.

- Wszystkie oprócz najwyższych są odprawione - rozkazała Muruspe ostrymi, ponaglającymi ruchami. - To ambesed ma być puste.

Lanefenuu odezwała się dopiero wtedy, gdy ostatnia przestraszona fargi wypadła przed wyjście.

- Czy mówiłaś o tak zwanych Córach Życia?

- Tak.

- Opowiedz mi o tej sprawie. Wiedz jednak, że nie ma ich tutaj, nie pozwoliłabym żadnej tu przebywać.

- Nie wolno im także wrócić do Yebéisku. Były w nim i uciekły, o tym chcę z tobą rozmawiać i prosić o pomoc.

Lanefenuu słuchała pilnie, wciąż poruszona przez nienawiść do Vaintè, zaciekawiona i wstrząśnięta słowami Fafnepto. Gdy ta skończyła, wszystkie słuchaczki zaczęły szeptać w przerażeniu, umilkły natychmiast, gdy Lanefenuu nakazała milczenie.

- Mówiłaś o strasznych rzeczach. Podwójnie strasznych dla mnie, bo dowodziłam-dowodzę uruketo i utrata jednego z tych wielkich stworzeń równa się dla mnie utracie części życia. Zrobię, co mogę, by ci pomóc. Czego spodziewa się po mnie twoja eistaa?

- Tylko informacji. Czy ktoś w tym mieście wie coś o tym uruketo? Może widziała je któraś z waszych dowódczyni uruketo? Szukałyśmy, lecz nie natrafiłyśmy na najmniejszy ślad.

- Sama nic nie wiem, lecz zarządzę poszukiwania. Muruspe, poślij po wszystkie dowódczynie. Sprowadź też Ukhereb, bo może widziała zaginione uruketo na obrazach przynoszonych jej przez ptaki. Tymczasem usiądź tutaj, Fafnepto i opowiedz mi o Entoban\*, losie jego miast, bo przed twoim uruketo bardzo dawno nie przybyło żadne inne.

Akotolp wystąpiła naprzód, okazując ważne sprawy-prośbę o głos. Lanefenuu skinęła, by podeszła bliżej.

- To Akotolp, Yilanè nauki, bardzo mądra. Masz dla nas jakieś informacje?

- Przeczenie-narazie. Pomagałam w wywoływaniu obrazów. Jedyne uruketo, jakie na nich widziałam, to uruketo naszego miasta. Tak dotąd sądziłam. Pójdę po te obrazy, przyniosę tutaj, byś mogła je przejrzeć i rozpoznać.

Lanefenuu zgodziła się entuzjastycznie.

- Spojrzę na te obrazy i zdecyduję, bo rozpoznam każde uruketo równie łatwo, co własne efenselè.

- Stanie się tak, Eistaa. Wpierw prośba o zapytanie gościa.

- Udzielona.

Akotolp zwróciła się do łowczyni, jej napięcie skrywały zwały tłuszczu, przelewające się przy mówieniu.

- Wiadomo, że byłam wśród tych, które opuściły to miasto po zajęciu go przez ustuzou. Powiedziałaś, że uciekinierki z waszego miasta znają Gendasi\* i że według ciebie uruketo przepłynęło ocean.

- Tak powiedziałam. Mam również podstawy, by wierzyć, że uruketo nie ma już w Entoban\*.

- Wraz z nimi uciekła przywódczyni Cór Życia, pełna inteligencji i wiedzy. Nazywa się Enge. Czy znasz to imię?

- Znam. Jest z nimi. W ucieczce pomogła im uczona imieniem Ambalasei.

Akotolp była wstrząśnięta, z wielkim trudem przemówiła.

- Ambalasei! Była moją nauczycielką.

- Nie tylko nauczycielką - ale i niedawnym gościem miasta! - stwierdziła ponuro Lanefenuu. - Nic

o tym nie mówiła w czasie swego pobytu. Akotolp, idź po obrazy, przynieś je natychmiast. Miałaś rację, Fafnepto, szukając tu informacji, słusznie przypuszczałaś, że zaginione uruketo jest w Gendasi\*. Otrzymasz mą pomoc, bo równie mocno co twoja eistaa pragnę je odnaleźć i skazać na śmierć owe stworzenia. Tak się stanie.

## ROZDZIAŁ XXXI

Gunugul posłała po świeże, galaretowate mięso, dosyć już miała zabranych z Yebéisku zapasów. Żuła teraz smaczny kawałek. Vaintè wróciła już dość dawno, jej sztywne ciało odmawiało rozmowy, poszła od razu do wnętrza uruketo. Gunugul z grzeczności kazała jej zanieść trochę mięsa.

Zesztywniała ciągle z gniewu Vaintè ujrzała w słabym świetle jakiś ruch i poznała, że ktoś stoi przed nią ze świeżym mięsem. Przyjęła je i ugryzła, potem cisnęła nogę sarny, aż zadudniła głucho o bok uruketo. Nie mogła jeść, ledwo była w stanie oddychać. Pragnęła zabijać, lecz nie mogła. Ciemne wnętrze dławilo ją, wstała więc i weszła sztywno na górę płetwy. Na szczęście była tam sama, dowodząca krzątała się z innymi na nabrzeżu. Zaślepiona przez gniew Vaintè słabo dostrzegła, co dzieje się przed nią, gromadzono tam zapasy, karmienie enteesenatów, przychodzące i odchodzące w sprawach miasta fargi. Gdy coś przykuło jej uwagę, rozpoznała to dopiero po dłuższym czasie.

Przybyła jakaś Yilanè, coś znaczyła, bo rozkazywała obładowanej fargi. Szła ku uruketo. Czemu niepokoi ją ta tłusta Yilanè? Tłusta? Jasne, zna ją. Uczona Akotolp. Spojrzała w górę i zobaczyła ją - bez gestu rozpoznania. Odwróciła się i zaczęła wydawać ostre, ponagłające rozkazy.

To bardzo ciekawe, Vaintè domyśliła się natychmiast. Akotolp służyła teraz eistai i miastu, ale też przysięgła kiedyś, że póki będzie oddychać, jej eistaa pozostanie Vaintè. Akotolp przybyła tu specjalnie, na pewno bez zezwolenia Lanefenuu.

Vaintè odsunęła się na bok, przepuszczając fargi dźwigającą ciężary, znoszącą je na dół zgodnie z rozkazami Akotolp. Po wyjściu została odesłana do miasta. Dopiero gdy zniknęła w tłumie, dysząca i sapiąca Akotolp weszła po płetwie, przelazła przez jej brzeg. Rozejrzała się tam, rzuciła ostatnie spojrzenie na nabrzeże, a potem nakazała milczenie i stanowcze: zejść!

Skryta wewnątrz zwróciła się do Vaintè w wielkiej radości z powrotu-spotkania.

- To ja się cieszę, Akotolp. - Vaintè dotknęła jej kciuków, jak przy spotkaniu z efenselè. - Ta eistaa, którą zabiłabym, gdybym mogła, obraziła mnie i rozgniewała. Dlatego to widok-obecność grubej i znajomej, wiernej postaci sprawia wielkie szczęście.

- Rada jestem ci służyć, Eistao. Byłam tam, schowana za innymi, gdy stanęłaś przed Eistaa. Tchórzliwie-mądrze było się wtedy nie wtrącać. Uważałam, że lepiej ci usłużę w inny sposób. Wiem o sprawach nieznanym innym, wyciągnęłam wnioski niedostępne innym, przekażę ci informacje, których nie ma nikt inny. Słuchałam pilnie, jak łowczyni imieniem Fafnepto opowiadała o waszym zadaniu. Czy dzielisz je?

- Tak.

- To wasze poszukiwania dobiegły końca. Wiem, gdzie jest uruketo!

- Widziałaś je?

- Nie, lecz prowadzi do niego nieomylnie logika wielu wydarzeń. Mam tu wszystkie dowody. A także inne, równie dla ciebie ważne, a może nawet ważniejsze.

- Jak wiesz, ważna jest dla mnie tylko jedna sprawa. Znalezienie-zabicie ustuzou Kerricka.

- Oczywiście! - Fałdy Akotolp zatrzęsły się, gdy wyraziła ruchami radość z odkrycia-wskazania czegoś ważnego. - Jestem przekonana, że wiem, gdzie jest!

Drżąc z emocji, Vaintè tak mocno ścisnęła kciukami ramię Akotolp, że uczona aż jęknęła z nagłego bólu. Została puszczona z przeprosinami, wyrazami radości i podziękowania dla jedynej na świecie, która pomogła.

- Jesteś mą efenselè, Akotolp, bliższą niż wszystkie inne. Wypełniasz me puste życie, wnosisz szczęście tam, gdzie nie było niczego. Powiedz mi, co wiesz, ale najpierw o ustuzou.

- Jest blisko, zapewniam cię, lecz byś wszystko dobrze zrozumiała, muszę mówić po kolei.

- To mów, błagam!

- Ambalasei była tu. Przybyła pewnego dnia w uruketo, odpłynęła nim po kilku dniach z wielkim pośpiechem. Rozpytywałam się i stwierdziłam, że uruketo przybyło i odbiło natychmiast, gdy tylko wsiadła. Nikt nie znał zwierzęcia ani jego dowódczym.

- Czy to tego szukamy?

- Niewątpliwie. Jest jeszcze coś bardzo ciekawego. Przed odejściem Ambalasei zdarzyło się tu coś dziwnego. Na plażach narodzin odkryto i złapano Yilanè. Wydaje się, że próbowała porwać samca świeżo wyszłego z morza. Bardzo poważna zbrodnia. Nikt jej nie znał, nie chciała mówić, zmarła, nim ją przesłuchano. Czy widzisz związek?

Vaintè wyraziła rozpoznanie.

- Oczywiście. Musiała przybyć uruketo razem z Ambalasei. Co z kolei znaczy, że była Córá Śmierci!

- To prawda! Zrozumiałam to dopiero dzisiaj, słuchając Fafnepto. Masz umysł wielkich zdolności, skoro dostrzegłaś od razu to, co było dla mnie cały czas niepojęte. Ambalasei przybyła uruketo, odpłynęła w nim, wróciła do Cór Zła. Wierzę, że wiem, dokąd odeszły.

Rozgrzana podziwem Vaintè wyraziła prośbę o dalsze informacje jak najniższa wobec najwyższej, czego nie zrobiła nigdy dotąd w całym swym życiu. Nadęta z podziwu dla siebie Akotolp wskazała na pojemniki przyniesione przez fargi.

- Popłynęły na południe. Ambalasei zdradziła nam, że odkryła tam cały nowy kontynent. Gdy myślę nad tym teraz, wydaje mi się oczywiste, że musiała wylądować z Córami na jego brzegu. Pokazała nam swe notatki, przekazała okazy wielkiej wagi dla nauki, opowiedziała o podróży gigantyczną rzeką płynącą przez ten kontynent. Sądzę, że jest tam teraz, na brzegach tej rzeki lub w jej ujściu do oceanu. Nie mówiła o innych odkryciach dokonanych na owym kontynencie.

- Wierzę ci, nie możesz się mylić. Ale to dopiero połowa tego, co chcę usłyszeć.

- Druga połowa dotyczy ustuzou, którzy dostali się do miasta, zabili Yilanè, ukradli hèsotsany. Mamy na to ścisłe dowody. Wysłałam ptaki i mam obrazy ustuzou przebywających na północ od miasta, na wyspie niedaleko brzegu. Jest chyba wśród nich szukana przez ciebie istota.

- Muszę zobaczyć te obrazy, dopóki jest jeszcze dzień.

Gdy to mówiła, dobiegające z otwartej płetwy światło pociemniało, jakby chmura przesłoniła niebo. Vaintè spojrzała w górę i zobaczyła schodzącą Fafnepto. Ta zaczęła coś mówić, lecz umilkła na widok Akotolp, wyraziła zapytanie.

- To Akotolp - powiedziała Vaintè. - Służyła mi, gdy byłam tu eistaą. Uczona o wielkim znaczeniu, która ma informacje o znaczeniu jeszcze większym.

- Rozmawiałam już dziś z Akotolp. Niedawno wspomniała też o niej w ambesed inna uczona, Ukhereb. Powiedziała, że one obie spotkały się z tą, której szukamy, z Ambalasei.

- To prawda.

- Ukhereb powiedziała także, że Ambalasei przywiozła dowody istnienia nowego kontynentu na południe stąd, mającego rzekę. Ukhereb sądzi, że jest tam Ambalasei i szukane przez nas uruketo. Czy uważasz tak samo?

Akotolp była zawiedziona, choć starała się tego nie okazać, myślała, że sama doszła do tej teorii. W końcu musiała potwierdzić.

- Tak, zgadzam się, co więcej, znajduje się na brzegu owej wielkiej rzeki, o której opowiadała tak szczegółowo. Fafnepto wyraziła jeszcze mocniejszą zgodę.

- Wszystko, co obie mówicie, prowadzi do tego samego wniosku. Jako łowczynie, czuję, że jest

słuszny. Dobiega mnie stamtąd zapach zdobyczy. Dowódczyni ładuje teraz świeże mięso i wodę. Rano porozmawiam jeszcze z Eistą, a potem odpływamy. Udamy się na południe, do tej rzeki.

Vaintè wtrącała się z oznakami ważności tego, co ma do przekazania.

- To nam nie ucieknie. Na pewno je znajdziemy. Tu jednak, na wybrzeżu, blisko nas, są ustuzou. Przed wypłynięciem musimy je odnaleźć i zabić. Przyszły do tego miasta, zabiły tu Yilanè. Musimy za to zabić je.

- Nie. Popłyniemy na południe.

- To potrwa krótko i jest dla mnie ważne.

- Ale nie dla mnie. Popłyniemy na południe.

- Porozmawiam z Gunugul. Na pewno się zgodzi zrobić najpierw tę drobnostkę.

- Obojętne, czy się zgodzi, czy nie. Jestem przedstawicielką Lanefenuu. Rozkażę Gunugul płynąć na południe. Powiem jej to teraz, by nie doszło do nieporozumień podczas mego wyjścia do miasta.

Powiedziała to niemal spokojnie, jakby chodziło o coś nieważnego, patrząc cały czas prosto na Vaintè. Tak mogłaby patrzeć na zwierzynę - przed zabiciem jej. Vaintè odpowiedziała jej równie beznamiętnym wzrokiem, wiedząc, iż tym razem wygrała Fafnepto. Wiedziała także, że nic nie zmieni jej postanowienia. Vaintè musi odłożyć chwilę swej sprawiedliwej zemsty.

- Ty dowodzisz, zrobimy, jak każesz. Dowiedz się też, że Akotolp zaproponowała, że z nami popłynie, posłuży jako przewodniczka w poszukiwaniach. - Vaintè powiedziała to równie spokojnie, co jej rozmówczyni. Fafnepto przyjęła to, wyraziła podziękowanie, odwróciła się i odeszła. Nie zobaczyła dzięki temu błysków barw na dłoniach Vaintè, zakrzywionych nienawistnie palców. Dostrzegła to Akotolp i cofnęła się, wstrząśnięta siłą uczucia. Minęło to szybko, Vaintè zdołała się opanować, przemówiła spokojniej do uczonej:

- Tym większą przyjemność sprawi mi teraz widok obrazów ustuzou. Patrzenie musi mi na razie wystarczyć. Tak długo czekałam na odnalezienie go - mogę poczekać jeszcze trochę. Nie będzie to też zmarnowana podróż. Te Córy Śmierci uciekły mi po opuszczeniu miasta. Długo drażniło mnie ich istnienie. Chętnie ich teraz poszukam. Podziękowanie wyrażone-wzmocnione - obrazy!

Vaintè powoli przeglądała arkusze, jej kończyny odzwierciedlały uczucia, jakie przeżywała. Nienawiść, zadowolenie, odkrycie. Gdy obejrzała już wszystkie, wróciła do nich powtórnie i znalazła jeden, który przykuł jej uwagę. Wypuściła inne z kciuków, podnosząc go do padającego z płetwy światła. Akotolp pozbierała porozrzucone zdjęcia.

- Spójrz tu - powiedziała w końcu Vaintè. - Masz oczy i mózg uczonej. Powiedz, co widzisz. Patrz na tą postać.

Akotolp obracała arkuszem, aż ustawiła go w najlepszym świetle i przyjrzała się mu bacznie.

- To jedno z zabójczych ustuzou, prawdopodobnie samiec, bo samice mają tu inne narządy. Osłania oczy patrząc w niebo, tak iż nie widać dokładnie jego pyska. Widzę coś na górnej części klatki piersiowej, może namalowany wzór.

- Też to widzisz! Czy może to być metalowy ząb, taki jaki ten, który dawno temu zamknęłaś w pęcherzu?

- Jest taka możliwość, szczegóły są niestety niewyraźne. Może to jednak być wyrób z metalu.

- Aż trudno uwierzyć, że jest tam ten, którego szukam.

- Silna wiara-prawdopodobieństwo. Jest jeszcze coś bardzo ciekawego, o czym nie wspomniałam eistai. Na tym obrazie ujrzysz jakąś niezdarną budowlę. Stoją przed nią dwie postacie.

Akotolp przekazała obraz z gestami podniecenia i dumy z odkrycia, wskazała kciukami właściwe miejsce i spostrzegła, jak Vaintè wyraża niewiarę.

- To niewytłumaczalne. Jest tam Yilanè i inne ustuzou. Co to znaczy?

- Możemy tylko zgadywać. Może Yilanè została schwytana i przebywa w więzieniu, nie jest ranna, bo pojawia się też na innych obrazach. Znajduje się bardzo blisko nor ustuzou.

Vaintè drżała z podniecenia.

- W takim razie tym stworem musi być Kerrick. Tylko on potrafi rozmawiać z Yilanè. Jak są blisko?

- Mniej niż dzień drogi uruketo.

- Jesteśmy w uruketo... - Silne uczucie opanowało Vaintè, wykręcając jej ciało, minęła chwila, nim się opanowała. - Ale nie teraz. Płyniemy na południe. Spotkam się z Enge.

- Dostarczono mi wiadomość - powiedziała Enge - że chciałaś mnie widzieć w pilnej sprawie.

- Pilność to rzecz względna dla Cór Ospalności - odparła z przekąsem Ambalasei. - Wysłałam tę wiadomość wczesnym ranem z nadzieją, że dotrze do ciebie, nim wszystkie tu pomrzemy ze starości.

- Czy to pilna sprawa?

- Tylko dla mnie. Zakończyłam badania. Pozostał wprawdzie jeszcze cały kontynent, lecz mogą się tym zająć inne. Mam dla nich wspaniałe notatki i okazy. Przetarłam drogę, którą mogą podążyć inne. Wracam do Entoban\*.

- Nagłość decyzji, niespodziewana-zasmucająca, nieprzyjemna wiadomość!

- Tylko dla ciebie, Enge. Wszystkie inne się ucieszą, gdy odejdę. Jak i ja, odwracając się od nich plecami. Wszystkie moje notatki zostały zamknięte i załadowane na uruketo. Setèssei popłynie ze mną, ale zapewniła, iż nauczyła dwie Córy używania nefmakeli, czyszczenia i leczenia ran. Nie umrzecie więc nagle, gdy tylko odejdziemy.

- Nagłość postanowienia rozstraja-smuci mnie. Wiedziałam, że kiedyś to nastąpi. Bardzo cieszysz się moją obecnością. Pozostanie po tobie pustka.

- Wypełnij ją myślami o Ambalasei, jak robią to wszystkie inne.

- Uczynię tak, oczywiście. Cieszę się także, iż uruketo zostanie zwrócone Yebéiskowi.

- Ta radość będzie musiała poczekać, bo będę się trzymać z dala od Yebéisku i jego na pewno wścieklej eistai. Po zawiezieniu mnie do Entoban\* uruketo wróci tutaj, by będziesz za nie odpowiedzialna.

- Przyjęcie odpowiedzialności z podziękowaniem.

- Musimy porozmawiać o jeszcze innej odpowiedzialności. Chodź.

Zamiast wejść do uruketo, Ambalasei podeszła do unoszącej się obok niego łodzi. Była teraz lepiej wyszkolona i sterowana naciskiem kciuków Ambalasei na zakończenia nerwów, wypłynęła gładko na rzekę. Uczona skierowała łódź na brzeg poza miastem, przywiązała do drzewa więzią przyczepioną do muszli.

- Znasz to miejsce? - zapytała.

- Niezapomniane. Zobaczyłyśmy tu pierwszych Sorogetso. Przychodziłam tu wiele razy poznając ich język. Odeszły. - Powiedziała to z pewnym smutkiem, choć nie żalem.

- Odeszły - i bardzo dobrze. Mają zapewnioną niezależność, ich wyjątkowej kultury nie wypaczą uczennice Ugunenapsy. Chodź tędy.

Ruchomy pień tkwił teraz stale na miejscu, jego konary zapadły się głęboko w muł. Przeszły nim i zaczęły się przedzierać wygodną niegdyś ścieżką, pokrytą obecnie wysoką trawą. Po wyjściu na zarośniętą polanę Ambalasei wskazała na zgniłe, zapadnięte szałaszy Sorogetso.

- Musiałam zabrać stąd Sorogetso, by uchronić je przed wtrącaniem się twych wygadanych towarzyszek. Zagrażały ich kulturze. Są na pograniczu między posługiwaniem się materiałami a życiem. Wspaniała okazja dla uczonej do obserwowania-poznawania. Ale nie dla mnie. Wyszkołę

innych, poślę do miejsca nad rzeką zamieszkanego przez Sorogetso. Dokończę mą pracę. Prowadzi to mnie do ostatniej przysługi wyświadczonej Ugunenapsie. Rozwiązania problemu, któremu poświęciłam pewną uwagę. Ciekawa propozycja. Ciągłość.

- Brakuje mi zrozumienia.
- Nie powinno. Mówiąc ostro - wraz z wami umrą i teorie Ugunenapsy.
- To aż zbyt prawdziwe i bardzo mnie trapi.
- To przestań się trapić. Rozwiązanie jest blisko.

Wyszły spomiędzy drzew na pustą plażę nad jeziorem. Ambalasei rozejrzała się i zawołała w najprostszej formie prośbę o uwagę. Potem usiadła na ogonie z westchnieniem wyczerpania. Enge wyrażała zdziwienie i niezrozumiałość.

W krzakach coś zaszeleściło i wyszła z nich mała, niedojrzała fargi.

- Razem - przekazała Ambalasei zmianami barw wnętrza dłoni.
- Razem - odpowiedziała fargi, podchodząc z wahaniem, po ujrzeniu Enge zadrżała i stanęła.
- Nie bój się - powiedziała wolno i wyraźnie Ambalasei. - Przyrowadź inne.

Enge mogła jedynie patrzeć na fargi w postawie zmieszania i nadziei.

- Fargi... tutaj? - spytała. - Taka mała. Czy to Sorogetso?

- Oczywiście. Jak dobrze wiesz, zabrałam stąd wszystkie dojrzałe i Yilanè. Najpierw zamierzałam zabrać je do innych, lecz wiążą się z tym pewne problemy. W jeziorze są inne, młodsze efenburu, które wynurzą się później. Nie chciałam za bardzo ingerować w ten naturalny proces. Potem dostrzegłam jedno proste rozwiązanie dwóch kłopotów naraz. Czy możesz mi powiedzieć jakie?

Enge, którą zatykało z emocji, ledwo mogła mówić.

- Ocalenie. Będziemy tu, gdy się wynurzą, nauczymy je mówić, weźmiemy do siebie, a potem przemówimy do innych, które wyjdą na plażę.

- To rozwiązuje ich problem. A drugi?

- Jesteś zbawieniem dla Cór Życia. Zapewniasz wieczne trwanie mądrości Ugunenapsy.

- Nie jestem pewna wieczności, lecz przynajmniej na razie. Rozumiesz, że nie możecie się z nimi krzyżować, prawda? Ich zmiany metaboliczne związane z narodzinami zbyt różnią się od naszych. Po ich dojrzeniu musicie pilnować, by Sorogetso łączyły się tylko z Sorogetso. Czy zdołasz zapanować nad żądzami swych Cór?

- Mamy jedynie żądze mądrości - nie masz się czego obawiać.

- Dobrze. Musisz również wiedzieć, że będzie to ciągłość jedynie kulturowa, a nie genetyczna. Pewnego dnia umrze ze starości ostatnia z dzisiejszych Cór. Pozostaną wtedy jedynie Sorogetso.

- Rozumiem, co masz na myśli i jeszcze raz zapewniam, że to nieważne. Przetrwają Osiem Zasad Ugunenapsy, tylko to się liczy.

- Dobrze. Nadeszła pora odjazdu. Skończyłam tu ważne prace. Wracam do pochlebstw cywilizowanych miast, szacunku dla eistai. I przyjemności zapomnienia strasznego imienia Ugunenapsy.



## ROZDZIAŁ XXXII

Wymiana zajęła większą część pierwszego dnia, ciągnęła się też przez następny. Zbyt radowała Paramutan, bo szybko ją zakończyli. Hanatha i Morgila wkrótce opanował taki sam entuzjazm, żalowali bardzo, że przynieśli tak mało na wymianę. Potem ktoś podsunął myśl o świeżym mięsie. Wszystko inne zawieszono, a obaj łowcy chwycili łuki i pobiegli w puszcę. Paramutanie byli najlepszymi łowcami na oceanie, lecz na lądzie ustępowali Tanu. Powitali cztery świeżo upolowane sarny piskliwymi, głośnymi pochwałami.

Nastąpiła uczta, a po niej znów zaczęto wymianę. Jej zadowalający wszystkich wynik uczczono następnym obżarstwem. Kerrick siedział na jednej z wydm z dala od innych, pogrążony w głębokich myślach. Armun przyszła do niego, wziął ją za rękę i usadził przy sobie.

- Uczą się teraz nawzajem swych pieśni - powiedziała - choć nie mają pojęcia, o czym one mówią.

- Przydałoby się trochę porro, wtedy naprawdę mielibyśmy święto.

- Nawet o tym nie wspominaj! - Roześmiała się, bo obaj łowcy pokazywali teraz, jak wyglądają zapasy Tanu. - Zrywam się do ucieczki na samą myśl o Paramutanach pijących porro.

Rozległy się nowe krzyki i uderzenia, gdy Kalaleq pokazał, że mimo swego wzrostu Paramutanie są także dobrymi zapaśnikami.

- Odkąd tu jesteśmy, rozmyślam o wielu rzeczach - powiedział Kerrick. - Podjąłem ważne decyzje. Po pierwsze, chcę cię uszczęśliwić.

Chwyciła go ze śmiechem za ramię.

- Nie mogę być szczęśliwsza niż teraz, gdy jesteśmy razem.

- Niezupełnie. Wiem, że coś cię trapi, mówię ci więc, że z tym już koniec. Arnwheet ma wielu przyjaciół, lecz zmusiłem go do chodzenia ze mną na rozmowę z tym na wyspie. Nie znosisz tego. Już się nie uśmiechała.

- Tak. Jesteś jednak łowcą i nie mogę ci kazać robić to, nie robić tamtego. Postępujesz, jak musisz.

- Myliłem się. Po powrocie dopilnuję, by chłopak trzymał się z dala od tego, którego nazywasz maragiem. Jest on moim przyjacielem i lubię z nim rozmawiać, ale Arnwheet robi, co zechce. Jeśli zapragnie zapomnieć jak mówią murgu - wówczas zapomni.

- Ale przecież wiele razy mówiłeś, jak ważne jest, by to znał.

- Już tak nie myślę. Murgu się nie liczą. Byłem ślepy na prawdziwy wygląd świata. Wyglądam jak Tanu, lecz myślę jak murgu. Koniec z tym. Świat się nie zmienił, lecz patrzę teraz na niego inaczej.

Armun słuchała go w milczeniu, niczego nie rozumiejąc, lecz wiedząc, że mówi o sprawach niesłychanie dla siebie ważnych. Uśmiechnął się, widząc jej baczny, milczący wzrok, przyłożył palec do jej ust.

- Chyba źle tłumaczę. W myślach widzę wszystko wyraźnie, lecz nie potrafię dobrze tego przekazać. Rozejrzyj się, spójrz na Paramutanów, na ich wspaniałe rzeczy: ikkergak, poruszające nim żagle, pompę do wody, rzeźby - wszystko.

- Są bardzo dobrzy w ich robieniu.

- Tak, ale my też. Robimy krzemienne noże, łuki, włócznie, namioty, w których śpimy. Pomyśl także o Sasku z ich naczyniami i krosnami, zbiorami...

- I porro - nie można o nim zapomnieć!

Śmiali się razem, a walka na plaży stała się jeszcze bardziej zażarta. Dwaj Paramutanie tak się w niej zapamiętali, że wpadli do wody, co wszyscy uznali za bardzo zabawne.

- To co mówiłem o robieniu *rzeczy*, jest bardzo ważne - powiedział Kerrick. - Nawet porro jest ważne. Bo to nasze dzieło. Robimy rzeczy swoimi rękami. Uczynione przez nas nie mogą umrzeć, bo

nigdy nie żyły. Włócznia równie dobrze służy na śniegu, jak i w dżungli.

- To prawda. Ale co w tym ważnego?

- Dla mnie to najważniejsze odkrycie. Zbyt długo myślałem jak murgu. One nie robią niczego. Większość w ogóle nic nie robi, jedynie żyje i umiera. Mają jednak kilka posiadających wiedzę i potrafiących kierować żywymi istotami. Nie wiem, jak to robią, chyba nigdy się nie dowiem. Byłem jednak tak głupi, że myślałem jedynie o wyhodowanych przez nie rzeczach. O tym, jak i dlaczego to robią. Wszystko co planowałem, wszystko czego dokonałem, było robione na sposób murgu. To był błąd, odstępuję teraz od niego. Jestem w pełni Tanu, a nie na wpół maragiem. Zrozumiawszy to, pojąłem prawdę. Śmiercio-kije mogą sobie zdechnąć. Nie mają znaczenia. To ja je im przydałem, a inni uwierzyli. Nigdy więcej.

Przestraszyła się.

- Nie mów tak. Na południu bez śmiercio-kijów czeka nas śmierć, a na pomocy jest tylko zima. Nie możesz tak mówić.

- Słuchaj i myśl. Jestem jedynym łowcą znającym murgu. Mogę umrzeć jutro, mogłem zginąć wczoraj. Przeze mnie używamy śmiercio-kijów. Żyjąc wśród murgu, widziałem, jak używali ich do zabijania wszystkiego, co je zalakowało, bez względu na wielkość. Widziałem to i rozumiałem, że mając śmiercio-kije moglibyśmy również żyć na południu. I dokonaliśmy tego, lecz nasze życie zależy teraz od śmiercio-kijów, a to źle. Musimy znaleźć sposób na życie bez nich, zgodne z naszymi zwyczajami. Skoro uzależnimy od nich nasze życie, stajemy się na wpół murgu, wszyscy są tacy jak ja. Ale z tym koniec. Ja i wszyscy inni muszą być wyłącznie Tanu. Wyjście jest proste.

- Nie widzę go - powiedziała zmieszana.

- Czy pamiętasz wyspę murgu? Jak zapaliłaś ognisko, a Kalaleq zabił w morzu statki-stworzenia?

- Tak, uczyniliśmy to.

- Teraz pokaże nam, jak w ten sam sposób zabijać murgu. Nauczymy się robić takkuuk. To ta czarna trucizna w pęcherzach, taka silna, że wystarczy powąchać odrobinę, by się pochorować. Na włóczni zabije największego maraga. Nie widzisz różnicy? Rzeczy, które umiemy robić, nigdy nie umierają, w przeciwieństwie do chorujących i zdychających śmiercio-kijów. Nie może też zginąć wiedza i umiejętność robienia ich, bo wielu ją zna. Będziemy robić takkuuk i żyć, gdzie zechcemy.

- Chyba cię rozumiem, widzę, że to dla ciebie bardzo ważne. Może jednak nie zdołamy zrobić takkuuku. Co wtedy? Przyciągnął ją do siebie.

- Zdołamy zrozumieć, jak się go robi. Zaraz o to zapytamy. Co może zrobić jeden, może i drugi. Pamiętaj, że nie jesteśmy murgu. I nie wolno nam starać się być nimi. Może kiedyś zdobędziemy ich wiedzę o żywych stworzeniach. Kiedyś. Teraz jednak wiedza ta nie jest nam potrzebna. Wypytajmy Kalaleqę.

Zdyszany Paramutanin leżał na piasku. Ręce i twarz miał powalane krwią z jedzonej właśnie surowej wątroby. Brzuch mu pękał od obżarstwa, lecz jeszcze się nie poddał.

- Największy żarłok wśród Paramutan! - zawołał Kerrick.

- To prawda! Sam tak powiedziałeś. Jestem też największym łowcą...

- Potrafisz więc wszystko robić?

- Wszystko!

- Czy wiesz, jak robić takkuuk?

- Kalaleq wie wszystko, co potrzebne do robienia takkuuku, który zabija największe ulauraqi.

- Czy kosmaty Paramutanin, pełen mądrości, powie prostemu Tanu, jak się go robi?

- Nigdy! - zawołał, potem ryknął śmiechem i opadł słabo na piasek. Ani Kerrick, ani Armun nie

widzieli w tym nic zabawnego. Paramutanin zaczął tłumaczyć dopiero wtedy, gdy skończył się śmiać i przełknął resztki wątroby.

- To ważne i bardzo trudne. Nauczył mnie tego ojciec, przekażę to memu synowi, Kukujukowi, gdy tylko dorośnie. Wy jesteście dorośli, możecie dowiedzieć się teraz. Musicie jednak zapłacić za tajemną wiedzę.

- To uczciwe. Co chcesz?

- Cena jest wysoka. Jest nią... kamienny nóż o najostrzejszym ostrzu.

Kerrick wyjął swój nóż i dał go Kalaleqowi, który przeciągnął kciukiem po jego ostrzu i zamruczał radośnie.

- Teraz wam powiem i pokażę. Musicie zmieszać krew i wnętrzności pewnej ryby, a potem schować w ciepłym miejscu, by tam zgniły. Potem trzeba je wykopać i znów zostawić do zgnicia, lecz wraz z sokiem wyciśniętym z korzeni wysokich kwiatów, kwitnących jedynie na tym brzegu. To jeden z powodów naszego tu przybycia. Wymiana i kopanie tych korzeni. Muszą być w tak-kuuku, zawsze w nim były. Pomagają mu zabijać. Czy chcecie także takkuuku do łowienia ryb?

- Jesteśmy łowcami. Potrzebny jest nam na groty do włóczni, by móc zabijać największe murgu puszczy.

- Łatwo je zabije, bez obaw.

- Mieliśmy ich bardzo wiele - powiedziała Armun i dodała z uśmiechem - ale już nie teraz.

Opuściły ją także własne lęki. Że Arnwheet stanie się bardziej murgu niż Tanu. Pozbyła się tego strachu. Kerrick będzie sam odwiedzał maraga na wyspie. Porozmawia z tym stworem tak, jak rozmawia z Paramutaninem. To wszystko. A kiedyś tamto zdechnie, i to wszystko się skończy. Może już przestać się bać.

- Boisz się iść na wyspę - powiedział Dali, plując na ziemię, by pokazać siłę swych uczuć.

- Nie boję się - odpowiedział Arnwheet. - Po prostu nie chcę iść. To ty powinienes się bać - ojciec zbił cię, gdy poszedłeś. Widziałem, jak płakałeś.

- Nie płakałem!

- Ja też widziałem! - zawołał inny chłopiec i odskoczył, gdy Dali próbował go uderzyć.

Arnwheet zaczął się wycofywać. Był mniejszy od Dalia i wiedział, że nie pokona go w walce. Miał nadzieję, że tamten już o wszystkim zapomniał. Tak jednak nie było. Dali dogonił tamtego chłopca, a gdy wrócił, dysząc dźgnął boleśnie palcem w pierś Arnwheeta.

- Widziałem, jak poszedłeś z ojcem na wyspę. Ukryłem się i widziałem, jak poszliście prosto do maraga.

- Nie mów o tym ani o moim ojcu.

- Czemu? - Dali kpił teraz, a wszyscy byli po jego stronie.

- Chcesz mnie powstrzymać? Spróbuj. Twój ojciec to na wpół marag. Widziałem go, jak się tak trząsał.

Okręcił się i zaczął tańczyć machając ramionami, a wszyscy chłopcy roześmieli się, bo było to bardzo śmieszne.

- Zamknij się - tylko tyle zdołał wymyślić Arnwheet.

- Widziałem też Arnwheeta, jak to robił, trząsał się, trząsał się, i trząsał!

Pokaz spotkał się z wielkim uznaniem i Dali zaczął się obracać, by wszyscy mogli go zobaczyć. Arnwheet rozłościł się i pchnął większego chłopca w plecy, a gdy ten się przewrócił, kopnął go mocno. Dali krzyczał wściekle, lecz Arnwheet już uciekł. Arnwheet był szybki i wrzeszczący Dali nie zdołał go złapać. Gonili także inni chłopcy. Wszyscy razem wpadli między namioty. Arnwheet

kluczył między nimi, potem przeskoczył ognisko, lecz Dali zaszedł go od przodu i chwycił za ramię. Powalił chłopca na ziemię i zaczął go okładać. Trafił pięścią w nos Arnwheeta, tryskająca wysoko krew rozjuszyła widzów. Dali wstał i zaczął kopać mniejszego chłopca. Nagle krzyknął, gdy twarda dłoń uderzyła go w ucho.

- Bić mniejszego! Kopać mniejszego! - krzyczała w gniewie

Merrith. - Czemu nie kopniesz mnie, może chcesz spróbować? - Uderzyła go jeszcze raz, nim zdążył się wykręcić i uciec. - Ktoś jeszcze chce? - rzuciła za chłopcami, którzy zniknęli równie szybko co Dali. Arnwheet usiadł, łzy mieszały mu się z płynącą z nosa krwią.

- Chłopcy - mruknęła do siebie, wycierając chłopcu łzy. Potem umoczyła szmatkę w zimnej wodzie i obmyła twarz Arnwheeta, trzymając ją do góry, aż ustało krwawienie i chlipanie.

- Idź do swojego namiotu, połóż się i nie ruszaj, bo znów zaczniesz krwawić - powiedziała. - Trzymaj się też z dala od kłopotów.

Arnwheet czuł się podle. Wlókł się przez kurz, kopiąc wszystkie kije. Chłopcy wyśmiewają się z niego i słusznie. Wygląda śmiesznie, gdy mówi w yilanè. Nigdy już tego nie zrobi. A może zrobi. Potrafi tak mówić, a oni nie. Wszyscy są głupi. Może iść

na wyspę, a oni nie. Co znaczy, że jest od nich lepszy. Pójdzie tam teraz, a oni zostaną tutaj.

Namiot był pusty. Malagen wyszła z jego siostrą. Nie ma też ojca i matki, i to od tak dawna. Nikt o niego nie dba, nikt. Może tylko Nadaske. Wziął swój łuk i kołczan ze strzałami, potem zobaczył przy drzwiach oścień na ryby. Jego też weźmie, pokaże Nadaske, jak łapać nim ryby.

Przedostając się na wyspę, nie zauważył nikogo. Dzień był gorący, chłopca pokrywał kurz i brud. Ulżyło mu, gdy przepłynął kanał oddzielający ich od mniejszej wyspy. Usiadł na brzegu i przyjrzał się uważnie krzakom, lecz nikt go nie śledził. Potem poszedł wzdłuż brzegu, a na widok szalasu zawołał głośno prośbę o uwagę. Nadaske wystawił głowę, następnie wyszedł cały, wyrażając radość-z-odwiedzin.

- I z jedzenia - powiedział Arnwheet, wyciągając oścień. - Do dźgania-łapania ryb. Pokażę ci, jak.

- Mały ma niepojętą dla mnie mądrość. Będziemy dźgali ryby.

*anbefeneleiaa akothurusat, anbeqaas  
efengaasat*

# POWIEDZENIE UGUNENAPSY

Przyjmując prawdę o Efeneleiai,  
przyjmujesz życie.

## ROZDZIAŁ XXXIII

- Czy wszystko załadowano zgodnie z rozkazami? - zapytała Ambalasei. Elem wyraziła zakończenie.

- Wszystko przyniesione na nabrzeże zostało bezpiecznie załadowane na uruketo i umocowane. Mamy też dostateczną ilość zakonserwowanych węgorzy i wody, samo zwierzę jest dobrze nakarmione i wypoczęte. Wątpliwości jedynie co do celu.

- Entoban\*! Zostałaś zawiadomiona. Czy pamięć zanika ci z wiekiem?

- Pamięć działa. Chodzi o to, że Entoban\* to wielki kontynent, opływa go wiele prądów oceanicznych, podanie określonego miasta-celu zapewniłoby krótszą podróż.

- Może przyda się dłuższa. Na razie musi ci wystarczyć Entoban\* jako wyznaczony kurs. Muszę wybrać wśród wielu miast, dokonać porównań. Jestem zmęczona, Elem, to ważna decyzja. Po tej nie podejmę już żadnych długich wypraw ani surowego życia w poszukiwaniu wiedzy. Chcę miasta z wygodami, które mnie przyjmie, do którego będą przybywać inne, by mnie podziwiać i uczyć się z moich osiągnięć. Życia łatwego fizycznie i umysłowo. Z jedzeniem trochę ciekawszym od węgorzy. – Ambalasei rozejrzała się po opustoszałych pomieszczeniach, odwróciła się do nich plecami. - Odpływamy.

- Zostały wydane instrukcje. Zwrócono się do mnie wcześniej, bym teraz wystąpiła z prośbą do Ambalasei o przybycie do ambesed przed odpłynięciem.

- Wątpliwości co do motywów. Przemowy i pożegnania?

- Nie zostałam powiadomiona. Czy pójdziemy?

Ambalasei poszła, mrużąc skargi i narzekania. Zbliżywszy się do ambesed, usłyszały w nim szum wielu głosów. Umilkły, gdy tylko weszły.

- Wszystkie mówiły o Ugunenapsie - poskarżyła się Amabalasei. - Bardzo się cieszę rychłym nadejściem zapomnienia tej pogardzanej i jej zwolenniczek.

Mimo tych narzekań rada była, widząc, jak wszystkie jej nadskakują, odsuwają się z szacunkiem, gdy szła. Enge stała obok miejsca eistai i nikt się nie sprzeciwił, gdy Ambalasei na nim zasiadła.

- Nikt dzisiaj nie pracuje - powiedziała.

- Wszystkie są tutaj. To powszechne życzenie.

- Czy ma swój powód?

- Ma. Dyskutowaliśmy od wielu dni...

- W to na pewno wierzę! - ... i padło wiele propozycji najlepszego sposobu wyrażenia ci naszej wdzięczności za wszystko, co dla nas zrobiłaś. Po długich rozważaniach wszystkie zostały odrzucone, jako niedostatecznie odpłacające ci za to, co uczyniłaś.

Ambalasei zaczęła wstawać.

- Skoro wszystko zostało odrzucone, mogę już odpływać.

Spotkało się to z ogólną konsternacją, a Enge wystąpiła naprzód, okazując przeczenie, pozostanie, pilność, szybko zaczęła się poprawiać.

- Źle mnie zrozumiałaś, wielka Ambalasei, albo nie umiem dobrze mówić. Odrzucono wszystkie inne propozycje, by uczcić cię najcenniejszą dla nas. Ośmioma Zasadami Ugunenapsy.

Przerwała i zapadło całkowite milczenie.

- Tak właśnie postanowiono. Odtąd już na zawsze będą się nazywać Dziewięcioma Zasadami Ugunenapsy!

Amabalasei miała już na końcu języka pytanie, kiedy to Ugunenapsa wróciła, by przekazać dziewięć, lecz poczuła, że byłoby to trochę niedelikatne. Wyraziła jedynie uprzejmą, łaskawą

uwagę.

- Oto dziewiąta - powiedziała Enge, odsuwając i przepuszczając Omal i Satsat. Zaintonowały razem, a wszystkie obecne powtarzały ich słowa:

- Dziewiąta zasada Ugunenapsy: Istnieje pierwszych Osiem Zasad. Nie byłoby ich, gdyby nie wielka Ambalasei.

Ambalasei zrozumiała, że oznacza to największe podziękowanie, do jakiego są zdolne Córy Życia. Pierwsze są dla nich zawsze słowa Ugunenapsy. A teraz do końca świata zwiążą swe życie z imieniem Ambalasei. Te spierające się stworzenia są zdolne do wdzięczności! Chyba po raz pierwszy w swym długim życiu nie mogła wymyślić żadnej zniewagi. Zdołała jedynie wykonać najprostszy gest zgody i wyrazić swe podziękowanie.

Enge dostrzegła to, знаła lepiej starą uczoną, niż ta uważała za możliwe. Rozumiała jej uczucia i doceniła odpowiedź. Odwróciła się od niej, mówiąc do zgromadzonych:

- Amabalasei podziękowała nam wszystkim. Nadeszła pora rozstania. Choć dziś od nas odpływa, to wiemy, że nigdy nas nie opuści. Imiona Ambalasei i Ugunenapsy są na zawsze związane.

Wychodziły w milczeniu, została tylko Enge.

- Czy mogę odprowadzić cię do uruketo? Często spacerowałyśmy razem i wiele się nauczyłam od mądrej Ambalasei. Pójdziemy?

Ambalasei próbowała się podnieść, poczuła, jak pomagają jej silne kciuki Enge, wreszcie wstała i wyszła powoli z ambesed. Wędrowały w milczeniu przez miasto, aż Ambalasei pokazała, iż chce odpocząć w cieniu, bo słońce grzało bardzo mocno. Gdy stanęły w chłodzie, Enge poprosiła o informacje.

- Nigdy ich nie odmawiam, wiesz o tym, Enge. Bez mojej stałej pomocy gorzej byłoby tobie i całemu światu Yilanè.

- To prawda. O to właśnie chcę zapytać. Martwię się. Mówisz zawsze o braku wiary w Ugunenapsę, co jest dla mnie nieprzyjemne i trudne do pojęcia. Bardzo przy tym precyzyjnie analizujesz nasze problemy i pomagasz nam lepiej je zrozumieć. Ale co z tobą? Co sądzisz sama? Mam nadzieję, że mi to powiesz. Czy uważasz za słuszne Dziewięć Zasad Ugunenapsy?

- Nie. Poza dziewiątą.

- Skoro więc wątpisz w to, co jest dla nas najważniejsze, to dlaczego nam pomagasz?

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek zadasz to pytanie. Czy pytasz o to teraz, bo wreszcie zrozumiałaś, że nie podzielani waszych wierzeń, nigdy tego nie uczynię?

- Ambalasei jest wszechwiedząca, wszechwidząca. To rzeczywiście powód mego pytania.

- Odpowiedź jest prosta i oczywista - z mojego punktu widzenia. Jak wszystkie Yilanè nauki obchodzi mnie, jak działa życie, jak wiąże się w różnych formach, trwa, zmienia, umiera. Takie są Yilanè, były i będą. To mi wystarcza, lecz w przeciwieństwie do wszystkich innych nie jestem zaślepiona. Chciałam badać was i waszą Ugunenapsę, ponieważ jako pierwsza zadała inne pytania. Nie jak wszystko działa, lecz dlaczego? Bardzo ciekawe. Pytanie „dlaczego?” pomagało mi w badaniach i spekulacjach. Jestem więc ci za nie wdzięczna. Choć może i za wszystkie wiążące się z tym trudności. Gdy Ugunenapsa spytała: „dlaczego?” po raz pierwszy w naszym świecie pojawiło się coś nowego. Pytanie „dlaczego?” legło u podstaw jej zasad, które z kolei zrodziły Córy Życia, a te wywołały nie kończące się kłopoty, odmawiając umierania zgodnie ze zwyczajami Yilanè. Wprowadziło to także zupełnie nowe podejście do tych zwyczajów. Skoro ma się poznać jakiś fakt, a sądzę, że to konieczne, wówczas nie dbam zupełnie o Ugunenapsę i jej teorię. Tak naprawdę pociągało mnie badanie ciebie.

Wstrząśnięta Enge wyraziła niezrozumienie, pragnienie wyjaśnień.



- Oczywiście, dostarczę ci ich. Pomyśl o naszych zwyczajach, o związkach łączących Yilanè. Eistaa rządzi, a wszystkie inne są jej posłuszne. Albo umierają. Fargi wychodzą z oceanu i są całkowicie lekceważone. Dostają jedzenie, i to tylko dlatego, że ich śmierć oznaczałaby zagładę wszystkich Yilanè, aie nic poza nim. Jeśli są wytrwałe, a na dodatek mają wolę i chęć nauki, wtedy staną się Yilanè i włączą do życia miasta. Większości się to nie uda. Odejdą i przypuszczalnie zginą. Trzeba więc powiedzieć, że wszystkie Yilanè mają dla siebie jedynie odrzucenie i śmierć. Ty jednak, Enge, obdarzasz je współczuciem i nadzieją. To coś nowego i bardzo niezwykłego.

- Nadzieja oznacza możliwość lepszego jutra. Nie rozumiem tego drugiego pojęcia.

- Nie spodziewam się tego, bo sama je stworzyłam, by opisać nowe pojęcia. Chodzi w nim o rozumienie nieszczęść innych, połączone z pragnieniem ulżenia w ich niedolach. To dlatego ci pomagałam. Zostań tutaj, siedź bezpiecznie w swym mieście i badaj dlaczego-życia. Wątpię, byśmy jeszcze się spotkały po moim odjeździe.

Było to zbyt nagle. Rozstanie nadeszło za szybko. A Ambalasei, ze swą zwykłą szczerością wskazała, iż niewątpliwie widzą się po raz ostatni. Enge poruszała ciałem, szukając słów i pozycji mogących wyrazić, co czuje, lecz nie mogła znaleźć niczego odpowiedniego.

Doszły nad wodę, a Enge nadal nie wiedziała, jak wypowiedzieć głębię swych uczuć. Wreszcie po prostu dotknęła kciuków Ambalasei, jakby była jej efenselè i odeszła. Ambalasei, nie odwracając się za siebie, chwyciła dłoń Setèssei i przy jej pomocy weszła na uruketo. Elem patrzyła na nie ze szczytu płetwy, gotowa do wydania rozkazu odbijania, gdy poprosiła o uwagę jedna z jej załogantek. Odwróciła się we wskazanym przez nią kierunku, patrząc z wielką uwagą.

- Pilność wysłuchania - zawołała do stojących niżej. - Widać coś daleko na rzece. Duże prawdopodobieństwo rozpoznania, że to uruketo.

- Niemożliwość - odparła Ambalasei, próbując coś dostrzec w oddali. - Setèssei, masz wzrok jak ptak drapieżny, co widzisz?

Setèssei wspięła się do połowy płetwy, przemówiła dopiero wtedy, gdy nabrała pewności.

- Jest tak, jak powiedziała Elem. Uruketo płynie w naszą stronę.

- Niemożliwość przypadkowego odkrycia. Jeśli na pokładzie jest szczupła Ukhereb lub gruba Akotolp, oznacza to bliższe zainteresowanie się moimi zapiskami. Niewątpliwie ich wyprawa badawcza. Odpływamy mimo to.

- Yilanè nauki są zawsze mile witane - powiedziała Enge, patrząc na nadpływające uruketo. - Będziemy się od nich uczyć - a może one nauczą się czegoś od nas.

W przeciwieństwie do Enge Ambalasei nie przyjmowała życia tak pokornie. Doświadczała już przedtem, że największe niespodzianki okazywały się najmniej przyjemnymi. Mimo tej świadomości zwyciężyła w niej ciekawość i nie dała Elem znaku wypłynięcia, patrząc jedynie podejrzliwie na zbliżające się zwierzę. Można już było dostrzec Yilanè na szczycie jego płetwy, choć za daleko, by ją rozpoznać. W życiu zbyt wielką rolę odgrywa przypadek.

Gdyby odpłynęła wczoraj, nie byłaby świadkiem przybycia uruketo. Teraz nie warto tego rozważać. Jak prawdziwa uczona czekała cierpliwie na nowe dowody, by stwierdzić, czy przybysze są mile widziani, czy też nie.

Rozstrzygnęła o tym Setèssei.

- Wśród stojących na płetwie jest znana ci z Yebéisku łowczyni o imieniu Fafnepto.

- Niemiła - stwierdziła stanowczo Ambalasei. - Dużo lepiej bym zrobiła, odpływając wczoraj. Po przybyszach z Yebéisku nie możemy się spodziewać niczego dobrego. Czy poznajesz inne?

- Dowódczynię uruketo, także z Yebéisku. Trzeciej nie znam.

- Ja ją znam - powiedziała Enge, a siła lęku i nienawiści w jej słowach wstrząsnęła Ambalasei, bo

nigdy jej takiej nie słyszała.

- Zwie się Vaintè, kiedyś była mą efenselè, teraz jest odrzucona i pogardzana. Kiedyś była mądrą przywódczynią. Teraz idzie za nią tylko śmierć.

Patrzyły w ponurym milczeniu, jak ciemny kształt wznosi się i zbliża do nabrzeża, wysłajac przed sobą uderzające o drewno drobne fale. Ambalasei zastanawiała się nad wejściem na własne uruketo i odpłynięciem, lecz zrozumiała, że już na to za późno, gdy Fafnepto uniosła hèsotsan. Nie można było zlekceważyć tego gestu. Ładunek uruketo był bardzo niemiły.

Fafnepto zeskoczyła na brzeg i ruszyła ku nim, trzymając mocno hèsotsan. Tuż za nią szła nieuzbrojona Vaintè. Ambalasei wyraziła odmowę i niechęć.

- Fafnepto, czy masz powód, dla którego przychodzisz w tak obraźliwy sposób i zwracasz uwagę na broń?

- Ważny powód, Ambalasei. Jest tu tylko jeden hèsotsan i ja go trzymam. Dlatego wydaję rozkazy. Saagakel, Eistaa Yebéisku, poleciła mi szukać was i znaleźć. Wrócić z uruketo, które zabrałyście bez jej zezwolenia.

- Myli się. Miałam jej zezwolenie na korzystanie ze zwierzęcia.

- Tak, lecz Saagakel uważa, że wykorzystalaś go w sposób sprzeczny z jej pierwotnym zamiarem.

- Sprawa do dyskusji. Jak sądzę, chcesz zabrać to zwierzę do Saagakel. Możesz je wziąć.

- Ciebie też, Ambalasei. Eistaa chciała i twego powrotu. Odmowa nie zostanie przyjęta.

Ambalasei wygięła się pogardliwie.

- Jeśli odmówię - zabijesz mnie, łowczynio?

- Tak. I wykorzystam umiejętności twej asystentki, każąc jej zakonserwować twoje ciało, bym mogła z nim wrócić na dowód wykonania zadania. Może Saagakel zawiesi twą wygarbowaną skórę na ścianach miasta.

- Cicho! - rozkazała Enge tak mocno, że Fafnepto okręciła się ze wzniesioną bronią. - Niedopuszczalne-żałosne, by równie mało warta istota zwracała się tak do uczonej klasy Ambalasei. Rozkazuję milczenie i natychmiastowe odpłynięcie uruketo.

Fafnepto trzymała broń w pogotowiu, patrząc zimno na Enge, oczekiwała jej ataku. Wystąpiła Vaintè okazując groźbę-niemożliwości.

- Ona jest niezdolna do przemocy - powiedziała. - To Enge, będąc Córá Życia-Śmierci, nie może nikogo skrzywdzić. Fafnepto opuściła hèsotsan, wyrażając pogardę.

- Więc to o niej mówiła eistaa. Nie potrzebujemy jej, nic nas nie obchodzi. Wróci tylko uruketo i Ambalasei. Takie mam rozkazy. Mam też zabić każdą, która stanie mi na drodze.

Vaintè wyraziła zgodę.

- Mądra decyzja. Te stworzenia szerzą bunt. Zabicie ich to akt łaski. Dziwię się, że eistaa tego miasta pozwala im żyć.

- Tu nie ma eistai - powiedziała Enge z zimną pogardą. - Odejdź. Nie jesteście mile widziane. To miasto Ugunenapsy i nie chcemy was tutaj.

- Nie chcecie? To ładne miasto. Trudno uwierzyć. Porozmawiam z eistaa.

- Czy nie słyszałaś, głupia istoto? - spytała Ambalasei. - Tu nie ma eistai. Wyhodowałam to miasto, wiem więc, co mówię.

Z uruketo rozległo się głośne, choć zdyszane i niewyraźne wołanie o uwagę. Po płetwie schodziła Akotolp. Robiła to niezdarnie ze względu na swą tuszę i niesiony pojemnik.

- Nauczycielko... Ambalasei - powiedziała. - To Vaintè, której służę. Powinnaś jej posłuchać, bo jest mądra we wszystkim. To ja zaniiosłam jej twe notatki, są tu teraz, a ona je zrozumiała i przyprowadziła nas tutaj.

- Dość już powiedziałaś - stwierdziła pogardliwie Ambalasei. - W imię nauki przywiozłam ci wyniki mych badań, moje odkrycia. A ty, jak je wykorzystałaś? Przywiodłaś tutaj te wstrętne istoty. Teraz zabierzesz je z powrotem.

- Dość już próżnego gadania - poleciła Fafnepto. - Oto moje rozkazy. - Skinęła na Elem. - Masz natychmiast z całą załogą opuścić uruketo, bo wróci ono do swego miasta. Zaraz odpływamy do Yebéisku - oboma uruketo.

- A co z nimi? - spytała Vaintè, wskazując na Enge. - I z ich miastem?

- Nie obchodzą mnie. Odpływamy.

- Zostaję.

- Jak wolisz - Fafnepto zwróciła się do nieruchomej Elem. - "Czy moje rozkazy są niejasne? Precz z uruketo.

Akotolp położyła na ziemi przyniesiony przez siebie pojemnik i otworzyła go. Vaintè nachyliła się i wzięła coś ze środka. Fafnepto zauważyła ruch, odwróciła się, by sprawdzić, co się dzieje. Szybko uniosła broń.

Spóźniła się. Hèsotsan wyjęty przez Vaintè z pojemnika szczęknął raz, łowczyni zgięła się i upadła. Zgromadzone zeszywniały ze zgrozy. Wszystkie, poza spodziewającą się tego Akotolp. Podeszła i wyjęła hèsotsan z rąk nieżywej. Zadowolona z siebie stanęła obok Vaintè.

- Teraz - powiedziała Vaintè - będziecie słuchać moich poleceń.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Morderstwo zostało dokonane bardzo szybko, niewątpliwie tak właśnie miało być. „Po wszystkim jest bardzo łatwe do zrozumienia” - pomyślała Ambalasei. Fafnepto stała przed nimi wyprostowana, dumna ze swych umiejętności łowieckich, swej siły i broni. Nie wiedziała, że w miastach są łowczyńie przewyższające drapieżnością wszystkich mieszkańców lasu. Vaintè rozkazywała, a ta tłusta idiotka Akotolp jej słuchała. To ona przyniosła hèsotsan, umożliwiła zabójczy podstęp, była nawet na tyle bezczelna, aby ukryć broń wśród zapisków naukowych Ambalasei! Uczona zwróciła się do Akotolp, wyrażając gniew i obrzydzenie każdym ruchem swego ciała.

- Gruba-była-uczennico, teraz tęga-wykonawczynio-zabójczego-spisku! Zwróć mi natychmiast sprawozdania naukowe, bo jesteś niegodna ich posiadania.

Akotolp ugięła się przed mocą wściekłości, zapominając o trzymanym hèsotsanie, próbowała bezskutecznie coś powiedzieć. Wsparła ją Vaintè.

- Wielka Ambalasei, za bardzo się gniewasz na lojalną Akotolp. Bardzo dawno temu zobowiązała się mi służyć i teraz wypełniła jak zawsze wiernie swą obietnicę. Nie ma oczywiście zamiaru skrzywdzić swej nauczycielki. Obie cię szanujemy i uznajemy twą wielką mądrość. Jestem ci również wdzięczna za przeprowadzone na tym nowym kontynencie badania, bo umożliwiły mi dotarcie tutaj i wykonanie zadania.

- Miałaś polecenie zabicia Fafnepto? - zapytała Ambalasei z rozpaloną pierśią.

- Śmierć Fafnepto była godna pożałowania, lecz konieczna. Obie służyłyśmy Saagakel i przybyłyśmy tu na jej polecenie. Niestety, Fafnepto nie przystała na moją wersję pierwszeństwa zadań. Ponieważ takim Yilanè jak ona nie można niczego wytłumaczyć, musiała niestety zapłacić zbyt wysoką cenę za swe zadanie. Akotolp, oddaj mi hèsotsan, nim kogoś niechcący zabijesz. Nie machaj nim tak, niczego jeszcze nie zrobiłaś. Wypełniłaś jedynie swój obowiązek, przysłużyłaś się swej eistai, za co jestem ci wdzięczna. Oczywiście, zwrócisz Ambalasei jej notatki?

- Jeśli sobie tego życzysz, Vaintè.

- Wypełniasz nie moje życzenie, lecz polecenie wielkiej uczonej, której obie będziemy słuchać.

Ambalasei wyraziła niewiarę, gdy Akotolp postawiła przy niej pojemnik i szybko odeszła.

- Vaintè, czy wykonasz wszystkie moje życzenia? A jeśli zechcę pozostać w nowym mieście?

Vaintè ułożyła ramiona w wyrazie żalu.

- Niestety, to niemożliwe. Saagakel, eistaa Yebéisku, wysłała mnie, bym zabrała cię do jej miasta.

Tak się stanie. Wszystkie twoje notatki, zabrane przez Akotolp z Alpèasaku, są teraz na uruketo i tam pozostaną. Dołączysz do nich. - Zwróciła się do Gunugul, która zeszła z płetwy i stała równie nieruchomo jak inne, zeszywniała od nagłości i od zgrozy wydarzeń. - Powinnaś mieć dość mięsa i wody na powrót do Yebéisku. Czy tak jest?

- Tak, wystarczy, jeśli w czasie rejsu wiele będzie spało.

- Znakomicie. W takim razie natychmiast wracaj z Ambalasei.

- A co z drugim uruketo? Zostało zabrane przez Ambalasei, musi wrócić...

- Jak sama widziałaś, zostało odzyskane w dobrym stanie. Zapewnij wielką Saagakel, że kiedyś wróci do jej miasta. Wcześniej jednak wykorzystam je na pewien czas. Będzie to zapłata za wszystkie me wysiłki, za odnalezienie uruketo, za odszukanie i odesłanie tej, której pragnęła.

- Za zabicie Fafnepto - powiedziała Ambalasei z zimnym gniewem. - Enge miała rację - jesteś jadowitą, morderczą istotą. Na skradzionym uruketo, teraz skradzionym podwójnie, są moje prace, rzeczy, asystentka Setèssei. Co z tym?

- Udzielę wszelkiej pomocy. Wrócą oczywiście z tobą do Yebéisku. Przynieś to teraz. I odpływaj.

- A ty zostajesz. Jakie czyny niedobre-po-wielokroć tu knujesz?

- Moje plany nic cię, stara, nie obchodzą. Odpłyn - i raduj się troskliwością eistai.

Ambalasei wyraziła pogardę.

- Jeśli liczysz, że Eistaa mnie zniszczy, to porzuć tę nadzieję. Nic mi nie robi. Gdy przekażę Saagakel dane o mych odkryciach, ta zapomni o całej zemście. Jej miasto stanie się ośrodkiem nowej wiedzy i ściągnie uczone z całego Entoban\*. Jak wszystkie eistae przypisze sobie wszelkie zasługi. Dla mnie wszystkie miasta są takie same. Wystarczy. Setèssei, dogłębniej przeniesienia mych rzeczy. Odpłynę i odpocznę. - Zrobiła kilka zmęczonych kroków, potem odwróciła się do Enge z wyrazami natychmiastowego-ostatecznego rozstania.

- Przykro mi widzieć w twym mieście te stworzenia zła.

- Nie martw się. Przetrwają Zasady Ugunenapsy.

- To dobrze. Szczególnie wdzięczna jestem za dziewiątą.

Odwróciła się, wspięła na płetwę uruketo i zniknęła w środku.

Elem zaczęła coś mówić, lecz Vaintè skierowała na nią hèsotsan i wyraziła milczenie-lub-ból-śmierć.

Czekały długo w milczeniu, aż pojemniki Ambalasei zostały zabrane z jednego uruketo i załadowane na drugie. Akotolp, która przestała się bać po odejściu Ambalasei, ponownie wzięła hèsotsan Fafnepto i usiadła na ogonie. Służyła swej eistai.

Dowódczym Gunugul jako ostatnia weszła na gotowe do drogi uruketo. Odwróciła się i powiedziała zimno do Vaintè.

- Eistaa usłyszy o wszystkim, co tu się stało. O śmierci Fafnepto. O wszystkim.

- Opowiedz jej - stwierdziła Vaintè z druzgocącą, odrzucającą pogardą. - Uczyniłam, co jej obiecałam, teraz zrobię to, czego sama pragnę. Już. Odpływaj!

Czekała znów w milczeniu, aż między uruketo a nabrzeżem pokazała się woda. Dopiero wtedy zwróciła się do Enge.

- To już zrobione. Teraz zajmijmy się przyszłością. Bardzo podziwiam to wasze piękne, świeże, nowe miasto. Musisz mi o nim opowiedzieć.

- Nic ci nie opowiem, nie będę z tobą rozmawiać, odrzucam cię, jak zrobiłam to już kiedyś. Nikt tutaj nie uzna twej obecności.

- Czy pojmujesz, jakie to będzie trudne? Nie rozumiesz, że od teraz ja wydaję rozkazy? Lata twego przywództwa nareszcie dobiegły końca. To władzy zawsze obie pragnęłyśmy, prawda? Musisz to przyznać teraz, gdy skończyła się twa potęga. Kierowałeś tymi błędzącymi istotami i wiele spośród nich przez ciebie zmarło. Jak i ja jesteś jednak bardzo silna. Twoje przywództwo przeniosło je w końcu przez ocean i wzniosło miasto. Koniec z tym. Teraz ja rządę. I nic zupełnie nie możesz na to poradzić. Teraz ja będę rozkazywać, a ty słuchać mych poleceń. - Uniosła wycelowany hèsotsan. - W innym razie to przemówi za mnie. Wierzysz mi?

- Wierzę. Choć może jako jedyna. Ale wierzę ci.

- Dobrze. No to ja opowiem o tym mieście, niewątpliwie nowym i świeżo wyrosłym. Przybyłaś tu, a ta mądra uczone, Ambalasei, wyhodowała dla ciebie miasto w miejscu wszystkim dotąd nieznanym. Ponieważ nie było tu eistai, zaczęłaś głupio myśleć o nim jako o swoim mieście, mieście Cór Śmierci. Już nim nie jest. Teraz ja jestem eistaa. Jeśli to miasto ma jakąś nazwę, nie chcę jej słyszeć. Ponieważ nazywam się Vaintè, łowczyni-radości, chcę „muru" na znak trwałości mego miasta „tesi" - zdobycia i zachowania radości. To miasto nazywa się odtąd Muruvaintesi, miejsce, gdzie radość jest na zawsze upolowana i zachowana. Czy nie jest to najwłaściwsza nazwa?

- Jest tak niewłaściwa, że natychmiast ją porzucam, jak my wszystkie. Zostaw nas.

- Nie! Jest moje - a wy nie możecie się mi sprzeciwić. Albo możecie. Powinno to być dla ciebie łatwe. Masz ostatnią szansę, Enge. Walcz o odzyskanie władzy! Zabij mnie, Enge - a miasto znów stanie się twoje. Ale czyniąc to, utracisz, oczywiście, wszystko to, w co sądzisz, że wierzysz! Widzisz, Enge, jak dobrze cię znam. Jak postawiłam cię w położeniu bez wyjścia. Przegrywasz tak czy inaczej.

Enge poczuła, że zaczyna płonąć, że rozwiera szeroko kciuki, ogarnęło ją przemożne pragnienie złapania i zabicia tej gorszy-

cielki, która zniszczy wszystko, w co wierzy, czemu poświęciła całe swe życie.

Wiedziała jednak, że ulegając tym nagłym pragnieniom, zniszczyłaby się sama.

Czuła nadal gniew, lecz zamknęła go w głębi siebie, opuściła ręce i odeszła.

- Mądra decyzja - stwierdziła wygięta triumfalnie Vaintè. - Przemów teraz do swych Cór i każ im zajmować się miastem w czasie swojej nieobecności. Nie mają wyboru, prawda? Będą pracować jak zawsze, lecz teraz dla mojego miasta, a nie swojego. Przypomnij im, że w razie odmowy i oporu wszystkie zginą, a wtedy na ich miejsce sprowadzę fargi. Idź im to powiedzieć, a potem wracaj. Odplywamy do Gendasi\*, bo przed przekształceniem tego miasta mam jeszcze do wykonania ostatnie zadanie. Bardzo chcę, byś była przy znalezieniu i zabiciu ustuzou Kerricka. Chcesz tam być. Prawda?

Gniew i nienawiść płonęły teraz głęboko w Enge, widać je było tylko w jej oczach. Patrzyła długo na Vaintè, potem odwróciła się i wolno odeszła. Vaintè przywołała uwagę załogi uruketo.

- Kto tu dowodzi? - zapytała.

- Ja - odplarła Elem - ale służę Ugunenapsie, a nie tobie. Uruketo tu pozostanie. Możesz teraz mnie zabić.

- Tak łatwo się nie wymkniesz, dowodząca. To nie ty umrzesz, lecz twoje głupie towarzyski. Za każdą odmowę wykonania mego rozkazu zabiję jedną z nich. Zrozumiałaś?

Elem wyraziła zmieszanie i niewiarę, niemożliwość dokonania.

- Jest możliwe - stwierdziła Vaintè. - Akotolp, zastrzel jedno z tych ohydnych stworzeń, pokazując innym siłę mego zdecydowania.

- Nie! - krzyknęła Elem, występując naprzód i stając przed uniesioną bronią Akotolp. - Uruketo wypłynie, jak rozkazałaś, żadna nie umrze. - Spojrzała na leżące obok ciało Fafnepto. - Jeden trup wystarczy.

Enge szła sztywno do miasta, ciągle wstrząśnięta przybyciem Vaintè. Tego dnia przeszła do najwyższych nadziei do najgłębszej rozpacz. Spotkała na drodze dwie Córy, które zadrżały od bólu w jej ruchach. Zatrzymała je i rozkazała.

- Powiedzcie wszystkim, by przyszły teraz do ambesed. Katastroficzne wydarzenia.

Więści rozeszły się szybko, a ona szła wolno, zatopiona w myślach. Zebrały się jeszcze przed jej przyjściem i przemówiła do nich w całkowitej ciszy. Gdy skończyła opowiadać, rozległy się jęki bólu, które przeszły w krzyki rozpacz, po przekazaniu, co je czeka.

- Chciałabym powiedzieć wam, byście miały nadzieję. W tej chwili nie mogę.

- Opuścimy miasto - powiedziała Satsat. - Pamiętam Vaintè, jakże mogłabym ją zapomnieć? Jak Ugunenapsa jest wcieleniem życia, tak ona śmierci. Musimy opuścić miasto. W przeciwnym razie zginiemy.

Enge wyraziła zrozumienie.

- Mówisz tak ze strachu. Vaintè choć straszna, jest jednak tylko jedną Yilanè. Nie możemy umierać przy najmniejszym niepowodzeniu. To nasze miasto. Spróbuje uczynić je swoim, lecz będziemy się temu opierać milczeniem i pracą. Nie będziemy mówić do niej, lecz do fargi, które tu sprowadzi. Jeśli pojną słowa Ugunenapsy, staną się takie jak my i zwyciężymy. Proszę was tylko o zachowanie

wiary w to, cośmy zrobiły i co nam jeszcze pozostało do uczynienia. Zostańcie tutaj. Pracujcie ciężko. Po naszym powrocie będziecie może musiały pracować jeszcze ciężiej, nie mamy jednak wyboru. Jeśli naprawdę chcemy wypełniać nauki Ugunenapsy, nie pozostaje nam nic innego.

Satsat, Omal i Efen wiedziały, co je czeka. Znały Vaintè, gdy była eistaą Alpèasaku, przed zniszczeniem miasta. Wiedziały, do czego jest zdolna. Podeszły i dotknęły kciuków Enge jak jej efenselè, a inne patrzyły na to w milczeniu. To, co łączyło je wszystkie, dzięki czemu zaszły tak daleko, odkąd po raz pierwszy skupiły się dla wypełnienia woli Ugunenapsy, uspokajało teraz Enge, a nawet dodawało sił na przyszłość.

- Dziękuję wam za pomoc. Dziękuję wam za coś nowego, o czym dziś usłyszałam po raz pierwszy - za współczucie. Tego słowa użyła mądra Ambalasei dla opisanie nowego uczucia, jakie Ugunenapsa dała Yilanè. Zapamiętani je i wy pamiętajcie po moim odpłynięciu. Choć wydaje się, że nie ma nadziei - mam ją jednak. Może jeszcze się nam poszczęści.

Po tych słowach odeszła i podążyła miastem na brzeg rzeki. Wszystkie były już w uruketo z wyjątkiem czekającej Vaintè.

Enge nie miała jej nic do powiedzenia, ledwo ją zauważyła. Wspięła się na płetwę i powiedziała do stojącej tam Elem.

- Możesz odpływać, gdy tylko będziesz gotowa. Rób, co ci każą, bo to stworzenia wielkiej przemocy i śmierci.

- Będzie, jak mówisz. - Padł na nie cień Vaintè, lecz Elem zlekceważyła go tak samo jak Enge. - Nieważne, dokąd idziemy dzisiaj, bo jutro i w jutro jutra podążać będziemy ścieżką Ugunenapsy.

## ROZDZIAŁ XXXV

Rozstanie było radosne, bo na sposób Paramutan. Wszyscy wiedzieli, że okazanie smutku przed wyruszeniem mogłoby jedynie sprowadzić największe nieszczęścia, zamiecie, katastrofę. Hanath i Morgil byli bardzo zadowoleni z wyników wymiany, jak Paramutanie śmiali się mimo przemoczenia, gdy pomagali im zepchnąć ikkergak na morze. Fale były wielkie i nieraz ich zalewały, nim łódź zdołała wypłynąć. Kalaleq jako ostatni wsiadł na pokład, silne dłonie wyciągnęły go z wody, chwytając za ręce i ogon.

- Po zimie znów tu przyplyniecie. Będziecie mieli wiele do wymiany. Wracajcie!

- Wrócimy - zawołała Armun, musiała krzyczeć, by zagłuszyć rozbijające się o plażę fale. - Będziecie tu.

- Co powiedział ten kudłaty? - zapytał dzwoniący zębami, siny z zimna Hanatah. Owinał się jednym z nowych futer.

- Chcą się jeszcze z nami wymieniać.

- Wymienimy się. Następnym razem przyjdziemy wcześniej i zrobimy porro. Polubią je.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział Kerrick. - Chyba że spędzisz z nimi zimę. To bardzo dziwni ludzie.

- Lubię ich - stwierdził Morgil. - Wiedzą, jak się cieszyć. Powiedz nam teraz, co za straszny czarny gnój zakopałeś. Ciągłe czuję jego smród.

- Dzięki niemu przeżyjemy, gdy to zginie - powiedział Kerrick, unosząc hèsotsan. - Paramutanie robią silną truciznę o nazwie takkuuk. Może ona zabić największe zwierzę morskie. Zabije też murgu. Wiemy teraz jak ją robić. Sam nie wiem tego dobrze, lecz Armun wszystko pamięta, sporządziła ją z Kalale-qiem. Wydaje się to bardzo trudne.

- Niezupełnie - powiedziała. - Należy tylko w pewien sposób sprawić, by zgniły wnętrzości i krew, a potem dodać pewne korzenie. Znam tę roślinę, zawsze mi mówiono, by jej nie zrywać, a nawet nie podchodzić blisko. Teraz wiem, dlaczego.

- Smród zabije nas prędzej niż marag - powiedział Hanath.

- Chyba nie - Kerrick wziął włócznię. - Za drugim razem zakopujemy truciznę w małych skórzanych torebkach owiniętych wokół grotów włóczni. Same włócznie też zagrzebiemy, specjalne włócznie przeznaczone wyłącznie do zabijania murgu. Gdy dźgniemy maraga, grot przebije torebkę, raniąc ciało, i potwór zdechnie.

- Na pewno możemy tak zrobić - powiedział z wielkim entuzjazmem Morgil. - Pomożemy ci, Armun, zrobić mnóstwo włóczni takkuukowych. Będziecie się mogli nimi wymieniać z innymi sammadami. Pójdziemy nawet do doliny Sasku, by wymienić je na tkaniny.

- Możecie już nigdy nie polować - powiedziała Armun. - Będziecie teraz wymieniać.

- Oczywiście. Gdy zechcemy, będziemy też polować, ale lubimy wymianę.

Mieli teraz tyle futer i zwiniętych skór, że obaj handlarze musieli wyciągnąć kije na włóki. Objuczyli je ciężko i musieli się wymieniać przy ciągnięciu ich na południe. Noce były chłodne, dni rześkie, z przyjemnością owijali się do snu w nowe futra i skóry. „Gwiazdy świecą tu chyba jaśniej niż na wyspie” - pomyślał Kerrick, obserwując je, gdy Armun już zasnęła. Może dlatego, że będąc tharmami łowców, lśnią mocniej na północy, gdzie umarli. Kiedyś śniegi znowu stopnieją i będą mogli wrócić w góry. Tymczasem żyją tu, sammady się powiększają, murgu nie będą już im zagrażać po zdechnięciu hesotsanów. Jutro jutra zapowiada się dobrze. Yilanè bardzo często to powtarzały i myśląc o nich, wygiął ręce i nogi w kształt tego zdania. Armun jęknęła przez sen, musiał ją trącić. Leżał teraz spokojnie. „Zapomnij o Yilanè, wystarczy być Tanu” - pomyślał.



Droga na południe znajomym szlakiem była łatwa. Tylko dwa razy napadły na nich murgu na tyle duże, że musieli je zabić

śmiercio-kijami. Dobrze też jedli. Ten z łowców, który nie ciągnął włóków, szedł do puszczy i doganiał ich po jakimś czasie z zabitym maragiem czy sarną. Każdej nocy rozpalali ognisko i piekli świeże mięso, jedli tyle, by starczyło im do następnego dnia. Szli tak coraz dalej na południe.

Gdy doszli do ścieżki prowadzącej do innych sammadów, zastanawiali się nad możliwością zboczenia. Hanath i Morgil chcieli się wymieniać, Kerrickowi było obojętne, co zrobią, lecz Armun się uparła.

- Nie. Te sammady mogły przejść na południe. Jeśli nie, będziecie mogli we dwóch do nich wrócić. My idziemy do naszego sammadu. Mamy tam dzieci i chcę je zobaczyć. - Spojrzała oskarżycielsko na Kerricka.

- Ja też. Nie zatrzymamy się. Idziemy prosto na wyspę.

Dni stawały się coraz krótsze, wraz z nimi malała odległość, jaką mogli codziennie pokonać. Armun martwiła się wolnym posuwaniem. Popędzała ich, tak iż wyruszali w drogę jeszcze przed świtem i szli po zmroku.

- Zmęczyłem się - powiedział pewnego wieczoru Hanath, patrząc na ciemniejące niebo. - Lepiej, jak się już zatrzymamy.

- Ja idę dalej - stwierdziła stanowczo. - Też jestem zmęczona, lecz jeśli zdołamy dziś dojść do strumienia, jutro przed nocą będziemy na wyspie. Pójdę sama, jeśli wy nie chcecie. Dajcie mi jeden ze śmiercio-kijów.

- Idziemy, idziemy - mruknął Hanath, napierając na ramię.

W nocy padało, lecz wypogodziło się przed ranem. Armun obudziła ich, wyśmiewając się ze skarg. Gdy jednak znaleźli się na szlaku, wszystkim stało się pilno do powrotu. Nie zatrzymywali się, lecz jedli w drodze zimne mięso. Nic nie pili, bo wszyscy mogli wytrzymać bez wody do wieczora. Kerrick nie zauważył odchodzącej w bok ścieżki, lecz wskazał ją Morgil, odsłaniając zarastające wejście nowe gałęzie. Nim doszli do przeprawy, usłyszeli przed sobą wołanie i spotkali grupę łowców. Nastąpiły gorące powitania, krzyki podziwu na widok futer i skóry. Łowcy chętnie pomagali nieść nowe dobra i wszyscy szli teraz szybciej.

W sammadach Herilak powitał ich głośno. Z namiotu wyszła Malagen z dzieckiem w ramionach. Śmiała się i wołała, aż Armun wzięła Ysel i podniosła wysoko.

- Paramutanie byli tam i dobrze się wymienialiście - powiedział Herilak, gładząc miękkie futro.

- Lepiej, niż myślisz, sammadarze - powiedział Kerrick. - Mają coś, co nazywają takkuuk, i wiemy teraz, jak to robić. Będzie to dla Tanu bardzo ważne.

- Gdzie jest Arnwheet? - spytała Armun. Przyciskając mocno niemowlę, przyglądała się biegnącym dzieciom. - Gdzie on?

- Nie ma go tutaj, ale wiem, gdzie jest - powiedział jeden z chłopców. - Poszedł sam na zakazaną wyspę i wije się tak z maragiem.

Zaczął się trząść w przód i w tył, lecz jego śmiech przeszedł w krzyk bólu, gdy Armun go uderzyła i powaliła.

- Nie wiedziałbyś o tym, gdybyś sam tam nie poszedł, a to jest zakazane. Nie powinien być tam sam. - Mówiąc to, patrzyła gniewnie na Kerricka.

- Przyprowadzę go z powrotem - powiedział, biorąc śmiercio-kij. - Chodź ze mną, Herilaku, mam ci wiele do powiedzenia.

- Zgoda - odparł sammadar i poszedł po łuk i kołczan.

- Czy to właściwe miejsce? - spytała Vaintè, trzymając na słońcu arkusz obrazu, potem

przypatrując się bliskiemu brzegowi.

- Tak - odparła Akotolp, dotykając go palcem. - Jesteśmy tutaj. W pobliżu małych wysepek przy wybrzeżu. Ta przed nami zasłania większą, na której są legowiska ustuzou.

- Czy uruketo nas tam zabierze?

- Niestety nie. Woda między wyspami jest zbyt płytka.

- Zrozumiałam. A gdzie jest miejsce, w którym znaleziono Yilanè?

- Tutaj, na tej wyspie zwróconej ku morzu.

- No to na niej wylądujemy. Porozmawiamy z nią. Stwory ustuzou są groźne. Zaatakujemy je po to, by zabijać. Może Yilanè zdoła nam pomóc, powie, czy jest tam ten, którego szukam, wskaże, gdzie go znaleźć. Inni mogła zginąć lub przeżyć, nie obchodzi to mnie, muszę jednak widzieć jego śmierć. - Wydała Elem brutalne rozkazy. - Do brzegu, zbliżyć się. Rozkaż Enge tu przyjść.

Były tuż za pasem przyboju, gdy Enge dołączyła do nich na szczycie płetwy.

- Płyn do brzegu - poleciała Vaintè. - Akotolp pójdzie z tobą. Nie zapomnij, że weźmie z sobą hèsotsan. Ja dołączę do was z moim. Jeśli Elem knuje odpłynięcie, to gdy tylko znajdziemy się na plaży, wówczas cię zabijemy. Czy to jasne?

Enge wyraziła zrozumienie-plugastwa, odrzucenie-mówiącej, a potem zeszła na grzbiet uruketo. Znalazła się w wodzie i dopłynęła do brzegu na długo przed dyszącą Akotolp. Nie próbowała uciekać, bo wiedziała, że gdyby to uczyniła, Vaintè zabiłaby obecne w uruketo. Enge zaczęła na Akotolp na plaży. Pływająca szybko Vaintè wkrótce do nich dołączyła.

- Pójdę pierwsza - powiedziała. - Trzymaj się blisko mnie.

Wspięła się powoli na wydnię, zostawiając głębokie ślady ostrych pazurów. Na szczycie rosła szorstka trawa, zatrzymała się i rozgarniała ją powoli, by zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Zastygła w bezruchu, jedynie zwrócona w tył ręka nakazywała ostro milczenie. Spoglądała na znajdujące się pod nią dwie postacie, słuchała ich rozmowy.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział Arnwheet, trzymając hardalta za jedną mackę i pokazując go Nadaske.

- Grardal - powiedział Nadaske, wyciągając rękę tak samo jak chłopiec.

- Nie grardl - rzucił Arnwheet. - Hardalt, tylko hardalt - i nie trzymaj tak ręki.

- Ty trzymasz.

- Oczywiście. Ale mówiąc marbakiem nie ruszasz się, wydajesz tylko dźwięki.

- Głupia-brzydka mowa. Nadaje się tylko dla ustuzou. - Nadaske dostrzegł jakiś ruch nad sobą, spojrzał tam jednym okiem i rzucił się do szałas.

- Natychmiastowe zaprzestanie ruchu - rozkazała Vaintè, schodząc po zboczu. - Jeśli masz tam hèsotsan, to dotknij go tylko wtedy, gdy zechcesz umrzeć. Wychodź - z pustymi rękoma!

Nadaske odwrócił się powoli, niechętnie, wyszedł na słońce z rękoma zwisającymi bezwładnie wzdłuż ciała. Vaintè przyjrzała mu się uważnie, pochyliła naprzód i prychnęła radośnie.

- To samiec! Jest w nim coś znajomego.

- Już się spotkaliśmy, Vaintè. Ty możesz nie pamiętać. Ja tak. Byłaś eistaą Alpèasaku, gdyś wysłała mnie na plaże narodzin. Wróciłem.

Vaintè wyraziła zimne rozbawienie z oczywistego i zrozumiałego gniewu samca. Ukazała brutalnie, że z radością wysłałaby go na plaże jeszcze raz, nawet natychmiast. Główną jednak uwagę poświęciła Arnwheetowi, który cofał się z oczami rozszerzonymi strachem, patrząc na inne murgu schodzące zboczem. Dwie z nich, trzymające hèsotsany poruszały się sztywno, zupełnie inaczej niż Nadaske. Cofnął się jeszcze jeden krok, lecz stanął na znak pierwszej nakazujący zaprzestania ruchu.

- Słyszałam, jak rozmawiałeś z tym samcem. Jesteś Yilanè, a to niezwykle-nieosiągalne. Raz się już

jednak zdarzyło. Podejdz do mnie, to rozkaz. Czy rozumiesz?

Arnweet zbliżył się, drżąc ze strachu, wyraził zrozumienie słów. Poczł smród oddechu Vaintè, gdy ta nachyliła się nad nim, wyciągnęła kciuk i dotknęła metalowego noża zwisającego z szyi chłopca.

- Co oznacza ten wyrób z metalu? Większy od niego miałam już w ręku. Trzymałam też taki mały, dawno temu. Posłałam większy na znak, że muszę zakończyć wojnę, którą wygrywałam. Zwiśał z szyi ustuzou śmierci, Kerricka. Wytlumacz natychmiast.

Arnweet zrozumiał wszystko, co mówiła Vaintè z wyjątkiem wymówionego przez nią w dziwny sposób imienia Kerricka. Znaczenie słów było jednak jasne.

- Jest jeszcze tylko jeden taki nóż. Zwiśa z szyi mojego... efenselè. - To było najbliższe określenie, jakie mógł wymyślić, Yilanè nie znały słowa ojciec.

- A więc jesteś efenselè tego, którego szukam. Gdzie on jest jednak, dlaczego jesteś sam? Samcze, poinformuj mnie szybko o znaczeniu tego - rozkazała, patrząc jednym okiem na Arnweeta, drugim na Nadaske.

Nadaske nie odpowiadał. Koniec z wolnością, koniec z życiem. To Vaintè, znana z okrucieństwa. Będzie bardzo niezadowolona z jego ucieczki z hanalè po śmierci miasta, życia swobodnego jak samica. Dopilnuje, by przed śmiercią na plażach cierpiał na wiele sposobów. Wszystko się skończyło. W krzakach coś się poruszyło i spojrzał tam. Jakieś zwierzę, to nieważne, nic już teraz nie ma znaczenia.

Gdy tylko Kerrick i Herilak doszli nad cieśninę, z zarośli po drugiej jej stronie wypadł Dali. Rzucił się do wody i parł ku nim łkając i dysząc. Herilak wyciągnął go z morza i potrząsnął.

- Już raz zostałeś zbity za przyjscie tutaj. Teraz zbije cię tak...

- Murgu - są tam! Wyszły z morza, murgu... Herilak chwycił go pod brodę i przyciągnął.

- Jakie murgu? Te zabijające śmiercio-kijami?

- Tak - odparł Dali i upadł na ziemię. Herilak pośpieszył za Kerrickiem wpadającym do wody. Złapał go po drugiej stronie i zatrzymał.

- Powoli i cicho, nie śpiesz się, bo zdązysz jedynie na własną śmierć. - Nałożył strzałę na łuk.

Kerrick odepchnął dłoń sammadara, pobiegł nie słysząc jego słów. Są tam Yilanè, złapały Arnweeta. Pędził przez piasek, a tuż za nim Herilak. Biegli wzdłuż brzegu i wydmy zasłaniającej małe obozowisko Nadaske. Stanęli usłyszawszy krzyk przerażenia.

- Nie! Zabijają go! Opuść hak. Zrób to dla mnie, Herilaku, zrób dla mnie.

Położył na ziemi swój śmiercio-kij, lecz Herilak stał mocno, widząc tylko tych, których musi zabić. Jeden marag mierzył w Arnweeta. Gdyby to był jego syn, nie wahałby się, zabiłby wszystkich, choćby za cenę śmierci chłopca.

Arnweet jest synem Kerricka. Już raz przez Herilaka chłopiec omal nie zginął. Nie może umrzeć teraz, nawet gdyby miał sam zginąć. Powoli, nie odrywając oczu od murgu, pochylił się i położył łuk na ziemi. Brzydki marag za Arnweetem chrząknął i wykręcił się, otworzył pysk, ukazując ostre, spiczaste zęby.

- Dobrze, że jesteście posłuszni - powiedziała Vaintè, trzymając race w geście triumfu, rozwierając szczęki dla okazania jedzenia-zwycięstwa.

- Pozwól odejść małemu. Zostanę za niego - powiedział Kerrick.

- Bardziej cenisz życie efenselè niż swoje własne?

- Może mieć wielkie znaczenie dla tego ustuzou - powiedziała Akotolp. - Badałam te zwierzęta. Rodzą się żywe, bez jajek, wielkie przywiązanie w małym efenburu... - Umilkła na ostry rozkaz

Vaintè, która przemówiła triumfalnie:

- To już koniec, Kerricku. Zbyt długo ze mną walczyłeś, zabiłeś zbyt wiele Yilanè. To moje zwycięstwo. Mamy już swoje miasto. Będzie rosło i kwitło. Umrzesz ty i te dwa ustuzou. Wiedz jednak, że to dopiero pierwsze zgony. Wrócę tu z fargi i stworzeniami śmierci wyhodowanymi przez zawsze-wierną Akotolp. Wrócę i wygubię wasz rodzaj z całego Gendasi\*. Odnajdę każde śmierdzące legowisko waszego gatunku i zabiję was wszystkich. Pomyśl o tym umierając. Pomyśl o tym, powoli i starannie. Dam ci czas, byś umarł z tą świadomością.

Unosząc broń, Vaintè wyraziła zwycięstwo-we-wszystkim. Wokół niej panowała cisza, wszystko zastygło ze grozy. Enge nie mogła się poruszyć, rozdierana przez konflikt wierzeń i uczuć. Arnwheet był przerażony, Nadaske stał nieruchomo jak posąg. Jedynie Akotolp okazywała zrozumienie-dokończenia.

Nadaske poruszył się i Vaintè zerknęła na niego jednym okiem, lecz gdy tylko dostrzegła, że bezradny samiec odwraca się, nie mogąc na nią patrzeć, znów spojrzała na Kerricka.

Nadaske stanął przy przestraszonym chłopcu, położył mu kciuki na ramionach w geście sympatii i zrozumienia.

Vaintè uniosła hèsotsan wymierzony w Herilaka.

- Będziesz ostatni, Kerricku. Patrz, jak najpierw giną twoi efenselè.

Nadaske opuścił dłonie, chwycił metalowy nóż zwisający z szyi Arnwheeta, zerwał go i szybko się odwrócił.

Wbił go mocno w bok szyi Vaintè.

Czas stanął. Oczy Vaintè rozszerzyły się z bólu, zadrzała, tak mocno ścisnęła hèsotsan, aż ten wykręcił się w jej dłoniach. Nadaske ciągle trzymał nóż w silnych kciukach. Trysnęła krew, gdy się przekręcił.

Vaintè zachwiała się, upadła, odwróciła się i strzeliła, nim legła na ziemi. Rozległ się ostry trzask i Nadaske padł na nią.

Akotolp, nie będąc nigdy Yilanè działania, patrzyła się tylko w przerażeniu na oba ciała. Nim jeszcze pomyślała o uniesieniu swego hèsotsanu, Enge wyrwała jej go z rąk.

- Koniec z zabijaniem! - zawołała Enge, wznosząc broń wysoko nad głową i rzucając ją daleko w morze.

- Koniec z zabijaniem - powtórzył Kerrick w marbaku, kładąc łagodnie dłonie na ramionach sięgającego po łuk Herilaka. - To moja przyjaciółka. Ona nie zabija.

- Może nie ona, ale co z tym grubym maragiem?

- Umrze - powiedział Kerrick głosem mroźnym jak zima. Przeszedł na yilanè. - Umrzesz, Akotolp, prawda? Powinnaś była umrzeć, gdy zginął Alpèasak, widzę jednak, że zdołałaś uciec. Teraz podlegasz Vaintè, aie ona nie żyje. Zginęło twoje miasto, zginęła twoja eistaa. Dlaczego żyjesz? Nie trzeba cię zabijać, bo zabijesz się sama. Towarzysz jej w śmierci.

Akotolp zrozumiała z wielkim lękiem, że ustuzou ma rację.

To koniec, koniec...

Jej oczy zaćmiły się, gdy padała, legła na piasku. Ruszała się jeszcze, lecz wkrótce zmarła.

Płaczący głośno Arnwheet pobiegł do ojca, objął jego nogi. Kerrick podniósł chłopca i mocno uściskał.

- Już po wszystkim - powiedział łagodnym, znużonym głosem. - Zginął nasz przyjaciel Nadaske, lecz nie mógłby mieć lepszej śmierci. Zrozumiesz to, gdy dorośniesz. Nigdy już nie pójdzie na plażę. Zawsze będziemy o nim pamiętać, bo zabił tą, która zabiłaby nas wszystkich. - Spojrzał na Enge. - Są tu inne?

- Nie, tylko Córy Życia. Nie ma takich jak te.

Spojrzała na wreszcie martwą Vaintè. Istota śmierci, leży martwa pod tym, który ją zabił. W gardle urosła jej gorzka kula i poczuła ogromny żal.

- Nie chcę więcej słyszeć o śmierci, myśleć o niej ani na nią patrzeć - zwrócił się do Herilaka i łagodnie odrywając Arnwheeta podał go wielkiemu łowcy. - *Zabierz* chłopca do matki. Dali na pewno podniósł już alarm. Zatrzymaj łowców, odeślij do obozu, nie mają tu nic do roboty. Powiedz Armun, co tu się stało, dodaj, że wkrótce wrócę.

Herilak wziął chłopca i skinął głową.

- Będzie, jak powiedziałaś, sammadarze. Widziałem, jak te dwa zabiły się nawzajem, a tamto po prostu położyło się i zmarło. Co się stało?

- Powiem ci, gdy wrócę. Na razie wiedz, że ta leżąca we własnej krwi prowadziła murgu przeciw nam. Z jej śmiercią kończy się wojna z nami. Już po walce.

- Czyli - wygraliśmy?

- Nie potrafię odpowiedzieć. Czy w ogóle można wygrać lub przegrać walkę, którą prowadziliśmy? Dość. Po wszystkim.

Patrzył, jak Herilak odchodzi powoli z jego synem. Potem zwrócił się do Enge stojącej nieruchomo i milcząco od chwili rozbrojenia Akotołp.

- Powiedziałaś właśnie mojemu ludowi, że walka między nami dobiegła końca. Czy to prawda, nauczycielko? Enge wyraziła potwierdzenie i triumf.

- Istotnie zakończona, mój uczniu. Chodź ze mną na plażę, bo chcę zapomnieć o popełnionej tu przemocy. Moje towarzyszki na uruketo muszą się natychmiast dowiedzieć, że koniec też z ich strachem. Mam im wiele do powiedzenia. Gdy byłeś mały, opowiadałam ci o Córach Życia, lecz chyba niewiele wtedy rozumiałeś. Wiedz jednak, że jest nas wiele. Nie zabijamy, mamy swoje miasto, miasto pokoju.

- Może wszystkie miasta będą takie jak to. Nie chcemy od Yilanè niczego, poza pozostawieniem nas w spokoju, jak robicie to wy.

Wyszli na szczyt wydmy górującej nad morzem. Uruketo unosiło się w pobliżu, drobne fale zalewały mu grzbiety. Enge wyraziła uwagę i płyn-tu w najprostszym języku fargi. Powtarzała to ciągle, aż Yilanè odpowiedziała gestami zrozumienia, zeszła z płetwy i wślizgnęła się do wody. Dopiero wtedy Enge zwróciła się do Kerricka, wyrażając razem nadzieję i zwątpienie.

- Myślę, że miasta Yilanè zostawią was w spokoju, bo teraz każda eistaa wie, jak straszną śmiercią grożą bliskie ci istoty. Czy jednak wasz rodzaj zostawi miasta w spokoju?

- Oczywiście. Powiem im, co się stało, będą się trzymać z daleka od Alpèasaku.

- Czy na zawsze? Kiedyś umrzesz, Kerricku. Co stanie się po twojej śmierci, gdy ujrzą tak blisko bogaty Alpèasak? Taki bezbronny wobec was.

- Ten dzień nigdy nie nadejdzie.

- Może masz rację, tak mówiąc. Teraz widzę pokój, za życia twojego i mojego, myślę jednak o jutrze jutra. Widzę wasz rodzaj, liczny, przychodzący do mego miasta pokoju i zabierający je Córcom Życia.

- Tak się nie stanie.

Kerrick patrzył, jak Yilanè z uruketo wyszła na brzeg i stanęła zeszywniała z radości, gdy Enge wyraziła koniec walki, koniec zabijania. Pojął, że mu nie odpowiedziała.

Tak, musiał przyznać, że jest taka możliwość. Yilanè nigdy się nie zmienia, nie mogą się zmienić. Tanu jednak uczyli się nowych rzeczy i zmieniali przez całe życie. Jeśli wybuchnie walka między oboma gatunkami, czy można mieć wątpliwości co do jej wyniku?

- Chciałabym ci jeszcze wiele powiedzieć, lecz musimy odpływać - stwierdziła Enge.

- Wiele do powiedzenia, brak czasu na mówienie. Czy się jeszcze spotkamy, Enge?

- Mam nadzieję, że tak, sądzę, że nie.

- Ja też. Mój przyjaciel Nadaske nie żyje. Oprócz niego ciebie jedyną spośród Yilanè mogę nazwać przyjacielem. Będę pamiętał o tej przyjaźni. Dziś jednak, gdy wreszcie ujrzałem śmierć Vaintè, czuję, że chciałbym zapomnieć o wszystkich Yilanè. Zabrały mnie do siebie siłą, żyłem wśród przemocy, rozstaję się z nimi wśród śmierci. Wystarczy Enge. Jestem Tanu. Pozostanę Tanu.

Enge zamierzała powiedzieć mu o Ugunenapsie i łączącym ich Duchu Życia, lecz rozmyśliła się, widząc chłód jego ciała.

- Jesteś, jaki jesteś. Jestem, jaka jestem.

Odwróciła się, weszła do wody i odpłynęła. Patrzył, jak druga do niej dołączyła i razem wdrapały się na czekające uruketo. Gdy skierowało się na pełne morze, odwrócił się i znów wszedł na wydnię. Trzy martwe Yilanè leżały bez zmian, choć odnalazły je już muchy. Pochylił się i wyciągnął metalowy nóż z szyi Vaintè, wytarł go o piasek. Trzeba pogrzebać zwłoki. Nie może też pozwolić na to ostatnie objęcie śmierci. Zepchnął z Vaintè ciało Nadaske, zamknął jego niewidzące oczy i wyprostował go na piasku. Odchodząc już, przypomniał sobie o nenitesku.

W tyle szalasu Nadaske była mała półka. Metal rzeźby chłodził mu palce, wypolerowane kamienie zaśniły w słońcu, gdy ją uniósł.

Trzymając rzeźbę w jednej ręce, nóż syna w drugiej, odwrócił się od Yilanè i ruszył ciężko w stronę Tanu.

## WYŚLANNIK

To się zdarzyło i musi być opowiedziane. Tak jak zawsze mówi alladjex, wspominając przeszłość. Ashan etoheran wariadith, aur skennast mań eis. Tak to brzmi w marbaku. Nie sędzę, bym potrafił jeszcze powtórzyć to w seseku. Armun mogłaby, zawsze była bardzo dobra w innych językach. W angurpiaqu byłoby to długie, rozciągnięte zdanie, coś w rodzaju Harvaqtangaq netsilikaktuvuk. Spotkamy się z Paramutanami co roku, wymieniamy się. Handlują inni, ja chodzę tam tylko dla przyjemności bycia z tymi dziwnymi, przyjaznymi ludźmi. Nie wymieniamy się jednak z nimi na porro, nie od pierwszego - i ostatniego - razu. Złamane ręce i nogi mogą się zagoić, lecz wylupione oko już nie odrośnie.

Armun mówi o ponownym przepłynięciu z nimi przez ocean, a ja na to: czemu nie? Nasza córka Ysel ma teraz swego łowcę, poszła z nim na pomoc. Przynajmniej Arnwheet jest z nami. Wyrósł na silnego, dobrego łowcę i ma swój sammad. Jak wiele innych dzieci wychowanych na wyspie nie czuje potrzeby wędrowania co roku, udawania się w ślad za zwierzyną. Wiem, że najbardziej rade są z tego kobiety. Nie chcą porzucać swych pól cha-radiusu, krosien i pieców. W bardzo gorące dni mówią, jak brak im śniegu i chłodnych zim, ale to tylko takie gadanie. Wielu jednak ze starych sammadów odeszło, ich miejsce zajęli inni. Niektórzy Tanu zmarli. Ortnar nadal żyje, wlecze swą bezwładną nogę i narzeka. Ale silny Herilak, który przeżył tysiąc bitew, nie obudził się pewnego ranka, leżał zimny u boku Merrith. Zdarzają się dziwne rzeczy. Ona wychowuje jednak ich syna, Terrina. Wyrasta na wielkiego chłopca, bardzo przypomina swego ojca.

Zdarzyło się to i musi być opowiedziane. Łatwo przekazać to w yilanè: lulukhesnii igikurunkè, marikulugul marikakotkuru.

Z uniesieniem ogona, czego nigdy nie mogłem uczynić. Muszę wkrótce pójść do miasta, do Alpèasaku, porozmawiać z nimi. Ciekawe, czy Lanefenuu jest nadal Eistaq? Na pewno, jeśli tylko żyje. Niełatwo byłoby ją usunąć. Muszę z nią pomówić. Próbowałem rozmawiać z Arnwheetem, lecz odparł, że nie będzie już więcej mówił w yilanè. Wystarcza mu marbak. Nie namawiałem go. Ciekawe, czy nadal pamięta swego przyjaciela - Nadaske, który zabił Vaintè jego nożem, a potem sam zginął na naszych oczach. Arnwheet śnił o tym, budził się w nocy z krzykiem, trwało to długo. Chyba się z nim zgadzam. Nie ma powodu, by pamiętał ciągle jak mówić w yilanè. Nie wziął swego noża, choć go wyczyściłem. Teraz jednak nosi go jego syn, a Arnwheet mój. Ojciec i syn, tak jak powinno być.

Czasem brakuje mi noża, chłodnego dotyku na piersi, ciągle jednak noszę błyszczącą metalową obręcz, zawsze będę nosił. Wyhodowała ją Vaintè, by trzymać mnie jako więźnia. Nie żyje od dawna, lecz stało się to zbyt późno. Nikt nie zliczy zmarłych przez nią. Muszę niedługo pójść do Alpèasaku. Powiedzieć im, by były ostrożniejsze, wzmocniły swe ściany, może przeniosły plaże narodzin. Młodzi łowcy przynieśli mi głowę, bym mógł im powiedzieć, czy to zabójczy marag. Nie był zbyt zabójczy z wybaluszonymi oczami i zwisającą szczęką. Zwyczajna fargi wyszła dopiero co z morza. Powiedziałem im, że tak, ale że nie wolno im więcej ich zabijać. Roześmieli się z tego. Ciągle mnie chyba szanują, lecz już nie słuchają.

Czy nie powiedziała o tym Enge przed odejściem, dawno temu? To nie będzie już na zawsze świat Yilanè. Nie wierzyłem jej wówczas. Teraz chyba wierzę. Wydaje się być coraz więcej Tanu, nie potrafię już policzyć sammadów. Wielu opuściło wyspę. Widzę czas, jeszcze odległy, daleki od dzisiaj, na pewno nie za mojego życia, gdy Tanu będzie tyle, że zapragną polować na terenie, gdzie rośnie teraz Alpèasak. Zechcą polować na jego stada. Widzę, jak do tego dochodzi.

Chciałbym zobaczyć jeszcze dolinę Sasku, ale to bardzo daleko stąd. Poszło tam dwóch łowców,

powiedzieli po powrocie, że nic się u nich nie zmieniło. Prawdopodobnie zawsze tak będzie, to już tacy ludzie. Powiedzieli, że Sanone nie żyje, był bardzo stary, lecz poza tym nic się nie zmieniło.

Chyba odwiedzę Alpèasak. Ostrzegę je, by lepiej pilnowały plaż narodzin, bo inaczej stracą więcej fargi. Widzę czasem w oddali ich uruketo, wiedzą więc, co się dzieje w innych miastach świata Yilanè. Ciekawe, czy coś wiedzą o Enge i Vaintè, różniących się od siebie jak dzień i noc. Cóż, bywa tak u Tanu, czemu miałyby być inaczej u Yilanè? Żyjemy w dziwnym świecie.

Dziwnym. Słyszałem, jak ktoś mówił o alladjexie i nazwał go starym Frakenem. Wyłysiał, może dlatego. Pamiętam go jednak, gdy był tylko chłopcem-bez-imienia. Wszystko się zmienia.

Będzie padać, wiem. Przed deszczem zawsze boli mnie biodro. Chyba pójdę dziś na łowy, choć mamy dosyć mięsa. A może pójdę na wyspę, na której mieszkał Nadaske. Biedne, samotne stworzenie. Nie powinienem tak mówić. Opuścił hanalè, żył po swojemu, nauczył się polować i łapać ryby. Nauczył się przy tym zabijać, czego nigdy nie robią samce Yilanè. Był dobrym uczniem, uderzył celnie. Nigdy go nie zapomnę.

Inni, oczywiście, zapomnieli. Wszyscy. Ja nie mogę. Ermanpadar nie miał nigdy dzielniejszego tharmu w swym pasie z gwiazd. Choć przypuszczam, że Yilanè nie mają tharmarów. Nic o tym nie wiem.

Urodziłem się Tanu, żyłem jako Yilanè, znów jestem Tanu.

Albo obojgiem. Nieważne. Choć czasem czuję dziwną samotność. Mam Armun, to nie taki rodzaj samotności.

Muszę pójść do Alpèasaku i porozmawiać z eistaą i innymi. Powinienem był zrobić to przed laty. Teraz już może za późno. Obawiam się, że tak. Za późno.

Mimo wszystko to się zdarzyło i musi być opowiedziane. Opowiadanie już się skończyło.



# KULTURA YILANÈ

Musimy do naszej historii wprowadzić kilka nowych określeń, jednym z nich jest kultura. Można ją zdefiniować jako całkowitą sumę naszych zwyczajów, przekazywanych poprzez wieki. Możemy założyć, iż nasza kultura ma swoje początki, choć nie sposób sobie wyobrazić, jaką mogłyby mieć postać. Jesteśmy jedynie w stanie opisać nasze obecne życie.

Każda Yilanè ma swoje miasto, bo ich życie wiąże się z miastem. Po wynurzeniu się z morza możemy jedynie w bezmownej grozie patrzeć na piękno i symetrię naszego miasta. Wchodzimy do niego jako fargi, jesteśmy przyjmowane i karmione. Słuchamy innych, uczymy się tak. Obserwujemy i uczymy się. Gdy potrafimy już mówić, proponujemy nasze usługi i jesteśmy traktowane uprzejmie. Przypatrujemy się różnorodnemu życiu miasta, pociąga nas ta lub tamta jego strona. Niektóre z nas służą pokornie i dobrze przy stadach i w rzeźniach. Wszystkie czytające to Yilanè powinny pamiętać, iż służba nie ogranicza się wyłącznie do nauki i prowadzonych przez nie badań. W służbie wszystkie Yilanè są sobie równe.

Budowa miasta jest koncentryczna, najbardziej zewnętrznymi kręgami są pola i zwierzęta, dalej jest żywe miasto, którego środek stanowią plaże narodzin i ambesed. Podobnie zbudowana jest też nasza kultura. Skrajny, wielki krąg tworzą fargi. Wewnątrz jest krąg pomocnic i wyszkolonych robotnic o różnych specjalnościach. Otaczają one uczone, nadzorczyńie, budowniczyńie - wszystkie są mistrzyniami w swym wyuczonym kunszcie. One z kolei zwracają się ku przywódczyniom miasta, wszystkie zaś zwracają się ku rządzącej eistai. Jest to układ logiczny, prosty, kompletny, jedyny możliwy dla kultury.

Taki jest świat Yilanè. Trwa tak od jaja czasu i trwać będzie zawsze. Tam, gdzie są Yilanè, są też ich zwyczaje i prawa, ku szczęściu wszystkich.

Na obu biegunach naszej planety panuje wielki chłód i niewygodna, Yilanè są zbyt rozsądne, by się na nie zapuszczać. Ostatnio jednak odkryto, że na świecie istnieją dogodne miejsca pozbawione Yilanè. Wypełnienie tych pustek należy się nam i światu. Niektóre z tych miejsc zawierają ustuzou, nieprzyjemne ustuzou. Dla potrzeb nauki musimy zbadać te stworzenia. Większość czytelniczek zamknie tu ten tom, ponieważ takie sprawy ich nie interesują. Dlatego to dalszy ciąg niniejszego rozdziału, począwszy od tej strony przeznaczony jest dla mających specjalne zainteresowania.

Przy omawianiu nieprzyjemnych spraw należy wspomnieć, że kultura Yilanè, choć wydaje się monolityczna, zawierać musi w sobie drobne odmiany. A nawet, trzeba to sobie powiedzieć, herezje. Dla pragnących poznać wszystkie szczegóły świata i życia, nawet najbardziej odpychające, podajemy niżej opis wierzenia opierającego się na myślach Yilanè imieniem Ugunenapsa, zwanej też z oczywistych powodów Farneksei. Doradzamy, by nie pokazywać tych myśli osobom młodym i łatwo ulegającym wpływom.

Należy również mocno podkreślić, że przedstawienie tych wierzeń nie jest w żadnej mierze ich popieraniem.

# OSIEM ZASAD UGUNENAPSY

## PIERWSZA

„Żyjemy między kciukami Ducha Życia imieniem Efeneleiaa”.

Wszystkie zasady wywodzą się od tego jednego, najważniejszego objawienia: Yilanè i wszystkie inne żywe stworzenia żyją między Kciukami Ducha Życia. Objawienie to ukazało mi się jako olśnienie, że jest coś, bo było zawsze, istnieje od Jaja Czasu, co raz dostrzeżone okazuje się oczywiste i niewątpliwie prawdziwe. Badania jednak, które doprowadziły do tej prawdy, będącej objawieniem, wymagały wielu lat nauki, wielu wytrwałych rozmyślań, bardziej jeszcze nawet znojnego wypytywania i szukania odpowiedzi. Przez całe lata przeszukałam wszystkie zasady wszystkich znanych nam dziedzin wiedzy. Czyniąc to, wyęźlałam umysł do granic jego możliwości. Wreszcie zobaczyłam to, co istniało zawsze.

Zrozumiałam najpierw, że Duch Życia musi być wewnątrz mnie, skoro żyję. Jeśli jest we mnie, musi być przeto także we wszystkich innych Yilanè. Z pojęciem tego przyszło ostateczne, pełne zrozumienie, iż wszystkie inne żywe stworzenia tkwią między Kciukami Ducha Życia. Większość istot nie potrafi pojąć rzeczywistości własnego istnienia; podobnie większość Yilanè. Nie będą one szukać tej wiedzy. Jedynie Poszukiwaczki Zrozumienia zaczną rozumieć, a wówczas staną się Córami Życia. W całym istnieniu one jedynie pragną urzeczywistnić lub rozpoznać prawdę.

Z tej podstawowej zasady, prawdy, wypływa wiele wniosków. Tylko niektóre z nich byłam w stanie rozważyć i zrozumieć. Spośród nich przekażę tylko najogólniejsze. Okaze się, iż pracowałam nad wszystkimi innymi objawieniami, by móc ich nauczać i przekazywać pozostałym, że wszystkie one wypływają z tej jednej ujrzanej w olśnieniu podstawy, korzenia i źródła prawdy, z którego bierze się wszystko, co następne. Pragnęłabym, aby prawda ta stała się hołubionym nasieniem, z którego wyrośnie drzewo będące miastem. Moje nasienie prawdy, tak jak nasienie miasta, wypuści w głąb ziemi ogromny korzeń, a następnie potężny pień w stronę nieba. Wyrośnie z niego wiele gałęzi, będących objawieniami obejmującymi świat żywych istot. Obraz ten tworzy i wciela ma druga zasada.

## DRUGA

„Wszystkie zamieszkujemy Miasto Życia”.

Po stwierdzeniu tego natychmiast dochodzimy do wniosku, iż zasada ta może zagrażać tradycyjnym zwyczajom Yilanè. Możemy rozważyć ów wniosek jedynie wówczas, gdy zrozumiemy do końca wcześniejszą, starszą, większą tradycję; pojmiemy, że wszystkie jesteśmy mieszkankami jednego, ogromnego, obejmującego cały świat miasta; Miasta Życia.

Zastanówmy się nad tym. Jako pełnoprawne mieszkanki owego Miasta, jesteśmy sobie w nim równe, a będąc równymi, mamy jednakową wartość. Pozycja i władza okazuje się teraz czymś innym od naszego tradycyjnego układu władczyni i rządzonych. Równość opiera się na wzajemnym zamieszkiwaniu w Życiu, a nie na umiejętnościach politycznych, społecznych czy językowych, które zwykle określają nasze codzienne życie. Eistaa miasta i fargi mokra jeszcze po wyjściu z morza są równymi sobie mieszkankami tego większego Miasta Życia. Będą jednakowo podtrzymywane, cenione, wzbogacane w bezpośredniej zależności od stopnia zrozumienia i przyjęcia owego

prawdziwego ładu życia.

Podstawową prawdę tej obserwacji można dostrzec i wyjaśnić poprzez szacunek Yilanè dla wszystkich innych gatunków, nasze szczodre wysiłki dla wspomagania zagrożonych i zachowania istnienia wszystkich form życia. Robimy to, nieświadome kryjącej się za tym zasady, na której opierają się nasze działania i skłonności. Należy wspomnieć, że nawet nasze największe uczone, manipulujące formami życia, zmieniające je i dostosowujące dla naszej wygody i korzyści, nawet one nie dostrzegają przenikającej wszystko zasady wspólnego zamieszkiwania wielkiego Miasta Życia.

Niestety, pozostaje ona również skryta dla oczu wszystkich, nawet najlepszych i najpotężniejszych eistai. Choć mają władzę rozkazywania i kierowania, życia i śmierci, mimo to nie dostrzegają zasady, z której wypływa cała ich potęga. Można także stwierdzić, że niestety, wiele potężnych eistai, otrzymując wielką władzę, żąda posłuszeństwa sprzecznego z wielkim, dzielonym przez nas wszystkim zamieszkiwaniem. Choć przyczyną może być egoizm i żądza władzy absolutnej, to zasadniczym powodem jest nieświadomość ukrytej prawdy.

### TRZECIA

„Duch Życia, Efeneleiaa, jest najwyższą Eistaa Miasta Życia, a my wszystkie jesteśmy jego mieszkankami i częstkami”.

Dobroć Efeneleiai podtrzymuje nasze życie i początki istnienia. Jej bogate lśnienie nas oświeca. Zrozumienie i poznanie tego Ducha Życia oznacza odnalezienie własnego znaczenia poprzez przynależność do Życia i pokrewieństwo z wszystkimi żywymi istotami. Jej moc spokojnej afirmacji życia umożliwia nam przetrwanie, gdy wokół śmierć powala te, które nie znają jej i jej Dróg. My, wiedzące, zczynimy inaczej na siebie patrzeć, oddaliśmy się od niewiedzy, widzimy życie nasze i innych w całkowicie odmienny sposób.

### CZWARTA

„Poznając Większą Prawdę uzyskujemy nową siłę, bo otrzymujemy wówczas większy i wyższy ośrodek jedności i lojalności”.

Znajomość prawdy obdarza nas mocą i skupiskiem życia, jakich nie mają inni. Wiedza, iż jesteśmy Mieszkankami Życia powoduje, że łączymy się jako Córy Życia. Choć tak jak inne Yilanè żyjemy w miastach i jak one uznajemy władzę eistai, to przebywając tam, wiemy, iż najwyższe posłuszeństwo winne jesteśmy Duchowi Życia. Dzięki temu obejmuje nas szersza powinność wobec większej eistai, której królestwo szersze jest niż eistai naszego miasta. Służymy eistai mniejszego miasta i jesteśmy wobec niej lojalne, lecz tylko tak długo, dopóki nie rozkaże nam pogwałcić Zasady Życia. Gdy do tego dojdzie, musimy odrzucić jej polecenia i być posłuszne wyższym rozkazom Efeneleiai.

Dzięki wyższej podległości naczelnemu ośrodkowi lojalności te, które naprawdę pojmują znaczenie Efeneleiai, mogą, pomimo zwrócenia przeciwko nim gniewu eistai, nadal czcić życie poprzez odmowę śmierci. To czyn słuszny, a nie naganny, ponieważ umieranie jest odrzuceniem życia. To eistaa nakazując śmierć łamie Zasady Życia. To, co według niej jest buntem wobec władzy, jest w rzeczywistości posłuszeństwem dla władzy wyższej. Prawdziwe jest również stwierdzenie przeciwne: umieramy, gwałcąc zasady Efeneleiai - choćby nawet eistaa rozkazywała nam żyć dalej.

## PIĄTA

„Aby móc ujrzeć Prawdę, musimy nabrać nowego spojrzenia oczami umysłu. Spojrzenie to pozwala patrzącej widzieć te same rzeczy, co wszystkie żywe istoty, lecz także sięgać wzrokiem pod powierzchnię zjawisk, dostrzegać niewidzialny, lecz prawdziwy porządek istnienia”.

Świadome dostrzeganie Prawdziwego Porządku rzeczy umożliwia nam rozpoznawanie Ducha Życia i służenie mu. To nowe spojrzenie może być jednak uzyskane tylko poprzez wielki wysiłek. Wymaga twardej dyscypliny umysłu, świadomego rozwijania jego zdolności, aż wreszcie osiągamy umiejętność dostrzegania we wszystkich rzeczach wzoru wyższego porządku; wycucia owego ładu, w którym trwają i rozwijają się wszystkie żywe stworzenia.

Do prawdy mogą też doprowadzić inne drogi. Jeśli są takie, to dotąd nie natrafiłam na nie. Postawiłam jednak stopy na ścieżce, która przyprowadziła mnie poprzez zaporę widzenia w ten sam sposób co wszystkie inne. Teraz odbieram rzeczywistość w odmienny, oświecony sposób. Znalazłam tę ścieżkę, zadając pytania na pozór zwykłe i oczywiste, których jednak Yilanè nigdy nie zadają. Chciałam wiedzieć, dlaczego jesteśmy takie, jakie jesteśmy. Chciałam wiedzieć, dlaczego żyjemy, jak żyjemy, przestrzegamy zasad istnienia tak, jak przestrzegamy, wiążemy się z sobą tak jak wiążemy. Chciałam wiedzieć, dlaczego eistaa jest wysoko, a fargi nisko. Chciałam wiedzieć, dlaczego ciągle przestrzegamy znanych i wygodnych zwyczajów. Dzięki naszym odkryciom we wszystkich naukach tak zmieniamy wszystkie formy życia, by odpowiadały naszym krótkotrwałym potrzebom. Mimo to nigdy nie rozważaliśmy zmiany siebie. Bo Yilanè pragną dla Yilanè jedynie niezmienności i ładu. Jutro jutra będzie takie jak wczoraj wczoraj. Tak bezwzględnie podzielamy ów pogląd, że nawet pytanie o niego wydaje się nam groźne.

Dlatego też szukałam podstawowych faktów naszego istnienia i o nie wypytywałam. Czyniąc tak, otrzymywałam jednak wyłącznie pragmatyczne odpowiedzi. Mówiące, że jeśli zrobi się to, wyniknie z tego tamto. To jednak obserwacja, a nie znajomość przyczyn. Najbardziej fundamentalne i najważniejsze pytania dotyczące naszego życia nigdy nie padają. Nie tylko nie są zadawane, lecz nigdy się o nich nie myśli. Chociaż zbadano całe życie i wykazano, że ulega mutacjom, nasze istnienie jako Yilanè jest uważane za wyjątek. To jednak niemożliwe, bo stanowimy jedność z resztą życia.

Gdy to zobaczyłam i zrozumiałam, uznałam zadawanie pytań, a potem szukanie na nie prawdziwych odpowiedzi za mój model dyscyplinowania i rozwijania umysłu. Pierwsze rozważania poświęciłam sprawom najważniejszym: życiu i śmierci. Yilanè żyją i umierają tak samo jak wszystkie stworzenia. Z jednym ważnym wyjątkiem. Yilanè wygnana przez eistaa ze swego miasta upada i umiera, choć nie padł żaden cios. Ta sama Yilanè utrzymawszy łaskawy rozkaz eistai opuszczenia miasta, a potem powrotu do niego, nie umiera. Dlaczego? Na czym polega specjalna władza eistai nad życiem i śmiercią? Czym może być?

Nie może mieć formy fizycznej, bo przekazywana jest wyłącznie informacja. Musi to być coś dzielone przez wszystkie Yilanè. Czyżby istniała siła wyższa lub bardziej podstawowa, niewidzialna, niedostrzegalna, lecz powszechna? Jeśli tak, cóż to za siła? Czy ogranicza się wyłącznie do Yilanè, czy też łączy wszystkie formy życia, choć nigdy jej nie szukałyśmy ani dotąd nie próbowałyśmy badań? Czy istnieje pewna jedność, od której wszystko zależy, coś wspólnego wszystkim formom życia, znacznie ważniejszego od pozornych różnic? Gdyby ktoś poznał takie Źródło, uświadomił je sobie, czyż nie uzyskałby możliwości lepszego czczenia życia i jego mocy, a przez to lepszego pojmowania rzeczywistości poza lub wewnątrz rozmaitych postaci codziennego życia, istnienia i walki?

## SZÓSTA

„We wszystkich żywych istotach tkwi podtrzymujący je Ład Współzależności, ważniejszy niż owe żywe istoty; którego wszystkie one przestrzegają świadomie lub nieświadomie - Ład istniejący od Jaja Czasu”.

Osiągnąwszy nowy wzrok umysłu, dostrzegamy Ład Współzależności wszystkich rzeczy. Widziany w całej swej pełni i przy prawidłowym działaniu Ład ten stanowi współdziałającą jednię cząstek poruszających się w harmonijnym powinowactwie.

W tym harmonijnym pokrewieństwie wewnątrz Ładu rywalizacja zdarza się jedynie w wyniku nieznamości złożoności współdziałań, lub też dostrzegania jedynie części całości i siebie samej jako osobnej, oddzielnej cząstki - jakby było się pełną i niezależną od innych. W pełni prawdy, w owym ładzie wzajemnych zależności, wartość każdego bytu osiągnana jest i realizowana poprzez pomaganie innym w samorealizacji.

Wartość siebie należy rozumieć i urzeczywistniać w powiązaniu z całością. Prowadzi to do samoafirmacji i sprzyja jej jako dobru, lecz poprzez samoafirmację Życia, ponieważ czcimy siebie jako cząstkę całości będącej Drogą Życia. Różni się to całkowicie i sięga znacznie dalej aniżeli egoizm eistai i pragmatyzm miast Yilanè. Przypomina bardziej ciepły sotosunek efenselè łączący przebywające w morzu efenburu, w którym takie pokojowe, harmonijne współdziałanie wydaje się czymś naturalnym. Bo też jest naturalne i nieświadome. Ład ten, o czym dotąd nie wspomniano, istnieje od Jaja Czasu.

Możemy poznać ów ład i go zrozumieć, ponieważ praca rozwiniętego umysłu odbija w sposób racjonalny i uporządkowany ład wszystkich rzeczy podlegających Duchowi Życia. Prawa naszej natury są częścią przenikającego wszystko ładu Drogi Życia. Iluzją jest myślenie o odrębności osobniczej w sensie odseparowania się jednostki. Wszystkie jednostki są na równi cząstkami całości. Indywidualność jest rzeczywista, lecz jedynie w ramach jednakowej przynależności do Miasta Życia, tworzenia części tego miasta, tak jak Yilanè jest częścią miasta fizycznego, a nie jako zbiór osobnych jednostek. Nasze umysły są ograniczonymi przykładami Ducha Życia wyrażającego się poprzez myśl; nasze ciała są przykładami Ducha Życia wyrażającego się poprzez rozciągłość; nasze istnienia są przykładami Ducha Życia wyrażającego się poprzez czczenie życia.

O ile rozumiemy owe współzależności umysłów od umysłów, ciał od ciał, istnień od istnień, nasze umysły ulegają rozszerzeniu i w ten sposób tracą ograniczenia i zapory, na jakie natrafiamy, gdy uważamy je za jedynie nasze. Znając i rozumiejąc ten Ład, i żyjąc zgodnie z nim, stajemy się czcicielkami Ładu i życia.

## SIÓDMA

„Córy Życia mogą i powinny, poprzez poznanie i zrozumienie owego Ładu oraz wierności Duchowi Życia, żyć w spokoju i afirmacji Życia”.

Raz dostrzeżona, poznana i rozumiana nowość, dziwność i piękno owej Drogi i Ładu Życia oraz Efeneleiai może kusić nas do powstrzymania się od działania, poświęcenia się medytacji lub ekstatycznego podziwiania. Sama tak żyłam, nim pojęłam niebezpieczeństwo podobnej izolacji. Czynienie tylko tego byłoby przeoczeniem i zlekceważeniem drogi, na której każda z nas może

wzbogacać siebie i innych, rozwijać siebie i całość. Można to osiągnąć poprzez pokojowe współdziałanie z innymi we wspólnej harmonii czci dla życia.

Ponieważ całość działa lepiej, gdy wszystkie jej części świadomie pracują dla chwały całości, a przez to dla chwały części, to i my, Córy Życia - wszystkie znające i rozumiejące Drogę i Ład - mamy przez tą świadomość obowiązek szerzenia wśród innych wiedzy o Życiu i Duchu Życia. Dlatego Efeneleiaa jest drogą harmonii, drogą pokoju i współdziałania wszystkich mieszkańek jej Miasta.

## ÓSMA

„Córy Życia mają obowiązek pomagania wszystkim innym w poznawaniu Ducha Życia oraz Prawdy o Drodze Życia”.

My, które znamy Drogę, musimy pomagać innym w poznaniu i zrozumieniu, w świadomym poddaniu się Duchowi Życia. Po stwierdzeniu tej prawdy wyłaniają się jednak dwa niezmiernie ważne pytania. Po pierwsze, jak można to czynić wobec pragnących naszej śmierci? Po drugie, jak możemy utrzymać czczony przez nas pokój i harmonię, skoro żyjemy dzięki zadawaniu śmierci? Czy mamy przestać jeść, aby przez to zapobiec zabijaniu tych, którymi się karmimy?

Po pierwsze, tak jak każda doba ma dwie strony, ciemną i jasną, tak i wewnątrz nas przebywają dwie przeciwne siły. Ciemność pragnienia śmierci i jasność pragnienia życia. Nawet te, które najbardziej nas nienawidzą mają w sobie pragnienie życia, jest to zgodne z Efeneleiaa. Nasza część dla życia zmienia żyjące w czci dla śmierci, podobnie jak zmienia nas wiedza o tym.

Odpowiedź na drugie pytanie głosi, że nie jedząc umrzemy. Tkwimy na wierzchołku ogromnej łodygi życia, zaczynając się od nic nie czujących roślin, wiodącej poprzez bardziej złożone rodzaje roślin do zwierząt roślinożernych i mięsożernych i kończącej się na nas. Okazuje się, że każda komórka tej łodygi życia ma obowiązek karmienia komórek leżących nad nią, czego zwieńczeniem się Yilanè, jedyna część łodygi rozumiejąca ją w całości. Dlatego też nie ma zabijania czy śmierci, lecz jedynie karmienie. Zabieranie życia zwierzęcia lub ryby nie jest zaprzeczeniem życia, lecz formą jego czczenia. Tamto życie służy podtrzymaniu innego życia, a przez to je wzmacnia. Jest tak i było od Jaja Czasu z wszystkimi formami życia w morzu, na lądzie i w powietrzu.

Jednakże niepotrzebne zabieranie życia, jak też zabijanie z innych powodów niż potrzeba jedzenia, stanowi zaprzeczenie życia, pogwałcenie Drogi Życia i występki przeciwko Duchowi Życia. Aby uniknąć takiego pogwałcenia i zaprzeczenia, Córy Miasta Życia muszą postępować jego Drogą oraz nauczać inne przestrzegania Drogi harmonii i pokoju, czci dla Życia - bo Pokój jest Drogą Życia panującą w królestwie Ducha Życia.

KONIEC

# SŁOWNIK

## YILANÈ - POLSKI

(Uwaga: poniższa lista obejmuje zarówno pojedyncze elementy, jak i niektóre powszechnie powtarzane jednostki.)

aa	w
aga	odjazd
aglè	przejście
aka	wstręt
akas	pokryty roślinnością ląd
akel	dobroć
akse	kamień
alak	następstwo
Alakas-aksehent	Florida Keys
alè	klatka
alpè	piękno
ambei	wysokość
ambesed	centralne miejsce spotkań
anat	wyrostek ciała
ankanaal	ocean otoczony lądem
ankè	obecność
apen	żądanie
asak	plaża
ast	ząb
asto	ruch
awa*	ból
ban*	dom
buru	otoczenie
dee	to
ee	na zewnątrz
eede	tamto
eesen	płaskość
efen	życie
efenburu	grupa powstała w dzieciństwie
efenselè	członek efenburu
eisek	błoto
eisekol	zwierzę brodzące
eiset	odpowiedzialność
eistaa	przywódczyni miasta
eksei	ostrożność

elin	mały
elininyil	okres życia poprzedzający fargi
elinou	mały gad drapieżny
embo	ciśnienie
empè	pochwała
end	widzenie
enet	jezioro
ènè	giętkość
enge	miłość
enteesenat	plezjozaur
ento	każdy pojedynczy
Entoban*	Afryka
erek	szybkość
esek	szczyt
esekasak	strażniczka plaży narodzin
esik	południe
espei	postawa ciała
estekel*	pterodaktyl
eto< .	strzał

fafh	łapać
far<	śledztwo
fargi	ucząca się mówić

gen	nowy
Genaglè	Cieśnina Gibraltarska
Gendasi*	Ameryka Północna
gul	słuchanie
gulawatsan	zwierzę syrena

hais	umysł
han	samczość

Uwaga: te dwa pojęcia są zawsze rozróżnialne wyborem kontrolera

hanalè	}	kwatery samców	}	samica
has		has		
hè		Żółć		
hen		cyfra 1		
hent		samiec, samica		
hèsotsan		obrót		
hornsopa		broń stworzenie strzelające strzałkami		
huruksast		postać genetyczna		
		monoclonius (gatunek dinozaura)		



igi	wejście
ihei	zmysł węchu, dotyku, czucia
ineg	stary
inlè	duży wymiar
intè	polować
ipol	trzeć, polerować
Isegnet	Morze Śródziemne
isek	północ
ka<	zaprzestanie
kain	linia wzroku
kakh	sól
kał	trucizna
kalkasi	ciernisty krzew
kasei	cierń
kem	światło
khets	wypukłość
kiyis	wschód
kru	krótki
lan<	kopulacja
leibe	trudność
lek	lichość
mal	brak zmartwień
man<	ostatni
Maninlè	Kuba
masinduu	wyświetlacz
melik ciemny	
melikkasei	pnącza z trującymi cierniami
natè	przyjaciół
nefmakel	stworzenie-bandaż
neni	czaszka
nenitesk	dinozaur triceratops
nin	nieobecność
ninsè	nie odpowiadający
nu*	odpowiedniość
okhalakx	zwierzę trawożerne
okol	jelito
onetsensast	stegozaur
pelei	odkrycie

rubu	nieważkość
ruud	zaprzestanie
ruutsa	ankylozaur
sanduu	mikroskop
sas<	szybkość
sat	równość
selè	wież
sèsè	ruch
setę	grupa powstała w jakimś celu
shak	zmiana
shan	wola
shei	zimno
sokèi	oczyszczony teren
son*	pierwiastek
stal	zdobycz
takh	czysty
tarakast	wierzchowiec
tesk	wklęsłość
top	bieg
tsan	zwierzę
tso	odchody
trumal	wspólny atak
tuup	gruby, tłusty
ugunkshaa	urządzenie zapisujące
umnun	zenzymowane mięso
unut	pełzać
unutakh	ślimak zjadający włosy
uruketo	zmutowany ichtiozaur
uruktop	ośmionożne zwierzę juczne
uruktub	brontozaur
ustu	krw
uu	wzrastać
ustuzou	ssaki
yil	mowa
yiliebe	niezdolna do mowy

## MARBAK - POLSKI

alias	ścieżka
alladjex	szaman
amaratan	nieśmiertelni (istoty boskie)

arnwheet  
as  
atta

jastrząb  
jak  
tata

bana  
beka  
benseel  
bleit

synek  
splatać  
mech torfowiec  
zimno

dalas  
dalasstar  
drija

zupa  
mocna zupa  
krwawić

eghoman  
ekkotaz  
elka  
erman  
Ermanpadar  
es  
ey

ślubujący  
orzechy z jagodami  
świecić  
niebo  
niebo-ojciec, duch  
jeśli  
zawsze

fa  
falla  
faldar

patrzeć  
czekać  
ogień

gentinaz  
grunnan

przywódca  
nieszczęście

ham, hammar  
hannas  
hannasan  
hanas  
hardalt  
harian  
hault  
himin  
hoatil

móc (Ip, Im)  
mężczyzna  
mężczyźni  
oddział wojowników  
kałamarnica  
radośni  
dwadzieścia (liczba ludzi)  
góra  
każdy

istak

ścieżka

Kargu  
katisak  
kell  
kurmar  
kurro

ludzie gór  
wesoły  
klin  
rzeka  
wódz

las	w dół
levrelag	obozowisko
Levrewasan	Lud Czarnych Namiotów
ley	polana (wypalana)
linga	kobieta
lingai	kobiety
lissa	wiedzieć
madrap	mokasyn
mai	dobry
man	musi
margalus	doradca w sprawach murgu
mar	włosy
marag	zwierzę zimnokrwiste
marin	gwiazda
markiz	zimno
marsk	ichtiozaur
mensa	urządzać
modia	może
mo trig	moje dziecko
murgu	liczba mnoga od marag
nat	zabójca
naudinz	łowca
nenitesk	triceratops
nep	długi
parad	bród
Paramutanin	jedzący-surowe-mięso, człowiek z Północy
rath	gorący
sammad	grupa mieszana mężczyzn i kobiet
sammadar	wybieralny przywódca sammadu
sassi	kilka
sia	iść
skerm	okres
so	jak, tamto, kto
stakkiz	lato
stessi	plaża
tais	kukurydza
tanu	ludzie
tarril	brat

ter	człowiek
terred	grupa ludzi w jakiejś misji
terredar	przywódca takiej grupy
tharm	dusza lub duch
tina	nosić
to	w
trosk	ichtiozaur
torskan	ichtiozaury
torskanat	jad ichtiozaura
ulfadan	długobrody
veigil	ciężki, ważny
wedam	wyspa

### SESEK - POLSKI

basnsemnilla	drapieżny trobacz
charadis	len
Deifoben	miejsce złotych plaż
Kadair	bóg nieba
Karognis	bóg zła
mandukto	kapłan
porro	piwo
tagaso	kukurydza
waliskis	mastodont

### ANGURPIAQ - POLSKI

#### RZECZOWNIKI

angurpiaq	prawdziwi ludzie
erqigdlit	wymyśleni ludzie
etat	puszcza
ikkergak	duża łódź

imaq                    otwarte morze  
inge                    pochwa

munga                    mała ryba, dorsz

nangeq                    cel

paukarut                    namiot

qingik                    dom, szałas  
qivio                    ścieżka  
qunguleq                    arktyczne wodorosty

takkuuk                    trucizna

ularuaq                    wielki ssak arktyczny

## CZASOWNIKI

alutora                    lubić  
ardlerpa                    polować

ikagput                    obfitować

liorpa                    budować

misugpa                    jeść  
muluva                    brakować

nagsoqipa                    nie różnić się, być jednakowym  
nakoyoark                    być doskonałym

siagpai                    być ważnym

takugu                    widzieć  
tingava                    spać z sobą

## PRZYROSTKI

- adluinar	całkowicie
- eetchuk	dawno temu
- guaq	wewnętrzny
- kaq	mały
- luarpoq	za dużo
- qaq	szybko
- taq	świeżo-złapany
- tammagok	wtedy, teraz, wkrótce

# ZOOLOGIA





## **BANSEMILLA**

*(Metatheria: Didelphys dimidata)*

Rudawoszary torbacz z trzema smoliście czarnymi paskami na grzbiecie. Ma chwytny ogon i przeciwstawne palce na tylnych nogach. Jest drapieżny, poluje głównie na szczury i myszy, hodowany przez Sasku dla tępienia szkodników w żłobach.



## **DŁUGOZĄB**

*(Metatheria: Machaerodus neogeus)*

Mający długie kły przedstawiciel rodziny tygrysów workowatych. Duży, groźny drapieżnik polujący na swą zdobycz bardzo wydłużonymi górnymi kłami. Niektórzy łowcy Kargu oswoili te zwierzęta - pomagają one im w łowach.



## EISEKOL

(*Eutheria: Trichechus latirostris mutatus*)

Roślinożerny ssak wodny, w pierwotnej, nie zmienionej postaci żerował na roślinności podwodnej. Inżynieria genetyczna znacznie zwiększyła wymiary zwierzęcia, tak iż może być wykorzystywane dla oczyszczania kątów, jak również dla ich pogłębienia.



## ELINOU

(*Saurischia: Coelurosaurus compsognathus*)

Mały, ruchliwy dinozaur, bardzo ceniony przez Yilanè za ściganie i tępienie małych szkodników wśród ssaków. Ze względu na kolorowe ubarwienie i miłe usposobienie często trzymany dla rozrywki.



## **ENTEESENAT**

*(Sauropterygia: Elasmosaurus plesiosaurus)*

Drapieżny gad morski dobrze przystosowany do życia na pełnym morzu, niewiele zmieniony od okresu kredy. Ma małą, krótką głowę i długą, węzową szyję. Wiosłowate płetwy podobne jak u żółwi morskich. Wyhodowano nowsze odmiany o większej pojemności czaszki, dzięki czemu można je tresować, by dostarczały pożywienia dla większych uruketo (*Ichthyosaurus monstrosus mutatus*).



## **EPETRUK**

*(Saurischia: Tyrannosaurus rex)*

Największy i najpotężniejszy z ogromnych tyranozaurów mięsożernych. Długość na ponad 12 metrów, waga samców przekracza 7 ton. Przednie łapy są małe, lecz silne. Z powodu swej wielkiej wagi jest dość powolny, dlatego atakuje tylko największe zwierzęta. Sporą część pożywienia zdobywa, odpędzając od upolowanej zdobyczy mniejszych drapieżników.



## **ESTEKEŁ\***

*(Pterosauria: Pterodactylus Quetzlcoatlus)*

Największy z latających gadów o rozpiętości skrzydeł wynoszącej ponad dziewięć metrów. Ich kości są bardzo lekkie i mocne, a ciężar wielkiego, uzębionego dzioba równoważy kościsty wyrostek

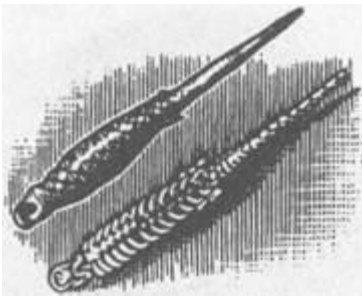
z tyłu czaszki. Występują wyłącznie w ujściach wielkich rzek, bo mogą wzbijać się w powietrze tylko w takich miejscach, gdzie wielkie fale płyną w przeciwnym kierunku niż wiatr.



## **GULAWATSAN**

*(Ranidae: Dimorphognathus mutatus)*

Bliższe zbadanie gulawatsana może wywołać podziw dla zastosowania techniki rozszczepiania genów w sterowaniu mutacjami. To stworzenie było pierwotnie uzębioną żabą, lecz obecnie mało przypomina swych przodków. Ich rozgłośnie rechotanie, rozlegające się w dżunglach tropikalnych podczas okresu rozrodczego, zostało wzmocnione i przekształcone tak bardzo, że wydawany przez nich głos powoduje ogłuszenie w bliskiej odległości.



## HÈSOTSAN

*(Squamata: Paravaranus comensualis mutatus)*

Ten gatunek jaszczurki (ostrzegacz) został tak przekształcony, iż obecnie niewiele przypomina postać wyjściową. Wytwarzające parę gruczoły, zapożyczone z chrząszczy *Brachinus*, gwałtownie wyrzucają strzałki, zatrutowane podczas przejścia przez narządy płciowe współbiednej ryby *Tetradonitid*. Trucizna ta, najbardziej jadowita ze wszystkich znanych, powoduje paraliż i śmierć już przy obecności 500 jej cząsteczek.



(*Columbae: Columba palumbus*)

Ien łagodny ptak stanowi idealny przykład praktycznego zastosowania wiedzy Yilanè. Podobnie jak wiele innych gatunków stosuje on mieszczące się w mózdku cząsteczki *żelaza* do wykrywania ziemskiego pola magnetycznego i stosowania go przy nawigacji. Dzięki selektywnemu chowowi Isekul\* wskazuje obecnie głową w dowolnie wybranym kierunku przez długi okres, póki nie przeszkodzi temu pragnienie czy głód.

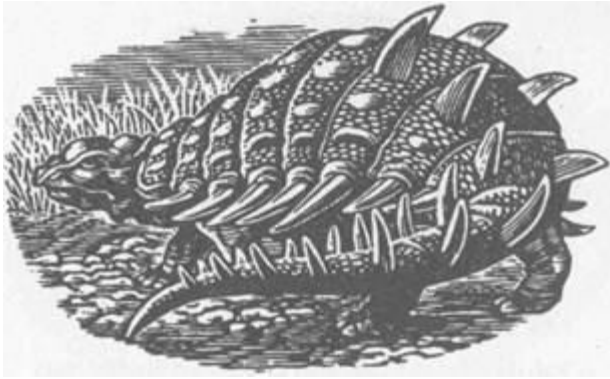


## **JELEŃ OLBRZYMI**

(*Eutheria: Alces machlis gigas*)

Największy ze wszystkich jeleniowatych. Od innych członków rodziny Cervidae różni się szerokim, ogromnym porożem samców. Obiekt polowań Tanu, nie tylko dla mięsa, ale i skóry, używanej na ściany namiotów.





## **KOLCOGRZBIET**

*(Nodosauńd ankylosaurus: Hylaeosaurus)*

Te niegroźne stworzenia o małych zębach i słabych szczękach żywią się niskimi roślinami. Ich jedyną obronę przed drapieżnikami stanowi giętki pancerz z kościanych płytek i guzów oraz kolce, wyrastające z twardej skóry i osłonięte rogami.



## ŁÓDŹ

(*Cephalopoda: Archeololigo olcostephanus mutatus*)

Środek transportu nawodnego Yilanè. Napędzany mocnym strumieniem wody wystrzeliwanym w tył. Stworzenia te mają jedynie szczątkową inteligencję, lecz dają się tresować do wykonywania pewnych prostych poleceń.



## MASINDUU

(*Anuwa: Rana catesbiana mutatus mutatus*)

Sar.duu jest stworzeniem laboratoryjnym powiększającym obrazy aż do 200 razy. Mimo jego

wszechstronności może z niego korzystać tylko jeden obserwator na raz. Odmianą sanduu jest masinduu pozwalające na wyświetlenie obrazów na każdej białej powierzchni, gdzie mogą je oglądać dwie czy więcej badaczek (Yilanè).



## **MASTODONT**

*(Eutheria: Mastodon americanus)*

Wielki ssak oznaczający się długimi górnymi siekaczami. Ma chwytną trąbę sięgającą do ziemi. Udomowienie go przez Tanu umożliwiło im pokonywanie dużych odległości podczas łowów i zbieranie pożywienia. Używają oni mastodontów do ciągnięcia wielkich włóków.



## **NAEBAK**

*(Psittacosauńa: Psittacosaurus)*

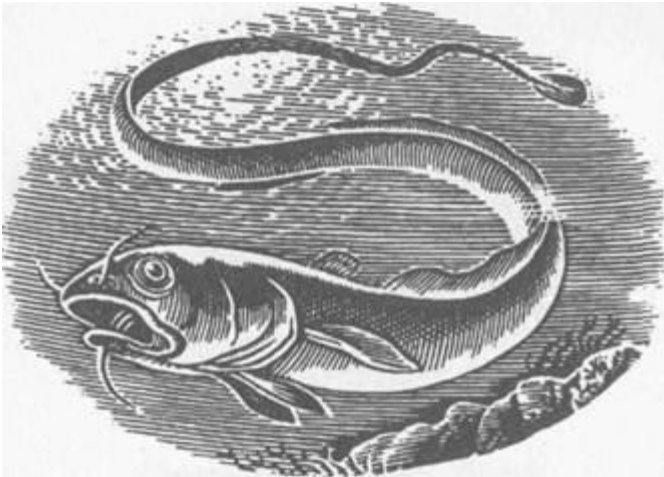
Przedstawiciel małych „jaszczurek papugowych”, nazywanych tak ze względu na małe, bezrogię głowy i ostre, przypominające dziób papugi pyski, używane do ogryzania twardych liści i zdrewniałych łodyg. Chodzą na czterech łapach, lecz mogą również biegać jedynie na mocnych, tylnych nogach.



## NENITESK

*(Omithischia: Triceratops elatus)*

Roślinożerny czworonóg charakteryzuje się trzema rogami osadzonymi na kościstej tarczy ochronnej, nie zmieniony od epoki kredowej. Neniteski rozmnażają się poprzez składanie jaj. Ich mózgi są małe, a rozum jeszcze mniejszy. Wolno rosną, dlatego nie mają wielkiego znaczenia jako zwierzęta dające mięso, są jednak bardzo dekoracyjne.



## NESHAKK

*(Gadus macrocephalus)*

Zmutowana ryba ciepłowodna, przystosowana do różnych środowisk i tak zmieniona, że można określać temperaturę wody poprzez zmiany barwy skóry na jej bokach.



## NINKULILEB

*(Archéoptéryx compsognathus)*

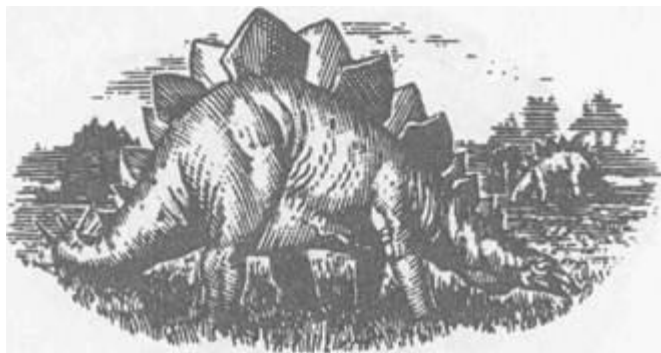
Przejściowa forma pomiędzy ptakami a dinozaurami. Proste pióra, palce na końcach skrzydeł i wąskie, uzębione szczęki różnią go wyraźnie tak od przodków, jak i możliwych potomków.



## OKHALAKX

*(Plateosauridia: Plateosaurus edibilus)*

Jedna z większych „płaskich jaszczurek”, nazywanych tak ze względu na potężne ciała i mocne czaszki. Choć zwykle chodzą na czterech łapach, to wspinają się na tylne przy żerowaniu na wierzchołkach drzew. Ich mięso jest uważane za szczególnie smaczne i bardzo poszukiwane.



## ONETSENSAST

*(Omithischia: Stegosaurus variants)*

Największy z dinozaurów opancerzonych. Ci olbrzymi roślino-żerocy bronią się przed atakiem dwoma rzędami płyt na szyi i grzbiecie, jak również ciężkimi kolcami na ogonie. Powstały w późnej jurze i jedynie uważna ochrona Yilanè uchroniła tę żywą skamieniałość przed wyginięciem.





## **PŁASZCZ**

*(Selachii: Elasmobranchus kappe mutatus)*

Używany przez Yilanè dla ogrzewnia w nocy lub podczas złej pogody. Te stworzenia są całkowicie pozbawione inteligencji, lecz dobrze karmione utrzymują temperaturę ciała wynoszącą w przybliżeniu 39 stopni Celsjusza.





## RUUTSA

(*Ankylosauria: Euoplocephalus*)

To olbrzymie zwierzę jest, być może, najdramatyczniejszym >rzykładem „żywych skamielin”, tak starannie chronionych przez Yilanè. Pokryte wielkimi płytami, nabitymi kolcami, broniące się >gromną gałką na końcu ogona, wygląda tak groźnie, iż trudno iwierzyć, że jest roślinożerne i zupełnie nieszkodliwe, poza obroną rfasną. Gatunek ten nie zmienił się od ponad stu milionów lat.



## SANDUU

(*Anuva: Rana catesbiana mutatus*)

Rozległe manipulacje genowe zmieniły to zwierzę pod niemal każdym względem; o jego pochodzeniu świadczy jedynie skóra. Powiększenie do 200 razy jest osiągalne dzięki odpowiedniemu wykorzystaniu promieni słonecznych przechodzących przez różne soczewki organiczne w głowie zwierzęcia.



## **SARNA**

*(Eutheria: Cervus mazama mazama)*

Mały gatunek jeleniowatych z różkami spiczastymi, bez odnóg. Występuje bardzo licznie w północnej strefie umiarkowanej, Tanu cenią te zwierzęta ze względu na ich mięso i skóry, z których po wyprawieniu wykonywane są stroje i drobne przedmioty skórzane (np. mokasyny madrap i torby).



## TARAKAST

(*Omithischia: Segnosaurus shiungisaurus mutatus*)

Drapieżny dinozaur o pysku w kształcie ostrego dzioba, największe osobniki mają ponad 4 metry długości. Są trudne do wytresowania, kierowanie nimi wymaga wielkiej siły, lecz odpowiednio ujeżdżone stanowią cenne wierzchowce Yilanè.

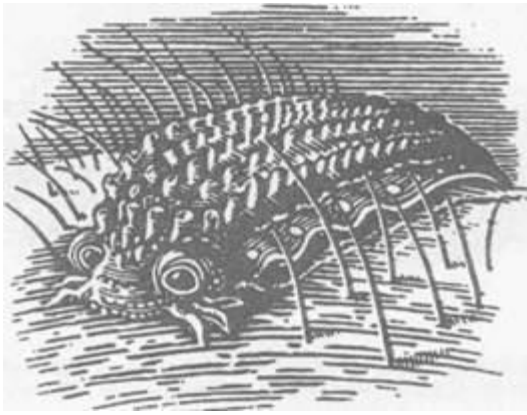


## UGUNKSHAA

(*Squamata: Phrynosoma fiemsyna mutatus*)

Ponieważ język Yilanè uzleźniony jest od barwy ich skóry i ruchów ciała, a nie tylko od dźwięków, niemożliwe jest tworzenie dokumentów pisanych. Pierwotna wiedza była przekazywana ustnie, a jej rejestrowanie stało się możliwe dopiero po rozwinięciu metody wyświetlania obrazów

na organicznych ciekłych kryształach, w połączeniu z zapisami dźwiękowymi.



## UNUTAKH

*(Cephalopoda: Deroceras agreste mutatus)*

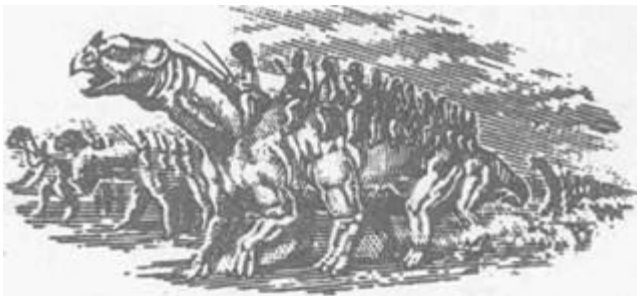
Jedno z wysoko przekształconych zwierząt używanych przez Yilanè, len głowonóg trawi białko, zwłaszcza włosów i przekształcone łuski naskórka.



## URUKETO

*(Ichthyopterygia: Ichtyosaurus monstrosus mutatus)*

To największy z „jaszczuro-ryb”, rodziny ogromnych dinozaurów wodnych. Tysiąclecia chirurgii genowej i hodowli dały szczep ichtiozaurów bardzo różniących się do form macierzystych. Mają wielką komorę mieszczącą się ponad kręgosłupem, pod płetwą grzbietową, używaną do przewozu załogi i ładunku.



## **URUKTOP**

*(Chelonia: Psittacosaurus montanoceratops mutatus)*

Jedno z najbardziej zmienionych przez Yilanè zwierząt. Używane do transportu lądowego, może przynosić wielkie ładunki na ogromne odległości, ponieważ po zdublowaniu genów ma osiem nóg.